

CO SIĘ W GÓRACH WYDARZYŁO, W GÓRACH POZOSTANIE

Luca D'Andrea

# ISTOTA ZŁA

Wydawnictwo  
w  
ab  
two

LUCA  
D'ANDREA

## **ISTOTA ZŁA**

przełożył Stanisław Kasprzysiak



Tytuł oryginału: *La sostanza del male*

Copyright © 2016 Luca D'Andrea

This edition published in agreement with Piergiorgio Nicolazzini Literary Agency (PNLA), Italy through Book/lab Literary Agency, Poland

First published in 2016 by Giulio Einaudi editore/Stile Libero Big, Italy

Copyright © for the Polish edition by Grupa Wydawnicza Foksal, MMXVI

Copyright © for the Polish translation by Stanisław Kasprzysiak, MMXVI

Wydanie I

Warszawa, MMXVI

# Spis treści

Dedykacja

\*\*\*

*(We Are) the Road Crew*

Herosi z gór

Głos Bestii

Dwieście osiemdziesiąt milionów lat temu

Obietnice i kłamstwa

Masakra w Bletterbach

*Saltner*

Dwudziesty ósmy kwietnia 1985

Bar Lily

Tort o smaku B

*South Tyrol style*

*Der Krampusmeister*

Siedem liter i sanki

Większość spraw już wygląda inaczej

Król elfów

Dom Krünów

Pierwszy lutego

Pracownia diabła

*Jaekelopterus rhenaniae*

[Kolor szaleństwa](#)

[Zabija się drzewo](#)

[Ktoś umiera, ktoś go opłakuje](#)

[Dwoje spiskowców i obietnica](#)

[\*Heart-Shaped Box\*](#)

[Osy na strychu](#)

[Prawda o masakrze w Bletterbach](#)

[Świat nie z tego świata](#)

[Ojcowie](#)

[W brzuchu Bestii](#)

[\*Wer reitet so spät durch Nacht und Wind?\*](#)

[Trzy litery na skraju tęczy](#)

[Podziękowania](#)

[Przypisy](#)

*Dla Alessandry, która jest jak kompas na moim burzliwym morzu*

Tak jest zawsze. W głębi lodowca najpierw słyszy się głos Bestii, potem się umiera.

W szczelinach i przepaściach takich jak ta, gdzie się znalazłem, został na zawsze niejeden alpinista czy wspinacz: tracili w nich siły, rozsądek i na koniec życie, porażeni tym głosem.

Jakaś część mego umysłu, ta zwierzęca, oswojona z trwogą przez miliony lat, rozumiała, co Bestia syczy.

Osiem liter: „Wynoś się”.

Nie przewidziałem, że usłyszę tu Bestię.

Potrzebowałem czegoś znajomego, ludzkiego, co wyrwałoby mnie z okrutnej samotności lodowca. Popatrzyłem w górę, nad krawędź rozpadliny, chciałem odnaleźć czerwony punkt, EC135, helikopter Ratownictwa Alpejskiego w Dolomitach. Ale niebo było puste. Lśnienie oślepiającego błękitu z postrzępioną u dołu krawędzią.

Wtedy się załamałem.

Zacząłem się kołysać w przód i w tył, oddychałem zadyszany, krew straciła siły. Jak Jonasz we wnętrzościach wielkiej ryby, tak i ja utknąłem samotnie przed obliczem Boga.

A Bóg syczał: „Wynoś się”.

O czternastej dziewiętnaście tamtego fatalnego piętnastego września doszedł mnie jednak zza brył lodu głos, który nie był głosem Bestii. To wołał Manny i na tle czystej bieli pojawił się czerwony kombinezon. Manny powtarzał moje nazwisko, raz za razem, a wciągarka powoli opuszczała go coraz niżej, coraz bliżej mnie.

Jeszcze pięć metrów.

Jeszcze dwa.

Niemal mnie dotykał. Jego ręce i wzrok chciały znaleźć na mnie jakieś obrażenia, coś, co by wyjaśniło moje zachowanie. Pytał mnie o sto, o tysiąc rzeczy. Nie odpowiadałem. Głos Bestii był we mnie zbyt mocny. Pożerał mnie.

– Nie słyszysz? – wyszeptałem. – To Bestia, to...

Bestia – chciałem mu wyjaśnić – ten prastary lodowiec nie może znieść, by do jego głębi wtargnęło ciepłe serce. Moje ciepłe serce. Serce Manny’ego.

A potem ta chwila o czternastej dwadzieścia dwie.

Wyraz zdumienia na twarzy Manny’ego, które zmienia się w przerażenie. Lina wciągarki, na której był uwieszony jak marionetka. Manny, który naraz leci w dół. Hałas silnika helikoptera, który staje się jak zduszone wołanie.

I to, co potem.

Krzyk Boga. Lawina zasłania mi niebo.

*Wynoś się!*

I właśnie wtedy zobaczyłem. Kiedy zostałem sam, poza czasem i poza przestrzenią, zobaczyłem.

Ciemność.

Doskonałą ciemność. Ale nie umarłem. Nie, nic z tego. Bestia chciała się mną pobawić. Zostawiła mnie przy życiu. Teraz mi szeptała: „Już ze mną zostaniesz, zostaniesz na zawsze...”.

Nie myliła się.

Po części wciąż tam z nią jestem.

Jednak jak powiedziałaaby z uśmiechem moja córka Clara, to jeszcze nie było zet na samym skraju tęczy.

To jeszcze nie było zakończenie mojej historii. Przeciwnie.

To był dopiero prolog.

Sześć liter: „prolog”. Sześć liter: „Bestia”.

Tak jak „zgroza”.



# *(We Are) the Road Crew*

## 1

W życiu, jak w sztuce, liczy się tylko jedno: fakty. Ale żeby poznać fakty, które coś powiedzą o Evi, Kurcie i Markusie, i o tamtej nocy dwudziestego ósmego kwietnia 1985 roku, musicie się też dowiedzieć wszystkiego o mnie. Gdyż nie chodzi tu tylko o rok 1985 i o tamto morderstwo w Bletterbach. Nie chodzi tylko o Evi, Kurta i Markusa – chodzi też o Salingera, Annelise i Clare. Wszystko jest ze sobą powiązane.

## 2

Aż do czternastej dwadzieścia dwie dni piętnastego września 2013 roku, to znaczy aż do chwili, kiedy Bestia omal mnie nie uśmierciła, uchodziłem za połowę wschodzącej gwiazdy w dziedzinie filmów dokumentalnych, której zależało nie tyle na pozycji gwiazdy, ile na tworzeniu drobniutkich meteorów i na ich zniewalającym przelocie.

Mike McMellan, druga połowa wschodzącej gwiazdy, lubił mówić, że nawet gdybyśmy się stali gwiazdami spadającymi, którym zagraża zderzenie z planetą noszącą nazwę Kompletna Upadłość, to i tak nikt nie odbierze nam tego, że nasz upadek będzie miał rozmach zarezerwowany dla herosów. Od trzeciego piwa poczynając, zapewniałem go, że jestem tego samego zdania. A to już była okazja do wzniesienia toastu.

Mike był nie tylko moim współnikiem. Był także najlepszym przyjacielem, jakiego zesłał mi los. Irytujący, przemądrzały, egocentryczny jak czarna dziura w kosmosie, a nawet bardziej, nieznośnie uparty, ożywiał się tylko przy jednym temacie, i to tak jak kanarek na amfetaminie. Ale był też jedynym artystą, jakiego w życiu spotkałem.

I właśnie Mike, kiedy byliśmy jeszcze dwoma przeciętnie utalentowanymi osobnikami, najmniej cool ze wszystkich studentów New York Film Academy (Mike miał zostać reżyserem, niżej podpisany – scenarzystą), zrozumiał, że jeśli będziemy się upierać przy naszych hollywoodzkich ambicjach, to skończy się tak, że spłaszczą nam kopniakami tyłki i staniemy się zgorzkniali i gadatliwi jak nasz nieszczęsny profesor „Mówcie mi Jerry” Calhoun, były hipis, którego nieprzytomnie cieszyło znęcanie się nad pierwszymi,

nieśmiałyymi próbkami naszego twórczego talentu.

Chwila była ze wszech miar magiczna. Prawdziwe olśnienie, które miało zmienić nasze losy. No, może trochę mniej epickie niż film Sama Peckinpaha („Idziemy umierać?”, pyta William Holden w *Dzikiem bandzie*, a Ernest Borgnine odpowiada: „Czemu nie?”), skoro siedzieliśmy wtedy w McDonalddie i przegryzaliśmy frytki, w mocno sponiewieranym nastroju i w położeniu bydła prowadzonego na rzeź sławetnym bulwarem królestwa hamburgerów, niemniej jednak była to chwila niepowtarzalna. Uwierzcie mi.

– Wypnij się na Hollywood, Salinger – powiedział Mike. – Ludzie się wypościli, tęsknią za rzeczywistością, a nie za grafiką komputerową. Uda się nam surfować po tym naszym gównianym Zeitgeiście tylko dzięki temu, że wyrzekniemy się *fiction* i uczepimy kochanej, starej, solidnej rzeczywistości. Niezawodnej w stu procentach.

Zmarszczyłem czoło.

– *Zeitgeist*?

– Przecież jesteś Szwabem, współniku.

Istotnie, moja matka była z pochodzenia Niemką, ale w tej odzywce Mike’a nie było pogardy i całe lata świetlne dzieliły mnie od doszukiwania się u niego jakiejś oznaki dyskryminacji. Bądź co bądź ja wychowałem się na Brooklynie, a Mike gdzieś na śmierzącym Środkowym Zachodzie.

Niezależnie od napomknienia o pochodzeniu Mike tamtego mglistego listopada wiele lat temu chciał mnie namówić, żebym porzucił pisanie (nieudanych) scenariuszy i zajął się razem z nim kręceniem filmów dokumentalnych. Będziemy rejestrować odrębne chwile, a później układać z nich opowieść zmierzającą płynnie od punktu a do punktu z, zgodnie z wyznaniem wiary świętej pamięci Władimira Jakowlewicza Proppa (człowieka, który tak przejmował się narracją jak Jim Morrison paranoją).

Tak czy inaczej burdel i nic poza tym.

– Mike – uniosłem się – tylko jednego typu ludzie są większymi miernotami od tych, którzy stawiają na karierę w filmie, i są to niestety dokumentaliści. Kompletują wszystkie numery „National Geographic”, poczynając od 1800 roku. Ich przodkowie przeważnie poginęli na wyprawach poszukujących źródeł Nilu. Mają tatuaże i noszą kaszmirowe szale. Innymi słowy chłystki, ale chłystki *liberal*, i dlatego wydaje mi się, że są cokolwiek pozbawieni jaj. I jeszcze jedno, wcale nie mniej ważne: mają nadziane rodziny, które lekką ręką sypią im forszę na te ich safari we wszystkich zakątkach świata.

– Salinger, czasami jesteś naprawdę, ale to naprawdę... – Mike pokręcił

głową. – Ale zostawmy to. Posłuchaj: potrzebujemy tematu. Porządnego tematu dla naszego dokumentalnego filmu, który na pewno rozbije bank. Musi to być coś, o czym ludzie już wiedzą, coś swojskiego, ale co my wspólnymi siłami pokażemy im z innej strony, nie z tej, z której oglądali to dotąd. Rusz mózgiem, wyciśnij z niego, ile potrafisz, wymyśl coś stosownego.

Możecie mi wierzyć lub nie, ale właśnie w tym momencie mój poszturchiwany umysł uprzytomnił sobie, że nawet najbardziej kapryśną mózgownicę da się zmienić w bajeczny pojazd. Gdyż właśnie się w niej czegoś dogrzebałem.

Nie wiem jak i nie wiem dlaczego, ale kiedy Mike przypierał mnie do muru tym swoim spojrzeniem seryjnego mordercy, kiedy w głowie kołatały mi tysiące powodów, żeby tę jego propozycję odrzucić, usłyszałem w mózgu przenikliwe kliknięcie. Pomysł niedorzeczny. Szalony. Płomienny. Pomysł tak idiotyczny, że chyba mógł, jak na ironię, okazać się całkiem niezły.

Czy może być coś bardziej elektryzującego, potężnego i podniecającego od rocka?

Była to przecież religia milionów. Wybuch energii tak potężny, że potrafił złączyć ze sobą różne pokolenia. Nie znalazłaby się na naszej planecie ani jedna istota, która nie słyszałaby o Elvisie, Hendriksie, o Rolling Stonesach, o Nirvanie, o Metallice i o całym tym cyrku, który okazał się prawdziwą rewolucją dwudziestego wieku.

To nie będzie trudne, prawda?

Nieprawda.

Gdyż rock to także ogromni i krzepcy bodyguardowie, ubrani na czarno, wielcy jak szafy dwudrzwiowe, patrzący jak buldogi i opłacani za to, by odpędzać takich cwaniaków jak my. Co zresztą robiliby chętnie nawet za darmo.

Kiedy próbowaliśmy po raz pierwszy wcielić naszą ideę (przy Brusie Springsteenie, podczas jego rozgrzewki przed wyruszeniem w trasę koncertową, w jakiejś sali poniżej Village), skończyło się to dla mnie przepychaniem i kilkoma sińcami. Dla Mike'a trochę gorzej. Połowa jego twarzy wyglądała jak szkocka flaga. Jakby tego było mało, chcieli na nas donieść na policję. Po Springsteenie trafił nam się koncert zespołu White Stripes, potem Michael Stipe, zespół Red Hot Chili Peppers, Neil Young i zespół Black Eyed Peas, który w tamtym czasie osiągnął szczyt kariery.

Uzbieraliśmy niezłą kolekcję sińców, ale mało materiału. Pokusa, by to wszystko rzucić, była coraz silniejsza.

Ale Bóg rocka uśmiechnął się do nas, widząc, ile pasji wkładamy

w oddawanie mu czci, i dobrotliwie wskazał nam właściwą drogę.

### 3

W połowie kwietnia udało mi się załatwić dla nas obu dorywczą pracę przy montowaniu sceny koncertowej w Battery Park. Nie dla byle zespołu, tylko dla najbardziej przewrotnej, diabolicznej, obrazoburczej kapeli wszech czasów. Panie i panowie: przed wami Kiss.

Pracowaliśmy pilnie jak mróweczki z nadzieją, że pod koniec przygotowań ukryjemy się w stercie starych pudeł. I będziemy siedzieć cichutko jak snajperzy. Kiedy nadciągną pierwsze czarne mercedesy, włączymy przycisk nagrywania. Byliśmy w siódmym niebie. Dorwaliśmy wielką okazję.

I oczywiście wszystko się zawaliło.

Gene Simmons wysiadł z limuzyny długiej jak transatlantyk, przeciągnął się i wydał swojemu lokajowi polecenie, żeby spuścił ze smyczy jego ukochanego psa. A ten pudelek, biały i diabelnie zajadły, rzucił się w naszą stronę i ujadł jak te piekielne wyżyły, o których śpiewał Robert Johnson (*And the day keeps on reminding me, there's a hellhound on my trail*<sup>1</sup>). Pieseczek z nagła skoczył mi na pierś. Chciał się dobrać do gardła. Kula z futra zamierzała mnie uśmiercić.

Wrzasnałem.

I chyba jakieś dwadzieścia tysięcy energumenów, którzy nie wypadliby źle nawet na tle rozbójników z Hall of Fame, dopadło nas, skopało, stłukło, powlokło do bramy wejściowej, żeby – o czym nas, warcząc, zawiadomili – jak najprędzej z nami skończyć, rzucając na pożarcie oceanowi. Nie doszło do tego. Zostawili nas, obolałych, przygnębionych i zmordowanych, na ławce zaśmieconej starymi gazetami, żebyśmy sobie porozmyślali nad naszym położeniem godnym Kojota. Siedzieliśmy długo i wciąż nie mogliśmy się pogodzić z porażką. Wsłuchiwalismy się tylko w dobiegający z daleka koncert, czy już wreszcie zbliża się do końca. Kiedy ucichły bisy, przypatrywaliśmy się topniejącemu powoli tłumowi. Chcieliśmy wrócić do naszej kryjówki po sprzęt, kiedy osiłki z brodami jak Hell's Angels i gębami galerników zaczęły ładować na peterbilta skrzynie z instrumentami i wzmacniacze. I dokładnie w tej chwili Bóg rocka wychylił się ze swojej Walhalli i wskazał mi drogę.

– Mike – powiedziałem – pogubiliśmy się całkowicie. Jeżeli chcemy kręcić filmy dokumentalne o rocku, naprawdę o rocku, to musimy skierować obiektyw w przeciwną stronę niż scena koncertowa. W przeciwną, wspólniku.

Prawda o rocku to właśnie te typy. A na nich w dodatku nie musimy mieć copyrightu – dodałem z szyderczym uśmiechem.

*Roadies*. Ci od brudnej roboty. Ci, co załadowują osiem ciężarówek, jeżdżą nimi po całym kraju i rozładowują, gdzie trzeba, montują scenę, ustawiają instrumenty, czekają z założonymi rękami na koniec występu, a potem od nowa to samo, jak w wierszu: „I wiele mil od snu mnie dzieli<sup>2</sup>”.

Tak to już jest.

Muszę i to powiedzieć: Mike był *niesamowity*. Przepadał za pochlebstwami, cudownym rozmnażaniem dolarów i darmową reklamą, więc przekonał straszliwie nudnego menedżera trasy koncertowej, żeby nam pozwolił na kilka ujęć. Nasi *roadies*, drogowcy, nieprzywykli do zainteresowania okazywanego wyłącznie im, wzięli nas pod swoje opiekuńcze skrzydła. Mało tego: to ci brodacze wmówili menedżerowi i adwokatowi, że trzeba się zgodzić, abyśmy im towarzyszyli na całej trasie (*im*, a nie zespołowi – to był chwyt, który zawsze działał).

I tak powstał dokument *A im jest pot pisany: Road Crew – ciemna strona rock'n'rolla*.

Namordowaliśmy się, możecie mi wierzyć. Sześć tygodni wariactwa, migreny, tankowania, zmęczenia i potu. Podczas tych wyczynów zniszczyliśmy dwie kamery, wiele razy zatruliśmy się okropnym żarciem, ja skrzyłem sobie kostkę (na dachu kampera, bo był kruchy jak wafel, ale byłem wtedy trzeźwy, przysięgam) i obaj nauczyliśmy się na dwanaście sposobów wymawiać *fuck you*.

Montaż zajął nam całe lato: siedzieliśmy w czterdziestostopniowym skwarze w montażowni bez klimatyzacji przed roztopiającym się ekranem i w pierwszych dniach września 2003 roku (rok był cudowny, jeśli takie lata są w ogóle możliwe) nie tylko mieliśmy gotowy nasz dokument, ale też byliśmy z niego zadowoleni. Pokazaliśmy film producentowi, który nazywał się Smith. Zgodził się na pokaz niechętnie: pięć minut, tylko pięć. Nie uwierzycie – wystarczyły trzy.

– *Factual* – zarządził Mister Smith, imperator wybranej przez nas sieci. – Dwanaście odcinków. Każdy po dwadzieścia pięć minut. Potrzebne mi to na początek listopada. Zdążyście?

Uśmiechy, uściski rąk. Potem rozprażony autobus odwiózł nas do domu. Osłupiali, po części nieprzytomni, sprawdzaliśmy w Wikipedii, co to takiego *factual*. Okazało się, że to serial telewizyjny połączony z dokumentem. Mówiąc zwyczajnie: mieliśmy dwa miesiące na przemontowanie wszystkiego od początku do końca i stworzenie naszego *factual*. Uda się?

Szkoda gadać.

Pierwszego grudnia tamtego sławetnego roku *Road Crew* poszedł w telewizji. I był to nasz triumf pod względem popularności w sieci.

Znaleźliśmy się na ustach wszystkich. Profesor Calhoun domagał się fotografii z nami podczas wręczania nam tego czegoś, co wyglądało jak obelga pod naszym adresem zrodzona z mózgu Dalego, a było nagrodą przyznawaną wyróżniającym się studentom. Powtarzam: wyróżniającym się. Blogi rozpiśały się o *Road Crew*, gazety rozpiśały się o *Road Crew*. MTV przygotowała na jego temat *special* z udziałem Ozzy'ego Osbourne'a, który jednak – ku rozgoryczeniu Mike'a – nie zjadł tym razem nietoperza.

Aczkolwiek nie spotkały nas same laury i rozkosze.

Maddie Grady z „New Yorkera” przejechała po nas tępym narzędziem. Artykuł na pięć tysięcy słów, nad którym łamałem sobie głowę całe miesiące. Zdaniem „GQ” byliśmy mizoginami. Zdaniem „Life'a” – mizantropami. Zdaniem „Vogue'a” – wcieleniem wyrywającego się na wolność pokolenia X. A to już nas naprawdę okropnie dotknęło. Kilku nerdów z sieci zaczęło nas zadrećcać analizowaniem naszej pracy, chociaż zwięzłością i pedanterią biła przecież na głowę *Encyclopaedia Britannica*. A w internecie, w tej wirtualnej demokracji naszych drogich kołtunów, zaczęły się pojawiać głosy ni to śmieszne, ni alarmujące. Zdaniem dobrze poinformowanych Mike i ja nieustannie braliśmy heroinę, speedball, kokainę i amfetaminę. *Roadies* wtajemniczali nas na wyścigi we wszystkie sto jeden grzechów Sodomy. Podczas zdjęć jeden z nas zmarł („Mike, tu piszą, że umarłeś”. – „Tu piszą, że jeden z nas zmarł, może to nie ja”. – „A przyjrzałeś się sobie w lustrze, współniku?”).

Na moją ulubioną sensację wybrałem sobie wiadomość, że zapłodniliśmy całą grupę muzyczną o nazwie Pam (zauważyliście, że dziewczęce grupy zawsze muszą się nazywać Pam?) i wymusiliśmy na tych dziewczynach poronienia w trakcie satanistycznego obrządku, którego nauczył nas Jimmy Page.

W marcu następnego, 2004 roku Mister Smith przysłał nam umowę na drugą serię *Road Crew*. Trzymaliśmy świat w garści. Ale wkrótce potem, zanim wyruszyliśmy na zdjęcia, zdarzyło się coś, co zdumiało wszystkich, a najbardziej mnie.

Zakochałem się.

Dziwnie to zabrzmiało, ale muszę przyznać, że zasadniczo przyczynił się do tego „Mówcie mi Jerry” Calhoun. Zorganizował dla swoich studentów specjalną projekcję pierwszego odcinka *Road Crew* z nieodłączną dyskusją po filmie. Można było podejrzewać, że dyskusja okaże się pułapką, ale Mike, który chyba chciał się odegrać na naszym starym wykładowcy i na całym świecie, uparł się, żebyśmy się na tę projekcję zgodzili, a ja mu uległem, jak zawsze kiedy Mike zanadto się do czegoś zapali. Istota, która wdarła się do mego serca, siedziała w trzecim rzędzie, zasłonięta osobnikiem chyba stopięćdziesięciokilowym o spojrzeniu Marka Chapmana (na pewno wielbiciela blogosfery – jak go sobie zakwalifikowałem), w straszliwej auli trzynaście profesora Calhouna, którą część studentów New York Film Academy nazywała Fight Club.

Po projekcji grubas pierwszy zerwał się z miejsca, by wyrzucić z siebie wszystko, co go dręczyło. Trzydzieści pięć minut jego oracji można streścić w kilku słowach: „To jest gówniane, tamto gówniane, więc całe miasto będzie obsrane”. Po czym usiadł zadowolony, otarł z ust resztki śliny i skrzyżował ramiona na piersi z jawnym wyzwaniem na twarzy jak pizza, która powoli stygnie.

Miałem już zwymiotować na niego długą (bardzo długą) listę moich niezbyt poprawnych sądów o przemądrzałych tłuściochach, kiedy zdarzyła się ta rzecz, którą do dziś uznaję za niesamowitą.

Jasnowłosa dziewczyna poprosiła o głos, a uradowany Calhoun zaraz go jej udzielił. Wstała (naprawdę z wdziękiem) i powiedziała z silnym niemieckim akcentem:

– Chciałam was o coś spytać. Jak należy dokładnie rozumieć słowo „*Neid*”?

Roześmiałem się i podziękowałem w myślach mojej kochanej *Mutti*, że z takim zapamiętaniem uczyła mnie swego ojczystego języka. Nieoczekiwanie tamte godziny zmarnowane na obijanie sobie zębów obcą wymową, na wydychanie samogłosek i wyokrąglenie „r”, jakby mi wstawiono w usta wentylator, ukazały mi się w całkiem innym świetle.

– *Mein liebes Fräulein* – odezwałem się ucieszony brzmieniem własnych słów, bo na ich dźwięk oczy zdumionych studentów (z grubasem włącznie) wystrzeliły jak korki szampana na nowy rok. – *Sie sollten nicht fragen, wie wir „Neid” sagen, sondern wie wir „Idiot” sagen.*

Miała panno, nie należy pytać, jak poprawnie rozumieć słowo „zawiść”, tylko jak rozumieć słowo „idiota”.

Tak oto pojawiła się Annelise.

Miała dziewiętnaście lat, przyjechała do Stanów niedawno na miesiąc

stazu. Nie była Niemką ani Austriaczką, ani nawet Szwajcarką. Pochodziła z małej prowincji w północnych Włoszech, gdzie większa część ludności mówi po niemiecku. Alto Adige albo Südtirol – czyli Górna Adyga – tak się to dziwne miejsce nazywa.

Ostatniej nocy przed naszym wyjazdem w trasę kochaliśmy się, a w tle Springsteen grał *Nebraskę*, czym trochę mnie udobruchał. Rano było mi ciężko. Myślałem, że już nigdy jej nie zobaczę. Ale sprawy potoczyły się inaczej. Moja kochana Annelise, urodzona w Alpach, osiemdziesiąt tysięcy kilometrów od Wielkiego Jabłka, zrezygnowała ze stazu i rozpoczęła studia. Zabrzmi to po wariacku, ale musicie mi uwierzyć. Pokochała mnie, a ja pokochałem ją. W roku 2007, kiedy zabieraliśmy się z Mikiem do nakręcenia trzeciej serii (ostatniej, jak sobie postanowiliśmy), w niepozornej restauracyjce Hell's Kitchen poprosiłem Annelise o rękę. Zgodziła się z takim zapalem, że rozplakałem się, co zawsze jest dla mężczyzny wstydlive.

Czego mogłem chcieć więcej?

Nadejścia roku 2008.

Ponieważ w roku 2008 (kiedy obaj z Mikiem byliśmy wykończeni i po ukazaniu się trzeciej serii naszego *fuck-tual* zrobiliśmy sobie przerwę) pewnego łagodnego majowego dnia w zatopionej w zieleni klinice w New Jersey urodziła się Clara, moja córka. A potem osuwające się góry pieluszek, homogenizowane mleko wszędzie, na ubraniach i ścianach, ale przede wszystkim całe godziny obserwowania Clary, która właśnie zapoznawała się ze światem. Nie można też pominąć wizyt Mike'a z kolejną narzeczoną (dyżury tych istot trwały od dwóch do czterech tygodni, a raz nawet półtora miesiąca, ale wtedy w grę wchodziła Miss Lipca), podczas których starał się na wszelkie sposoby nauczyć m o j ą córkę wymawiania *swojego* imienia, chociaż Clara nie opanowała jeszcze wymowy słowa „tata”.

W lecie 2009 roku poznałem rodziców Annelise, Wenera i Hertę Mairów. Nie wiedzieliśmy jeszcze, że zmęczenie, któremu Herta przypisywała swoją bladość i zawroty głowy, było już zaawansowanym nowotworem z przerzutami. Zmarła kilka miesięcy później, pod koniec roku. Annelise nie chciała, żebym pojechał z nią na pogrzeb.

Lata 2010 i 2011 były przepiękne i rozczarowujące. Przepiękne dlatego, że Clara wszędzie się wspinała, że Clara wciąż pytała „co to?” w trzech językach (trzeciego, włoskiego, Annelise uczyła również mnie i całkiem nieźle sobie z nim radziłem, bo byłem uczniem namiętnie wpatrzonym w nauczycielkę, bardzo seksowną), że Clara po prostu rosła. Rozczarowujące? Właśnie. Bo kiedy przedstawiliśmy Mister Smithowi jakieś sto tysięcy rozmaitych



projektów (odrzuć wszystkie), pod koniec 2011 roku zaczęliśmy kręcić czwartą serię *Road Crew*. A przecież zaklinaliśmy się, że taka seria nigdy nie powstanie.

Nic się nie kleiło, czar przysł, co z góry można było przewidzieć. Czwarta seria *Road Crew* wyszła nam jak długi niezdarny tren na śmierć pewnej epoki. Ale publiczność, o czym dobrze wiedziało całe pokolenie copywriterów, uwielbia smutek. Popularność w sieci była lepsza niż przy trzech poprzednich seriach. Nawet „New Yorker” obsypał nas pochlebstwami, wmawiając czytelnikom, że jest to „opowieść o śnie w biały dzień, który nagle się rozwiewa”.

Obaj z Mikiem byliśmy całkiem wyżęci i apatyczni. Przygnębeni. A praca, uznawana przez nas za najgorszą w naszej karierze, była wychwalana nawet przez tych, którzy wcześniej traktowali nas jak zadzumionych. Dlatego w grudniu 2012 roku zgodziłem się na propozycję Annelise. Chciała, żebyśmy spędzili parę miesięcy w jej rodzinnym miasteczku, w tej plamce na mapie, która nazywała się Siebenhoch, Alto Adige, Südtirol, Italia. Z dala od wszystkiego i od wszystkich.

Pomysł był niezły.

# Herosi z gór

## 1

Fotografie z Siebenhoch, które pokazywała mi Annelise, nie oddają sprawiedliwości temu miasteczku wrośniętemu w skały na wysokości tysiąca czterystu metrów. Wprawdzie okna z geranium są takie same jak na zdjęciach, wąskie uliczki chroniące przed zimnym wiatrem także. A góry w śniegu i lasy dokoła? Jak na pocztówce. Ale w życiu wszystko wygląda... inaczej.

Miejsce jest wspaniałe.

Podobał mi się kościółek z cmentarzem, który nie przywodził na myśl śmierci, tylko wieczne odpoczywanie wyproszone w modlitwach. Podobały mi się strome dachy domów, zadbane ogródki, ulice bez wybojów, podobał mi się też tutejszy dialekt, czasami niezrozumiały, który wykoślawiał język mojej matki (był to zarazem język mojego dzieciństwa), przekształcając go w *dialo*kt bezdźwięczny i toporny.

Podobał mi się nawet sklep Despar drzemiący na małym placyku wydartym przemocą z zielonej gęstwiny, podobały mi się krzyżujące się tutaj prowincjonalne szosy i ścieżki dla mułów zagubione w bukach, paprociach i świerkach.

Podobała mi się twarz mojej żony w chwilach, gdy pokazywała mi w swoich stronach coś nowego. Uśmiechała się i to zmieniało ją w tamtą dziewczynkę, która – jak sobie wyobrażałem – biegała po tych lasach, rzucała śnieżkami, chodziła po tych ulicach, a kiedy urosła, przedostała się za ocean i wpadła w moje ramiona.

Co jeszcze?

Podobał mi się speck, zwłaszcza ten podsuszony, który przynosił nam teść, nie zdradzając nigdy, gdzie się taki skarb zdobywa – z pewnością nie na tych „straganach dla turystów”, jak nazywał sklepy – i podobały mi się knedelki podawane na czterdzieści różnych sposobów. Zjadałem się kruchym plackiem i strudlem, i wszystkimi ciastkami, jakie tu odkrywałem. Dołożyłem sobie cztery wstydlive kilogramy, ale w żadnym razie nie miałem sobie tego za złe.

Dom, w którym zamieszkaliśmy, należał do Wenera, ojca Annelise. Znajdował się za zachodnią granicą Siebenhoch (o ile takie miasteczko

z siedmiuset mieszkańcami może mieć jakiegokolwiek granice), w punkcie, gdzie góry wyrwały się stromo prosto do nieba. Na piętrze mieliśmy dwie sypialnie, gabinet i łazienkę. Na parterze kuchnię, spiżarnię i pokój, który Annelise nazywała salonem, chociaż taka nazwa całkiem do niego nie pasowała. „Salon” był ogromny, ze stołem pośrodku i wieloma meblami z buku i alpejskiej jodły, które Werner sam zrobił. Światło wpadało tu przez dwa wielkie okna, które wychodziły na łąkę, więc już pierwszego dnia ustawiłem sobie przed nimi fotel, żeby nacieszyć się tą przestrzenią – górami i zielenią (kiedy przyjechaliśmy, leżała tu jeszcze gruba warstwa śniegu) – którą po prostu wchłaniałem w siebie.

I dwudziestego piątego lutego, właśnie z tego fotela, zobaczyłem na niebie przelatujący nad Siebenhoch helikopter. Był jaskrawoczerwony. Myślałem o nim całą noc. A dwudziestego szóstego lutego ten helikopter zmienił mi się w głowie w pewien pomysł.

W pomysł *obsesyjny*.

Dwudziestego siódmego poczułem, że muszę się podzielić tym pomysłem z kimś odpowiednim.

Z kimś, kto wiele wie. Z kimś, kto mnie zrozumie.

I dwudziestego ósmego porozmawiałem.

## 2

Werner Mair mieszkał w pobliżu, jakiś kilometr w linii prostej od nas, w zaniedbanej osadzie, którą miejscowi nazywali Welshboden.

Był człowiekiem surowym i rzadko się uśmiechał (taki cud sprawiała z łatwością tylko Clara), miał siwe, przerzedzone na skroniach włosy, przenikliwe oczy, błękitne z szarym odcieniem, cienki nos i zmarszczki jak blizny.

Dobijał do osiemdziesiątki, ale był w doskonałej formie. Zastałem go przy rąbaniu drewna; miał na sobie koszulę z podwiniętymi rękawami, chociaż na dworze było poniżej zera.

Kiedy mnie zobaczył, odłożył siekierę na stojak i pomachał mi ręką. Wyłączyłem silnik i wysiadłem z samochodu. Powietrze było rześkie, czyste. Oddychałem możliwie najgłębiej.

– Znowu potrzebne ci drzewo, Werner?

Podał mi rękę.

– Nigdy go nie dość. A zimno odmładza. Napijesz się kawy?

Weszliśmy do domu.

Zdjąłem kurtkę i czapkę, usiadłem przy kominku. W zapachu dymu wyczuwało się przyjemny ton żywicy.

Werner zaparzył kawę (parzył po włosku i to w wersji góralskiej: parę wyplutych przez maszynkę kropli czarnych jak smoła, po których człowiek czuje się pobudzony przez całe tygodnie) i usiadł. Wyjął z szafki popielniczkę i rzucił na mnie okiem.

Werner twierdził, że przestał palić w dniu, kiedy Herta urodziła Annelise. Jednakże po śmierci żony, może z nudów, a może (jak podejrzewałem) z tęsknoty za nią, wrócił do nałogu. Palił skrycie, bo gdyby Annelise zobaczyła go z papierosem, obdarłaby go żywcem ze skóry. Czułem trochę winy, bo sama moja obecność (i moje skrępowanie) pewnie zachęcała go do palenia, ale już w momencie, gdy pocierał zapałkę, uznałem, że jego nałóg jest mi na rękę. Nie ma nic lepszego niż wspólnie podzielana ochota na papierosa, kiedy dwaj mężczyźni chcą ze sobą po męsku porozmawiać, wicie?

Przybliżałem się ostrożnie. Najpierw powiedzieliśmy sobie trochę banałów. Pogoda, Clara, Annelise, Nowy Jork. Paliliśmy. Wypiliśmy kawę i po szklance wody źródlanej z Welshboden, żeby pozbyć się goryczy z ust.

I w końcu się odważyłem.

– Widziałem helikopter – powiedziałem. – Czerwony.

Werner przeszył mnie swoim przenikliwym spojrzeniem.

– I chcesz mnie spytać, jak wypadłby w telewizji, tak?

*Tak.*

Ten helikopter nie prześlizgnąłby się po ekranie telewizyjnym. Zawładnąłby nim doszczętnie.

Werner strząsnął popiół do popielniczki.

– Wpadłeś kiedyś na jakiś tak ważny pomysł, że zmieniłby całe twoje życie?

Przyszedł mi na myśl Mike.

Przyszła mi na myśl Annelise. I Clara.

– Gdybym nie wpadł, nie zjawiłbym się tutaj – tak mu odpowiedziałem.

– Ja byłem młodszy od ciebie, kiedy na coś takiego wpadłem. Mój pomysł nie wziął się z niczego, wziął się z żałoby. A to nic dobrego, kiedy pomysły wymusza żałoba, Jeremiaszu. Jednak tak się dzieje i nic na to nie można poradzić. Pomysły się pojawiają... i tyle. Potem albo gdzieś się podziewają, albo zapuszczają korzenie. Jak rośliny. I rosną, rosną, jak rośliny. Żyją własnym życiem. – Werner umilkł i przypatrywał się niedopałkowi, a po chwili wrzucił go do kominka. – Ile masz czasu, Jeremiaszu?

– Tyle, ile będę potrzebował – odpowiedziałem.

– *Nix*. Mylisz się. Możesz mieć tylko tyle czasu, ile ci go zostawią twoja żona i twoja córka. Mężczyzna musi po pierwsze myśleć o rodzinie. Zawsze.

– No tak – odpowiedziałem i chyba się zaczerwieniłem.

– W każdym razie możesz o tym wszystkim coś usłyszeć, jeśli chcesz. Widzisz to zdjęcie?

Wskazał na fotografię w ramce wiszącą pod krzyżem. Podszedł, przeciągnął po niej koniuszkami palców. Jak wielu górali, tak i on nie wszystkie zachował całe. W prawej ręce brakowało mu końcowej części palca małego i całego serdecznego.

Czarno-biała fotografia przedstawiała pięciu chłopaków. Pierwszym po prawej, tym z zawadiackim kosmykiem na czole, był Werner.

– Zrobili nam to zdjęcie w roku 1950. Miesiąca nie pamiętam. Za to dobrze pamiętam tamtych czterech. I pamiętam, jak często się śmialiśmy. Taki śmiech nie marnieje z latami tak łatwo jak cała reszta. Zapominasz o rocznicach, o datach urodzin. Zapominasz twarze. Szczęśliwie zapominasz także udręki, cierpienia. Ale śmiechu z tamtych lat, kiedy jeszcze nie jesteś mężczyzną, ale już na pewno nie jesteś dzieciakiem... nie tracisz, ten śmiech wciąż jest w tobie.

Chociaż miałem za sobą o wiele mniej wiosen niż Werner, rozumiałem, co chce mi powiedzieć. Zdawało mi się tylko, że jego pamięć bynajmniej nie zamierza zmarnieć. Werner należał do rasy górali wykutych z żelaza. Mimo jego siwych włosów i zmarszczek na twarzy nie potrafiłem widzieć w nim starego człowieka.

– Życie tutaj, w Siebenhoch, było ciężkie. Rano do szkoły, daleko od domu, na końcu doliny, a po południu, aż do nocy, wciąż z pochylonym grzbietem albo w polu, albo na pastwisku, albo w lesie, albo w oborze. Ja miałem szczęście, bo mój ojciec, dziadek Annelise, wyszedł bez szwanku z katastrofy w kopalni, ale inni chłopcy zostali sierotami, a dorastanie bez ojca w Południowym Tyrolu w tamtych czasach nie przypominało niedzielnej przechadzki.

– Mogę sobie to wyobrazić.

– Wyobrazić sobie pewnie możesz – odpowiedział mi Werner, nie odrywając oczu od fotografii. – Ale nie zaręczylbym, czy możesz to naprawdę zrozumieć. Wiesz co to głód?

Zdarzyło mi się kiedyś, że porwał mnie jakiś narkoman i przyłożył mi strzykawkę do gardła. Jednego z moich bliskich przyjaciół zabili nożem, kiedy wracał z koncertu w Madison Square Garden. Głodu jednak nigdy nie

zaznałem.

Nie odpowiedziałem mu w ten sposób.

– Byliśmy młodzi, beztroscy, czyli byliśmy szczęśliwi, jeśli rozumiesz, co chcę przez to powiedzieć. Najbardziej ze wszystkiego podobało się nam wspinanie po górach – powiedział tonem ni to melancholijnym, ni to ironicznym, który zaraz jednak porzucił. – Wtedy u nas alpinizm był dobry tylko dla dziwaków i marzycieli. Nie stał się jeszcze takim szanowanym sportem jak dziś. W jakimś sensie byliśmy jego pionierami, wiesz? Dopiero z czasem zmienił się w turystykę, a na turystyce zbija się dzisiaj pieniądze – stała się żyłą złota w całej Górnej Adydze.

To prawda. Wszędzie tu były hotele, restauracje i wyciągi ułatwiające dotarcie na szczyty. W zimie turyści tłoczyli się na trasach narciarskich, w lecie plątali się po lasach. Nie mogę ich za to ganić, bo ledwo zaczęła się odwilż i zrobiło się trochę cieplej, tylko jedno miałem w głowie: kupić sobie dobre buty i pod pretekstem, że Clara musi od czasu do czasu pooddychać czystym powietrzem, sprawdzić, czy chłopczek z Brooklynu może się mierzyć z miejscowymi góralami.

– Bez turystyki – ciągnął Werner – Górna Adyga byłaby ubogą prowincją zamieszkaną przez coraz starszych chłopów, a Siebenhoch nie byłoby już na mapie, mogę ci zaręczyć.

– Smutny koniec.

– Bardzo, ale to bardzo smutny. Ale wyszło inaczej... – Zamknął na chwilę oczy. – No cóż... Dla ludzi w tamtych czasach, zwłaszcza dla ludzi z tych stron, chodzenie w góry było tylko chodzeniem *do pracy* w górach. Prowadziło się krowy na pastwisko, wycinało drzewo na opał. Uprawiało się skrawek ziemi. To były góry. Ale dla nas to była rozrywka. Brakowało nam rozwagi. Zanadto. Wspinaliśmy się na wyścigi, wygrywał ten, kto pierwszy pokonał ścianę możliwie najbardziej pionową. Mierzyliśmy sobie czas wspinaczki, lekceważyliśmy niepokodę. A sprzęt, liny? – Werner trzepnął ręką po udzie. – To nie były liny, tylko powrozy z konopi. Wiesz, co to znaczy odpaść, kiedy ubezpieczasz się powrozem z konopi?

– Skądże, nie mam pojęcia.

– Konopie nie są elastyczne. Kiedy spadasz na linie dzisiejszej, takiej z nylonu czy z czegoś tam, to jest prawie jak zabawa. Lina się rozciąga i jakby pomniejsza twój ciężar. Przy powrozie nie masz na co liczyć. Dorabiasz się kalectwa, może na całe życie. Jak nie gorzej. A poza tym... Haki do wspinaczki, młotki, wszystko, co z metalu, robiło się własnoręcznie, u naszego kowala. A żelazo jest kruche, bardzo kruche, i zawsze było drogie.

Ale przecież nie mieliśmy kina, nie mieliśmy samochodów. I bez żalu ładowaliśmy cały zarobek w te nasze wspinaczki. – Werner przełknął ślinę. – I czuliśmy się nieśmiertelni.

– Ale oczywiście nie byliście.

– Nikt nie jest. Parę miesięcy po zrobieniu tego zdjęcia doszło do wypadku. Wspinaliśmy się we czterech. Na Croda dei Toni – jeszcze tam nie byłeś. W dialekcie z Belluno znaczy to „korona z grzmotów”, bo kiedy leje i biją pioruny, na szczycie masz takie widowisko, że skóra ci cierpnie. To jednak piękny szczyt. Tyle że śmierć bynajmniej nie jest tam mniej gorzka. Śmierć to śmierć, a cała reszta i tak się nie liczy.

Mogłem wyczytać z jego twarzy, że myślał o Hercie. Zmarła z tym potworem w mózgu, który ją pożerał. Zamilkł, więc uszanowałem jego milczenie i czekałem, aż będzie gotów podjąć swoją opowieść.

– Trzem z nas nie udało się wyjść z tego wyczynu z życiem. Ja ocalałem, bo miałem szczęście. A Josef umierał na moich rękach – mogłem tylko krzyczeć i wzywać pomocy. Ale nawet gdyby mnie ktoś usłyszał, to wiesz, ile kilometrów jest z tego miejsca do najbliższego szpitala? Dwadzieścia. Nie można go było uratować. Nie można było. Zaczekałem, aż śmierć się nad nim zlituje, pomodliłem się i zszedłem na dół. I to wtedy wpadłem na pewien pomysł. Czy raczej ten pomysł sam się we mnie pojawił. Po pogrzebie zebraliśmy się razem, dołączyło kilku innych i napiliśmy się za zmarłych. Tu u nas, jak pewnie już zauważyłeś, pije się na potęgę. Śpiewaliśmy, śmialiśmy się, płakaliśmy, przeklinaliśmy. W końcu, już o świcie, opowiedziałem o moim pomyśle wszystkim. I chociaż nikt się nie odezwał, to i tak zrozumiałem, co sobie myślą. Do pewnych rzeczy nie potrzeba słów. A dla całego świata i tak byliśmy tylko wariatami, co wciąż szukają guza. Nikt i tak nie mógłby i nie chciałby nam pomóc, gdybyśmy z tej przyczyny popadli w tarapaty.

– Chcieliście się ratować, a mogliście liczyć tylko na własne siły.

– Otóż to, Jeremiaszu. Dlatego założyliśmy Ratownictwo Alpejskie w Dolomitach. Nie mieliśmy pieniędzy, nie mieliśmy znajomych polityków, ale jakoś to poszło. – Werner obdarował mnie tym swoim uśmiechem, na który tylko Clara mogła u niego liczyć. – Jeden z nas, Stefan, zdobył podręcznik pierwszej pomocy. Naprzód sam się zapoznał ze wszystkim, a potem nas nauczył sztuczek reanimacji. Oddychania usta-usta, masażu serca. Dowiedzieliśmy się, jak zakładać usztywnienie na złamania, jak sobie radzić z urazami mózgu. Takie tam rzeczy. Ale to nam nie wystarczało. Zaczęli się już pokazywać pierwsi letnicy, jak wtedy się na nich mówiło,

przeważnie całkiem nieobcy z górami, z nieodpowiednim sprzętem, i dlatego trzeba było interweniować coraz częściej. Ciągłe na piechotę, bo pierwszą półciężarówkę kupiliśmy dopiero w sześćdziesiątym piątym, takie rozklekotane pudło, które mogło nas wywieźć tylko na pewną wysokość. Reszta musiała iść starym sposobem. Dźwiganie rannych na ramionach. Często dźwiganie zmarłych.

Próbowałem wyobrazić sobie taką scenę. Przeszedł mnie dreszcz, ale z przykrością zrozumiałem, że tego dreszczu nie budziła we mnie tylko tamta groza, ale także mój pomysł, bo i ja, jak kiedyś Werner, wpadłem na pewien pomysł.

– Dochodziliśmy, znajdowaliśmy zwłoki, odmawialiśmy modlitwę, a potem najstarszy wyciągał grappę albo koniak i butelka krążyła z rąk do rąk. A z kolei do najmłodszego należało zniesienie zmarłego na dół. Wracaliśmy do bazy. Tę bazę urządziliśmy w barze w Siebenhoch, bo tylko tam był telefon.

– Trudne lata – wyszeptalem.

– Powiem ci krótko, Jeremiaszu. Tutaj, w Siebenhoch, prawdziwa turystyka zaczęła się dopiero na początku lat dziewięćdziesiątych, kiedy Manfred Kagol otworzył Centrum Turystyczne, ale w innych dolinach już w latach osiemdziesiątych zabrali się do przyciągania turystów. Turyści przywożą pieniądze. A gdzie w grę wchodzi pieniądze, tam zaraz pojawiają się politycy, więc jeśli przy tym umiesz ruszyć głową, potrafisz dobrać się również do nich, jeśli tylko zechcesz.

Nie chciałem się znaleźć w skórze polityka, który próbowałby okpić Wenera Maira.

– No i dostaliśmy wsparcie. Ułożyliśmy się też z administracją i Czerwonym Krzyżem. Pod koniec lat siedemdziesiątych nawet wojsko poszło nam na rękę, wydało jakieś specjalne zarządzenie i mogliśmy liczyć na ich helikoptery. To był niesłychany postęp. Wcześniej z wypadków uchodziło z życiem około czterdziestu procent, a dzięki helikopterowi już sześćdziesiąt. Niezły wynik, nie wydaje ci się?

– Pewnie, że niezły.

– Ale nam i tego było mało. Po pierwsze – Werner zaczął wyliczać na palcach – chcieliśmy mieć helikopter do dyspozycji od rana do nocy, żeby nie zdawać się na dobrą wolę jakiegoś pułkownika. – Do kciuka dołączył palec wskazujący. – Chcieliśmy tę statystykę poprawić. Nie chcieliśmy *żadnych* ofiar śmiertelnych. Dlatego...

– Chcieliście mieć ze sobą lekarza.



– Właśnie. Helikopter pozwala dotrzeć szybciej, lekarz od razu jakoś sobie radzi z pacjentem. Ale własny helikopter udało się nam zdobyć dopiero w osiemdziesiątym trzecim. Prostą alouette, która była jak dwie zespane rury z silnikiem od kosiarki. Przenieśliśmy bazę stąd do Pontives, koło Ortisei, bo tam mogliśmy zbudować hangar, a przed nim mieć plac do lądowania. Stałego lekarza w helikopterze zyskaliśmy później, kiedy zabrałem się już z Hertą z Siebenhoch.

– Coś się stało?

Na twarzy Wenera pojawił się jakiś grymas.

– Miasteczko wymierało. Nie było jeszcze takiej turystyki jak teraz. Pomysł założenia Centrum Turystycznego dopiero rodził się w głowie Manfreda... Jak widzisz, ciągle rozmawiamy o jakichś pomysłach. A ja już miałem dziecko, które musiałem nakarmić.

– Mogłeś zostać i pracować jako ratownik.

– Pamiętasz, co ci powiedziałem, zanim zaczęliśmy tę gadaninę?

– No tak... – wydukałem niepewnie.

– Mężczyzna musi sobie ustalić, że ma tylko jeden priorytet. Własną rodzinę. Kiedy urodziła się Annelise, byłem, nie powiem: stary, ale jednak już nie byłem młodzieniaszkiem. Wprawdzie Herta była ode mnie młodsza o dwadzieścia lat i przywykła zostawać sama na noc, wiedząc, że ja właśnie w tym czasie pakuję się na jakiś szczyt, by pomóc niefortunnemu wspinaczowi, ale przecież pojawiło się dziecko i wszystko całkiem się zmieniło.

Tak, to doskonale rozumiałem.

– Przyjaciół znalazł mi pracę w drukarni w Cles, koło Trydentu, a wynieśliśmy się z Siebenhoch, gdy Annelise miała parę miesięcy. I dopiero gdy ukończyła gimnazjum, zdecydowaliśmy się tutaj wrócić. Wciąż nas na to namawiała. Przepadała za tą miejsciną. Bywała tu tylko w czasie wakacji, a mimo to czuła się z tym miejscem bardzo związana. No a cała reszta, jak to się w takich przypadkach mówi...

– ...to już historia.

Werner przyglądał mi się długo, w milczeniu.

Bo Werner nie patrzył. Werner *badł* człowieka. Widzieliście kiedyś, jak przygląda się czemuś drapieżny ptak? Podobnym wzrokiem przyglądał się Werner. Ludzie nazywają to charyzmą.

– Jeśli jesteś pewien, że chcesz zrobić to, co sobie obmyśliłeś, Jeremiaszu, to mogę zadzwonić do paru osób. Potem już sam musisz ich sobie zjednać.

Pomysł.

Wszystko już miałem w głowie. Montaż. *Voice over*. Wszystko. Taki *factual* jak *Road Crew*, ale umiejscowiony tutaj, w tych górach, z ekipą Ratownictwa Alpejskiego w Dolomitach. Wiedziałem, że Mike zapali się do tego pomysłu. Już wymyśliłem tytuł. Nazwiemy ten dokument *Mountain Angels* i sukces mamy pewny. Nie miałem wątpliwości.

*Czułem*, że tak będzie.

– Ale muszę cię przestrzec. Nie pójdzie tak łatwo, jak się spodziewasz, Jeremiaszu.

# Głos Bestii

## 1

Kilka dni później powiedziałem o wszystkim Annelise. Potem zatelefonowałem do Mike'a. Nie, Mike, to nie żart. Masz rację, jestem pieprzonym geniuszem. Zawsze o tym wiedziałem, ale i tak dzięki za dobre słowo.

Czwartego kwietnia Mike stawiał się w Siebenhoch. Miał na łbie futrzaną czapkę, a na szyi przewiązany szalik stosowny dla Harry'ego Pottera. Clara wykrzykiwała: „Wujek Mike! Wujek Mike!”, klaszcząc rytmicznie w dłonie, jak to robiła, kiedy była jeszcze ludzką drobiną, a mojego współnika wbijało to w dumę.

Szóstego kwietnia, podnieceni jak zawodnicy podczas Super Bowl, rozpoczęliśmy zdjęcia do *Mountain Angels* w Pontives, w Val Gardena, gdzie znajdowała się baza operacyjna Ratownictwa Alpejskiego w Dolomitach.

## 2

Bazą w Pontives był dwupiętrowy budynek otoczony zielenią. Nowoczesny, komfortowy, nadzwyczaj czysty i schludny.

Moses Ploner, który zajął miejsce Wenera na stanowisku kierownika Ratownictwa Alpejskiego w Dolomitach, oprowadził nas po wszystkich kątach i przedstawił całej ekipie. Ludziom, którzy uratowali życie setkom pechowców.

Nie ma co kryć – byliśmy onieśmieleni.

Wyczekiwaliśmy jak na rozżarzonych węglach aż do dziesiątej, kiedy w radiotelefonie zamiast chrobotania dał się słyszeć mocny głos:

„Papa Charlie do Ratownictwa Alpejskiego w Dolomitach”.

„Papa Charlie” znaczyło „punkt dowodzenia”.

– Tu Ratownictwo w Dolomitach, mów, Papa Charlie – odpowiedział Moses, pochylając się do mikrofonu.

„Mamy turystkę na zachodnim stoku Secedy. Obok schroniska Margheri. Odbiór”.

– Znakomicie, Papa Charlie, bez odbioru.

Kiedy zbliżał się dzień rozpoczęcia zdjęć, wyświetlał mi się w głowie film,

na którym faceci o kwadratowych szczękach, podobni do Navy Seals, miotali się na wszystkie strony jak kulka we flipperze, huczał alarm, migotało czerwone światło i słycać było rubaszne pokrzykiwania, na przykład: „Szybciej panienki, ruszcie dupy!”.

Tymczasem ani śladu podniecenia.

Szybko zrozumiałem dlaczego. Góry są ostatnim miejscem, gdzie jeszcze przestrzega się różnicy między wiarygodnym autorytetem a władzą.

W każdym razie tamtego szóstego kwietnia nie miałbym nawet kiedy poczuć się zawiedziony. Moses Ploner odwrócił się w stronę Mike'a (ale tak powoli, że to było niemal irytujące).

– Chcesz się zabrać?

Mike bez pośpiechu wstał z krzesła. Bez pośpiechu zarzucił sobie kamerę Sony na ramię. Popatrzył na mnie wystraszony i wszedł do EC135, którego silnik hałasował już chyba o oktawę głośniej. Podszedłem do bramy hangaru i od razu pchnął mnie podmuch śmigła helikoptera. Odrzuciło mnie do tyłu, a potem w mgnieniu oka czerwony EC135 zniknął mi z oczu.

Wrócili po dwu kwadransach. Rutynowa akcja Ratownictwa Alpejskiego w Dolomitach. Helikopter doleciał na miejsce wypadku, lekarz zajął się urazem (zwichnięcie stopy), poszkodowany został umieszczony w śmigłowcu i odtransportowany do szpitala w Bolzano, po czym EC135 wystartował i w drodze powrotnej Mike przeszedł należny mu lotniczy chrzest bojowy.

– Bawiliśmy się z Mikiem w Luftwaffe... – zakpił Christoph, lekarz pokładowy, pokazując mi woreczek pełen wymiocin mego współnika, który był bładny jak płótno i od razu pobiegł do toalety.

Witamy w Ratownictwie Alpejskim w Dolomitach.

### 3

Następne dwa miesiące pędzą mi w pamięci jak film puszczone w przyspieszonym tempie. Zwłaszcza twarze rannych nakładają się na siebie.

Helikopter, który startuje przy widoczności niemal równej zeru, i wymiana żartobliwych uszczypliwości między Mikiem a Ismaelem, pilotem EC135 (Ismael był bratem Mosesa – widocznie mama i tata Plonerowie wielbili Biblię): „Nie wydawało ci się kiedyś, że do startu potrzeba dwustu metrów widoczności?”. „Ale dziś mamy dwieście metrów widoczności. Kiedy zamykam oczy, wydaje mi się, że mamy nawet trzysta”.

Strach we wzroku chłopca sparaliżowanego napadem paniki. Cierpienie pasterza z nogą zgruchotaną przez spadające odłamki skały. Turysta, który

prawie zamarzał. Małżeństwo zagubione we mgle. Nieskończona liczba złamanych kości, zwichniętych bioder, przemieszczonych stawów. Krew, pot. Wiele łez, mało wdzięczności. Mike, który śpi w nocy tylko cztery godziny, zmęczony adrenaliną. Informacje przez radiotelefon, które sprawiają, że żołądek podchodzi do gardła. Mike pogryziony przez trzynaście odmian komarów. Moje wtajemniczenie: zostałem okręcony taśmami jak mumia i wstawiony do komory próżniowej, żebym się zapoznał z klaustrofobią. Mike kręcący w milczeniu głową i dający mi znać, że nie należy teraz robić wywiadu, bo nie czas na to. Zapotrzebowanie na „nagłą pomoc duchową”, niedające ci spokoju w dzień i w nocy.

I oczywiście zasady.

Ratownicy z Ratownictwa Alpejskiego w Dolomitach mieli jednego proroka (Mosesa Plonera), ognisty wóz pozwalający dotrzeć do Królestwa Niebieskiego (EC135) i co najmniej dwa tysiące zasad przekazywanych z ust do ust. Trudno było za nimi nadążyć. Pojawiały się jak grzyby po deszczu.

Zasada Posiłku była pewnie najbardziej ekscentryczna (i skądinąd niepokojąca). Nieważne, czy jest siódma rano, czy czwarta po południu, bo i tak w chwili, gdy siada się do stołu, zadzwoni alarm i ekipa musi się zerwać i ruszyć do akcji. Za pierwszym razem pomyślałem, że to zwykły zbieg okoliczności. Za drugim, że to żart ze strony losu. Od dziesiątego razu poczynając, zacząłem już dochodzić do Boga i powszechnej entropii. Po dwu miesiącach zdjęć przestałem na to zwracać uwagę.

Tak się działo – i tyle. Po co się nad tym głowić?

Ponieważ jako autor filmu nie brałem bezpośredniego udziału w akcjach (zgodnie z nieśmiertelną regułą Mike’a McMellana: „Ty masz tylko wymyślać jakieś pieprzone sztuczki przy opowiadaniu tych rzeczy, a o resztę i tak zadba sony”), Zasada Posiłku odkryła przede mną swoje niespodziewane zalety. Odzywał się sygnał alarmu, zespół zbiegał do hangaru, helikopter startował, a ja zjadałem lody lub ciastko któregoś z ratowników, siedząc na fotelu nasłuchu radiotelefonicznego. Z winy długopisu tyje się bardziej niż z winy kamery.

I tak trwało aż do obiadu piętnastego września.

#### 4

Mike od kilku dni wyglądał na zmęczonego. Był blady, wciąż spięty.

Pierwsza akcja tego dnia poszła gładko. Pogoda była znośna, a turyście z Mediolanu nic poważnego się nie stało, trochę się przestraszył, ale potem

był już szczerze przekonany, że helikopter ratownictwa jest po prostu taksówką, która go zabierze na dół. Druga akcja była powtórką pierwszej, tyle że zamiast lecieć na Corno Bianco, polecili aż na Sasso Lungo.

Kiedy Mike wrócił z tej drugiej akcji, zauważyłem, że ledwie trzyma się na nogach. Zmienił baterie w kamerze (to była *nasza* zasada) i od razu opadł na krzesło. Po paru minutach spał, przyciskając sony do piersi.

Około pierwszej Moses wspólnie z naszymi niepokojącymi się już żołądkami zdecydował, że czas najwyższy rzucić wyzwanie Zasadzie Pożywienia. Duszone mięso. Ziemniaki. Strudel. Strudla nie udawało się nam zjeść nigdy. Szkoda, bo naprawdę wyglądał apetycznie.

Alarm odezwał się, ledwie zaczęliśmy nakładać jedzenie na talerze. Mike wstał, chwycił kamerę i od razu usiadł z powrotem, z trudem łapiąc powietrze.

Tyle wystarczyło, żeby Christoph postawił diagnozę i wydał polecenie:

– Aspiryna, ciepły koc, cienki rosołek, jaki robiła babcia, i dobranoc.

Mike zaprzeczył ruchem głowy i znowu wstał.

– Czuję się dobrze, *no problem*.

Nie zdążył zarzucić sobie kamery na plecy, kiedy Moses objął go i zatrzymał.

– Nie polecisz, Mike. Poślij tego drugiego, jeśli chcesz. W tym stanie nie wejdiesz do helikoptera.

Tym drugim byłem oczywiście ja.

Wygłosiwszy swoje, Moses odwrócił się i ruszył na schody.

Przez moment patrzyliśmy z Mikiem na siebie.

Chciałem mu się wydać niezawodny.

– Dawaj sony, współniku, a kiedyś dzięki mnie dostaniesz Oscara.

– Oscary dają za filmy – wymamrotał Mike. – A my lepimy tylko programy telewizyjne, Salinger.

Z oporem podał mi kamerę. Trochę ważyła.

– Zawsze trzymaj palec na *rec*.

– Amen.

– Idziesz? – zawołał ze schodów Christoph.

Nigdy dotąd nie wsiadałem do EC135. Miejsce przeznaczone dla Mike'a było ciasniutkie. EC135 nie jest jak te kolosy transportowe, które widzi się na filmach – to tylko mały helikopter, sprawny i szybki. Najlepszy środek lokomocji do udzielania pomocy w akcjach na szczytach Dolomitów, ale okropnie niewygodny do kręcenia filmu.

Kiedy Ismael dodał gazu, żołądek podszedł mi do gardła. Nie tyle, jak

sądzę, na skutek nagłego wyrwania się do góry. Możecie nawet myśleć, że to był strach. Wpatrywałem się w różne obiekty za oknem – nic nie pomagało. Widziałem, jak znika baza w Pontives, parę razy przełykałem, żeby nie wymiotować. Manny, ratownik siedzący obok mnie, ścisnął mi rękę. Dłoń miał wielką jak bochen. Taki gest człowieka zżytego z górami oznacza: spokojnie. Nie uwierzycie – poskutkowało.

– Nie czułem strachu. Patrzyłem na niego. Na jasne niebo.

– O Boże, jakie piękne.

– Christoph mrugnął do mnie, dał mi znak, żebym założył słuchawki.

– Jak ci tu, Salinger?

– Wspaniale.

– Chciałem coś dodać, ale usłyszałem głos Mojżesza.

– Ratownictwo Alpejskie w Dolomitach do Papy Charliego – wychrypiął do telefonu. – Macie nam coś do powiedzenia?

– Zacząłem wreszcie kręcić, mając nadzieję, że wynik tych poczynań przy mojej marnej wprawie nie spowoduje u Mike'a wysypki, kiedy po powrocie będzie oglądał, co nagrałem. Potrafił być paskudnym pogromcą, kiedy się postarał.

– „Tu Papa Charlie. Turystka niemiecka na Ortles – odpowiedział głos z centrali sto osiemnaście. – Wpadła w rozpadlinę na wysokości trzech tysięcy dwustu metrów. Na Schückrinne”.

– Odebrałem, Papa Charlie. Będziemy tam za...

– ...siedem minut – powiedział Ismael.

– ...siedem minut. Bez odbioru.

– Moses odłożył radiotelefon, odwrócił się w moją stronę. Podniosłem kamerę i postarałem się zrobić mu przyzwoity portret.

– Widziałeś Ortles? – spytał mnie zniemacka.

– Tylko na zdjęciach.

– Moses pokiwał głową jakby sam do siebie.

– To będzie piękna akcja, zobaczysz.

– Co to takiego Schückrinne? – spytałem Christopha.

– Na szczyt Ortles wchodzi się różnymi drogami – odpowiedział zasepiony lekarz. – Najprostsza to „zwykła północna”. Tylko trzeba mieć trochę doświadczenia, na Ortles nie ma żartów. Ale przecież nie idzie się na lodowiec, kiedy nie ma się doświadczenia, prawda?

– Kiedyś wyciągaliśmy z rozpadliny jakiegoś osobnika kompletnie pijanego – wtrącił wesoło Ismael.

– Pijanego?

– Na trzech tysiącach metrów – odpowiedział, śmiejąc się – ludzie stają się dziwni, no nie?

Mogłem tylko przyznać mu rację.

A Christoph wrócił do przerwanych wyjaśnień.

– Schückerinne to najgorsza droga. Skała tam krucha, stromizny na pięćdziesiąt pięć stopni i lód... a z lodem nie jest łatwo, nigdy nie wiesz, kiedy zaczniesz żartować. To pułapka nawet dla doświadczonego alpinisty. Papa Charlie powiedział, że turystka wpadła do rozpadliny. Kiepska sprawa.

– Dlaczego?

– Dlatego że mogła sobie złamać nogę. Albo obie nogi. A może i staw biodrowy. Niewykluczone, że uderzyła o coś głową. A w dodatku na dnie rozpadliny lód jest obrzydliwy, wymieszany z wodą. To jakbyś... – Christoph szukał stosownego porównania –...jakbyś wpadł do szklanki mrożonej granity.

– W rzeczy samej, będzie zabawnie – powiedział Ismael, prezentując kamerze jeden z tych swoich niezrównanych uśmiechów porzuconego szczeniaka i złośliwego wyrostka w jednym.

Jeszcze jedna zasada ratowników: nie ma rzeczy trudnych. Nigdy. Dlatego że, jak mawiał Moses Ploner, „trudne jest tylko to, czego nie umiesz zrobić”. Czyli: jeśli coś jest trudne, to siedź w domu.

Pomyślałem, że niemiecka turystka postąpiłaby słusznie, gdyby się zastosowała do zasady Mojżesza. Nie przyszło mi do głowy, że ja także powinienem się zastosować do tej piekielnej zasady.

Siedem minut później EC135 unosił się już nad białym szczytem Ortles. Nigdy wcześniej nie widziałem lodowca i wydał mi się wspaniały.

Szybko zmieniłem zdanie.

Gdy Moses otworzył drzwiczki, przeciągnął po mnie zimny powiew.

– To tutaj.

Chciałem sfilmować to miejsce, które wskazywał kierownik Ratownictwa Alpejskiego w Dolomitach.

– Widzisz tę rozpadlinę? Tam nam się wpakowała turystka.

Nie miałem pojęcia, jak Moses może być tak niezawodnie pewien, że znaleźliśmy się nad tą rozpadliną, co trzeba. W pobliżu były jeszcze co najmniej trzy czy cztery inne.

EC135 wibrował jak mikser. Zszedł niżej o jakieś sto metrów, zanim sony zdążyła złapać to miejsce, które Moses wypatrzył wcześniej niż ja. Linia śladów na śniegu, która z nagłą się urywała.

EC135 zawisł w miejscu.



– Nie lądujemy, chłopaki, to niemożliwe – powiedział Ismael.  
Zdziwiłem się.

Ismael nie był pilotem. Był świętym patronem wszystkich pilotów helikopterów. Na ujęciach Mike'a widziałem, jak helikopter ląduje („parkuje” – tak mówił Ismael) na platformach niewiele większych od jabłka, jak surfuje w powiewach wiatru, które zwałyby na ziemię nawet Czerwonego Barona, i jak podchodzi do skały tak blisko, że śmigło w każdej chwili może o nią zahaczyć. Ismaela jednak nigdy nie opuszczał nastrój osiołka Lucignola z *Pinokia*. Tak było zawsze. A teraz Ismael był niespokojny.

*Ho, ho.*

– Manny? Zjedziesz na wciągarcie. Znajdziesz turystkę, przypniesz i od razu pošlesz w górę. Nikt nie schodzi. Przy takim paskudnym cieple. I przy takim wietrze...

Nie rozumiałem, o co chodzi. Byliśmy na lodowcu, tak? A lód jest zimny, nie ciepły, chyba się nie mylę? Co to za zagadka: „takie paskudne ciepło”? I o co chodzi z tym wiatrem?

To nie była dobra chwila, żeby zadawać pytania. Manny już się przypiął do wciągarki.

Popatrzyłem na niego i nagle serce zaczęło mi bić jak dzwon. EC135 wciąż stał w miejscu między dwoma skałami nad lodową rozpadliną, a ja wyrzuciłem z siebie słowa, które miały zmienić bieg mojego życia.

– Mogę zejść z tobą?

Manny z progu helikoptera dawał już Mosesowi znak, trzymając linę kołowrotu prawą ręką, na którą włożył skórzaną rękawiczkę.

– Co mówisz?

– Mogę zejść z Mannym? Wszystko nakręcę.

– Trzech osób nie da się wciągnąć. Za bardzo wieje – powiedział Ismael. – A też to ciepło...

Do diabła z ciepłem.

Do diabła ze wszystkim. Chciałem zejść.

– Zaczekam na dole. Manny wciągnie turystkę, a potem zjedzie po mnie.

Prosta sprawa, prawda?

Moses był niezdecydowany. Manny się uśmiechał.

– Na mój rozum da się tak zrobić – rzucił.

Moses przyjrzał mi się.

– Okej – powiedział niechętnie. – Tylko się pospieszcie.

Wstałem z mojego miejsca (to już nie było miejsce Mike'a, teraz było m o j e). Christoph podał mi uprząż, włożyłem ją, spałem się z Mannym.

Staliśmy w drzwiczkach, wysunęliśmy stopy za próg. Christoph uniósł kciuk. Manny klepnął mnie w kask.

Raz, dwa, trzy.

Połknęła nas próżnia.

Bałem się. Nie bałem się. Byłem przerażony. Wcale nie byłem przerażony.

Na pewno nigdy nie czułem aż tak mocno, że żyję.

– Dziesięć metrów... – usłyszałem, jak liczy Manny.

Popatrzyłem w dół.

W rozpadlinie było zbyt ciemno, żebym cokolwiek dostrzegł. Wycelowałem jednak w nią obiektyw i zacząłem kręcić.

– Jeszcze metr.

Manny stanął na skraju przepaści.

– Stop.

Kołowrót przestał luzować linę.

Manny zaświecił latarką na kasku. Snop światła wbił się w ciemność. Zobaczyliśmy ją od razu. Kobieta miała na sobie pomarańczową, odbłaskową kurtkę. Opierała się o ścianę lodową. Podniosła rękę.

– Mamy ze trzydzieści metrów, Moses – powiedział Manny. – Schodzimy, luzujcie. Powoli.

Kołowrót zaczął się obracać.

Lśniąca powierzchnia Ortles zniknęła mi z oczu, jakbym nagle oślepl, ale Manny czuwał nad wszystkim. Kilkakrotnie zamykałem i otwierałem oczy, by przywyknąć do ciemności.

– Pięć metrów – informował Manny. – Trzy.

Na dnie była jakaś osobliwa świetlistość. Promienie słoneczne docierały tu setkami nikłych odbłasków, które zakłócały widzenie mnóstwem tęczyowych lśnień i iskrzeniem.

Na dnie rozpadliny, szerokim na dwa i pół metra, stała woda. A w wodzie, jak mówił Christoph, rzeczywiście pływały kawałki lodu. Było naprawdę tak, jakbyśmy zeszli do szklanki granity.

– Stop.

Manny odpiął od liny swoją uprząż, potem moją.

Stałem w zimnej wodzie, która sięgała mi do kolan.

– Pani jest sama?

Kobieta chyba nie zrozumiała pytania.

– Noga – wybełkotała.

– Jest w szoku – wyjaśnił Manny. – Przesuń się trochę dalej, proszę. Jakoś sobie poradzimy.

Oparłem plecy o lodową ścianę. Oddech zmieniał się w drobne obłoczki pary. Miałem nadzieję, że nie popsują mi zdjęć.

Turystka popatrzyła na Manny'ego, potem na swoją nogę.

– Boli.

– Widzi pani helikopter? Mamy lekarza, da pani solidny zastrzyk przeciwbólowy.

Manny przypiął się do wyciągarki, przyciągnął linę, połączył ją z uprzężą, którą założył kobiecie.

– Jedziemy, Moses.

Kołowrót uniósł ich oboje.

Kobieta krzyknęła ile sił w piersiach. W porę się zorientowałem, by nie zasłonić sobie odruchowo uszu. Gdybym to zrobił, kamera wpadłaby do wody, a Mike by mnie zabił.

Zabijałby powoli, żeby bardzo bolało.

Wciągarka spisywała się bez zarzutu. Lina nade mną tworzyła prostą kreskę, jakby ją ktoś narysował na niebie.

Widziałem, jak Manny i kobieta przesuwają się coraz wyżej i na koniec wydostają się z rozpadliny.

Zostałem sam.

## 5

Co uchwyciła wtedy sony?

Ściany rozpadliny. Refleksy przechodzące w absolutną ciemność. Snop światła z kamery, który skakał po ścianach, czasami jak na zwolnionym filmie, czasami jak w histerii. Kawałki lodu pływające w wodzie przy moich nogach. I odbicia mojej twarzy w lodowej ścianie. Miałem twarz uśmiechniętą, potem skupioną, a na niej wciąż minę osoby, która chce podsłuchać jakąś rozmowę. Aż w końcu była to twarz roztrzęsiona, z oczami zwierzęcia w pułapce, z ustami pociemniałymi od zimna, odsłaniająca zęby w jakimś szyderczym uśmiechu, którego u siebie nie znałem. Była jak maski zdejmowane średniowiecznym zmarłym.

A w tle tego obrazu słychać było odgłosy Ortles. Skrzypienie lodu. Szmer całego masywu skalnego, który poruszał się jak dwieście tysięcy lat temu.

Głos Bestii.

Manny, który wrócił po mnie, był zaniepokojony. Wiele razy wołał mnie po nazwisku.

Krzyk Boga, który zagarniał Manny'ego.

Upływanie sekund, które traciło sens. Przemózna świadomość, że czas w lodowcu nie jest czasem dla człowieka. To czas inny, wrogi.

I ciemność.

Zatonąłem w ciemności, która pochłonęła cały świat. Dryfowałem przez najgłębsze odmęty. Sama bezkresna, nieskończenie wieczna noc w widmowej bieli.

Cztery litery: „mrok”. Cztery litery: „mróz”.

I w końcu ratunek.

Za ciepło, powiedział Moses. To „za ciepło” miało znaczyć „lawina”. Krzyk Boga. I lawina pochłonęła Manny’ego. A razem z Mannym, za pośrednictwem liny wciągarki, Bestia porwała EC135, zderzyła go ze skałą, zgmiotła, jak zgniata się dokuczliwego owada. Dlaczego Moses w takiej chwili nie odciął liny od kołowrotu? Gdyby odciął, lawina porwałaby Manny’ego, ale nie zdołałaby pociągnąć za sobą helikoptera. Zadawali sobie to pytanie karabinierzy, zadawali je dziennikarze. Ale nie zadawali sobie takiego pytania ratownicy. Bo wiedzieli. Wszystko ujmuje zasada.

Liny wciągarki nie odcina się nigdy, ponieważ w górach nie można zostawiać nikogo. Dla żadnych racji. Tak już jest i tak musi być.

Nic nie zostało po Mosesie, Ismaelu, Mannym, Christophe i po turystce. Impet lawiny, która oderwała się z powodu wysokiej temperatury i wiatru, zmiotł ich doszczętnie, nie udało się odszukać ich ciał. EC135 zmienił się w zgnieciony wrak zepchnięty w stronę doliny.

Wypadek na Ortles nie oznaczał jednak końca działalności Ratownictwa Alpejskiego w Dolomitach ani nie oznaczał końca mego losu.

Jak już wam mówiłem: to było sześć liter.

„Prolog”.

# Dwieście osiemdziesiąt milionów lat temu

## 1

Z ciałem nie było kłopotu: uległe poddało się leczeniu. Spędziłem w szpitalu niecały tydzień. Parę szwów, seria kroplówek dla zażegnania początków hipotermii i nic więcej. Ale gorzej byłem poraniony w środku i to pozostało. ZSP – taki skrót widniał na mojej karcie choroby. Zespół stresu pourazowego.

Lekarz ze szpitala San Maurizio w Bolzano, zanim pożegnał się ze mną uściskiem ręki i słowami: „Proszę o siebie dbać”, przepisał mi leki psychotropowe i środek nasenny, zalecając regularne zażywanie. Nie mógł wykluczyć (patrzył mi przy tym wymownie w oczy), że w pierwszym okresie kuracji pojawią się u mnie koszmary i sporadyczne ataki paniki połączone z przebłyskami wspomnień, jak u weteranów wojennych na filmach.

Sporadyczne ataki paniki?

Zdarzały się chwile, w których głos Bestii (przebłycki wspomnień były u mnie słuchowe, nigdy dzięki Bogu nie cierpiałem na halucynacje) wdzierał mi się do głowy tak mocno, że rzucałem się na ziemię i szlochałem jak dziecko. Mimo to obiecałem sobie, że nie tknę psychotropów, a coś na sen będę zażywał tylko w ostateczności. Pierwszy lepszy psycholog łatwo poznał, czego w istocie zamierzałem się trzymać. Tego, by cierpieć. A chciałem cierpieć, dlatego że to przecierpieć musiałem. Co? To, że ponosiłem najgorszą winę z możliwych.

Przeżyłem.

Zasłużyłem na karę.

Dopiero z czasem zrozumiałem, że w gruncie rzeczy nie karałem jedynie siebie. Krzywdziłem także Annelise, która w ciągu kilku dni postarzała się o parę lat, która płakała, widząc, jak ogłupiały płacząc się po domu. Jeszcze bardziej krzywdziłem Clare. Stała się milcząca, całymi godzinami nie wychodziła ze swojego pokoju obłożona ilustrowanymi książeczkami i zatopiona Bóg wie w jakich myślach. Jadła mało i miała podkrążone oczy, jakich nie powinno mieć żadne dziecko.

Annelise i Werner starali się mi pomóc na wszelkie sposoby. Werner wyciągał mnie na papierosa za dom albo brał do jeepa i gdzieś wiózł, żebym poddychał innym powietrzem. Annelise podsuwała mi najlepsze smakołyki, plotki z miasteczka, moje ulubione DVD, a nawet najbardziej wymyślną

bieliznę na sobie, jaką tylko mogła znaleźć w miejscowych sklepach. Jej starania, żeby poprzez seks przywrócić mnie do życia, okazały się upokarzające dla nas obojga.

Siedziałem apatyczny w ulubionym fotelu i patrzyłem, jak drzewa za oknem coraz mocniej czerwienieją, a niebo nabiera typowego dla tamtejszych stron jesiennego koloru w tonacji granatu i fioletu. Pod wieczór wstawałem z fotela i kładłem się spać. Nie jadłem, nie piłem i robiłem wszystko, żeby nie myśleć. Podrywałem się na najdrobniejszy hałas. Wciąż słyszałem tamte odgłosy. Tamto przeklęte syczenie. Głos Bestii.

Jeżeli dni były okropne, noce zdawały się jeszcze gorsze. Budziłem się z przeraźliwym krzykiem i byłem przekonany, że to, co dzieje się po piętnastym września, jest wynikiem jakiejś pomyłki. Jakby świat rozłamał się na dwoje. Jedna jego część, ta niewłaściwa, którą nazywałem światem A, szła dalej przed siebie, jakby nic się nie stało, natomiast część słuszna, świat B, przestała istnieć piętnastego września o czternastej dwadzieścia dwie, zostawiając po sobie tylko nekrolog Jeremiasza Salingera.

Pamiętam dzień, kiedy przyjechał zobaczyć się ze mną Mike. Był blady, miał zaczerwienione oczy. Wyjaśnił mi, jakie ma plany, i trochę o tym porozmawialiśmy. Sieć telewizyjna zrezygnowała z *Mountain Angels*, ale zgodziła się na wykorzystanie całego nakręconego materiału do filmu dokumentalnego o Ratownictwie Alpejskim w Dolomitach i o tym, co zdarzyło się w rozpadlinie na Ortles. Mój współnik już nawet wymyślił tytuł: *W brzuchu Bestii*. Tytuł w złym guście, ale trafny. Udzieliłem mu błogosławieństwa, a na koniec, odprowadzając go do drzwi, rzuciłem: „Zegnaj”.

Mike wziął to za żart, ale ja mówiłem poważnie. Batman i Robin naradzali się naprawdę po raz ostatni. Wpakowałem się w jakiś *loop*, w jakieś piekielne zapętlenie, i miałem przekonanie, że mogę się z niego wydostać tylko na dwa sposoby. Mogę wybuchnąć rozpaczą albo rzucić się z jakiejś skały. Wybuchnąć rozpaczą znaczyło jednak skrzywdzić Annelise i Clarę. Mowy nie ma. Ale skoro byłem dzielnym idiotą zdanym na swój zraniony egoizm, to druga możliwość wydała mi się mniej dotkliwa. Potrafiłem sobie nawet wyobrazić, gdzie to nastąpi i kiedy.

Zatem zegnaj, współniku. Zegnajcie wszyscy.

A potem, w połowie października, przyszła do mnie Clara.

Tkwiłem w fotelu i kontemplowałem nieskończoność ze szklanką wody, już cieplej, w prawej ręce i z pustym, zgniecionym opakowaniem papierosów w lewej, kiedy Clara usiadła mi na kolanach, przyciskając do siebie książeczkę, jak zawsze, gdy chciała, żebym jej przeczytał jakąś historyjkę.

Nie było mi łatwo przyglądać się z bliska jej buzi.

– Cześć, malutka.

– Cześć, pięć liter.

To była ulubiona zabawa Clary: zabawa w liczby i litery. Zmusiłem się do uśmiechu.

– Ze zdrobnieniem? – spytałem.

– Ze zdrobnieniem.

– „Tatuś” – powiedziałem, dziwiąc się, jakie to nieprawdopodobne, że jeszcze można mnie tak nazywać. – Co tam masz?

– Dziesięć liter.

– „Książeczkę”?

Clara zaprzeczyła ruchem głowy, a jej włosy zmieniły się przy tym w jasny obłok. Dotarł do mnie zapach szamponu i poczułem, że w mojej piersi coś się dzieje.

Przyплыw ciepła.

Jak odległe światło podczas śnieżnej zimy.

– Pomyłka – powiedziała rezolutnie.

– Jesteś pewna, że to nie jest „książeczka”?

– To „przewodnik”.

Policzyłem na palcach. Dziesięć liter. Miała rację.

Uśmiechnąłem się niemal naturalnie. Clara przycisnęła palec do ust – ten gest odziedziczyła po matce.

– Na termometrze napisane jest siedemnaście stopni. Siedemnaście stopni o tej porze roku to chyba nie jest zimno, prawda, pięć liter ze zdrobnieniem?

– Tak, to wcale nie jest zimno.

– Mama mi powiedziała, że stłukłeś sobie głowę. Coś w głowie – poprawiła się – i dlatego ciągle jesteś smutny. Ale w nogi nic ci się nie stało, prawda?

Tak to rzeczywiście wyglądało: tatuś coś sobie stłukł w głowie i dlatego posmutniał.

Zacząłem ją huścić na kolanach. Taka zabawa już wkrótce zacznie ją nudzić, a za parę lat będzie wprawiać w zakłopotanie. Czas płynął szybko, moja córka rosła, a ja marnowałem całe dni na przyglądanie się, jak z drzew spadają liście.

– Nogi w porządku, osiem liter.

Clara zmarszczyła czoło i zaczęła liczyć na palcach.

– „Malutka” to siedem liter.

– „Córeczka” to osiem. Wygrałem, córeczko.

Clara popatrzyła na mnie spođe łba (nie lubiła przegrywać), ale zaraz otworzyła przewodnik, który wciąż trzymała w ręku. Zauważyłem, że coś w nim pozaznaczała pięknymi zakładkami.

– Mama zrobi nam kanapki, weźmiemy ze sobą wodę, ale niedużo, bo strasznie nie lubię siusiać w lesie – wyjaśniła szeptem. – Boję się pajaków.

– Pajaki – powiedziałem, niemal dusząc się z rozczulenia. – Buee.

– Tak, buee. Ruszymy stąd – wbiła palec w mapę – i pójdziemy tutaj. Tam jest jeziorko. Może już zamarzło.

– Może...

– To zobaczymy zamrożone ryby?

– Może jakąś zobaczymy.

– A potem wrócimy do domu. I będziesz mógł sobie patrzeć na łąkę. Czy łąka jest ciekawa, tatusiu?

Objąłem ją. Uścisnąłem bardzo mocno.

Sześć liter: „gorąco”.

### 3

Tak zaczęły się nasze wycieczki. Co wieczór Clara siadała mi na kolanach z przewodnikiem w ręku i wybieraliśmy sobie trasę.

Jesień była jak łagodna pieszczota i te wycieczki, a zwłaszcza towarzystwo Clary i jej paplanie, którym mnie zalewała, działały lepiej, niż mogłyby zadziałać jakiegokolwiek psychotropu.

Koszmary jeszcze mnie nachodziły, czasami paraliżowało mnie tamto syczenie, ale zdarzało się to już naprawdę sporadycznie. Zdobyłem się nawet na wysłanie mailem odpowiedzi na pytania Mike’a, który siedział w Nowym Jorku i montował *W brzuchu Bestii*. Chociaż nie zgodziłem się obejrzeć nawet najmniejszego fragmentu filmu, chętnie przekazywałem mu różne rady. Czuję, że ozywam. Chciałem wyzdrowieć. Świat B, ten, w którym byłem zmarłym, już mnie nie pociągał. Nie był prawdziwy. Czy to mi się podobało, czy nie, przeżyłem.

Trzeba było pięcioletniej dziewczynki z jasnymi włosami, żebym to zrozumiał.

### 4



Gdzieś pod koniec października Clara usiadła mi jak zwykle na kolanach, ale zamiast otworzyć przewodnik, tylko popatrzyła na mnie tymi swoimi oczami wielkimi i poważnymi.

– Chciałabym odwiedzić pewną osobę.

Teatralnym gestem zwróciłem się do Annelise siedzącej na kanapie z książką w ręku i długimi, szczupłymi nogami podciągniętymi pod siebie. Spytałem:

– Jest coś, o czym niżej podpisany powinien się dowiedzieć?

– W jakiej sprawie?

– W sprawie, o której szanujący się ojciec powinien wiedzieć.

Rozległ się śmiech Clary, którą rozbawiła podniosła intonacja, z jaką wygłosiłem to objaśnienie. Tę intonację nazywałem „angielskim majordomusem Charliem”. Clara odziedziczyła taki śmiech po matce, co bezsprzecznie świadczyło o inteligencji odziedziczonej po matce.

– Uściślę zatem. Nasza pierworodna, obecna tu Clara Salinger, pięcioletnia, co pragnę podkreślić: już pięcioletnia, wyraziła przed chwilą życzenie udania się z wizytą do wiadomej tylko jej osoby. Sądysz, że w grę wchodzi tu syn Martina, Roberto?

– Leży w łóżku, ma szkarlatynę.

– Może zatem wyrażając się „osoba”, co jest określeniem ogólnym, czyli nieściśłym, nasza córeczka miała na myśli Elisabeth? Tę milutką, uprzejmą dziewczynkę, która swego czasu bez namysłu zwymiotowała na spodnie niżej podpisanego?

Annelise zamknęła książkę, bo już nie była w stanie zachować powagi.

– Obawiam się, że Clarze i Elisabeth przydarzyła się jakaś drobna utarczka.

– Przestańcie – wybuchła Clara. – Nie lubię, kiedy sobie ze mnie żartujecie.

Widząc na jej buzi najszczerze rozgoryczenie, zaczęliśmy się zaśmiewać.

– Wybacz, skarbie. To dlatego, że... chyba się nie przesłyszałem? Chcesz odwiedzić pewną osobę. Któż to taki?

– Przyjaciel.

– Przyjaciel?

– Nazywa się Yodi.

– Cóż to za imię: Yodi? – spytałem zakłopotany.

– Yodi jest bardzo uprzejmy. Jest *ogromnie* stary – wyszeptała – ale nie mów tego głośno. Yodi jest taki sam jak dziadek, nie podoba mu się słowo „stary”.

– Pięć bardzo drażliwych liter: „stary”.

– Co znaczy „drażliwy”?

Odpowiedziała jej Annelise:

– Drażliwy to ktoś, kto troszeczkę się obraża. Po niemiecku *empfindlich*. – Zależało nam, żeby Clara od małego uczyła się trzech języków swoich rodziców. – Po angielsku...

– *Susceptible* – dokończyłem za Annelise.

Po dłuższej chwili milczenia Clara powiedziała:

– Osiem, osiem liter, tato!

– Niesłychane. Ale mówiłaś coś o Yodim.

– Jak chcesz, to ci go pokażę.

– Masz jego zdjęcie?

Clara nie odpowiedziała, zerwała się i pobiegła do swego pokoju. Zaraz wróciła, ale mieliśmy z Annelise chwilkę, żeby popatrzeć na siebie ze zdziwieniem.

– To jest Yodi. Milutki, prawda? – spytała Clara, podsuwając mi książkę.

Yodi był skamieliną. Ściślej mówiąc, amonitem.

– Pójdziemy go odwiedzić, tatusiu?

– Bardzo chętnie. Na ileż sprawek musiał się napatrzeć w ciągu swoich... – przeczytałem podpis – dwustu osiemdziesięciu milionów lat. Ale gdzie nasz nowy przyjaciel się znajduje?

Odpowiedziała mi rozbawiona Annelise:

– Nawet ja to wiem. Jest w Bletterbach.

– A to Bletterbach, drogie panie, to co to takiego?

Annelise i Clara popatrzyły na mnie tak, jakbym im zadał najgłupsze pytanie na świecie. I miały słuszność. Sęk w tym, że wiele spraw, zwłaszcza tych, które mam pod nosem, jakoś mi się wymyka. Tak już ze mną jest.

Wąwóz Bletterbach leżał tuż obok nas, był tym magnesem, który wyciągał od turystów pokaźne sumy i pompował je w żyły wielu tutejszych miejscowości. Nie tylko w żyły Siebenhoch, które w sumie korzystało najwięcej z dobrodziejstw tego zalewu pieniędzy, bo było najbliżej Centrum Turystycznego, ale także w żyły miasteczka Aldino (po niemiecku Aldein), Salorno (po niemiecku Salurn), Cembra i Cavalese (które leżały w rejonie Trydentu i nie dotyczył ich nakaz zachowania podwójnej nazwy), Ora (które należało do prowincji Bolzano i dlatego nazywało się również Auer), Nova Ponente (Deutschnofen) i Nova Levante (Welschnofen) i wiele innych małych skupisk domów i kościółków (w miejscowym *dialekt* *Hittlen* i *Kirchl*n).

Rejon wokół Siebenhoch, mniej więcej tysiąc hektarów z lasami i skałami, należy do parku krajobrazowego Monte Corno. W środku parku, pod Monte Corno, a dokładnie na Corno Bianco (Weisshorn, po niemiecku), szczycie

wysokości dwóch tysięcy metrów, znajduje się rozpadlina długa na osiem kilometrów, a głęboka na ponad czterysta metrów.

Stamtąd wypływa potok Bletterbach, który nadaje nazwę wąwozowi.

Skały tworzące ten rejon i całe Dolomity są osobliwą mieszanką węgla wapnia i magnezu, a więc materią kruchą, w której woda potoku wypłukała wąwóz, odsłaniając całe tony skamieniałości. Bletterbach nie jest zwykłym wąwozem. Bletterbach jest jak film dokumentalny wyświetlany pod gołym niebem, który zaczyna się dwieście osiemdziesiąt milionów lat temu, w okresie zwanym permem, i dochodzi aż do triasu, który nastąpił sto milionów lat po tamtym. Od ery wielkiego wymierania do ery wielkich jaszczurów.

W Bletterbach jest wszystko. Mnóstwo muszli, amonitów (takich jak Yodi), ślady fauny i flory, tak że ciarki przechodzą ci po skórze i otwierasz ze zdumienia usta nad tyloma cudami. Prehistoryczny ogród zoologiczny leżący w dzikim wąwozie, do którego wybrałem się z Clarą. Tamtego październikowego popołudnia, kiedy sprawy, jak myślałem, wreszcie zaczęły się układać jak należy, Clara miała włosy zaplecione w dwa warkoczyki, a na nogach sznurowane buty w pastelowym kolorze.

## 5

Przywitała nas młoda kobieta, z którą wiele razy stykałem się w Siebenhoch, ale której imienia, chociaż się starałem, nie mogłem sobie przypomnieć. Zagadnęła, czy po wypadku wróciłem do siebie. Nie pytała o nic więcej, za co byłem jej wdzięczny.

Ktoś, kto chciał zwiedzić wąwóz Bletterbach, miał do wyboru dwa warianty. Ilse (takie imię widniało na identyfikatorze na jej piersi) pokazała nam na mapie trasę zaznaczoną przerywaną czerwoną linią. Była to trasa polecana rodzinom. Na jej przejście należało przeznaczyć dwie godziny, maksymalnie trzy i pół. Prowadziła niezbyt daleko „w głąbiny” wąwozu (nie uszły mojej uwadze wyszukane sformułowania Ilse), ale i tak ukazywała dużo muszli, ślady dinozaurów („Osiem liter, tato!”) i paproci, które przechowały czas i skała. Na drugą trasę trzeba było przeznaczyć około pięciu godzin. Prowadziła aż do wodospadu potoku Bletterbach, gdzie wąwóz znacznie się zwężył. W obu przypadkach, dodała Ilse z surową miną, trzeba się trzymać wytyczonej trasy, mieć na głowie kask i pamiętać, że dyrekcja parku nie ponosi odpowiedzialności za możliwe wypadki.

„Z powodu niebezpieczeństw wejście na własne ryzyko”, oznajmiał napis

w trzech językach na umieszczonej przy bramie tablicy.

– To rejon niezbyt pewny, często osuwają się tu kamienie – wyjaśniała Ilse.  
– Mogą się zdarzyć kłopoty. Dlatego obowiązuje kask ochronny. Pewnie kasków nie macie, ale możecie je wypożyczyć u nas. – Uśmiechnęła się do Clary. – Chyba jest jeden różowy w stosownym rozmiarze dla ciebie, panienko.

– Mam na imię Clara – odpowiedziała moja córka – i chcę zobaczyć ten ogromny amonit.

Zdumiona kobieta popatrzyła na mnie.

– Pańska córka jest naprawdę bardzo bystra.

– Mam pięć lat – skwitowała to Clara. – Umiem już trochę czytać i liczę do tysiąca. Lubię dinozaury z długimi szyjami, *brontodinozaury*, lody truskawkowe i speck dziadka Wenera. Nie chcę, żeby kask był różowy, chcę czerwony. To mój ulubiony kolor, ale granatowy też jest moim ulubionym kolorem, i błękitny, i zielony – dodała, budząc wesołe niedowierzanie na twarzy Ilse. – Tato – upomniała się – dowiedz się jeszcze, czy zobaczymy Yodiego.

– Kto to jest Yodi? – spytała Ilse zagubiona w tym zalewie słów Clary.

– Yodi – wyjaśniłem – to imię amonitu, tego największego. Gdzie na niego natrafimy?

– Znajdziecie go w muzeum geologicznym. – Ilse powróciła do urzędowego tonu. – Jaką trasę wybieracie? Krótką czy długą?

– Raczej tę krótką. Nie lubię... ciasnych wąwozów.

Ilse oderwała dwa bilety.

– Cierpi pan na klaustrofobię?

– To jest moje *new entry*.

Ilse podała nam do przymierzenia kaski. Clara chciała, żebym ją co najmniej trzy razy sfotografował: w różowym, żółtym i tym czerwonym, który sobie wybrała. A potem włożyliśmy plecaki i ruszyliśmy na wycieczkę.

Szło się nam znakomicie, chociaż kilka razy, z pewnością na skutek szumiących na wietrze gałęzi, wydało mi się, że słyszę tamto przekłete syczenie, i odczułem nagłą potrzebę zareagowania krzykiem. Nie krzyknąłem. A to dlatego, że muszle w skalnych warstwach Werfen, paprocie w Contrin i ślady jakiegoś jaszczura pokazywała mi moja córka, a dla mojej córki miałem być kimś w rodzaju bohatera.

Słowem: byłem znowu silny, byłem wyleczony. Byłem supermanem. Nie zasługuję na pochwałę?

Dotarłem do końca trasy spocony z nerwów, ale Clara była w siódmym

niebie. Oglądanie tak uszczęśliwionego dziecka mogłem uznać za nowy krok na drodze do wyzbywania się udręki. Zjedliśmy kanapki ze speckiem i korniszonami, bo na nie zasłużyliśmy, a potem weszliśmy do muzeum mieszczącego się we współczesnym budynku ze szkła, aluminium i drewna, należącym do Centrum Turystycznego, by wreszcie przywitać się z Yodim, gigantycznym amonitem.

Clarze skamieliny nieprzytomnie się podobały. Im były dziwniejsze, tym bardziej ją zachwyciły. Próbowiła nawet sylabizować ich łacińskie nazwy i nie daj Boże, żebym zaczął jej w tym pomagać. „Tato, jestem *duża*”. I nie trzeba już dodawać, że „duża” to cztery litery wykute ogromnymi literami.

Ja za skamielinami nie przepadam. Jest coś niepokojącego w tych fragmentach skał, które zachowały ślady żywych organizmów wymarłych miliony lat temu.

Niepokoi mnie nawet sama idea milionów lat.

Podobała mi się dopiero ostatnia sala muzealna. Poświęcono ją dawnej kopalni miedzi w Bletterbach, którą zamknięto, gdy w 1923 roku zawaliła się jedna ze ścian. Podobały mi się fotografie mężczyzn ubrudzonych ziemią, trzymających w rękach archaiczne narzędzia. Te podkreśnione wąsy, te brody jak u wilkołaka i ubrania jak z Myszki Miki miały nieodparty urok.

Naturalnie nie wszystko było tu jak z Walta Disneya. Lista górników, których zasypała skała, była przerażająca, ale przyszedłem tu z Clarą i nie miałem zamiaru zastanawiać się nad śmiercią i zniszczeniem. Sporą dawkę takich myśli miałem już za sobą, uprzejmie dziękuję. Lepiej przypatrywać się pumpom i dumnym spojrzeniom tych ludzi, których DNA miała w sobie moja córka. „To dlatego – myślałem, uśmiechając się do siebie – tak bardzo podobają się jej skamieliny. Odzywa się w niej zew skał”.

Jak z Jacka Londona.

I wreszcie mieliśmy przed sobą Yodiego. Amonit sprzed dwustu osiemdziesięciu milionów lat. Kiedy dochodziliśmy do gwiazdy tego muzeum, Clara opowiedziała mi o kolejach jego losu. Powiem wam tylko tyle, że dla Clary świat był jakąś wielką literą a, z której brały początek niezliczone historie ciągnące się od a do b, potem do c, ale nigdy niedocierające do z, ponieważ Clara nie wymuszała zakończeń na swoich opowieściach, bo to podcinałoby im skrzydła. Mogłem spędzić wiele godzin na słuchaniu jej paplania, nie czując znużenia, gdyż taka jest natura miłości. A kochałem Clarę bardziej niż siebie.

Kiedy już zbieraliśmy się z powrotem do Siebenhoch, wyjąłem aparat i zrobiłem Clarze zdjęcie przy amonicie. Córka obdarowała mnie ściskającym

serce uśmiechem, a potem odwróciła się i pożegnała z Yodim podskokiem, który był zarazem ukłonem. Wróciła do mnie, nie przestając mówić, mówić, mówić. Przed wyjściem z muzeum, kiedy wkładałem aparat do plecaka, dobiegł mnie fragment rozmowy między Ilse a dwoma starszymi letnikami, którzy mieli gołe nogi i przepisowe birkenstocki włożone na jasne skarpety niezakrywające żyłaków. Kilka zdań, ale czasami wystarcza drobiazg.

I tak oto los założył mi pętlę na szyję.

– To było w 1985, proszę pani? Jest pani pewna?

– Urodziłam się w tym roku. W roku tej masakry w Bletterbach. Matka wciąż mi powtarzała: „Urodziłaś się właśnie w tym roku, kiedy zdarzyło się to straszne morderstwo, i pewnie dlatego tak okropnie się zachowujesz”. Tamto wydarzenie było dla niej wstrząsem. Schaltzmannowie byli jej dalekimi krewnymi, pewnie pan nie wie.

– I nigdy nie wykryto zabójcy?

Milczenie.

Westchnienie.

– Nigdy.

# Obietnice i kłamstwa

## 1

Musicie koniecznie wiedzieć o jednej rzeczy. Piętnastego września zawarliśmy z Annelise pewien pakt.

## 2

Kiedy od mojego łóżka odeszli lekarze i pielęgniarki, a Werner delikatnie ujął za rękę Clare i poszedł z nią do szpitalnego baru, zostałem wreszcie sam z Annelise. Po dłuższym milczeniu, które dodatkowo przeciągnęły środki przeciwbólowe, Annelise wymierzyła mi policzek tak mocny, że mogło to uszkodzić szew nad okiem.

A potem zalała się łzami.

– Musisz mi przyrzec – powiedziała – musisz mi przyrzec, że już nigdy. Już nigdy. Nigdy nie będziesz robił...

Umilkła. Chciałem pogłaskać ją po rękę. Wyrwała ją.

To mnie przeraziło. Bardzo mnie przeraziło.

– Mogłeś zginąć, Salinger – napadła na mnie. – Nasza córka zostałaby sierotą. Zdajesz sobie z tego sprawę?

Przytaknąłem kiwnięciem głowy.

Ale nie było w tym geście szczerości. Wtedy nie umiałem myśleć o niczym innym, jak tylko o syczeniu. O przeklętym syczeniu.

O syczeniu Bestii.

– Musisz rzucić tę pracę. I musisz mi to teraz obiecać.

– A moje...

– To m y jesteśmy twoim życiem.

W głowie wszystko mi wirowało. Efekt środków uspokajających i przeciwbólowych zaczął słabnąć i w tle za Annelise majaczyła Bestia, która ze mnie drwiła.

– Mike. Ja... – bełkotałem.

– Mike? – uniosła się Annelise. – *Mike?!*

– Annelise...

– Ty już byłeś martwy, Salinger. Już umarłeś.

– Anne...

– Kiedy otworzyłam drzwi i zobaczyłam twarz ojca, od razu zrozumiałam... Zrozumiałam, że zginąłeś. Pomyślałam o Clarze, pomyślałam, niech mi Bóg wybaczy, że dobrze ci tak. Że do tego parłeś, chciałeś, żeby już przyszedł koniec i... i zniechęciłam się za to.

– Posłuchaj...

Annelise mnie objęła. Wyczułem, że szloch wstrząsa nią całą.

– Wiem – szeptała – wiem, jak jest dla ciebie ważne to twoje życie. Ale Clara ma prawo mieć ojca. A ja nie chcę zostać sama, nie zasłużyłam na to, Salinger. Nie mogę zostać bez ciebie, głupi durniu. – Oderwała się ode mnie, wytarła nos i próbowała zażartować: – W czarnym mi nie do twarzy.

Roześmiałem się i od razu wszystko mnie znowu rozboleło. Chciałem się podnieść, usiąść. Zakręciło mi się w głowie tak strasznie, jakbym wpadł pod ciężarówkę.

– Byłabyś najseksowniejszą wdową w Siebenhoch – odpowiedziałem.

Annelise zburzyła mi włosy.

– A ty byłbyś najprzystojniejszym trupem na cmentarzu, Salinger. Wystarczy mi jeden rok.

– Rok?

Chociaż ciągle odzywał się we mnie głos Bestii, wyczułem, że to bardzo ważna chwila. Cokolwiek bym powiedział lub czego nie powiedział, to właśnie teraz rozstrzygała się sprawa mojego małżeństwa.

I mojej przyszłości.

– Nie mogę cię prosić, żebyś się całkiem wyrzekł tego zajęcia. To nie byłoby uczciwe. Ale musisz mi obiecać, że weźmiesz sobie rok... Taki rok sabatyczny. Żebyś mógł postanowić, co zrobisz ze swoim życiem. A później, jeśli zechcesz wrócić do tego samego, będę dalej z tobą. Jak zawsze.

– Jak zawsze.

– Obiecujesz?

Już miałem odpowiedzieć, kiedy drzwi się otworzyły i wpadła Clara z rozpędem, jaki jest możliwy tylko w wieku pięciu lat, a za nią wszedł Werner, który wzrokiem starał się przeprosić, że nas niepokoi. Dałem mu znak, żeby się nie przejmował. Wszystko się już toczy jak trzeba.

Wziąłem Clarę za rękę.

– Ile liter ma słowo „obiecuję”?

Clara policzyła.

– Osiem – odpowiedziała rozpromieniona.

Popatrzyłem Annelise w oczy.

– Osiem liter.



Kiedy dwudziestego piątego października jechałem w stronę Welshboden, ciągle sobie powtarzałem, że naprawdę nic złego nie robię. Nie zrywałem paktu z kobietą, którą kochałem, przypieczętowanego słowami naszej córki. Mówiłem sobie, że to tylko zwykła ciekawość. Nic więcej. Przynależem Annelise rok sabatyczny i dotrzymuję tej obietnicy. Jadę teraz wyłącznie po to, żeby porozmawiać z teściem, bo nie chcę do znudzenia siedzieć w domu. Tylko tyle.

Nie zabierałem się do obmyślania jakiegoś nowego pomysłu.

Pomysły? Jakie pomysły?

Moje?

Gdzie tam!

Tylko pogadamy sobie przy kominku. Papieros. Kawa wzmocniona grappą. Co najwyżej parę zwyczajnych pytań o to, co Ilse nazwała „masakrą w Bletterbach”. Bądź co bądź – mówiłem sobie w dalszym ciągu w myślach, zbliżając się do domu Wenera – nawet te rady w sprawie montażu dokumentu, którym zajmował się Mike, można by uznać za pracę, prawda? A do nich Annelise nie miała żadnych zastrzeżeń.

Nieźle umiałem kluczyć, jeśli chcecie wiedzieć.

Na pozór zapomniałem, że Annelise zgodziła się, żebym udzielał Mike’owi tych porad pod warunkiem, że nie będzie to wpływać na stan mojego umysłu (nie użyła słowa „umysł”, powiedziała „emocje”, ale oboje dobrze wiedzieliśmy, co ma na myśli) i że Mike będzie pracował nad tym montażem daleko od nas, w Nowym Jorku. Jakby tamte sfilmowane sceny były radioaktywne. Na pozór zapomniałem, że Annelise pozwoliła mi na te zajęcia, ponieważ Mike wytłumaczył jej, że tamte sceny wejdą do *Mountain Angels*. Nie było w tym rozwiązaniu nic nowego. Już od dawna brało się pod uwagę, że trzeba przebudować całość „w świetle nowych okoliczności”. Poza tym, tłumaczył Mike, „nie licząc kilku godzin potrzebnych na omówienie ciągu narracji, Salinger tylko przyśle mi od czasu do czasu parę maili z odpowiedziami na moje pytania. Nawet nie zauważy, że coś takiego robi”.

Dobry, mefistofeliczny Mike.

– Jest ktoś w domu!? – zawołałem już z samochodu.

W oknie za firanką zamajaczyła twarz Wenera. Zaprosił mnie do środka. Rozmawialiśmy o czymkolwiek, wypiliśmy kawę, zapaliliśmy. Opowiedziałem mu o Yodim i naszej wyprawie do wąwozu Bletterbach, starając się, by ta opowieść wypadła jak najbardziej naturalnie, chociaż paliła mnie ciekawość.

I w końcu zarzuciłem wędkę.

– Usłyszałem o tamtym niesamowitym wydarzeniu.

– O jakim wydarzeniu?

– Parę słów, bez szczegółów. Ale i tak zrozumiałem, że wydarzyło się wtedy coś dziwnego.

– W górach zdarza się wiele dziwnych rzeczy. Masz na sobie dowód – powiedział Werner, wskazując bliznę nad moją prawą brwią. – No nie?

Pogładziłem bliznę palcem. Clara nazywa ją śladem po pocałunku złej wróżki. A mnie ta blizna kojarzyła się z fotografiami z Bletterbach, które wyszukałem w Google’u, kasując ślady moich poszukiwań, żeby Annelise nie zaczęła mi zadawać pytań, na które nie mógłbym szczerze odpowiedzieć.

Nie chciałem jej okłamywać.

– Oczywiście, masz rację – odpowiedziałem Wernerowi.

I coś w moim głosie podpowiedziało mu, żebyśmy zmienili temat. Nigdy nie rozmawialiśmy o tym, co nastąpiło piętnastego września. Stało się – i wystarczy. Kiedy Wernerowi zdarzało się napomykać o tamtej sprawie, mówił: „Tamten zły dzień”.

Powściągliwość właściwa ludziom blisko obcującym z górami bardzo mi sprzyjała, ponieważ Werner, zakłopotany na swój sposób, wstał i sięgnął do lodówki po butelkę grappy na gencjanie. Nappełnił dwa kieliszki. Wznieśliśmy w milczeniu jakiś nieokreślony toast.

– Coś wspominałeś...

– Usłyszałem o tamtym wydarzeniu. Jacyś dwaj turyści, raczej wiekowi, rozmawiali z kobietą, która wypożyczyła nam kaski w Centrum Turystycznym. Ilse. Znasz ją?

– To musiała być Ilse Unterkircher. Tutaj, w Siebenhoch, wszyscy się znamy, chociaż tacy starzy jak ja są już na wymarcu, a młodsze pokolenie...

– Wychylił łyk grappy. – Kiedy dobijesz do moich lat, uprzytomnisz sobie bardzo zabawną sprawę. Wszystkie twarze wydają się podobne do siebie. Zwłaszcza twarze młodych. Ale mogę się założyć, że nie o tym chciałeś ze mną rozmawiać.

– Ilse powiedziała „masakra w Bletterbach”. Rzuciła też chyba jedno nazwisko: Schaltzmann.

„Chyba”, jaki to nędzny wykręt.

W informacjach z Google’a, które usunąłem, znajdowało się dwanaście wyników z tym nazwiskiem. Dobrze je zapamiętałem. Tyle że nawet ta Wielka Wyrocznia dwudziestego pierwszego wieku nie umiała udzielić odpowiedzi na moje pytanie. Wytropiłem jakiegoś Schaltzmann, docenta

w Yale, drużynę hokejową, fotografa z Hamburga, dwóch handlarzy używanymi samochodami z Bawarii i bez liku rozmaitych Schaltzmanów i Saltzmannów. A co z masakrą w Bletterbach? Nic, zero. Ale to, zamiast mnie zniechęcić, tylko wzmogło moje zaciekawienie. Ciekawość zawsze karmi się białymi plamami na mapie.

Werner znów nalał nam grappy.

– Co o tym usłyszałeś? – spytał oschle.

– Że nikt nigdy nie został aresztowany.

– Nikt. To prawda.

Zapaliłem papierosa, podsunąłem paczkę Wernerowi. Odmówił zdawkowym gestem.

– Dwudziestego ósmego kwietnia 1985. Jak to mówią w telewizji: byłem przy tym.

– *Byłeś tam?*

Trudno mi było ukryć podniecenie. Przypuszczałem, że Werner może być dobrym źródłem informacji, ale nie śniło mi się, że jest w tej sprawie naocznym świadkiem.

Teś przechwycił moje spojrzenie i przez chwilę mi się przyglądał.

Postawił kieliszek na stole. Ożywienie w mgnieniu oka w nim zgasło.

– Jeremiaszu, nigdy nie wtrącałem się w wasze sprawy rodzinne. Herta mówiła, że trzeba pozwolić dzieciom, by wyfruwały z gniazda, i zawsze byłem tego samego zdania. Dlatego nie podoba mi się to, co chcę ci teraz powiedzieć, ale robię to z myślą o tobie... – Zamilkł na chwilę. – ...i o Clarze.

Zatrzymałem go ruchem ręki.

– Nie mam najmniejszego zamiaru robić o tym filmu, Wernerze – powiedziałem. – Przyrzekłem to Annelise. Nie chcę, żeby nasze małżeństwo rozpadło się z winy... niech i tak będzie, z winy moich „ambicji”.

– To byłby idiotyzm, Jeremiaszu. Rozwalać małżeństwo, rozbijać dobrą rodzinę, taką jak twoja, to czysta i zwyczajna głupota.

– Amen.

– Podaj mi papierosa.

Zapalił go, jak zwykle przytrzymując zapałkę paznokciem kciuka.

– Dobrze. Chcesz tylko usłyszeć o jakiejś dawnej historii?

– Wernerze... – Z moich ust wyrwało się jak gdyby wyznanie, które miało początek w sercu. Być może właśnie dlatego, że byłem wtedy szczery, skazałem nasze dusze na potępienie. – Tak, chciałbym coś usłyszeć o tamtej historii. Ale nie dlatego, że może mi się to przydać do jakiegoś filmu. Takimi filmami jestem już dostatecznie... zmęczony. Potrzeba mi jednak czegoś, co

mógłbym rozgrywać w myślach. Jak tobie potrzeba gór. Od jak dawna nie pozwalasz już sobie na porządną wspinaczkę?

– Od co najmniej dwudziestu lat, a może dłużej.

– Mimo to w dalszym ciągu robisz te swoje wyprawy, tak?

– Jeśli chcesz to nazwać wyprawami... – powiedział z rozgoryczeniem Werner – to owszem, nie mylisz się. Ale to są tylko przyjemne przechadzki dobre dla zartretyzowanych turystów.

– Chciałbym, żebyś do tamtej historii podszedł tak samo, jak podchodzisz do tych swoich przechadzek. Potrzebuję jakiegoś impulsu, żeby zająć czymś myśli. Potrzebuję, dlatego że chcę się na dobre wydobyć z tego... mojego stanu.

Na twarzy Wenera pojawił się wyraz zaniepokojenia.

– Chcesz powiedzieć, że znowu źle się czujesz?

– Nie – uspokoilem go – nie dzieje się nic złego. Annelise i Clara to niesłychanie skuteczne lekarstwo. Nie prześladują mnie już koszmary – powiedziałem, a widząc na jego twarzy wyraz wątpliwości, uściśliłem: – No, rzadko mnie prześladują, a w każdym razie stały się... znośne. Fizycznie nigdy nie czułem się lepiej. Clara wyciska ze mnie siódme poty i już nie mogę się doczekać śniegu, żeby ją uczyć jeżdżenia na sankach. Ale umysłowo to jednak...

– Nie możesz wytrzymać z rękami w kieszeni.

– Otóż to.

Werner strzepnął popiół na posadzkę.

– Annelise mówiła mi, że jednak trochę pracujesz z tym twoim przyjacielem Mikiem...

– Ściśle mówiąc, daję mu tylko czasami jakieś wskazówki. Nic więcej. I nie ukrywam, że to mi dobrze robi.

– A wspomnianie nie robi ci dobrze, tak?

– Tak, z całą nieszczęsną pewnością – odpowiedziałem, próbując pokonać ucisk w gardle. – To jest jak dzikie zwierzę, które się we mnie ukryło. I gryzie mnie. Ciągle. Może pewnego dnia uda mi się założyć mu kaganiec i wziąć je na smycz. Wytresować je. Może wróćą dobre dni, same dobre. Ale teraz potrzebuję nowego... zajęcia, żeby mieć spokój z czymś takim. – Przytknąłem palec do skroni.

Nie powiedziałem nic więcej. Oddałem się w ręce Wenera. Jakąkolwiek decyzję podejmie, pogodzę się z nią. Nawet jeżeli mnie kopnie i wyrzuci z domu. Czułem się pusty. Ale było to przyjemne uczucie. Może takie, jakiego doświadcza człowiek pobożny, kiedy wyzna grzechy swojemu

spowiednikowi.

Werner dał mi rozgrzeszenie.

I zaczął opowiadać.

# Masakra w Bletterbach

## 1

– Cała ta historia zaczyna się na Morzu Tyrreńskim.

– Na morzu?

Werner skinął potwierdzająco głową.

– Wiesz, co to takiego klaster z regeneracją wiatrów?

– Mówisz do mnie po arabsku.

– A to termin meteorologiczny. Klaster z regeneracją wiatrów to w przystępniejszym języku tyle, co samoodradzająca się burza. Wyobraź sobie wilgotny i ciepły prąd powietrzny ciągnący znad morza. W naszym przypadku znad Morza Tyrreńskiego. Bardzo wilgotny i bardzo ciepły. Ten prąd dociera do lądu i nie poprzestaje na Zatoce Genueńskiej, tylko ciągnie dalej, gdzieś na północ.

Próbowałem odtworzyć w pamięci mapę Włoch.

– Przekracza Nizinę Padańską?

– Bez trudności. W dodatku zbiera jeszcze więcej wilgoci i ciepła. Wiesz już, o co chodzi?

– No tak, wiem.

– To teraz wyobraź sobie, że ten wilgotny i ciepły prąd, taki jak prądy tropikalne, dociera do Alp.

– To mamy tu potężną burzę, taką z ulewą.

– *Genau*. A kiedy ten wilgotny prąd zderza się z Alpami, jednocześnie dociera do nich z północy prąd zimny, który także wyrzuca z siebie mnóstwo wody. Gdy takie dwa prądy stykają się ze sobą, mamy koniec świata. Mamy podręcznikową burzę samoodradzającą się. A wiesz dlaczego jest to burza „samoodradzająca się”? Bo zderzenie dwu mas powietrza nie osłabia jej siły, a nawet sprawia, że burza potężnieje. Mamy wtedy do czynienia z ponad trzema tysiącami wyładowań elektrycznych na godzinę.

– Burza, która napędza samą siebie – powiedziałem urzeczony. – Chyba nieczęsto tak się dzieje?

– Parę razy do roku. Jednego roku trzy razy, innego tylko raz. Natura daje i Natura odbiera. Burze tego rodzaju to apokalipsa w miniaturze, ale nie trwają długo. Może godzinę, może dwie, co najwyżej trzy, i to na obszarze bardzo niewielkim. Tak jest zazwyczaj – dodał po krótkim namyśle.

– A kiedy nie jest tak jak zazwyczaj? – dopytywałem.

– To mamy dwudziestego ósmego kwietnia 1985 roku. Mamy kulminację takiej burzy, co sama siebie rozpędza. Siebenhoch i cały rejon wokół miasta zostają odcięte od świata na jakiś tydzień. Nie ma dróg, nie ma telefonów, nie ma radia. Służby porządkowe muszą torować sobie drogę koparkami. A miejscem, gdzie burza wyładowała się z najpotężniejszą siłą, z siłą porównywalną z huraganem, był Bletterbach. – Werner potarł sobie ręką brodę, odchrząknął i dorzucił: – To trwało pięć dni. Od dwudziestego ósmego kwietnia do trzeciego maja. Pięć dni piekła.

Próbowałem uzmysłwić sobie impet takiej nawałnicy w tym krajobrazie, który miałem o parę kroków od domu i często podziwiałem. Nie bardzo mi się udało.

– Tyle że oni nie przez tę burzę zginęli – powiedział cicho Werner, kręcąc głową. – Byłoby to... nie powiem: sprawiedliwsze, ale bardziej naturalne. Coś takiego zdarza się i mogło się zdarzyć. Piorun. Skała. W górach dzieją się niedobre rzeczy.

Wyszło mu w gardle, odkaszlnął. Tak, w górach dzieją się niedobre rzeczy. Tego doświadczyłem na własnej skórze.

Żeby opanować roztrzęsienie, wstałem i nalałem sobie kieliszek. Grappa paliła gardło jak rozżarzone żelazo. Dolałem sobie jeszcze trochę, usiadłem z powrotem.

– Ci nieszczęśni młodzi ludzie nie zginęli, to, co ich spotkało, było... – Na twarzy Wenera pojawił się grymas, jakiego jeszcze nigdy na niej nie widziałem. – Kiedyś, dawno temu, poszedłem z ojcem na polowanie. Nie było tu jeszcze parku krajobrazowego i... pamiętasz, jak rozmawialiśmy o głodzie?

Pamiętałem tamtą rozmowę aż za dobrze.

– No tak.

– Głoduję, idę polować, zabijam. Robię to tak, by nie zadawać zwierzętom cierpienia, zabijam czysto, racjonalnie. Dlatego, że głodu-ję. Czegoś takiego nikt nie potępia, prawda? To nie wchodzi w zakres dobra i zła.

Te słowa w ustach człowieka, który przez wiele lat ratował życie innym, głęboko mnie poruszyły. Przytaknąłem w milczeniu, chciałem, żeby ciągnął dalej. Ale Werner opowiadałby nawet bez mojej zachęty. Przedstawiał mi ideę, na którą stracił mnóstwo godzin, i najwyraźniej zależało mu na tym, by ująć ją precyzyjnie. Kiedy słucham czyjejs opowieści, umiem wyczuć, czy mam do czynienia z obsesją.

– Na wojnie ludzie zawsze zabijali innych ludzi. To jest sprawiedliwe? To jest niewłaściwe? Takie pytania brzmią żałośnie i niemądrze. Kto nie zabijał,

tego rozstrzeliwano. Czy możemy orzekać, że ktoś, kto odmawia wzięcia do ręki karabinu, jest świętym lub bohaterem? Oczywiście możemy tak twierdzić. W czasie pokoju takie twierdzenie jest jak najbardziej na miejscu. Ale czy możemy zmusić miliony ludzi, żeby zachowywały się jak święci lub bohaterowie? Żeby poświęcały siebie dla pokoju? Nie, nie możemy.

Jeszcze nie rozumiałem, do czego zmierza. Ale nie odzywałem się. Jeżeli praca nad *factual* czegoś mnie nauczyła, to głównie tego, że im swobodniej ludzie się wypowiadają, tym ciekawsze rzeczy można usłyszeć.

– Na wojnie się zabija. Źle, że tak się dzieje. Źle, że zmusza się całe młode pokolenia, żeby mordowały się na polach bitew. To obraża Boga. Ale kiedy nie jesteś królem ani generałem, co możesz zrobić w takim położeniu? Strzelać albo zostać zastrzelony. Tylko w pierwszym przypadku masz jaką taką szansę, że ocalisz skórę i wrócisz do tych, których kochasz. – Zabębnił palcami w stół. – Na wojnie się zabija. Na polowaniu się zabija. Zabijanie jest sprawą ludzką, nawet jeśli nikt nie lubi stawiać tego jasno, i dobrze się dzieje, że ludzie z całych sił się temu sprzeciwiają. Ale rzecz, która się przydarzyła tej nieszczęsnej trójce młodych ludzi w Bletterbach w osiemdziesiątym piątym, to nie było zabijanie. To była masakra i nie miała w sobie nic ludzkiego.

– Kim byli ci młodzi? – spytałem niemal szeptem.

– Evi. Kurt. Markus – usłyszałem lakoniczną odpowiedź. – Może wyjdziemy na dwór. Zrobiło się tu gorąco. Przewietrzymy się.

Wyszliśmy na ścieżkę prowadzącą do lasu.

Zapach jesieni, ta słodkawa woń, która drażni nozdrza, wisiał w powietrzu. Powiedziałem sobie, że zima wkrótce zabierze wszystkie te jesienne zapachy. Nawet najpiękniejsza jesień po pewnym czasie chce skorzystać ze swego prawa do wiecznego odpoczynania.

Oprzytomniałem. Byłem zły na siebie, że moje myśli obrały taki kierunek.

– To byli porządni młodzi ludzie, wiesz, Jeremiaszu? – powiedział Werner, kiedy mijaliśmy jodłę złamaną przez piorun. – Cała trójka wywodziła się stąd. Evi i Markus byli rodzeństwem. Evi urodziła się pierwsza. Ale miała pecha.

– Jak to?

– Jest taka lokalna choroba w naszym Południowym Tyrolu, Jeremiaszu. Nic o niej nie wiesz?

– Chyba nie wiem – rzuciłem niepewnie. – Nie mam pojęcia.

– Alkohol.

– Evi piła?

– Evi nie piła. Piła jej matka. Porzucił ją komiwojażer z Werony, doszło do



tego gdzieś w latach siedemdziesiątych, zaraz po tym jak Markus przyszedł na świat. Ale ich matka już wcześniej żyła paskudnie, możesz mi wierzyć.

– Coś się stało?

– To były inne czasy, Jeremiaszu. Zwróciłeś uwagę, gdzie mieszkam?

– W Welshboden?

– A wiesz, dlaczego kupiłem tu ziemię i dom za grosze?

– Bo masz głowę do interesów.

– To także. Ale przełóż sobie tę nazwę.

– Welshboden?

– *Genau*.

Miejscowy dialekt bardzo deformuje czystą niemczyznę, której uczyła mnie matka, i często nie wszystko było tu dla mnie zrozumiałe. Pokręciłem głową zdezorientowany.

– Słowo *Walscher* lub *Welsher*, czy każda inna jego odmiana, jest słowem kluczowym, kiedy chcesz jakoś zrozumieć brudy, które ta ziemia kryje pod swoją skorupą, Jeremiaszu.

Chodziło mu naturalnie o kwestie etniczne, które doszły tu do głosu zaraz po drugiej wojnie światowej i o których już wiele razy słyszałem.

– Włosi przeciwko Niemcom, Niemcy przeciwko Włochom? „Belfast na ziemiach strudlowych”?

– *Welsher* to obcy, nie nasz. To ktoś nie stąd. Ale zawsze w rozumieniu niedobrym, wzgardliwym. To dlatego kupiłem ten dom za śmieszne pieniądze. To był majątek tych *Welsher*.

– Ale ten konflikt...

– Konflikt już ucichł. Dzięki turystom i dzięki Bogu. Ale gdzieś pod powierzchnią, pod skorupą ciągle tkwi ta kłująca...

– Uraza.

– Mówisz, jak trzeba, to dobre słowo. Uprzejme. I tak już tutaj jest. Konflikt etniczny bardzo ucywilizowany. Jednak w latach sześćdziesiątych, kiedy matka Evi i Markusa wyszła za mąż za tego komiwojażera z Werony, w tym konflikcie wybuchały bomby. Zgodnie z metryką nazwisko Evi brzmiało Tognon, ale kogo byś tu nie spytał, odpowie ci, że Evi i Markus nazywali się Baumgartner, bo tak nazywała się ich matka. Rozumiesz? Połowa włoska nie miała znaczenia. Matka Evi wyszła za Włocha, a z pewnością już umiesz sobie wyobrazić, co tutaj mogło znaczyć małżeństwo mieszane?

– Ciężkie życie.

– I to jak. Potem mąż matkę rzucił, a alkohol odebrał jej do końca trochę

tego rozsądku, jaki jeszcze kołatał się jej w głowie. Markusa wychowała Evi.

– Matka jeszcze żyje?

– Zmarła kilka lat po tym, jak pochowaliśmy jej dzieci. Na pogrzeb nie przyszła. Zastaliśmy ją w domu, leżała w kuchni. Była zalana, ale pytała, czy nie mamy ochoty na... no, czy chcemy...

Pomogłem mu w zakłopotaniu i spytałem wprost:

– Zadawała się z mężczyznami?

– Kiedy była bez grosza. Kiedy wydała do reszty to, co dostawała za sprzątanie w tym czy innym domu.

Szliśmy dłuższą chwilę w milczeniu. Słuchałem, jak przywołują się nury i jak ćwierkają wróble.

Niewielka chmura zasłoniła słońce i zaraz przesunęła się na wschód, spokojna i obojętna wobec tej tragedii, z którą Werner mnie zaznajamiał.

– A Kurt? – spytałem, by przerwać milczenie, które stało się krępujące.

– Kurt Schaltzmann. Kurt był najstarszy z ich trójki. On także był porządnym chłopakiem. – Werner zatrzymał się i zerwał gałązkę z ciemnej, sękaty jodły. – Wiem, że zawsze mówi się tak o zmarłym. Ale naprawdę cała ich trójka była bardzo porządna, godna zaufania.

Werner umilkł, a ja, nie chcąc ponownie dopuścić do kłopotliwego milczenia, powiedziałem:

– W osiemdziesiątym piątym marzyłem o tym, żeby zostać napastnikiem w drużynie Yankees i kochałem się w ciotce Betty. Robiła niezwykle babeczki. Dobrze wspominam tamte lata.

– Tutaj w tamtych czasach było gorzej niż w czasie wojny, naprawdę. Młodzi stąd wyjeżdżali, a kto zostawał, topił zgryzotę w alkoholu. Nie inaczej niż większość starszych. Nie było turystyki, nikt nie wspierał rolnictwa. Nie było pracy. Nie było przyszłości.

– Ale Evi i chłopcy zostali tutaj?

– A kto ci powiedział, że zostali?

– Wyjechali?

– Pierwsza zabrała się Evi. Była nie tylko zdolna, ale także ładna. A wiesz, co w tamtych latach robiły u nas dziewczęta ładne i inteligentne?

– Pewnie wychodziły za mąż albo piły?

Werner skinął potakująco głową.

– Zjawiał się jakiś chłystek, a takich wszędzie pełno, rozkochiwał w sobie dziewczynę, robił jej dziecko, a potem łąił ją pasem, kiedy w lodówce nie było dość piwa. A tak już jest, że z czasem mężowie nigdy nie mają dość piwa. Evi widziała, co się tu dzieje z dziewczętami, które tracą głowę dla

pierwszego lepszego zasrańca.

Po raz pierwszy słyszałem, żeby Werner pozwalał sobie na taki język.

– Evi wiedziała, czego chce. Zdała maturę na piątki i zdobyła stypendium uniwersyteckie. I ona, i Markus mówili w obu językach, ale matka nie chciała mówić do Markusa po włosku. Evi pogodziła się z tym, że ma nosić nazwisko Baumgartner. I dlatego kiedy musiała wybrać uniwersytet, zdecydowała się na Austrię.

– Na co poszła?

– Na geologię. Kochała nasze góry. Zwłaszcza Bletterbach. Chodziła na Bletterbach z Markusem, kiedy matka robiła im w domu awantury, i podobno właśnie na Bletterbach połąpała się, w kim jest zakochana.

– W Kurcie? – spytałem, chociaż wiedziałem, co usłyszę.

– Znali się, bo w małym miasteczku, gdzie rodzi się nie za wiele dzieci, wszyscy młodzi zawsze się znają, ale każde z nich żyło inaczej. Kurt był pięć lat starszy od Evi, został przewodnikiem alpejskim i znakomicie się wspinał. Pochodził z dobrego domu. Hannes Schaltzmann, jego ojciec, był moim przyjacielem. – Zamilkł, popatrzył na mnie ze smutkiem. – Przyjaźniliśmy się bardzo blisko. To Hannes zaszczerpił w Kurcie tę pasję do gór.

– Hannes także pracował w ratownictwie?

– Należał do zarządu. Dzięki niemu udało się nam uskładać pieniądze na alouette. Pamiętam, że Kurt ciągle nas namawiał, żebyśmy tym helikopterkiem wozili turystów nad Dolomitami i kazali sobie za to słono płacić, ale to nie trafiało nam do przekonania. Alouette mieliśmy po to, żeby ratować ludzi, a nie zabawiać letników. Ale jestem pewien, że Kurt nie miał nam tego za złe. Jako przewodnik zarabiał dość znośnie, a jako ratownik zarabiałby znacznie mniej, bo przecież pracowaliśmy ochotniczo. Dla Kurta pieniądze nie miały znaczenia. Zapłatą było dla niego samo obcowanie z górami.

– Evi i Kurt byli ze sobą szczęśliwi?

Werner się uśmiechnął.

– I to tak, jak zdarza się tylko w bajkach. Evi wyraźnie widziała swoją przyszłość. Uniwersytet, dyplom z wyróżnieniem, doktorat, a na koniec muzeum przyrodnicze w Bolzano, o którym w tamtym czasie dużo się mówiło. Była ambitna. Marzyła o tym, żeby nadzorować jakąś enklawę geologiczną. Myślę, że na pewno by się jej udało, bo naprawdę była zdolna. Kiedy pojawiła się w Innsbrucku, profesorowie od razu zwrócili na nią uwagę. A pamiętaj, że nie szło jej w życiu łatwo. Wyobraź sobie dziewczynę z górskiego miasteczka, która mówi w *dialokt* i musi w nim odpowiadać na

egzaminach i wygłaszać referaty na uniwersyteckich salonach w obecności osób, które robiły karierę w latach trzydziestych i czterdziestych. Nie wiem, czy mnie rozumiesz. Ona jednak dostawała najwyższe stopnie. Zaczęła już coś publikować. Była wschodzącą gwiazdą.

Dreszcz mnie przeszedł. Przecież i mnie nazywali połową wschodzącej gwiazdy. To przyniosło mi pecha. I to pecha niestety przekłętego.

– Kiedy przeprowadziła się do Innsbrucka?

– Evi wyjechała w osiemdziesiątym pierwszym, a Markus został sam. Był niepełnoletni, matka była, jak to się mówi, niezdolna do rozpoznawania swoich czynów i decydowania o sobie, ale Markus jakoś sobie radził. Evi wyjechała, a Kurt dopiero rok później pojechał za nią i z nią zamieszkał. To było na pewno w roku 1982, kiedy Włochy zdobyły mistrzostwo świata w piłce nożnej. – Werner zakrzuszył się śmiechem. – I wielu ludziom mina zrzędła, tutaj, u nas...

– Wciąż z tych plemiennych powodów?

– Kibicowaliśmy Niemcom.

– A nie Austriakom? – spytałem naiwnie.

A potem na błyskawiczną odpowiedź Wenera wybuchnąłem śmiechem. Bo rzucił:

– A widziałeś kiedyś, jak reprezentacja Austrii gra w piłkę nożną? Nie mieliśmy wyjścia, trzeba było wywiesić białą flagę.

– Boże, ależ to głupie...

– Pomyśl o tym, Jeremiaszu, inaczej. Kiedy komuś w głowie piłka, to nie ma czasu na fabrykowanie bomb. – Chwilę milczał. – Kurt był zakochany i wyjechał. Kiedy Hannes powiedział mi, że jego syn, jego jedyny syn, przeniósł się do Innsbrucka i zamieszkał z Evi, to nawet dla mnie było to trochę szokujące, chociaż wszyscy mieli mnie za człowieka... o szerszych horyzontach.

– Co masz na myśli?

Werner przełknął ślinę, zakłopotany.

– Tutaj zawsze byliśmy wszyscy trochę konserwatywni, chyba to rozumiesz, Jeremiaszu?

– Nie wzięli ślubu.

– I nawet nie było im to w głowie. Uważali, że małżeństwo to obyczaj staroświecki. Starąłem się przekonać Hannesa, że nie ma w tym nic strasznego. Pomyśl tylko: z powodu tego życia bez ślubu Kurt i ojciec przestali ze sobą rozmawiać. Mnie to doskwierało. A przy tym lubiłem Evi, była mądrą dziewczyną. Hannes jednak nie umiał tego przełknąć. I mnóstwo

ludzi – dodał cicho Werner – tutaj, w Siebenhoch, także.

– Przez to nazwisko Evi?

– Evi i tak miała do odpokutowania ten grzech, że w połowie była Włoszką. Na dodatek współżyła z partnerem w świecie, który jeszcze tego słowa nawet nie wymyślił. „Współzycie”. Współzycie było czymś dobrym dla gwiazd filmowych, ale nie dla skromnych ludzi z Siebenhoch. Jeżeli chcesz, powiem ci teraz całą prawdę.

– Zamieniam się w słuch.

Werner znowu umilkł.

Doszliśmy do miejsca, gdzie ścieżka skręcała pod kątem prostym i prowadziła na skraj urwiska głębokiego na jakieś czterdzieści metrów. Powiewy z zachodu zaczęły się zmieniać w mocniejszy wiatr. Jeszcze nie było zimno, ale już się trochę ochłodziło.

– Mam ci to powiedzieć, nawet jeśli potem będziesz widział Siebenhoch trochę inaczej?

– Naturalnie.

– Evi wyrwała z Siebenhoch jednego z najświetniejszych synów tego miasteczka. Kurt był miłym chłopakiem i dobrą partią, ale nikomu nawet nie zaświtało w głowie, bo tak dzieje się zazwyczaj, że ten wyjazd do Innsbrucka był jego własnym pomysłem i że nie ma w tym podstępu Evi, żeby zagarnąć dla siebie jednego z niewielu cenionych tutaj kawalerów.

– Marnych mamy tubylców.

– Możesz to wykrzyzczyć tak głośno, jak chcesz, chociaż z racji miłości do ojczyzny powinienem cię zdzielić pięścią w nos. Ci tutaj to rzeczywiście nędzna hołota. Ale czas płynął i jak to bywa w małych miasteczkach, wkrótce nikt już o Evi i Kurtie nie pamiętał. Gdyby nie było tu Markusa, to nikt nawet by ich nie wspominał.

– A Markus został. Dlaczego?

– Chodził do szkoły i całe dni kręcił się po górach. Kiedy była okazja, wynajmował się do pomocy u stolarza w Aldino i miał z tego parę groszy. Evi i Kurt przyjeżdżali do Siebenhoch tylko dla niego. Kurt z ojcem, mimo moich zabiegów, żeby tę ich sprawę jakoś załagodzić, wciąż skakali sobie do oczu.

Ponieważ połowa życia zeszła mi na utarczkach z ojcem, a druga połowa na uświadamianiu sobie, że jestem do niego podobny, od razu wyobraziłem sobie, jak to wyglądało.

– Przyjeżdżali rzadko. Nie było Unii Europejskiej, półdarmowych biletów, zapomóg kredytowych, nic nie ułatwiało życia Evi i Kurtowi. Kolej swoje kosztowała i tyle. Evi miała stypendium, a znając ją, myślę, że brała też jakieś

dorywcze prace, żeby wiązać koniec z końcem. A Kurt znalazł sobie najpospolitszą pracę włoskich emigrantów.

– Robił pizzę?

– Był kelnerem. Czuli się szczęśliwi, przyszłość rysowała się im wyraźnie. Nie będę ukrywał – przerwał, po chwili poprosił o papierosa – że właśnie tego najbardziej nie mogę przeboleć, kiedy wracam myślami do tego morderstwa: oni, Kurt i Evi, mieli przed sobą przyszłość. Radosną przyszłość.

Paliliśmy w milczeniu, słuchając szumu wiatru, który już ugiął wierzchołki drzew.

Bletterbach, oddalony dziesięć kilometrów od nas, pewnie podsłuchiwał naszą rozmowę.

– Nie brakło i takich w mieście, co mówili, że to Pan Bóg ukarał ich za grzech. Wstrząsnęły mną te słowa. Jakby ktoś mnie spoliczkował. Były odrażające.

– Ale co w końcu stało się dwudziestego ósmego kwietnia, Wernerze?

Werner odwrócił się do mnie tak powoli, jakby nie usłyszał pytania.

– Nikt nie wie, co się stało – powiedział. – Mogę ci tylko opowiedzieć, co sam tamtego dnia widziałem i co zrobiłem. A raczej co widziałem i robiłem od dwudziestego ósmego do trzydziestego kwietnia tamtego przeklętego roku. I musimy sobie coś obiecać, Jeremiaszu.

Był niezwykle poważny.

– Co mamy sobie obiecać?

– Opowiem ci wszystko, co wiem, niczego nie pomnę, a ty w zamian za to obiecasz mi, że zrobisz wszystko, żeby ta historia cię nie pożarła.

Użył niemieckiego słowa *fressen*, które wyraża jedzenie na sposób zwierzęcy, czyli żarcie. W odniesieniu do człowieka używa się słowa *essen*, jeść.

Bestie pożerają.

– Bo tak się dzieje ze wszystkimi, którzy biorą sobie do serca tę masakrę w Bletterbach.

Zjeżyły mi się włosy na głowie.

Miałem wrażenie, że powiewy, które już na dobre zmieniły się w wiatr, zaczęły syczeć.

– Opowiem ci o wszystkim.

Ale w tym momencie zadzwoniła moja komórka i obaj jak na zawołanie zamarliśmy.

– Przepraszam – powiedziałem do Wenera, zły, że telefon przerwał nam rozmowę. Były jakieś zakłócenia i nie wszystko dobrze słyszałem.

Dzwoniła Annelise. Płakała.

# Saltner

## 1

Otworzyłem drzwi auta i nawet nie gasząc silnika, wbiegłem do domu. Annelise siedziała w moim ulubionym fotelu na środku salonu.

O nic nie pytając, pocałowałem ją. Pachniała kawą i prasowaniem.

Clara wychyliła głowę ze swego pokoju i przybiegła objąć Wenera.

– Mama krzyczała – powiedziała.

– Pewnie trzeba było – odparł Werner.

– Rozgniewała się. Baaardzo. I brzydko mówiła. Ale właśnie...

– Clara. – Annelise rzadko zwracała się do dziecka tak surowym tonem. – Idź do siebie.

– Ale ja...

– Możemy pójść razem, zabierzemy się do robienia strudla – wmieszał się Werner, gładząc nachmurzoną buzię dziewczynki. – Na pewno chcesz wiedzieć, jak robiła strudel twoja biedna babcia?

– Babcia Herta? – Clara się rozpogodziła. – Ta, co już jest aniołem? Bardzo bym chciała wiedzieć.

Werner wziął ją za rękę i poszli do kuchni.

Dopiero wtedy Annelise się odezwała:

– Nienawidzę ich.

– Kogo?

– Wszystkich.

– Uspokój się.

– *Uspokój się?*

Przeciągnąłem palcem po bliźnie.

– Chciałbym wiedzieć, co się stało, nic więcej.

Rozpłakała się. Nie był to taki szloch, jaki rozdarł mi serce tamtego dnia, kiedy jej obiecałem rok sabatyczny. Teraz w jej płaczu brzmiała złość.

– Poszłam do Aloisa, chciałam kupić trochę zapasów, jakieś puszki i słoiki. W radiu usłyszałam, że spadnie śnieg – pociągnęła nosem – i pewnie odezwał się we mnie taki odruch, jaki mają wiewiórki. Mama zawsze uzupełniała zapasy, kiedy pojawiał się pierwszy śnieg, bo nigdy nic nie wiadomo. A potem...

Skoro doszło już do tego, że wspomniała matkę, choć był to dla niej temat



tabu, musiało się wydarzyć coś naprawdę poważnego.

– Stałam za półkami. Wiesz, jak jest urządzona ta nora Aloisa, prawda?

– Kupuję u niego papierosy.

– I nagle słyszę, o czym to Alois rozmawia z Luise Waldner...

– Z tym babskiem, co przyniosło tu placek z jagodami, kiedy wróciłem ze szpitala?

– Tak, z nią.

– Co takiego mieli sobie do powiedzenia?

– Rozmawiali.

Zamknąłem oczy.

– Ale co mówili?

Odpowiedziała mi prawie szeptem:

– Że to była twoja wina.

– I co jeszcze?

– Co jeszcze? Wysłałam zza półek. I zaczęłam ich obrzucać wyzwiskami. A ta świnia powiedziała, że umiem dobrze pyskować, bo jestem żoną mordercy.

*Morderca.*

Właśnie tak. Morderca.

– I co...?

Annelise otworzyła szeroko oczy.

– Co zrobiłam? Jak myślisz? Wzięłam Clare za rękę i wysłałam. O Boże, gdybym mogła, wydrapałabym jej oczy. A nawet... Wiesz, co ci powiem? Żałuję, że jej nie pobiłam. Najpierw jej, potem jego... – Wybuchnęła płaczem.

– Żałuję, bardzo żałuję...

– Nie przejmuj się. To nic takiego. Ludzie... wiesz, jacy są ludzie. Nie wiesz?

– Ta Waldner... To ona czytała pożegnanie na pogrzebie mojej matki.

Przypomniały mi się słowa Wenera. Epitet, jakim obdarzyła mnie pani Waldner, był niczym w porównaniu z oszczerstwami, jakimi drodzy mieszkańcy Siebenhoch obrzucili Evi, Kurta i Markusa. Mocno objąłem Annelise.

– A Clara? Jak się zachowała?

– Ty rozumiesz, co się w niej dzieje? W tej naszej dziewczynce?

Uśmiechnęliśmy się do siebie.

– Rozumiem, że ją kocham. I to mi wystarczy.

Przez całe popołudnie zachowywałem się bardzo spokojnie, wesoło i całkowicie nieszczerze.

Pomogłem Clarze wyrobić ciasto na strudel i żartowałem z Wernerem, który podjął się obrać jabłka.

Byłem naprawdę *cool* tego dnia.

A potem, kiedy już delikatny zapach ciasta wypełnił wszystkie zakamarki kuchni, a Werner zbierał się do wyjścia, wykorzystałem okazję i zaproponowałem, że zawiozę go do Welshboden.

– Chcesz, żebym ci opowiedział, jak się skończyła ta historia? – spytał, ledwo znaleźliśmy się w samochodzie.

– Chcę szybko wrócić do Annelise. Do ciebie przyjadę wieczorem, jeśli pozwolisz.

Kiedy dojechaliśmy na miejsce, Werner upomniał mnie:

– Nie rób głupstw, Jeremiaszu.

Pożegnałem się z nim, ruszyłem z powrotem do miasteczka i popędziłem możliwie jak najszybciej do sklepiku Aloisa. Nie chciałem robić głupstw. Chciałem tylko rozkwasić mu gębę.

Zatrzymałem się na sygnal migania światłami, który zobaczyłem we wstecznym lusterku.

### 3

Twarz, którą dostrzegłem w lusterku, znałem z widzenia, jak niemal wszystkie twarze mieszkańców miasteczka, ale oczywiście nie mogłem jej przypisać do nazwiska.

Pięćdziesięcioletni mężczyzna, łysiejący, z niewielką brodą. Kiedy poprosił o dokumenty, błysnął drobnymi, równymi zębami.

Za jego plecami nadjechał szosą, zwalniając, czarny mercedes. Za oknem mignęła czyjaś sylwetka, ale nie dostrzegłem nic więcej. Szyby były przyciemnione. Nedorzeczne rozgoryczenie, że nie wiem, kim był tamten nieznajomy, jakoś mnie zirytowało.

Podąłem mężczyźnie w mundurze prawo jazdy, dowód rejestracyjny i paszport, który zawsze nosiłem przy sobie. Przeglądał je z roztargnieniem. Nie z powodu dokumentów mnie zatrzymał, przynajmniej tego byłem pewien.

– Jechałem za szybko?

– Na tych zakrętach? Gdyby był pan tutejszy, to nie.

– Ale nie jestem tutejszy.

Potrząsnął dobrotliwie głową.

– Gdyby pan był tutejszy, to w tej chwili badałbym pana alkomatem. I gdyby pan przekroczył dozwoloną prędkość chociażby o tyle – pokazał małą odległość między kciukiem a palcem wskazującym – już bym panu zabrał pojazd, zapewniam pana.

– Pierwszy raz w życiu za przekroczenie prędkości zatrzymuje mnie – wskazałem na odznakę na jego piersi – funkcjonariusz straży leśnej.

– Tak to u nas jest. Siebenhoch...

– ...to mała społeczność. Już to zrozumiałem, bo wszyscy mi o tym przypominają.

Mężczyzna wzruszył ramionami. Sprawiał wrażenie dobrego wujaszka. Takiego, co to w Boże Narodzenie przebiera się za Świętego Mikołaja. Gdyby nie to, że zachowywał się oschle, jakby chciał mnie zrazić do siebie, uznałbym go nawet za sympatycznego. Ale był rozdrażniony.

Zajadły.

Wreszcie udało mi się przeczytać jego nazwisko na pasku naszytym na szarozielonej bluzie: Krün. Wspominała mi o nim Annelise, nazywała go „szef Krün”.

Sam natknąłem się na niego już parę razy. Siedział w tym aucie podobnym do skrzyni, które teraz migąło światłami za moimi plecami, kiedy patrolował ulice albo parkował pod jakimś barem. Barów w Siebenhoch było niewiele i we wszystkich zawsze było pełno.

– No to jest pan człowiekiem, którego w moim kraju – nie rezygnowałem z żartobliwego tonu – nazywają szeryfem?

Krün się zaśmiał.

– Szeryf? To mi się podoba. I tak właśnie jest. Straż miejska, policja, straż leśna. A czasami nawet pierwsza pomoc albo spowiednik. Sam pan rozumie. Władze miasta zawsze chętnie patrzą na wszystko, co pozwala im trochę zaoszczędzić. Więc nikt się nie krzywi na takiego jak ja. A ludzie bardziej ufają komuś, kogo znają. Tak się dzieje zwłaszcza...

– ...w małych miasteczkach.

Krün westchnął.

– *Genau* – powiedział. – W Siebenhoch wszyscy się znamy, lepiej czy gorzej. Wie pan, o co mi chodzi?

– Prawdę mówiąc, nie wiem.

– Naprawdę?

– Jeżeli jechałem za szybko, proszę mi wypisać mandat i pojedę sobie dalej.

– Spiesz się panu, panie Salinger?

– Skończyły mi się papierosy. Alois za chwilę zamknie, a nie chcę, żeby całą noc śniły mi się tylko marlboro.

– Może pan się przejechać do Aldino. Jeden sklepik jest tam otwarty całą dobę, a także jeden bar obok niego. Przystań dla kierowców ciężarówek. Polecam tam kawę, ale mają też papierosy. Marlboro. Lucky Strike. Camel. Jest w czym wybierać. Raj dla palaczy.

– Dzięki za dobrą radę. No to tylko ten mandat...

Zniknął mu z twarzy wyraz dobrego wujaszka, który w Wigilię wkracza do domu i zaczyna swoje „o-ho-ho”. Miałem przed sobą twarz surowego policjanta.

– Nie skończyłem z panem, panie Salinger.

– Grozi mi pan?

Krүн podniósł obie ręce.

– Ja? Daję panu tylko wskazówki. My tutaj, w Siebenhoch, jesteśmy ludźmi serdecznymi. Ma pan milutką córkę, panie Salinger. Jak ma na imię? Clara?

Zacisnąłem ręce na kierownicy.

– Tak.

– Wie pan, co jest pięknego w takich miejscach jak nasza, panie Salinger? Patrzyłem na niego przez chwilę, ale potem zapora nie wytrzymała.

– Gównu mnie to obchodzi – wykrztusiłem – chcę tylko kupić sobie te nieszczęsne papierosy i szybko wrócić do domu.

Krүн nie okazał zaskoczenia.

– Może pan wysiąść z auta?

Odwrociłem głowę w jego stronę. Wydało mi się, że coś zaskrzypiało mi w karku.

– Z jakiej racji? – warknąłem.

– Sprawdzę pana alkomatem. Może nie jest pan w stanie prowadzić.

– Nie zgadzam się na żadne zasrane alkomaty, *szefie* Krүн.

– Proszę wyjść, panie Salinger. I upominam pana. Proszę nie stosować takiego języka wobec funkcjonariusza na służbie. Jutro będzie pan mógł złożyć na mnie zażalenie do kogo pan tylko zechce. Z przyjemnością dostarczę panu formularz. A teraz proszę wysiąść.

Wysiadłem.

– Ręce na kark – zarządził Krүн.

– Chce mnie pan aresztować?

– Naoglądał się pan za dużo filmów, panie Salinger. To zresztą pańska praca. Ręce na kark. Proszę unieść lewą nogę i zachować równowagę, jak

długo każe.

– To żalosne – zaprotestowałem.

– To rutyna – odpowiedział mi lodowato.

Zrobiłem, co kazał, czując się jak głupiec.

Krүн teatralnym gestem mierzył czas mojego popisu.

Trwało to pięć minut. Mijające nas samochody zwalniały. Mogłem nawet, mimo szumu silników, usłyszeć coś z tego, co o nas mówili. W końcu Krүн pokiwał z uznaniem głową.

– Nie jest pan pijany, panie Salinger.

– Mogę wsiąść?

– Najpierw musi mnie pan wysłuchać. A potem pojedzie pan sobie, gdzie tylko zechce. Jeśli pan jeszcze zechce.

Krүн poprawił czapkę.

– Na tym odcinku drogi ograniczenie szybkości wynosi sześćdziesiąt na godzinę. Za niecały kilometr, po trzech zakrętach, wjedzie pan na teren zabudowany. Tam obowiązuje czterdzieści. Słucha mnie pan, panie Salinger?

– Dziękuję za informację. Z rozkoszą się dostosuję.

– Dojazd do Aloisa bez przekraczania szybkości zajmie panu dwanaście minut. Może trzynaście. No to pytam: warto?

Rzuciło mną.

Szef Krүн dostrzegł, że mnie zaskoczył.

– Nie ma żadnych tajemnic tu u nas, w Siebenhoch, panie Salinger. Nie ma dla mnie. Dla szeryfa. – Podszedł blisko. – Wie pan, dlaczego pana zatrzymałem?

– Proszę mi powiedzieć.

Krүн zatarł parę razy rękę.

– Dowiedziałem się o jakichś zgrzytach, o jakiejś zapalczywej wymianie poglądów dziś przed południem między pańską żoną a panią Waldner. Tymi zgrzytami został objęty także pan Alois, właściciel sklepiku w naszym mieście. Nic ważnego, szkoda gadać. Ale kiedy zobaczyłem, że spieszy się pan do naszej miejsciny, nie powiem, że z nadmierną prędkością (tak tylko to ujmę w moim raporcie), ale z prędkością znośną, pomyślałem, że kto wie, może przyszło panu do głowy, żeby niezwłocznie wymierzyć sprawiedliwość. Ale to nic dobrego, panie Salinger.

– Chciałem tylko tę sprawę wyjaśnić.

– Ma mnie pan za naiwnego? Wiem o panu wszystko – przerwał mi, głos mu drżał. – Wiem o wszystkim, co pan zrobił. Tam, wtedy.

Ucisk na karku. Mroźne ukłucie bólu.

– Cóż takiego zrobiłem?

Krūn wskazał na swoją odznakę.

– Nic nagannego z punktu widzenia kodeksu karnego.

– To znaczy, że są tu jeszcze jakieś inne punkty widzenia?

Był w mundurze czy nie, nieważne. Gotów byłem skoczyć mu do gardła. Musiał to spostrzec, bo zmienił ton na mniej niezyczliwy. Znowu miałem przed sobą dobrego wujaszka.

– Poszło nam to w złą stronę, panie Salinger. Opłaca się to panu?

– Opłaca – burknąłem, bo adrenalina jeszcze burzyła mi się w żyłach.

– Nie chcę, żeby czuł się pan tutaj obcy. Jest pan zięciem starego Maira. A jego, Wenera, wszyscy w Siebenhoch szanują i wszyscy cieszymy się, że Annelise zechciała chociaż na krótko tutaj wrócić. Na dodatek wasza dziewczynka jest urocza. Frau Gertraud, bibliotekarka, uwielbia ją. Mówi, że dziecka tak dobrze rozwiniętego jak na swój wiek nigdy nie widziała.

– I dzięki temu ja także stałem się tubylcem?

– Uznajmy, że tej bariery pan nie przekroczył. Ale zwykłemu turyście do pana daleko. Orientuje się pan, co mam na myśli?

– Nie – odpowiedziałem zimno.

– Chcę być z panem szczerzy, uwzględniając właśnie pańską pozycję... mile widzianego gościa. W Siebenhoch zdarza się wiele awantur. Zbyt wiele. A ja mam za zadanie nie tylko wpakować do aresztu pijaka albo wezwać lekarza, żeby go pozszywał. Muszę również zażegnywać kłopoty. Zanim do nich dojdzie. Tak przynajmniej do tych rzeczy podchodzę. – Na chwilę umilkł, potem ciągnął dalej: – Wiem, co ludzie o panu mówią. Zwłaszcza po tym wypadku na Ortles. Ale to tylko pomówienia.

– I pan tym pomówieniom wierzy?

Dobry wujaszek potrząsnął głową.

– To, czy wierzę, czy nie wierzę, całkiem się nie liczy, panie Salinger. Ani tu, ani teraz. Pan, gdyby mógł, już by mi wymierzył masę kopniaków. Nie jestem ślepy, jak pan się domyśla. Kipi w panu złość. Liczy się dla mnie teraz to, żeby pan wrócił do domu. Położy się pan do łóżka, wyśpi się pan i nie będzie już wracał myślą do takich pomówień, jakimi dzieli się ze sobą dwoje starych ludzi, którzy nie mają nic innego do roboty, jak tylko źle mówić o innych. Nie warto do tego wracać. Nie warto przyznawać im racji.

– Przyznawać im racji?

– W moim zawodzie trzeba też sięgać trochę do psychologii, panie Salinger. Kiedy sięga się do siły mięśni, daleko się nie zajedzie. A psycholog, którego jednak mam w sobie, mówi mi, że człowiek pędzący ze *znośną*

prędkością do punktu handlowego, którego właściciel wyraził o nim sąd niezbyt pochlebny, czuje się tym sądem zraniony. Użycie pięści wobec osoby, która ma, chociaż na to nie wygląda, pewnie dziesięć lat więcej od pańskiego teścia, panie Salinger, może nawet doraźnie by pana zadowoliło, ale przecież w ten sposób przyznałby pan rację Aloisowi i kto wie ilu jeszcze osobom w Siebenhoch.

Jego rozumowanie było mi wprawdzie wstrętne, ale gdzieś w głębi czułem, że rzecz tak właśnie się przedstawia.

Tak, czułem się mordercą. To dlatego chciałem się dobrać do tego plotkarza i pięścią nauczyć go rozumu. A wcale nie dlatego, że Annelise i Clara przez niego płakały, jak to sobie powtarzałem całe popołudnie. Przeciwnie, dlatego że te plotki nie były bezpodstawne. Wyładowałbym na nim całą nienawiść, którą odczuwałem wyłącznie do siebie samego. Stosowne zachowanie, ale dla marnego człowieka.

Byłem dla siebie odrażający.

Odetchnąłem głębiej. Poziom adrenaliny spadał.

Popatrzyłem na Krüna i zobaczyłem go takim, jakim był. Osobnikiem w mundurze, który stara się, jak może, zażegnawać kłopoty.

– Jest pan porządnym człowiekiem i teraz rozumiem, dlaczego nazywają pana szefem Krünem. Przyznaję panu rację – dodałem. – Chętnie postawiłbym panu któregoś dnia piwo. Chyba jestem to panu dłużny.

Szef Krün już się rozluźnił. Podał mi rękę.

– Mów do mnie Maks. Mowy nie ma o długu, to zwykły obowiązek.

– Dzięki, Maks. Ty mów mi Salinger, tak mnie nazywa nawet moja żona – powiedziałem z uśmiechem.

#### 4

Położyłem Clarę do łóżka, ale wcześniej musiałem jej przeczytać jakąś historyjkę. Pocałowałem Annelise rozważającą pomysł przyrządzenia znakomitej pieczeni na kolację i pożegnałem się z nią, mówiąc, że obiecałem Wernerowi wygrać z nim partię szachów. Włożyłem kurtkę i wyszedłem z domu, żeby wysłuchać historii o dwudziestym ósmym kwietnia 1985 roku.

Na dworze sypał śnieg.

# Dwudziesty ósmy kwietnia 1985

## 1

W Welshboden przywitał mnie dobrze usposabiający zapach kominka i tytoniu. Werner poczęstował mnie grappą na ziołach, odwzajemniłem mu się papierosem.

– Byliśmy przy burzy nad Siebenhoch. O ile się nie rozmyśliłeś... – powiedziałem.

– Musisz usłyszeć jeszcze jedno, zanim ci opowiem o tamtym morderstwie. Takich burz, które odradzają się same, nie można przewidzieć. Nawet dzisiaj, mimo tylu dostępnych sztuczek elektronicznych, możesz wiedzieć tylko tyle, że będzie padać, i co najwyżej, że trzeba się spodziewać ulewy. Nie możesz przewidzieć, że burza będzie straszliwa. Tym można tłumaczyć, że jednak się do tego wąwozu wybrali.

– Evi, Kurt i Markus.

– Cała trójka umiała chodzić po górach, mieli w tym wprawę, zwłaszcza Kurt. On naprawdę nie był z tych, co narażają się na ryzyko, ale też nie z tych, co boją się paru kropli deszczu. W dodatku kiedy ruszali z Siebenhoch, jeszcze nie padało. I to jedno, Jeremiaszu, muszę ci mocno wbić do głowy: nie mieli pojęcia, że coś takiego może się rozpętać. Takich burz, które same siebie napędzają, naprawdę nie można przewidzieć.

– O której wyszli?

– Nigdy nie ustaliliśmy tego dokładnie. Ale chyba jeszcze było ciemno. Gdzieś koło piątej, powiedzmy. Tylko turyści są leniwi, oszczędzają się, chociaż mają iść w góry. – Na chwilę zamilkł. – W osiemdziesiątym piątym nie było tam jeszcze Centrum Turystycznego, Bletterbach zachował się w stanie pierwotnym. Zwróciłeś uwagę, że teraz są tam wytyczone tylko dwie trasy marszu?

– I ktoś, kto z takiej trasy schodzi, naraża się na niebezpieczeństwo – powiedziałem, pamiętając o przestrodze Ilse.

– Tak, wtedy w wąwozie Bletterbach nie było żadnych bezpiecznych ścieżek. Chodziło się ścieżkami dla myśliwych, takimi drózkami zagubionymi w paprociach, były też dawne ścieżki dla mułów, chodzili nimi drwale, ale żadne z tych przejść nie prowadziło daleko w góry. Nikomu nie opłacało się wycinać drzew gdzieś w głębinach, bo jak ściągać stamtąd pnie? Potok nie



jest na tyle szeroki, żeby je spławiać, a też nie dałoby się wywozić ich ciężarówką lub jeepem.

*W głębinach.*

– Zaczęło padać z rana, około dziesiątej. Porządna burza, trochę piorunów. Ale że to zapowiada taki koniec świata, jaki się potem rozpętał, nikt nie mógł się domyślić. W kwietniu burze u nas powtarzają się często, w ratownictwie nieraz już z rana liczyliśmy się z tym, że czeka nas dzień długi i nudny, bez pracy. Pozostawały nam tylko karty, a na dworze robiło się coraz ciemniej. Tamtego dnia o piątej po południu poprosiłem o zastępstwo i wróciłem do domu. Zdażyłem w samą porę, zanim usłyszałem, że burza zamienia się w coś gorszego.

– Usłyszałeś to?

– Zdawało się, że zaczyna się ciężki nalot i bombardowanie. Deszcz walił z taką siłą, że niepokoiłem się o przednią szybę, a grzmoty... mało powiedzieć były, bo ryczały bez opamiętania. Czy Annelise... – wyczułem smutek w jego głosie – ciągle boi się grzmotów?

– I to jak.

Nie powiedziałem, że Annelise znalazła niezawodne lekarstwo na tę swoją fobię: seks. Nie takich wiadomości o córce oczekuje ojciec.

– Zjadłem coś, podrzemałem przy telewizorze, a około wpół do dziesiątej wysiadł prąd. Co wcale mnie nie zaniepokoiło, bo przy takiej burzy to całkiem normalne. Rozstawiłem po domu kilka świeczek i stanąłem w oknie, żeby obserwować, co się dzieje. Powiem ci, Jeremiaszu, tyle, że nie wierzę w jakieś zjawiska nadprzyrodzone. W zjawy, wampiry, zombi. I nie chcę, byś pomyślał, że miałem jakieś przeczucia. Nie, nic takiego, nie o tym mówię, niemniej jednak... – Nie dokończył zdania. – Byłem nerwowy, bardzo, bardzo nerwowy. Grzmoty nie robią na mnie większego wrażenia. Nawet trochę mnie cieszą. Cenię sobie całą tę moc, która siecze ziemię, bo jest ode mnie znacznie potężniejsza. A ta potęga wydaje mi się piękna. Ale tamtego wieczora pioruny uwzięły się na mnie, dotykały mnie do żywego. Nie mogłem ustać ani usiedzieć na miejscu. Żeby się uspokoić, zabrałem się do sprawdzania mojego ekwipunku ratowniczego. Nie tego, którym się posługiwałem, latając helikopterem, tylko mojego wysłużonego plecaka, z którym dawniej wyprawiałem się w góry. I właśnie kiedy kończyłem sprawdzanie zapieć, ktoś zadzwonił do drzwi. Przyszli po mnie we trzech: Hannes, Günther i Maks.

– Maks Krün? – spytałem zdumiony. – Szeryf?

– Szef straży leśnej – poprawił mnie Werner. – Znasz go?

– Porozmawialiśmy pewnego razu, tak to można ująć.

– Jaki ci się wydał?

Szukałem słów, żeby go właściwie scharakteryzować.

– Dobry wujaszek, który na święta przebiera się za Świętego Mikołaja. Ale nie daj Boże nastąpić mu na odcisk.

Werner uderzył dłonią w kolano – zadowolona go moja opinia.

– Umiesz sobie radzić ze słowami, Jeremiaszu. Dobry wujaszek, którego lepiej nie drażnić. To cały on. A ty go pewnie rozdrażniłeś.

– Mało brakowało.

– Ale to porządny człowiek. Twardy. Musi taki być, przynajmniej wtedy, gdy ma na sobie mundur. Ale jeśli trafi ci się okazja zamienić z nim parę słów, gdy nie jest na służbie, zobaczysz, że to człowiek bystry, rozsądny, a nawet bardzo zabawny.

– Co robił wtedy, w osiemdziesiątym piątym?

– Był szeregowym pracownikiem straży leśnej. Jeszcze żył naczelnik straży Hubner, zmarł dopiero cztery lata później, na parę dni przed zburzeniem muru berlińskiego. W marcu przeszedł pierwszy zawał i Maks, nieopierzony wyrostek, musiał wziąć na siebie wszystkie jego obowiązki. Wtedy do mnie wszedł pierwszy. Z tą swoją twarzą dorastającego chłopaka i oczami zbitego psa. Był przemoknięty, ale też ożywiony, nadzwyczaj ożywiony. Za nim stali Hannes i Günther. Obu dobrze znałem. Wszyscy trzej mieli miny, które nie wróżyły nic dobrego. Poprosiłem, żeby weszli, zaproponowałem po kieliszku na rozgrzewkę. Odmówili. Wiem, że zabrzmiało to śmiesznie, ale dopiero w chwili, kiedy odmówili wypicia grappy, na dobre się przestraszyłem.

– Naprawdę?

– Maks był młody i zastępował naczelnika Hubnera, więc pewnie odczuwał wielką odpowiedzialność za tę naszą wyprawę ratunkową, szczególnie przy takiej pogodzie. Ale Hannes i Günther już nie byli smarkaczami. Nieraz zdarzały się nam wezwania w środku nocy, coś takiego nie było dla nich nowością. Drwale, którzy nie wrócili przed nocą z lasu, zagubione dzieci, pasterze poturbowani upadkiem ze skały, takie tam różne przypadki. Hannes i Günther niejedno widzieli. Zwłaszcza Hannes.

Wreszcie zaskoczyło mi w głowie to proste skojarzenie.

– Hannes. Hannes Schaltzmann – szepnąłem. – Ojciec Kurta?

– Tak, on.

Przymknąłem oczy, by coś z tą wiadomością zrobić. Próbowałem wczuć się w to, co musiał przeżywać Hannes Schaltzmann, kiedy zobaczył zwłoki syna. Odchyliłem się na oparcie krzesła, ogień w kominku grzał mi nogi.

– Chodzi o to, że Günther nigdy nie odmawiał kieliszka. Zwłaszcza grappy z mojej specjalnej rezerwy. A skoro już jesteśmy przy tym, wypijesz?

Nie czekał na odpowiedź.

Wstał, przechylił butelkę. Brzęknęły kieliszki.

– Specjalna rezerwa. Grappa pędzona według starego przepisu rodziny Mairów. Kiedyś moi przodkowie musieli być rzeczywiście bogaci, ale z tamtych czasów zostały mi tylko ich wspaniałe przepisy. Nie to, żebym się nad sobą użalał, nie lubię tego.

– Dlaczego powiedziałaś „rzeczywiście” bogaci?

– Tak mówi samo nasze nazwisko. *Mair*. To znaczy „posiadacz”. Wiele niemieckich nazwisk coś znaczy, głównie to, jaki zawód kto uprawia. *Mair* to lokalna odmiana nazwiska *Mayer*, właściciel ziemski. *Schneider* to krawiec. *Fischer* – rybak. *Müller* – młynarz. A jak z tobą, twoje nazwisko coś znaczy?

– Jestem z Ameryki – powiedziałem, powtarzając łagodnym tonem sławne powiedzenie Bruce’a Willisa. – Nasze nazwiska nie mają takich znaczeń.

Werner raz jeszcze przechylił butelkę i napełnił kieliszki.

– Grappa na papryczce. Produkowana, rozlewana i rozprowadzana przez obecnego tu Wernera Maira.

– Za te stare historie – wzniosłem toast.

– Za stare historie – powtórzył Werner. – Niech pozostaną tam, gdzie są.

Przełknąłem płynny ogień. Po takim wstępie zaraz odezwały się we mnie ciepło pod mostkiem i przyjemna szorstkość na języku.

Werner odchrząknął, sięgnął do mojej paczki po papierosa i podjął opowieść.

– Alarm podniósł Hannes. Cały dzień spędził na jakiejś pracy poza miastem, a wróciwszy do domu, usłyszał od Helene, od żony, że Kurt z innymi wybrał się na wyprawę do Bletterbach. Wzięli ze sobą namiot, bo zamierzali nocować. To Hannesa nic a nic nie zaniepokoiło. Choć nie rozmawiał z synem, od kiedy ten zamieszkał z Evi w Innsbrucku, wiedział, że Kurt dobrze sobie radzi na takich wyprawach. Był ratownikiem, a my, ratownicy, nawet jeśli tak nie jest, uważamy się w górach za elitę. Choćby dlatego, że w odróżnieniu od innych rozumiemy, jakie niebezpieczeństwa tu grożą, i umiemy je na czas przewidzieć.

– Ale później, kiedy burza rozpełtała się na dobre i zmieniała się w niecichnącą nawałnicę, Hannes musiał się zaniepokoić...

– Z początku był spokojny – odparł Werner. – Takie burze jednak nie trwają długo. Są rzeczywiście straszne, ale mijają w trzy godziny i jest po wszystkim. Można sobie z nimi poradzić. Ale wtedy ulewa nie cichła, a nawet

z minuty na minutę była coraz gwałtowniejsza.

– I wtedy Hannes podniósł alarm.

Nie. Raz jeszcze źle się domyśliłem.

– *Nix*. Hannes wyszedł z domu i poszedł do siedziby straży leśnej, żeby porozmawiać z Makssem. Już nie było światła, z telefonów nie dało się korzystać, ale w kierownictwie straży mieli krótkofalówkę, której używali w nadzwyczajnych okolicznościach. Hannes chciał jej użyć, żeby się porozumieć ze służbą porządkową w Bolzano i wyczuć, czy jest powód do niepokoju. Maksa w siedzibie straży nie zastał, więc poszedł do niego do domu. Tego dnia świętowali urodziny Vereny, dziewczyny Maksa, która potem została jego żoną. Hannes trafił na rozbawione towarzystwo i wpadł jak kruk, który przynosi złe wieści. Przeprosił, że psuje zabawę, i wyjaśnił Maksowi, dlaczego potrzebuje krótkofalówki. Wrócili razem do siedziby straży i próbowali się połączyć z Bolzano.

– I nic z tego nie wyszło?

– Były pioruny, jeden za drugim. Próbowali, ale połączenie chrobotąło, tak że na jedno by wyszło, gdyby zamiast tego wkładali głowę do pralki. Nigdy się z czymś takim nie zetknęli. No to się przestraszyli. I postanowili od razu zorganizować wyprawę ratunkową. Wstąpili po drodze do Günthera i już we trzech przyszli po mnie. A ja właśnie miałem sprawdzony ekwipunek, jakbym na nich czekał. – Pokiwał głową. – Przeczucie? Nie wiem. Naprawdę nie wiem.

– Była, z grubsza biorąc, północ – podjął po krótkim milczeniu – kiedy ruszyliśmy jeepem ratownictwa. Z miasta udało się nam wyjechać gładko, ale potem musieliśmy dwa razy stawać. Naprzód, żeby usunąć z szosy zwalone drzewo, a potem, żeby ubezpieczyć terenówkę, przywiązaliśmy ją do skały i dzięki temu pokonaliśmy bezpiecznie kawałek podmytej drogi.

– Było aż tak źle?

– Było jeszcze gorzej. – Werner wstał i wyjął z szuflady mapę. – Gdzieś tutaj kończy się utwardzona droga w stronę Bletterbach – przesunął palcem po kilku centymetrach mapy – i tylko do tego miejsca udało nam się dotrzeć.

Przyjrzałem się.

– Trzy kilometry?

– Cztery. Dalej było już samo błoto. Wiedzieliśmy, że w tej sytuacji lepiej by było odwrócić się na pięcie i poczekać, aż impet ulewy zelżeje.

– Ale wiedzieliście też, że chodzi o syna kolegi.

– Więc nie miało sensu się namyślać. Poszliśmy. Bez ustanku odrywały się od skał kamienie, słyszałem, jak świszczą mi koło ucha. Droga była jedną

wielką rzeką błota i każdy krok mógł się skończyć skręceniem kostki albo złamaniem nogi. Już nie wspominam o zwalonych drzewach i usypiskach skalnych.

Wskazał na mapie miejsce, gdzieś w środku Bletterbach, w którym linia poziomicy skręcała na wschód.

– Byli tutaj, ale o tym jeszcze nie wiedzieliśmy.

– Blisko ścieżki?

– Blisko czegoś w rodzaju ścieżki. – Werner się skrzywił. – Przy przejściu, którym wyszli trochę w górę. – Wskazał je na mapie. – Gdzieś tutaj. Potem musieli skręcić na północny zachód i wreszcie po raz drugi odbili w bok, żeby znaleźć się wyżej. Doszli dotąd.

– Zrozumiałeś dlaczego?

– Pewnie ze ścieżki nie można było korzystać już od czwartej po południu i Kurt pomyślał, że gdy przemieszczą się na zachód, uda się im iść dalej po skale, a nie po rozmiękłej glinie, na której wytyczona była ścieżka.

– Ale zmienili plan – dlaczego?

– Przypuszczam, ale to tylko mój domysł, że Kurt od początku chciał dotrzeć do jaskiń. Gdzieś tutaj, popatrz.

– W wąwozie są jakieś jaskinie?

– Dawniej Siebenhoch nazywało się Siebenhöhlen, co znaczy „siedem jaskiń”. Kurt chyba miał nadzieję, że natrafi tam na jakiś suchy kąć, gdzie mogliby przeczekać ulewę. Ale pewnie pod wieczór zrozumiał, że to nie jest zwykła burza, i uprzytomnił sobie, że choćby nie wiedzieć jak chcieli, nie uda im się tam dotrzeć. Dlatego wołał, by wyszli wyżej i skierowali się na wschód. Popatrz tutaj. A potem tutaj. W tych miejscach są usypiska skalne, które na pewno zalała woda, więc jedyna droga, pozwalająca wyjść wyżej, prowadziła tędy. I właśnie tutaj, na polance, natrafiliśmy na nich. Rozbili namiot pod nawisem, tuż przy skale, żeby wiatr nie mógł go porwać. – Przerwał, a ja zacząłem obliczać w myślach, ile kilometrów tamci młodzi przeszli, kiedy tak błakali się po lesie. – Kurt był bardzo sprawny. I ostrożny.

– O której na nich natrafiliście?

– Następnego dnia – sucho rzucił Werner.

– Dopiero *następnego* dnia? – spytałem zdumiony.

Nie mogłem pojąć, że czterem mężczyznom, w pełni sił, dobrze wyposażonym i od dziecka obytym z górami, zajęło tyle czasu dotarcie z jednego miejsca do drugiego, bo na mapie te dwa punkty leżały bardzo blisko siebie.

Tak mi się wydawało, bo byłem chłopakiem wychowanym w mieście

i miałem dość nieporadną wyobraźnię. Gdybym postarał się jakoś sobie przedstawić to piekło z nawałnicą, błotem i piorunami, które Werner mi obrazował, na pewno mniej by mnie dziwiło ich tempo. Poza tym moje rozumowanie było wypaczone tym, co wiedziałem o późniejszych wydarzeniach. Tą wiedzą właściwą pomnikom na polach bitew. Ja już wiedziałem, że Kurt, Evi i Markus znajdowali się w tym, a nie innym miejscu, bo powiedział mi o tym Werner, ale ich grupa ratunkowa tamtej nocy z dwudziestego ósmego na dwudziestego dziewiątego kwietnia jeszcze nie miała o tym pojęcia.

– Noc była niedobra. Ciągnęła się i ciągnęła. Powtórzę ci to raz jeszcze: wciąż mówiłem sobie, że trzeba zawrócić.

– Ale nie zawróciliście.

– Nie.

Czekałem, aż Werner zacznie mówić dalej.

– Z latarek nie mieliśmy większego pożytku, ale przynajmniej dzięki nim można było sprawdzać, czy któryś z nas nie wpadł do jakiejś rozpadliny. Wystarczyło zliczać jasne punkty. Około trzeciej w nocy Güntherowi spadł na głowę wielki kawałek skały i rozbił mu kask. Wyrzucił ten kask, nie szczędząc przekleństw, ale nie wycofał się, jakby nic się nie stało. Chociaż nie miało to sensu w tym hałasie burzy, ciągle ich wołaliśmy; zachrypliśmy od tego. O piątej usiedliśmy odpocząć, ale posiedzieliśmy nie więcej niż pół godziny.

Znowu pokazał mi na mapie przebieg ich drogi.

– Skierowaliśmy się tam, gdzie należało, na północny zachód, przekonani, że Kurt postanowił trzymać się przejścia powyżej linii drzew.

– Dlaczego?

– Dlatego że w tej strefie mniej się ryzykuje. Skała jest tam mniej krucha. Kurt na pewno nie chciał pakować się na dno wąwozu, do błota i przelewającego się potoku, bo to by było samobójstwo.

– Czyli Kurt skierował się na północny zachód...

– Tak, ale przejściem leżącym znacznie wyżej niż nasza droga. Poza tym od pewnego miejsca znów skręcił na wschód, a my szliśmy prosto. Ale w hałasie, w ciemnościach, z kamieniami świszczącymi jak szrapnele mogliśmy tych biedaków minąć i niczego nie zauważyć. Smutne, ale taka jest prawda.

– Kiedy postanowiliście skręcić na wschód?

– Nic nie postanowiliśmy. Pogubiliśmy się.

Otworzyłem szerzej oczy.

– Pogubiliście się?

– Byliśmy wykończeni. O siódmej rano wciąż panowała ciemność jak

o północy. Skręciliśmy na prawo zamiast na lewo. A kiedy naraz spostrzeżliśmy, że znajdujemy się na dnie wąwozu, omal nie zginął Maks, bo porwał go wezbrany potok. Zawdzięcza życie odruchowej sprawności Günthera. No i wtedy zrozumieliśmy, że tak klucząc, nigdy nie odnajdziemy Evi, Kurta i Markusa i że musimy działać przytomniej, bo inaczej nie wyjdziemy z tego wąwozu z życiem.

Wskazał mi na mapie długie zakole trasy, którą przeszła wtedy ich grupa.

– W południe się zatrzymaliśmy. – Palec na mapie przesunął się po wschodnim odcinku wąwozu i z łatwością zobaczyłem, że już tylko kilometr dzielił ich od miejsca, gdzie znaleźli ciała całej trójki. – Słanialiśmy się na nogach. Ja miałem skręconą kostkę, wszyscy byliśmy głodni. Wypoczywaliśmy może godzinę. Widoczność nie była większa niż dwa metry. Niepokoila. Baliśmy się okropnie, chociaż nikt z nas nie powiedziałby tego na głos. Wyglądało na to, że Natura zawzięła się na nas. Widzisz, Jeremiaszu, góry zazwyczaj są... Góry nic sobie z ciebie nie robią. Nie są dla ciebie ani dobre, ani złe. Nie pasują do nich takie głupawe określenia. Dla gór jesteś niczym. Ale tamtego dnia wszyscy mieliśmy takie uczucie, że wąwóz chce nas wykończyć. Uraziliśmy czymś Bletterbach. – Werner oparł się wygodniej, odłożył na bok mapę. – A teraz chwilę odpoczne i potem opowiem ci całą resztę.

## 2

Werner wypalił moje marlboro na progu domu, pod daszkiem. Patrzyliśmy na sypiący śnieg w milczeniu, każdy pogrążony w swoich myślach. Wreszcie, jakby chciał poddać się do końca torturze, dał mi znak, żebyśmy wrócili do środka.

Trzeba było tę opowieść skończyć.

## 3

– Około trzeciej po południu wydawało się, że najgorsze minęło. Ale nie minęło, tylko zrobiło się trochę jaśniej i dzięki temu od razu poczuliśmy się lepiej. Ruszyliśmy przed siebie. I po godzinie znaleźliśmy ich. Hannes pierwszy zauważył coś, co mogło być resztką ich namiotu. Jakiś strzęp płótna trzepotał na gałęzi. – Potrząsnął ręką, imitując tamto trzepotanie. – Polanka, na której chcieli przeczekać burzę, leżała parę metrów od nas, ale rósł przed nią kasztan i zasłaniał widok. Kiedy zobaczyłem tę resztkę namiotu smaganą

wiatrem... – Werner pokręcił głową. – Ten kawałek czerwieni na czarnym i zielonym tle wydał mi się jak kot Alicji w Krainie Czarów.

– Jak Kot z Cheshire?

– Pomyślałem, że Bletterbach kpi sobie z nas. Oddychało się jakimś niezdrowym powietrzem. Tak się to wyczuwało, jak wyczuwa się dokuczliwy zapach błota. Coś takiego czaiło się gdzieś pod skórą. Jak jakiś prąd elektryczny. Wiesz, co mam na myśli?

– Wiem.

*Znam to.*

Werner rzucił okiem na moją bliznę.

– Podeszliśmy bliżej. Hannes na przodzie, Maks i Günther za nim. Ja wlokłem się wolniej przez tę zwichniętą kostkę. I usłyszałem krzyk. Nigdy w życiu nie słyszałem tak przeraźliwego krzyku. Zjeżyły mi się włosy na głowie. Krzyczał Hannes. Zamurowało nas. Günther zatrzymał się przede mną. Maks przed nim. Próbowałem unieść nogę, ale była jak sparaliżowana. W górach o czymś takim powiada się: nogi jak z żelaza. Tak się dzieje, kiedy wpadasz w panikę, bo nagle masz za dużo kwasu mlekowego w mięśniach. I tak to naraz miałem nogi jak z żelaza.

– To bardzo obrazowe...

– Ale nic nie mówi o lęku, który opanował mnie w tamtej chwili. Krzyczał człowiek, który był jednym z moich najlepszych przyjaciół, dla którego zgodziłbym się ryzykować życie, wiedząc, że on zachowałby się tak samo wobec mnie, a mimo to odruchowo pragnąłem uciec jak najdalej. A potem...

*Bestia, odezwało się we mnie.*

Tamta Bestia.

– I co się stało?

– Maks rzucił się na Hannesa, chwycił go za ramiona i zwałił z nóg w błoto. Uratował mu życie. Naprzód myślałem, że w panice się pogubił, nie rozumiałem, co się dzieje. Polanka miała może cztery i pół metra średnicy. Nad nią zwisał występ skalny, a na występie widać było resztki złamanego świerka. Od naszej strony rósł kasztan, jak już ci mówiłem, i zasłaniał całą scenę, a po prawej sterczały świerki nad samą przepaścią. Gdyby nie przytomność umysłu Maksa, Hannes skoczyłby w dół. Chciał się zabić. Maks mu w tym przeszkodził.

– Boże święty...

– Przytrzymałem Hannesa, a Günther wymierzył mu parę policzków. Hannes był nieprzytomny. Objąłem go i przyciągnąłem do siebie najmocniej, jak mogłem. Płakałem. Długo płakałem. Płakałem z powodu Hannesa, który



nie panował nad sobą, a oczy wychodziły mu z orbit. Płakałem z powodu tego, co widziałem. Czy raczej *nie widziałem*, bo kiedy trzymałem w uścisku Hannesa, żeby nie rzucił się z urwiska, miałem oczy zamknięte, mocno zaciśnięte. Ale to, co zdołałem zobaczyć, wryło się we mnie na zawsze, tak było wyraziste. Nie wiem, jak długo staliśmy tak objęci. Wreszcie oderwałem się od niego. Położyliśmy go pod kasztanem i przykryliśmy kurtką, bo deszcz nie przestawał lać i...

Załamał mu się głos.

– Mieli odzież pociętą czymś ostrym. Jakimś nożem. Poniewierają się wszędzie. Oni także byli... wszędzie. Kurt leżał pośrodku polany, miał oczy otwarte, patrzyły w górę. Patrzyły na chmury, ale na jego twarzy nie rysował się spokój, zapewniam cię. Nie miał obu ramion. Jedno leżało pół metra od korpusu, drugie w zaroślach. Ranę miał też tutaj – pokazał na mostek. – Jedną wielką ranę. Zadana siekierą albo tasakiem, tak przynajmniej uważali karabinierzy.

– Siekierą?

– Evi miała obie nogi odcięte na wysokości kolan.

Zebrało mi się na wymioty, poczułem je w przetyku.

– Prawe ramię miała wykręcone, może próbowała się bronić. I nie było głowy.

Musiałem wstać i pobiec do łazienki. Zwymiotowałem, ale wcale nie poczułem się lepiej.

Wróciwszy, zastałem Wenera z filiżanką parującego rumianku w rękę. Piłem z wdzięcznością. Zapaliłem papierosa. Chciałem się wyzbyć przykrego posmaku.

– Mów dalej, Wenerze.

– Chcesz, żebym mówił?

– Znalezliście ją? Głowę Evi?

– Nie znaleźliśmy jej ani my, ani karabinierzy. Nie dość tego, karabinierzy znaleźli znacznie mniej niż to, co my zobaczyliśmy. Burza zmyła wiele rzeczy, a też – powiedział to ciszej, jakby się usprawiedliwiał – no wiesz, zwierzęta...

– A Markus?

– To samo było z nim. Tyle że leżał niżej. Uciekając, upadł i rozbił sobie głowę. Miał wielką ranę na nodze, drugą na plecach, ale zginął przez to, że spadł ze skały.

– Boże...

– Bóg patrzył w inną stronę tamtego dwudziestego ósmego kwietnia.

– Co zrobiliście?

– Przez tę zgrozę straciliśmy poczucie czasu, a burza jak na złość się wzmogła. Była już siódma, zapadał zmrok.

– Cztery godziny. Nie ruszyliście się stamtąd przez cztery godziny?

– To się wdzierało w każdego z nas, Jeremiaszu. Taka zgroza wdziera się w ciebie i nie chce wyjść z powrotem. Nie myśl, że reagowaliśmy chorobliwie, ale to, co zobaczyliśmy, było tak niesłychane i złe, tak, właśnie złe, że całkiem odjęło nam zdolność trzeźwego myślenia. Zastanawiałem się nad tym całe lata, uwierz mi. Sądzę, że Maks, Günther, Hannes i ja zostawiliśmy wtedy kawałek duszy w Bletterbach. Tamtego dnia i następnej nocy.

Zakrztusiłem się, niemal się zadławiłem.

– Zostaliście tam całą noc?

– Ten nawis skalny dobrze nas osłaniał, cały teren dokoła rozpadał się, osypywał, roztapiał jak wosk, ale ta polana jakoś się trzymała. Waliło tyle piorunów, że tylko cudem nikomu z nas nic się nie stało. Nie mogliśmy się stamtąd ruszyć.

– Ale zwłoki...

– Przykryliśmy je zapasowym brezentem. Obłożyliśmy wielkimi kamieniami i pozbieraliśmy resztki rzeczy tych nieszczęśników, żeby nie roznosiły ich wiatr i ulewa. Dobrze wiedzieliśmy, że jesteśmy na miejscu zbrodni i że im więcej śladów da się uratować, tym więcej danych będą mieć karabinierzy, żeby szukać i ująć tego łajdaka, który to zrobił. Ale prawdę mówiąc, zostaliśmy tam dlatego, że nie mieliśmy wyjścia. Gdybyśmy się stamtąd ruszyli, byłoby po nas. Góry trzymają się tylko własnych zasad, może się to podobać lub nie, ale tak jest. – Wycelował we mnie palec. – W pewnych okolicznościach, w takich nadzwyczajnych, a to naprawdę były okoliczności nadzwyczajne, liczy się tylko to...

– Czy przeżyjesz.

Werner potarł sobie skroń.

– Czekaliśmy całą noc przytuleni do siebie. Hannes modlił się i krzyczał, Günther przeklinał, a ja ich obu uspokajałem. Rano, ledwo się rozjaśniło, ruszyliśmy. Hannes nie był w stanie utrzymać się na nogach, nawet gdyby mu to nakazywał sam Bóg Ojciec, a moja kostka była już całkiem do niczego, tak że Maks i Günther dźwigali Hannesa na zmianę na plecach. Ale i Güntherowi nie było łatwo, mówiłem ci już, że kawałek skały spadł mu na głowę i rozbił kask.

Nie ciągnął tego wątku dalej.

Nie było to już potrzebne.

– Doszliśmy do jeepa. Załadowaliśmy Hannesa i wróciliśmy do Siebenhoch. Wykąpałem się i spałem dziesięć godzin bez przerwy. Kiedy się obudziłem, Herta o nic mnie nie pytała. Zrobiła moje ulubione danie, zjadłem je łapczywie. Dopiero wtedy zdałem sobie sprawę z tego, co przeżyłem, i zacząłem płakać tak, jak nie płakałem nawet na pogrzebach rodziców.

– I zaraz daliście znać policji?

– W Siebenhoch wciąż były nieczynne telefony i odcięta elektryczność. A krótkofalówka? Nie łączyła. Służba porządkowa przez dwa dni oczyszczała koparkami szosę do miasta. Nikt nie miał zielonego pojęcia, co się stało w Bletterbach. W zarządzie prowincji wiedzieli, że w Siebenhoch mieszkają ludzie przyzwyczajeni do stanów wyjątkowych, i dlatego skierowali całą pomoc do miejscowości leżących w dolinie, słabiej zaludnionych i nie tak dobrze przygotowanych na najgorsze jak my. Karabinierzy pojawili się czwartego maja, kiedy burza minęła. Zarządzili dochodzenie, ale nigdy nie znaleźli winnego. W końcu i karabinierzy, i prokuratura tyle tylko wymyślili, że trzech młodzi ludzie nie mieli szczęścia: natknęli się na niestosowną osobę w niestosownej chwili.

– I tyle? – spytałem zdumiony.

Werner rozłożył ręce.

– I tyle. Mam nadzieję, że ten łajdak zdechł w jakimś kącie Bletterbach. Mam nadzieję, że po zmasakrowaniu naszej nieszczęsnej trójki góry się z nim policzyły. Kiedy potok przybiera, zawsze myślę, że przyniesie resztki tego skurwysyna. Ale to tylko pobożne życzenie.

– Nie przesłuchali nikogo z Siebenhoch?

– Co masz na myśli? – zapytał Werner, zapalając papierosa.

– Kogoś z mieszkańców. To przecież oczywiste.

– Ponosi cię fantazja.

– Czemu?

– Bo zapominasz, co to Siebenhoch. Trochę ludzi, nic więcej. Sądzisz, że nikomu nie przyszło do głowy to, co mi teraz mówisz? O tym pomyśleliśmy w pierwszej kolejności, ale gdyby ktoś tutejszy poszedł ukradkiem za nimi, to wszyscy dobrze by o tym wiedzieli. Uwierz mi. Bo tutaj wszyscy wiedzą wszystko o wszystkich. Minuta po minucie. Nie mówiąc o tym, że przy takiej nawałnicy dotrzeć do tamtej polany w głębi wąwozu, zamordować ich i wrócić tutaj bez budzenia podejrzeń byłoby po prostu niemożliwe.

– No tak...

– Obiecałeś – przerwał mi Werner.

Przytaknąłem mu mrugnięciem.

– Całą historię tamtego morderstwa masz już jak na dłoni. I na tym koniec. Nie daj się temu pożreć, Jeremiaszu. Nie daj się pożreć tej historii, jak zdarzało się to innym.

– Innym? Komu? Hannesowi?

– I mnie, Jeremiaszu.

#### 4

Milczeliśmy naprawdę długo.

– Każdy z nas radził sobie z tym na swój sposób. Całe miasto było wstrząśnięte, nawet jeżeli ktoś...

– Jeżeli ktoś nie był wstrząśnięty za bardzo... – powiedziałem cicho, mając na myśli komentarze o śmierci Evi i Kurta, o których Werner powiedział mi po tamtej błahej przygodzie, jaka spotkała Annelise w sklepiku Aloisa, a które teraz wydały mi się bardziej spodziewane niż wtedy, kiedy usłyszałem je po raz pierwszy.

– My to widzieliśmy. Słyszeliśmy to... zło. I od razu podjąłem decyzję.

– Żeby wyjechać?

– Już od jakiegoś czasu o tym myślałem. Mówiłem ci, że miałem załatwioną pracę w drukarni w Cles, prawda?

– Mówiłeś mi, że robiłeś to dla Annelise.

– Zasługiwała na to, by mieć ojca, który nie ryzykuje dzień po dniu utraty życia. Ale nie powiedziałem ci, że już nie byłem w stanie tutaj wytrzymać. Patrzyłem na to, jak ludzie w Siebenhoch wrócili sobie spokojnie do zwykłego życia, jakby nic się nie stało, i nie mogłem tego znieść. Wyprostowano słupy latarni, naprawiono linie telefoniczne, załatano drogi, a gdzie to było konieczne, pousuwano obsunięte skały ładunkami wybuchowymi. Ludzie chcieli czym prędzej zapomnieć o tym, co się wydarzyło, także o morderstwie w Bletterbach. Zapomnieli o nim szybko i bardzo łatwo, a tak się nie godzi.

– Powiedziałeś, żebym nie dał się pożreć jak inni. Jak kto?

– Kilka godzin po naszym powrocie, kiedy Siebenhoch było jeszcze odizolowane od świata, Hannes przyłożył Helene dubeltówkę do głowy i ją zastrzelił. Znaleźli go z tą bronią w ręku przy zwłokach żony. Nieszczęście odjęło mu rozum. Aresztowali go, umieścili w Pergine i żył tam do 1997 roku. Pochowaliśmy go tutaj, obok żony i syna. Ludzie w Siebenhoch często są twardzi, zdarza im się pleść nedorzecznosci, ale naprawdę do wszystkich

dotarło, co spotkało rodzinę Schaltzmannów. To nie Hannes zabił Helene, zabiło ją to przeklęte zło, które zmasakrowało Kurta, Evi i Markusa. Günther także leży tutaj. Czasami zanoszę kwiaty na jego grób i wiem, że Günther, którego znałem, gdyby jeszcze był między nami, bardzo by mnie za to zwymyślał. Jakbym go słyszał... Kwiaty? Przynieś mi piwo, *du Arschloch!*

– Jak zmarł?

– Już wcześniej nie umiał się powstrzymać, gdy nadarzały się okazje, żeby coś wychylić, ale po Bletterbach wpadł w nałóg po uszy. Stał się alkoholikiem, i to awanturczym. Maks często przetrzymywał go całą noc w siedzibie, żeby nikogo nie poturbował. Kiedy był pijany, mówił tylko o masakrze. Obsesyjnie. Wbił sobie do głowy, że sam znajdzie mordercę. Opowiadano mi o wszystkim, bo mnie już nie było w Siebenhoch. W 1989 Günther miał wypadek samochodowy. Był pijany do nieprzytomności, zginął na miejscu. Lepiej dla niego, dość się nacierpiął. Wiesz, dlaczego stale noszę kwiaty na jego grób? Dlatego że czuję się winny. Gdybym został tutaj, może Günther miałby się komu wyżalać. Ale mnie już nie było. A inni nic nie pojmowali. Nie mogli go zrozumieć. Nie widzieli tamtego.

– Był jeszcze Maks.

– To prawda. Ale Maksa także poraził Bletterbach. Ożenił się z Veroną, z tą dziewczyną, którą poznałem w dniu jej urodzin, zajął miejsce naczelnika Hubnera i z pasją oddaje się swojej pracy. – Werner popatrzył mi w oczy. I następne słowa wypowiedział z naciskiem: – Za dużo tego oddania. Tak to sobie ułożył, że będzie wymierzał kary. Chce być wcieleniem obrońcy Siebenhoch, człowiekiem, który nie daje spokoju obcym ludziom, turystom, ponieważ...

– Ponieważ ten, co zamordował Evi i chłopaków, musiał być kimś obcym.

# Bar Lily

## 1

Pojechaliśmy z Annelise i Clarą do Bolzano zwiedzić muzeum archeologiczne, gdzie znajduje się najstarsza naturalna mumia, jaką kiedykolwiek odnaleziono. Nazwano ją Ötzi.

Ötzi był pasterzem (a może wędrowcem albo szamanem, albo poszukiwaczem metali, albo... teorii na temat jego tożsamości wysunięto aż za dużo), żył w epoce miedzi i został zabity na stokach Similaun nie wiadomo przez kogo i nie wiadomo dlaczego.

Kiedy Clara go zobaczyła, zalała się łzami. Powiedziała, że ten biedaczek był dzieckiem elfów, które straciło mamę. Annelise i ja musieliśmy się bardzo starać, żeby ją uspokoić.

Muszę przyznać, że i ja się wzruszyłem, patrząc na tę figurkę liczącą sobie pięć tysięcy lat, która przetrwała w gigantycznej lodówce, jaką są góry, i w niej wyschła, zachowując grymas smutku na twarzy, ale skłoniły mnie do tego inne skojarzenia. Myślami wciąż wracałem do masakry w Bletterbach.

Jak Evi, Kurt i Markus, tak i Ötzi nigdy nie doczekał się zadośćuczynienia. A może się myliłem? Może kiedyś, powiedzmy, trzy tysiące lat przed Chrystusem, znalazł się ktoś, kto przeprowadził rzetelne śledztwo, żeby wykryć morderców tego nieszczęśnika. Może ktoś go opłakiwał?

A kto go zamordował?

Ötzi był mężczyzną w podeszłym wieku. Starzy ludzie mają dzieci, a dzieci wydają na świat swoje dzieci, myślałem, podziwiając jednocześnie, z jak wielką sprawnością ten człowiek wysoki na niecałe metr pięćdziesiąt sporządził sobie wyposażenie, dzięki któremu mógł przeżyć w świecie nieznanym antybiotyków ani środków odkażających. Niemającym czerwonego helikoptera Ratownictwa Alpejskiego w Dolomitach gotowego lecieć na każde zawołanie. Może tamte dzieci i tamte wnuki go opłakiwały? Wzniosły stos pogrzebowy na jego cześć? Poświęciły w jego intencji jakieś zwierzę? Do jakich bogów kierował myśli przed śmiercią ten zastrzelony z łuku człowiek z lodowca? A może i tamtego dnia Bóg, jak wyraził się Werner, patrzył w inną stronę?

O Ötzim udało się wiele dowiedzieć. Współczesna technologia umożliwiła zbadanie treści jego żołądka i ustalenie, czym się pożywił ostatni raz przed

śmiercią. Zachowały się ślady chorób, na które cierpiał, a dzięki temu można było zrozumieć racje, medyczne, nie estetyczne, dla których wykonał sobie ponad trzydzieści tatuaży. Dokuczał mu artretyzm, a tatuaże znaczyły miejsca, gdzie wsączano pod skórę wyciągi z ziół leczniczych. Archeolodzy zrekonstruowali cały ekwipunek, który miał przy sobie: łuk, torbę, siekierę mocowaną do pasa, pelerynę z wyschniętych roślin, czapkę z futra. Odtworzono szczegółowo technikę wykonania tych przedmiotów. Znamy nawet kolor jego oczu (ciemny) dzięki badaniom DNA, a za pomocą grafiki komputerowej odtworzono, jak mogła wyglądać jego twarz za życia, ta twarz, z którą spoczął w lodowcowym grobie, by przetrwać w nim pięć tysięcy lat. Mimo to ciągle mi się zdawało, że są to sprawy mało ważne w porównaniu z tymi pytaniami, które odnaleziona mumia mi zadawała.

Co się Ötziemu śniło?

Czy śniły mu się polowania? Czy śniły mu się wilki wyjące do księżyca? Czy śniły mu się zarysy tych gór, w których miał znaleźć śmierć? O czym rozmyślał, kiedy wpatrywał się po nocach w gwiazdy? Jak nazywał Wielką Niedźwiedzicę?

A przede wszystkim: dlaczego został zabity?

*I przez kogo?*

## 2

Świętowaliśmy Halloween z nieodłączną dynią w oknie, rozwieszonymi girlandami, plastikowym szkieletem świecącym w ciemności, nietoperzami pod sufitem, popcornem i dobrym horrorem.

Clarze film się nie podobał, bo jej zdaniem widać było, że zombi są nieprawdziwi. Powiedziała to jednak pytającym tonem. Chciała, by ją w tym upewnić. Annelise mrugnęła do mnie znacząco: „a nie mówiłam, geniuszu?”, więc do późnej nocy pokazywałem Clarze, jak robi się krew filmową: sok z jagód i miód. Z dodatkiem kawy, żeby krew była ciemniejsza.

– A jak się robi, żeby zombi miał straszną twarz?

Postarałem się najlepiej, jak umiałem, i udałem twarz zombi z mocno wywieszonym językiem i opętanym wzrokiem. Clara kręciła nosem.

Pocałowałem ją. Zombi miał chwilę słabości.

– A to obrzydlistwo na twarzy? Jak się robi takie obrzydlistwo?

– Z plasteliny i płatków kukurydzianych.

– Z płatków?

To także jej pokazałem.

Była w siódmym niebie. Wymyśliliśmy, jak przestraszyć Annelise, a ona udawała, że jest przerażona miniaturowym zombi (w piżamie w kropki), który szedł w jej stronę z wyciągniętymi przed siebie rękami i dudnił ponurym głosem (o ile głos pięcioletniej dziewczynki może być ponury): „Zaraz cię zjeeem!”, „Zaraz cię zjeeem!”.

Kosztowało nas trochę wysiłku położenie Clary do łóżka, za to potem pozwoliliśmy sobie na kieliszek wina.

– Twoja córka – rzuciłem, sącząc znakomite marzemino – nie tak dawno posłużyła się określeniem „pogubiony”. Dziewięć liter, kolej na panią.

– Gdzie usłyszała to słowo?

– Od ciebie.

Annelise podniosła kieliszek do ust.

– A o co mi chodziło?

– Wysił się, odgadnij.

– Przecież *jesteś* roztargniony. Przyznaj.

– Chcesz, żebym znowu oddał się w ręce lekarzy? Byłabyś spokojniejsza?

Annelise uścisnęła mocno moją dłoń.

– Jesteś zdrowy. Jest okej. Widzę to. – Przygryzła wargę, co wydało mi się nadzwyczaj seksowne. – Masz te złe sny?

Pewnie, że miałem. I ona dobrze o tym wiedziała. Doceniłem jednak jej delikatność.

– Czasami. – Pochyliłem się i pocałowałem jej palce. – Ale o nic się nie martw. Czuję się dobrze. I nie głowię się nad niczym.

– Tak mi mówisz?

– Tak ci mówię.

### 3

Gdyby Annelise zaczęła buszować w moim laptopie, który z białego zrobił się szary od popiołu papierosów nad nim wypalonych, odkryłaby, że w folderze „Sprawy” jest plik zatytułowany „B”. Jak „Bletterbach”. Ale też jak „błazen”.

Sześć liter.

Tyle co inne „B”: „bydlak”.

### 4

Pewnego popołudnia, parę dni po rozmowie z Wernerem, pojechałem do Trydentu pod pretekstem, że chcę kupić kilka płyt DVD do mojej kolekcji.



W rzeczywistości spędziłem dwie godziny w czytelni biblioteki uniwersyteckiej.

Nie interesowały mnie mikrofilmy ani wersje elektroniczne artykułów, tylko sterty pożółkłych dzienników. Pod pokrywającymi je pokładami kurzu znalazłem jedynie nieliczne wzmianki o morderstwie w Bletterbach. Ówczesnych dziennikarzy ciekawił raczej powszechny bałagan spowodowany burzą. Było też dużo wywiadów i mnóstwo komentarzy, które obrazowały mniej więcej to samo, z czym zapoznał mnie Werner. Eksperti orzekali, jakiego rodzaju klęska żywiołowa dotknęła cały region, a duże czarno-białe fotografie przedstawiały szkody wyrządzone przez ten kataklizm z wody i błota.

Życie straciło jedenaście osób, a ten ostateczny bilans spowodował wprawdzie trochę polemicznych zaczepek, które jednak wkrótce wygasły, przesłonięte zgiełkiem kolejnych błahych aktualności.

Burmistrz musiał podać się do dymisji, a odpowiedzialni za zaniedbania radni zachowali stanowiska po okazaniu ostentacyjnej skruchy na pogrzebach ofiar. Służby porządkowe obsypał pochwałami prezydent republiki, człowiek z fajką w zębach, który nazywał się Sandro Pertini. Wydał mi się dziwakiem, ale był obdarzony niezwykle charyzmą.

Do sprawy zabójstwa powracano rzadko albo nie powracano wcale.

Na fotografii wężu z lotu ptaka brakowało charakterystycznej sylwetki Centrum Turystycznego ze szkła i aluminium, które dopiero miało się pojawić w tamtym miejscu. Zamieszczono w prasie portret Evi, pewnie dlatego, że była bardziej fotogeniczna od towarzyszących jej w tamtej feralnej wyprawie chłopaków. Oschłe „no comment” wypowiadali ludzie, którzy mieli coś wspólnego z dochodzeniem (ich nazwiska zapisałem sobie na pudełku papierosów). Natrafiłem nawet na wywiad z Wernerem, który miał jeszcze więcej jasnych włosów niż siwych i mniej zmarszczek, ale nie mniej podkrążone oczy i użył określenia „wstrząsająca rzeź”. Kilka dni później zamieszczono nekrolog Helene Schaltzmann. Ani słowa o obłędzie Hannesa.

Chciałem poszukać także nekrologu Günthera Kagola w gazetach z 1989 roku, ale zrozumiałem, że tylko straciłbym czas. A już zrobiło się późno.

Podziękowałem bibliotekarzowi i wróciłem do domu w porze kolacji. Pieczeń z ziemniakami. Pocałowałem żonę, pocałowałem córkę i poprosiłem, by mi opowiedziały, co robiły pod moją nieobecność.

Zanim się położyłem, uzupełniłem plik o wszystko, co wypatrzyłem w bibliotece.

Wmawiałem sobie, że robię to dlatego, żeby nie zaprzepaścić nabytej

wprawy w moim zawodzie. „B” jak „bawić się”.  
„B” jak „blefować”.

## 5

„B” jak „Bletterbach”.

## 6

Nie zdając sobie z tego sprawy, uciekałem się do tych samych sposobów, jakich używałem we wszystkich wcześniejszych pracach. Byłem i jestem zwierzęciem rutyniarskim.

Przy zapisywaniu opowieści Wenera zadbałem o to, żeby w komputerowym zapisie zachowały się emfaza i te wszystkie emocje, które budziły we mnie jego słowa, ponadto sporządziłem suchy wykaz cech charakterystycznych, morfologii, geologii, fauny i flory Bletterbach, a wkrótce potem zabrałem się do gromadzenia danych historycznych, które miały poszerzyć moją wiedzę o wąwozie.

Zacząłem te dalsze poszukiwania pewnego popołudnia, kiedy Annelise i Clara pojechały do Bolzano na zakupy („Rzeczy dla kobiet, tato”, „Rzeczy drogie?”, „Rzeczy ładne”). Wybrałem się do biblioteki muzeum geologicznego, które mieściło się w gmachu Centrum Turystycznego w Bletterbach.

Książek mieli niewiele, w większości zostały wydane dzięki lokalnym subwencjom w małych wydawnictwach i były to głównie panegiryki opiewające dawne, dobre czasy (bez napomykania o biedzie, która jeszcze do niedawna trzymała w kleszczach cały region, a tym bardziej o „Belfaście na ziemiach strudlowych”). Nie mogły mi się przydać do moich celów, czytałem je jednak zachłannie, notując sobie te fragmenty, które najmocniej poruszyły moją wyobraźnię.

Szczególnie cenne wydały mi się sprawozdania, czasem z błędami ortograficznymi, z pamiętnych akcji ratunkowych Ratownictwa Alpejskiego w Dolomitach. Często pojawiały się w nich nazwiska Wenera i Hannesa. Kilkakrotnie także Günthera. W długim artykule z okazji obchodów rocznicowych, uzupełnionym o czarno-białe zdjęcie, była również mowa o Manfredzie Kagolu, człowieku, który wymarzył sobie i zbudował Centrum.

Na jednej fotografii zobaczyłem Wenera w uroczystej pozie przy właśnie zakupionej alouette. Na widok zdjęcia jaskrawoczerwonego EC135 poczułem

ucisk w żołądku.

## 7

W następnym okresie zacząłem często bywać w jednym z barów w Siebenhoch, w barze Lily, spelunie z drewnianym krucyfiksem, żeby klient czuł na sobie surowe spojrzenie, z marną lurowatą kawą i z głowami kozicy, jelenia i koziorożca na ścianach, żeby zadrwić z działaczy ochrony przyrody.

Do Lily przychodzili przewodnicy alpejscy i górale, bo mogli tu w spokoju posiedzieć. Zamawiało się tu *Bauerntoast*, po którym nie byłeś głodny całe dni, i piwo, zawsze zimne. A ponadto nikt tu obok ciebie nie wrzeszczał do komórki ani nie wykrzykiwał, jaki to jest typooooowy zakątek.

Gośćmi baru byli w większości emeryci, ale nie należy sobie wyobrażać, że miejsce przypominało przytułek dla starców. Do baru przychodziło także wielu ludzi młodych, a nawet niedorośli, bo wszystkich łączyła zażyłość z górami. Słowem, Lily była lokalem, gdzie miejscowi mogli czytać „Dolomiten”, wypić dwa kieliszki (a nawet pięć czy sześć) i przeklinać w dwu językach, nie przejmując się tym, że urażą pruderyjnych turystów.

Brylowałem tam. Moje anegdoty o „Amerikanerach” budziły zachwyty. Graliśmy w karty, w watten. Nauczyli mnie na moją prośbę najbardziej pikantnych słów w miejscowym *dialokt*. Stawiałem im piwo jak wodę i robiłem, co mogłem, żeby zaskarbić sobie sympatię stałego towarzystwa. Ale przede wszystkim nie ujawniałem swoich zamiarów.

Nie miałem jednak wielkich złudzeń. Ta garstka górali odwzajemniała moją grzeczność, ale to wcale nie znaczyło, że zrodziła się między nami przyjaźń. Byłem w ich oczach uprzejmy, zabawny, pewnie nawet zanadto, bo aż dziwacznie, co z pewnością urozmaicało im wieczory w barze. Ale tylko tyle.

Byłem tu gościem mile widzianym, trochę więcej niż turystą, ale znacznie mniej niż tubylcem, jak powiedział mi Maks Krün.

Ci bywalcy, których dłonie przeważnie nie miały wszystkich dziesięciu palców, bo je tracili albo podczas wspinaczki (jak Werner), albo posługując się piłą motorową, albo obcinając je sobie świadomie, żeby nie pójść do wojska, nie mieli mi za złe, że kręcę się w ich barze, skoro łączą mnie związki rodzinne ze starym Mairem, i byłem pewien, że któryś z nich, a może każdy, powtarza byłemu szefowi ratownictwa mniej więcej wszystko, o czym rozmawialiśmy. Ale byłem sprytny. Miałem obmyślane pewne uzasadnienie moich wizyt tutaj. Jakby powiedział Mike: ułożyłem sobie plan.

Po tygodniu rozmów o wszystkim i o niczym i po wielu przegranych w karty napomknąłem, że chcę zrobić drewniane sanki dla córki. Taki prezent pod choinkę. Czy ktoś może mi powiedzieć, jak mam się do tego zabrać? Wiedziałem, że towarzystwo w barze to w większości doświadczeni drwale, i liczyłem, że ta sprawa dobrze ich do mnie usposobi i pozbawi przynajmniej części niesprecyzowanych podejrzeń.

Udało się.

Zwłaszcza dwóch bywalców zaczęło z zapalem roić, że mogę się stać zręcznym stolarzem. Jednym był dziewięćdziesięcioletni Elmar, drugim jego nieodłączny kompan od kieliszka, siedemdziesięcioletni kaleka Luis (stracił nogę w wypadku przy wyrębie lasu: piła mechaniczna zamiast zrobić „zyg”, zrobiła „zag”).

Elmar i Luis nauczyli mnie, jakie narzędzia muszę sobie kupić, co mam robić, żeby mnie nie oszukali sprzedawcy w sklepie żelaznym, jakie gatunki drewna mam przygotować i na jakie części sanek je przeznaczyć. Ciągłe szkicowaliśmy konstrukcję na serwetkach, które zazwyczaj zostawiałem potem w kieszeni i szły ze spodniami do pralki, co bardzo obu bawiło.

Byłem przecież tylko jednym z tych głupich mieszkańców miasteczka, prawda?

Od czasu do czasu z wystudiowaną niedbałością rzucałem takie czy inne pytanie.

Elmar i Luis byli najszczęśliwsi na świecie, kiedy mogli opowiadać mi te historie, których wszyscy w barze Lily wysłuchali już setki razy.

Dowiedziałem się więc wielu rzeczy, o których autorzy książek z muzeum nie mieli ochoty opowiadać.

Wypadki. Zmarli. Zmarli śmiercią bezsensowną, śmiercią smutną, śmiercią bez przyczyny, śmiercią sprzed stu lat. Śmiercią sprzed *całych wieków*. I dawne legendy, które na początku budzą ironiczny uśmiech, a kończą się zawsze tragicznie.

Jedna z nich poruszyła mnie szczególnie. Opowiadała o zagadkowym tutejszym ludzie, o Fanesach, i zarówno Elmar, jak i Luis przysięgali, że ta opowieść wywodzi się z historii pisanej przez duże „H”.

Fanesowie byli pradawnym plemieniem, które, jak powiada mit, żyło w zgodzie i pokoju. Nie znali wojen, mieli władcę, który rządził sprawiedliwie i mądrze. Wiodło się wszystkim wspaniale, ale nagle zniknęli, nie zostawiając po sobie śladów. Z dnia na dzień. Nazwę Fanes nosiła teraz tylko miejscowość leżąca dziesięć kilometrów na północ od parku krajobrazowego, ale Elmar i Luis byli święcie przekonani, że zło, które

zmiołło ten pradawny lud, pochodzi ni mniej, ni więcej tylko z Bletterbach. „Taki to kącik tam mamy”, powiedział Luis. Właśnie tam piła mechaniczna zamiast zrobić „zyg”, zrobiła „zag”.

Uff!

Najbardziej prawdopodobne domysły brały pod uwagę inwazję plemion z południa, może z okolic Wenecji, bo te były bardziej rozwinięte i agresywne. Ale wojny pozostawiają po sobie ślady, a nie odnaleziono żadnych świadectw, które potwierdzałyby takie zdarzenia. Po Fanesach nie zachowały się ani szkielety, ani ostrza strzał, ani zbiorowe mogiły. Tylko legenda. Luis i Elmar jednakże zasłużyli sobie u mnie na kufle forsta.

## 8

W połowie listopada nastąpiły dwa wydarzenia.

Pierwsze: Luis poczęstował mnie tortem, który nie miał smaku.

Drugie: Tort bez smaku nabrał podejrzanego smaku krwi.

# Tort o smaku B

## 1

Wieczór w Lily toczył się przyjemnie. Elmar wyszedł wcześniej, bo dokuczał mu artretyzm. Luis był towarzyski i gadatliwy jak zawsze. Graliśmy w watten (radziłem sobie trochę lepiej, choć przypuszczam, że wygrane zawdzięczam raczej dobremu usposobieniu moich przeciwników niż moim rzeczywistym postępom) i wypiliśmy po kilka kufli piwa.

Na dworze leżało dwadzieścia centymetrów śniegu, a temperatura spadła do kilku stopni poniżej zera. Nie było wiatru.

– Możesz odprowadzić mnie do domu, Amerykaner? – rzucił Luis, jednocześnie pokazując mi, że od kolana w dół nie ma nogi.

Luis wcale mnie nie potrzebował, żeby dotrzeć do domu. Czy był lód, czy lodu nie było, radził sobie ze swoimi kulami fenomenalnie. Pewnie chciał rozmówić się ze mną z dala od wścibskich uszu. Istotnie, kiedy doszliśmy pod jego dom, zaprosił mnie do środka na kieliszek, chociażby po to, powiedział, żebym się zagrzał. Zgodziłem się z ochotą, zaciekawiony i ożywiony.

W mieszkaniu Luisa panował bałagan, jak należało się spodziewać, skoro było to mieszkanie wdowca, który całe życie spędził wśród drwali przy wycince lasu. Ale było czysto i od razu doceniłem gust, dość staroświecki, z jakim urządził wnętrze. Aby trafić w sedno, trzeba by powiedzieć, że mieszkanie było „przytulne”, dziewięć liter.

Sądząc po fotografiach w ramkach zawieszonych na ścianach, Luis musiał czuć się w życiu szczęśliwy.

– To twoje dzieci?

– Marlene i Martin. Ona mieszka w Berlinie, jest architektem. Martin założył przedsiębiorstwo transportowe w Trydencie. Radzą sobie dobrze. Dom Marlene jest jakby klubem dla artystów, ja o takim towarzystwie nie chcę słyszeć, ale ona jest zadowolona. Martin ma swoje lata i jednego syna. Jeszcze dziecko.

Nalał mi kieliszek grappy o przyciągającym zapachu.

– Jak dziecko ma na imię?

– Francesco. Ma trzy lata. Na Boże Narodzenie przyjadą do mnie w odwiedziny.

– No to za twoją rodzinę – wzniosłem toast.

– Za Bletterbach – odpowiedział na to Luis.

Oszupiałem, kieliszek znieruchomiał mi w połowie drogi do ust. Luis zaśmiał się, stuknął swoim kieliszkiem w mój i wychylił go jednym haustem, nie spuszczać ze mnie wzroku.

– To dlatego zaprosiłeś mnie do siebie?

Luis przytaknął.

– Możesz wyprowadzić w pole Elmara, chociaż umysł mu się nie zaćmił. Dzięki Bogu nie ma kłopotów z chodzeniem za potrzebą, ledwie kogut zapieje, ma w każdym oku po dziesięć dioptrii, ale widzi dobrze, na głowę także nie może narzekać. Mimo to... nie połapał się... Chyba mnie rozumiesz?

Strasznie się zaczerwieniłem.

– Werner o tym wie? – spytałem.

Luis potrząsnął głową.

– Jeżeli wie, to nie ode mnie. Przecież w Lily nie przesiadujemy tylko my dwaj z Elmarem.

Zakląłem w myślach.

– Werner – ciągnął Luis – jest osobą wpływową i szanowaną. Jedną z tych, co nie muszą nikogo obcesowo wypytywać.

– Ja... – bełkotałem.

– Nie musisz się usprawiedliwiać, Amerykaner. Przynajmniej nie przede mną. Przed teściem? Może. Przed własnym sumieniem? Na pewno. Chyba że jesteś jednym z tych, co nie mają zielonego pojęcia, czym jest to głupie sumienie. Ale nie wyglądasz mi na takiego. Nie jesteś taki?

– No, nie jestem.

„B” jak „blefowanie”.

Albo prawie.

– Na to liczyłem. Dlatego zaprosiłem cię tutaj. Chciałbym ci udzielić rady.

– Rady w jakiej sprawie?

– W Siebenhoch masz samych prostych ludzi. Niczego innego nie chcą, tylko ciepłego dania wieczorem, dachu nad głową i tuzina wnuków, żeby pomagały na starość. Problemów nie lubią. I tak mamy dość kłopotów w tych stronach, to po co szukać kłopotów innych, tych nie z naszych stron.

– A ja jestem nie z waszych stron!

– Tak jakby – odpowiedział Luis, co w gruncie rzeczy pokrywało się z sądem szefa Krüna. – Trochę tak, trochę nie.

– Wolno mi wypić kilka kufli piwa w Lily, ale nie mam prawa wsadzać nosa w sprawy, z którymi nie mam nic wspólnego.

– Nie podchodź do tego tak ponuro, chłopaku. Nie zawzięliśmy się na ciebie. Jesteśmy ludźmi poczciwymi. Prawie wszyscy. Powiedzieli mi, co się wydarzyło twojej żonie u Aloisa, i uważam, że to była podłość. Prawdziwa podłość. Ale czego się spodziewać po takim handlarzu – wskazał przy tym na pudełko marlboro, które wystawało mi z kieszeni koszuli – co sprzedaje gwoździe do trumny nawet dzieciakom?

– Dzięki za przestrożę, Luis – powiedziałem po chwili milczenia.

– Po co z takim zadęciem? Cała moja przestroga to tyle, że Werner sprawdza, co robisz, a kiedy Werner coś sprawdza, to lepiej mieć się na baczności. Ale lubi cię i siedzi w nim własne poczucie sprawiedliwości. Kiedy przeniósł się do Cles, niektórzy tutejsi mieli mu to za złe. Jakoś nam go brakowało. Ale jego poczucie sprawiedliwości nie jest moim poczuciem sprawiedliwości. Wiesz, co zawsze powtarzała mi matka? Że najlepszy sposób na to, by dziecko nabrało apetytu, to nie dawać mu tortu. – Roześmiał się.

Poczułem, że serce skacze mi w piersi, jak chce.

– A ty odwrotnie, chcesz bym jednak tego tortu spróbował?

Luis rozsiadł się wygodniej w fotelu. Wyciągnął rękę i wyjął z szafki fajkę i tytoń.

– Nie było tej rozmowy, chyba to wiesz?

– Wiem.

– I przestań się do mnie przymilać, Amerykaner. Tort, który ci podtykam, to nic wielkiego. Pewnie dlatego opowiadam ci o tych sprawach, którymi w Lily nikt nie ma odwagi z tobą się podzielić. Bo ten stary tort nie ma żadnego smaku.

– Chcesz mnie zapewnić, że w środku jest pusty?

– *Genau*. Nic w nim nie ma. Ma smak niczego. I chociaż żona wychowała mi dwójkę wspaniałych dzieci, to jestem zdania, że jak poczęstujesz chłopaka tortem, to nawet jeśli ten tort wyda mu się obrzydliwy, to przynajmniej przestanie wiercić się po całym domu jak suczka w potrzebie.

Odwzajemniłem jego uśmiech.

– Chyba Werner opowiedział ci lepiej, co tam się wydarzyło, niż ja mógłbym to zrobić. Zawsze umiał dobrze dobierać słowa. Szedł do polityków i rozmawiał z nimi tak, że ogrywał ich w ich własnej dyscyplinie, czyli w krętaństwie. Ja byłem tylko drwałem bez nogi i jedyna książka, którą w życiu przeczytałem, to zbiór dowcipów, z których nikt się nie śmieje, a kiedy na filmie nie ma żadnych wybuchów, to zasypiam w kinie. Umiem jednak pojąć, czego ludzie chcą od innych. A ty chcesz od nas tego, co w telewizji nazywają „miejscową opinią”. Chyba się nie mylę?



– Nie mylisz się.

Luis pykał z fajki. Żarzył się tytoń.

Miły zapach.

– Kto to zrobił? – rzucił nagle. – Wszystko kręci się dokoła tego pytania. Kto zabił tych nieszczęsnych? Oficjalnie nikt. Ale w 1987 roku aresztowano jednego policjanta z Wenecji, który w różnych odstępach czasu zabił trzech turystów w Dolomitach, w pobliżu Belluno, i we Friuli. Ćwiartował ich siekierą. Na rozprawie twierdził, że jest niewinny i że to jest zmowa sądowa. I on, i jego adwokat stawiali na niepoczytalność. Podczas procesu ktoś przypomniał sobie o morderstwie w Bletterbach, a wtedy policja wznowiła dochodzenie i, zdaje się, znalazła poszlaki wskazujące na to, że ten typ był w naszych stronach w kwietniu i maju osiemdziesiątego piątego. Ale to były tylko poszlaki, a kiedy nie ma dowodów albo spontanicznych wyznań, to co zostaje w garści?

– Nic.

– Uznali go za niepoczytalnego. Był wariatem, ale nie był głupi.

– Myślisz, że to on?

Luis wycelował we mnie fajkę jak rewolwer.

– Daję ci tort, który nie ma żadnego smaku, drogi chłopcze. Reszta na twojej głowie.

– Co jeszcze? – zachęcałem go.

– Później skierowali śledztwo na kłusowników. Ty, zdaje się, uwierzyłeś, że morderca działał sam. A jeżeli nie zrobiła tego jedna osoba? Na to przecież też nie znaleziono żadnych dowodów.

– No tak – szepnąłem. Istotnie, jakoś zapomniałem, że opowieść Wenera jest jego własną wersją, a nie prawdą bezstronną. To błąd początkujących, wyrzucałem sobie rozgoryczony.

– Polowanie tutaj, u nas, jest jak druga natura. Poluje się na kozice, sarny, koziorożce, bażanty, bekasy. Czasami także na głuszce i wilki, kiedy się pojawiają. Jeśli kiedyś zajrzysz w Lily na zaplecze, to zobaczysz wypchanego rysia. Na tabliczce jest rok 1888, ale moim zdaniem powinien być znacznie późniejszy i dlatego tego trofeum nie wystawia się w sali.

– Byłoby złą reklamą?

– Oczywiście. Ale nie o to chodzi. Jeszcze do dzisiaj nie wszyscy w Siebenhoch przełknęli sprawę parku krajobrazowego. Prócz tego musisz wiedzieć, że w osiemdziesiątym piątym ten park był tylko projektem na kartce maszynopisu na biurku prowincjonalnego urzędnika. Warunki w takiej sprawie dyktowali myśliwi, a po części także kłusownicy.

– Mieliby zabić tych troje? Po co?

– Markus. Celem mógł być Markus. W osiemdziesiątym piątym miał szesnaście lat, ale już sobie wyznaczył, o co mu chodzi. Nie odstępował na krok Maksa, bo Maks i Kurt byli dla niego ideałami. Chciał wstąpić do straży leśnej. Szkoda, że nie mogłeś widzieć Maksa, kiedy koło niego kręcił się Markus: nasz przyszły szef wypinał pierś i podzwaniał odznakami. – Luis pokiwał głową. – Obaj byli młodzi, a w młodych zawsze coś się pali. Do wszystkiego biorą się z entuzjazmem. A Markus do wszystkiego się wtrącał i jakby tego było mało, chciał uchodzić za strażnika przyrody, jednego z tych nieprzejednanych. Jeżeli gdzieś usłyszał o nielegalnym odstrzale, zaraz biegł z donosem do naczelnika Hubnera. Hubner spisywał protokół, wypytywał o szczegóły, przytakiwał Markusowi, dziękował mu, a pod wąsem śmiał się z tego naiwnego chłopaka. Przed zawałem i on polował. Szkoda gadać. Wszystkie te protokoły wędrowały do piecyka, ledwo Markus wychodził z biura. Ale ten trop wiązał się z jeszcze jednym.

– Mściwi kłusownicy?

– Kłusownicy bici po kieszeni. Markus bez przerwy burzył im gniazda.

– Gniazda? – spytałem, marszcząc czoło.

– Kłusownicy najwięcej zarabiali na sarnach sprzedawanych restauracjom. Fortunę zbija się też na ptactwie. Wybierali pisklęta z gniazd i zastawiali pułapki na zięby i rudziki. Za nie nieźle się płaci.

– A Markus im te pułapki niszczył?

– Niszczył, niszczył.

– Wystarczyłoby tego, żeby go zabić?

– To zawsze zależy od sumienia. Coś ci opowiem. Pod koniec lat siedemdziesiątych przyłapałem Elmara z workiem pełnym ptaków. Kawki, drozd i dwoje piskląt szarej kuropatwy. Powiedział, że poznał jakiegoś spryciarza w Salorno i że za kuropatwy hojnie sypie groszem.

– Ciekawe, jak hojnie?

– Tydzień później Elmar zabrał mnie ze sobą do Trydentu i tam kupił u przedstawiciela fiata argenta w kolorze kości słoniowej.

– Aż tak?

Luis wzruszył ramionami.

– No na to auto nie starczyłoby tych dwu kuropatw. Ale zaręczam ci, że wybrał się po nie z pieniędzmi, które uskładał za takie worki z ptakami.

– Co jeszcze?

– Nie wyczuwasz, Salinger, że kłapiesz szczęką na darmo? Co gryziesz? Samo powietrze.

– Może mi smakuje.

Luis pyknął z fajki, zamyslił się.

– Ojciec Evi.

– Komiwojażer z Werony?

– Mauro Tognon. Mówią, że wpadał do Siebenhoch, ale był już niespełna rozumu. I mówią, że zabił Evi, żeby zrobić na złość jej matce, swojej byłej żonie.

– Na złość?

– To był taki przeklęty *Walscher*, no nie? – Luis się zaśmiał.

– To wydaje mi się trochę...

– Fantazjowanie? Rasizm? Jedno i drugie? Tak, tak, jak wszystkie fantazje. To są tutejsze opinie, to nie jest prawda. Nikt nie zna prawdy o masakrze w Bletterbach. Mamy tylko domysły.

– Nie przesłuchali go?

– Nikt nie miał pojęcia, co z takim łajdakiem się dzieje, gdzie taki się płacze. Ale plotki nie ustawały. – Luis zabębnił artretycznymi kostkami po oparciu fotela. – Były też pogłoski o porachunkach.

– W jakiej sprawie?

– Narkotyki.

– *Narkotyki*? – spytałem pełen niedowierzania.

– Tu też czepiali się Markusa.

– Zażywał narkotyki?

– To był rok osiemdziesiąty piąty, Markus miał matkę pijaczkę, siostrę w Innsbrucku i chodził do szkoły w innym mieście, daleko od domu, wstawał codziennie o piątej rano. Na mój rozum: komu to szkodziło, że zapalił sobie czasami trochę trawy. Znalazłem taką nawet w szufladzie mojej Marlene. Markusowi zmył za to głowę naczelnik Hubner i na tym się skończyło. Ale nie dla plotkarzy. Zapamiętali mu to jak jakieś...

– A podobno wszyscy mówili o Markusie, że jest świetnym chłopakiem – przerwałem Luisowi.

Luis się obruszył.

– W Siebenhoch wszyscy o wszystkich mówią dobrze. Mówią dobrze o Wernerze, a za plecami rozpowiadają, że podle uciekł do Cles, żeby nie pomagać biednemu Güntherowi. O biednym Güntherze także mówią dobrze, ale kiedy Günther zaczynał wyć do księżyca, wszyscy zasłaniali sobie oczy i uszy. Tylko jeden człowiek starał się mu pomagać, Maks, który już został szefem Krünem i o którym wszyscy mówili jak najlepiej, bo tak należy.

– Ale i jego oczerniali?

– Tak, mówili, że musiało być coś podejrzanego w Maksa wyjeździe do Innsbrucka. Siedem bitych godzin w pociągu po to, żeby odwiedzić Evi i Kurta? Zapominali, że Maks pojechał zawieźć do nich Markusa, bo chłopak był jeszcze niepełnoletni. Zapominali, że niepełnoletnim nie wolno było przekraczać granicy bez opiekuna. Szczególnie w tamtych latach. Kiedy im to przypominasz, taki drobny szczegółik z lat zimnej wojny, to co ci odpowiadają? Zmieniają temat. Plotą także, że to może Verena, wtedy narzeczona Maksa, a dzisiaj jego żona. Zabiła całą trójkę i to naturalnie z zazdrości o Evi. Wyobrazasz to sobie? Verena ma metr sześćdziesiąt i Kurt mógłby ją jedną ręką zwalić na ziemię i związać ręce na plecach. Ludzie mówią, co chcą, Salinger, nic, tylko mówią i mówią. A im więcej mówią, tym bardziej ich ponosi obłuda i fantazja.

– Fantazja?

Kaleka pochylił się w moją stronę i ściszył głos.

– *Potwory*. Jakieś potwory siedzą pod Bletterbach, w jaskiniach. To za sprawą tych potworów zawałiła się ściana kopalni, zalała ją woda i zginęli wszyscy pracujący w niej tego dnia górnicy. Te same potwory wyprawiły na tamten świat Fanesów. Potwory osiedliły się w górskich głębinach, a od czasu do czasu, kiedy księżyc jest w pełni, wyłazą z ukrycia i ćwiartują na prawo i na lewo, co tylko wpadnie im pod rękę.

Oparł się wygodniej. Chmurka z fajki uleciała pod sufit.

A na zakończenie zobaczyłem bezzębny uśmiech:

– I co powiesz na ten tort, co nie ma żadnego smaku, Salinger?

## 2

Wystarczy trochę poskrobać skorupę w takiej miejscinie, gdzie mieszka siedmiuset sąsiadów, a zaraz wyjdzie na jaw, że gnieźdzą się tu żmije.

W nocy zapisałem sobie to wszystko, co usłyszałem od Luisa, a od następnego dnia zacząłem pokazywać się w Lily trochę rzadziej. Z uwagi na Wenera. Ale też dlatego, że chciałem mieć czas na uporządkowanie sobie tych domysłów, którymi Luis namieszał mi w głowie.

Nie spocząłem na laurach, przeciwnie, miałem mnóstwo roboty.

Poza tym zaskoczyło mnie, że nabrałem ochoty na robótki stolarskie.

Pomysł, żeby własnoręcznie zrobić Clarze sanki, który służył mi za pretekst do przesiadywania w barze, zaowocował godzinami spędzonymi w warsztacie przy domu Wenera w Welshboden, gdzie miało się urodzić coś znośnego z drewna, o które zadbał dla mnie teść.

Werner wiele razy proponował, że może mi pomóc (niepokojąc się, jak przypuszczam, czy wyjdę z tego bez szwanku), ale tylko mu za tę gotowość dziękowałem. Chciałem wszystko zrobić sam.

Podobały mi się zapach trocin, niespieszne wygładzanie desek heblem, zmęczone plecy po wielu godzinach solidnej pracy. Już zawczasu kupiłem sobie puszkę lakieru i dobre pędzle, żeby godnie zwieńczyć dzieło. Chciałem pomalować sanki na czerwono.

Piękna jaskrawa czerwień.

### 3

Tak minął mi listopad. Bitwy na śnieżki, bałwany z nosem z marchwi, wiele karcianych potyczek z Wernerem i zapach drewna w warsztacie w Welshboden. Odpowiadałem na maile Mike'a, ale nie otwierałem plików wideo, które wspólnik przysyłał mi zza oceanu. Od razu posyłałem je do kosza, jakby były zawirusowane.

Od czasu do czasu otwierałem sobie plik „B”, czytałem opowieść Wenera, legendy o Bletterbach, opinie tubylców, które przekazał mi Luis, a kończyło się to zawsze tak, jakbym rzeczywiście gryzł powietrze. Był to niezmiennie tort bez żadnego smaku, ale tamto wydarzenie było bądź co bądź niezwykle, jedno z takich, jakie opowiada się przy kominku, chociażby w dzień Halloween. To dlatego wciąż do niego wracałem, w myślach.

Zastanawiałem się, co jeszcze musiałbym zrobić, gdybym się zdecydował te dociekania kontynuować.

Musiałbym odszukać ludzi, którzy kiedyś mieli z tą sprawą do czynienia, przejrzeć teczkę sprawy zalegające w Bóg wie jakim archiwum. Ale świadomość, że Werner nie spuszcza ze mnie oka, bardzo mnie frustrowała.

Jednakże...

Przed zaśnięciem rozmyślałem, jak mógłbym całą tę historię opowiedzieć Mike'owi i namówić go, żeby i on trochę się nad nią pogłowił, mając w pamięci nasze dyskusje pełne „jeżeli” i „ale”. W każdym razie moje ostatnie myśli przed snem lądowały codziennie w Bletterbach.

Wciąż pojawiały się koszmary.

Widywałem Bestię. Słyszałem jej syczenie. Ale nie była już tak groźna, jej głos był przytłumiony, jakbym tę rzecz miał już za sobą, jakby należała do innego życia. To już nie było wstrząsające wspomnienie, tylko coś niejasnego i nieokreślonego. Coś na szczęście odległego.

Wiele nocy tonęło w jakiejś czarnej i głębokiej ciemności. Po takich nocach

budziłem się szczęśliwy i pełen energii. Przeżywałem wtedy najlepsze dni.

Pierwszego grudnia Mister Smith i jego *cool* zespół wytatuowanych supermenów wszystko mi zniszczyli. Podsunęli mi piękny tort, który miał smak krwi.

Mojej krwi, ściślej mówiąc.

## *South Tyrol style*

### 1

W drugiej połowie listopada, jak już mówiłem, wpadałem do Lily rzadziej, co nie znaczy, że wyrzekłem się tego baru. Przywiązałem się już do krzywych ław i stolików, które wyglądały tak, jakby od dobrych dziesięciu lat nie mogły się doczekać, aż ktoś przeciągnie po nich ścierką.

Luis czasami rzucał jakąś dowcipną aluzję do cukierników, którzy nieudolnie biją pianę do tortów, ale nic się tym nie przejmowałem. Udawałem też, że nie mam najmniejszego pojęcia o kłusowniczej przeszłości tego rzeźkiego staruszka, Elmera, którego Luis nie odstępował.

Bywalcy baru cieszyli się, kiedy pokazywałem im fotografie, na których widać było, jak mi idzie praca nad sankami, a mnie bawiły ich pocziwe porady. W Lily obracałem się w gronie osób, dla których nie byłem jednym z nich (i nie stałbym się, nawet gdybym zdecydował się spędzić w Siebenhoch resztę życia), ale czułem się wśród nich bezpiecznie. Oni znali mnie, ja znałem ich.

Tym bardziej zaskoczył mnie Thomas Pircher.

A jeszcze bardziej, że to niesłychane wydarzenie w Lily rozpoczęło się właściwie osiem tysięcy kilometrów od Siebenhoch, w superluksusowych biurach naszej sieci telewizyjnej.

### 2

Obaj z Mikiem byliśmy do czegoś zobowiązani. Do czegoś, co podpisaliśmy czarno na białym. Mister Smith zatrudniał pokaźny oddziałek adwokatów hojnie wynagradzanych za kontrolowanie naszych umów. Musieliśmy przestrzegać każdego zobowiązania w nich zawartego.

Mister Smitha interesowało tylko pomnażanie własnych pieniędzy, a nie tworzenie dobrej albo złej telewizji. Sieć inwestowała w produkt i oczekiwała, że ten produkt przyniesie jej możliwie największy zysk. A ponieważ serial *Road Crew* rok po roku przynosił dochody, czek, który Mister Smith podpisał na produkcję *Mountain Angels*, opiewał już na sumę z kilkoma zerami. Można było wiarygodnie zakładać, że ten produkt także przyciągnie wierną publiczność, jak swego czasu *Road Crew*. A to dla

imperatora sieci oznaczało dużo reklam. Czyli dużo pieniędzy. To proste, niepodważalne. Potem jednakże te nadzieje wzięły w łeb. Coś się stało piętnastego września. To już nie będzie *factual*, oświadczył Mike Mister Smithowi. Zamiast niego powstanie film dokumentalny. Dziewięćdziesiąt minut czystej adrenaliny.

Mister Smith okazał ostrożne zainteresowanie tą zmianą i pomimo zniechęcających opinii wielu doradców sieci wyraził na nią zgodę. Ale odtąd nasze możliwości zaczęły się kurczyć i pojawiły się naciski.

Naciski? To nie zwyczajnym naciskom Mike musiał stawić czoło w czasie, gdy ja zlepiąłem do kupy pogruchotaną na kawałki psyche. To, co się na niego zwaляło, przypominało raczej biblijne kataklizmy.

Istotnie, podpisywałem wszystkie umowy wspólnie z Mikiem, ale zbudowanie narracji było tylko na mojej głowie, a w nowym filmie nawet występowałem we własnej osobie, jednak dla Mister Smitha w niebiosach był tylko jeden Bóg, na pokładzie Pequod jeden kapitan, a w filmie tylko jeden reżyser: Mike. I to na niego wylały się ścieki. Esemesy o każdej porze dnia i nocy, ustawiczne maile i telefony, posłańcy z FedExu przywożący coraz agresywniejsze listy. O tym wszystkim Mike nic mi nie mówił. Mógłby się tym dzielić (a w pewnym sensie nawet powinien), ale chciał mnie trzymać pod kloszem.

I jestem mu za to wdzięczny.

W listopadzie cierpliwość Mister Smitha wysączyła się z niego do ostatniej kropli. Podpisał czek i żądał, żeby pokazać mu, jak przepadają jego pieniądze. Mike zachował się tak, jak w takich opałach zachowuje się bohater: schlebiał, kluczył, wymyślał wykręty, byle tylko uzasadnić zbyt wolne tempo pracy, i popisywał się ukłonami godnymi chińskiego mandaryna. Bronił mnie i naszego projektu do upadłego, tak długo, jak tylko się dało.

W końcu musiał ulec.

Rankiem trzydziestego listopada, dokładnie o dziewiątej, wszedł do sali zebrań na ostatnim piętrze gmachu sieci, nieprzytomny z niewyspania, z nerwami jak skazaniec pod szubienicą, żeby zaprezentować prowizorycznie zmontowany film *W brzuchu Bestii*.

Publiczność, nieliczną i wyborową, stanowili Mister Smith, kilku asów z działu realizacji, dwie naburmuszone panie z dyrekcji i sławetna kreatura z marketingu, w rogowych okularach, z tatuażami na obu przedramionach, w garniturze od Dolce & Gabbana, osobnik, który ciągle coś sobie notował na iPadzie i którego Mike ochrzcił K.K.



Kawał Kutasa.

Projekcja wypadła lepiej, niż Mike oczekiwał. Mister Smith zobaczył, że dochody go nie zawiodą, wygłosił parę niezbędnych porad (które Mike od razu zapomniał) i nawet asy z działu realizacji i panie z dyrekcji wyraziły przez zaciśnięte zęby opinię, że zainwestowane fundusze nie w całości pochłonęła muszla klozetowa.

Najwięcej sypał pochwałami Kawał Kutasa. Obejmował, ścisnął rękę, w czasie projekcji zawołał „wow” co najmniej dwadzieścia razy i ciągle grał pierwsze skrzypce. Po czym uporządkował swoje notatki i pobiegł do dziennikarzy.

Trzeba przyznać, że Kawał Kutasa znał się na swojej pracy. Rozpętał wielką burzę, z której mały deszcz musiał nieuchronnie wylądować na moim nosie.

Dosłownie: na moim nosie.

### 3

Pierwszego grudnia, po dniu spędzonym na sprzątaniu domu, pomaganiu Wernerowi w naprawie zamrożonej rury w łazience oraz wyjaśnianiu Clarze teorii Darwina (widziała w telewizji film dokumentalny i nie mogła zrozumieć, jak to możliwe, żeby tyranozaurowy zmieniły się w kury, więc panicznie sięgnąłem po pomoc do Yodiego) i po wspólnej kolacji pojechałem do miasta, żeby napić się piwa, pożartować z nieodłącznym duetem Elmar & Luis, a potem wrócić, zagrzebać się w pościeli i cieszyć się ośmioma godzinami zasłużonego snu.

Widocznie byłem porządnie zmęczony, bo w pierwszej chwili nie zauważyłem, że zebrane w Lily towarzystwo obrzuciło mnie szczególnymi spojrzeciami.

Wzrok prześlizgiwał się po mnie z zimną obojętnością i zaraz kierował się gdzie indziej. Nikt nie odpowiedział na moje zwykłe *hallo!* wypowiedziane w znośnym już *dialokt*.

Niektórzy nawet wstali i wyszli. Jak w westernie.

Zamówiłem piwo, dosiadłem się do stolika moich ulubionych kompanów od kufla.

– Wieczorek taki sobie, co? – rzuciłem.

Elmar przełknął ślinę i zaraz podniósł gazetę, żeby się ode mnie odgradzić.

Zdumiony uniosłem brwi i popatrzyłem na Luisa.

– *Salve*, Salinger – przywitał się.

Czekałem na piwo. Nie pojawiała się.

Odchrząknąłem.

– Co nowego, chłopaki?

– Chłopaki – wychrypiał Elmar – to możesz sobie mówić, ale nie do nas.

Zazwyczaj Lily huczała od gadaniny, pokaszliwania i dwujęzycznych przekleństw. A pierwszego grudnia nic takiego. Cisza. Dochodziły mnie tylko jakieś szepty. Odgłosy przesuwanych po posadzce krzeseł. Nic więcej. Tylko wrażenie, że wszystkie oczy zwrócone są na mnie. Luis siedział pochylony nad kuflem, już niemal opróżnionym, jakby chciał wywróżyć sobie przyszłość z tych kilku kropli ciepłego płynu na dnie.

– Luis? – powiedziałem, stukając go łokciem.

– Nie ruszaj mnie, Salinger. Nie-ruszaj-mnie.

Odsunąłem się od niego urażony.

– Co się tu dzieje, do diabła?! – wybuchnąłem.

– To się dzieje – odpowiedział czyjś zachrypły głos za moimi plecami.

Ten ktoś cisnął jednocześnie na stół przede mną gazetę, dzisiejszą „Alto Adige”. A potem „Dolomiten”.

– Czytać umiesz, prawda? – rzucił Elmar.

Miał przy tym taką minę, jakiej u niego nigdy nie widziałem. Zwykle był miłym staruszkim ze sztuczną szczęką, która wciąż miała ochotę wyrwać się na wolność, szczególnie gdy musiała sprostać słowom liczącym więcej niż trzy sylaby. Wzgarda, z jaką się do mnie zwrócił, zwała mnie z nóg.

Wystarczyło mi przeczytać tytuły.

– Ależ ja nie...

– Nie wiedziałeś o tym?

– Wiedziałem, owszem, ale...

– No to nie masz tu nic do roboty.

Otworzyłem usta ze zdumienia.

– Chciałbym to wyjaśnić.

– Co tu jest do wyjaśniania? – niemal warknął Luis.

– Chciałbym... – zacząłem, próbując zachować spokój, którego w sobie nie miałem. – Muszę to wyjaśnić z mojego punktu widzenia.

– Napisali tutaj brednie? Dwa dzienniki napisały brednie? To chciałbyś powiedzieć? Zmówili się przeciwko tobie? A może wolisz, żebym to ja ci przeczytał, co tu piszą? Może zawinił dialekt, bo to nie twój język?

Kilku się roześmiało.

Roześmiało się złośliwie. Nie mogłem uwierzyć, że stałem się obiektem takiego poniżania. Że to tutaj, że to w barze Lily. Ze strony tych ludzi.

– Nie...

W tym momencie poczułem, że czyjaś ręka chwyciła mnie za ramię.

– Nie słyszałeś, co ci powiedział Luis? Zabieraj się, spadaj.

Krew uderzyła mi do głowy. Powstrzymałem się, żeby nie chwycić tej ręki i nie zrzucić jej z ramienia.

– Chcę tylko wyjaśnić, jak to widzę...

– Za dużo mówisz – warknął brodac z za lady, Stef, właściciel Lily. – I musisz się zmyć. Mówi to człowiek, który za ten lokal płaci podatki.

Nie miałem wyjścia. Wszystko było jasne. W powietrzu nie wisiało nic dobrego. Ale jak Kurt, Evi i Markus, ja także wziąłem za tuzinkową burzę, która była nawałnicą.

– Posłuchajcie – powiedziałem – to nieporozumienie. Film się ukáže? Ukáže się. Opowie o wypadku? Opowie. Będzie gównieście? Nie będzie. Zrobi ze mnie bohatera? Nie zrobi. A przede wszystkim – wyskandowałem, patrząc Luisowi prosto w oczy – nie pokaże w złym świetle ekipy Ratownictwa Alpejskiego w Dolomitach. – Przerwałem, łudząc się, że mi uwierzą. Przecież tak wyglądała prawda i chciałem, żeby ją znali. – Nie, abso-lut-nie nie pokaże ich w złym świetle.

Luis pokręcił głową.

– Tu piszą, że film będzie miał tytuł *W brzuchu Bestii*.

– To prawda.

– Piszą, że ty razem z przyjacielem jesteście autorami.

– Tak, jesteśmy.

Luis popatrzył na mnie, jakby chciał mi powiedzieć: „Widzisz? Miałem rację”.

– Ale nie jest prawdą, że film jest jakąś spekulacją wyłącznie dla zysku, jak napisali. Nie jest prawdą, że będzie to... – szukałem w gazecie jednego zdania i głośno je odczytałem – „akt oskarżenia wystawiony nieudolności Ratownictwa Alpejskiego”.

Elmar znowu przełknął ślinę.

– Musicie mi uwierzyć. Mogę wam pokazać kawałek filmu, mogę...

– Od kiedy siedzisz w Siebenhoch, Salinger?

– Prawie od roku.

– Ile czasu poszło na kręcenie tego twojego zasranego filmu?

– Trzy miesiące, mniej więcej.

– I jeszcze nic nie zrozumiałeś?

– Co miałem zrozumieć? – zapytałem dotknięty.

– To, że jak coś dzieje się w górach, to musi w górach zostać – odpowiedział za Luisa głos tego osobnika, który zaciskał rękę na moim

ramieniu. – Ty głupi Walscherze.

To była ta osławiona ostatnia kropla, która przepelnia czarę.

Nie wytrzymałem.

– Zabierz tę rękę – wycedziłem, wstając z miejsca.

Mężczyzna, przewodnik alpejski, mniej więcej w moim wieku, był ode mnie dobrych dziesięć centymetrów wyższy, a w jego spojrzeniu zamglonym alkoholem tliło się nie mniej wściekłości niż w moim. Nazywał się Thomas Pircher. Kiedyś postawiłem mu tutaj piwo.

– A jak nie?

Uderzył mnie. Błyskawicznie.

Celował w nos.

– Nauczę cię nowego sposobu srania, kretynie. Może przez ucho? Co ty na to?

Zatoczyłem się do tyłu, zgiąłem się z bólu, a krople krwi kapały na posadzkę. Ktoś zaklaskał, ktoś zagwizdał.

Nikt nie zerwał się z pomocą.

Napastnik chwycił mnie za włosy, spoliczkował dwa razy i wymierzył mi cios w splot słoneczny. Runąłem na posadzkę, pociągając za sobą stolik Luisa i Elmara.

– Mało ci?

Nie odezwałem się, skupiłem całą energię na złapaniu głębszego oddechu. Thomas chlusnął mi piwem w twarz. I jeszcze kopnął mnie kilka razy w żebra.

Było to bicie w czystym *South Tyrol style*. I gdybym zachował się inaczej, wynieśliby mnie z Lily na noszach.

Uniosłem głowę i próbowałem wstać. Nie mogłem. Świat wirował i wcale nie chciał przestać. Rozległo się więcej okrzyków. Ktoś podjudzał Thomasa, żeby mi przyłożył mocniej. Inni się zaśmiewali. Widać było, że się dobrze bawią.

– Posłuchajcie – wymamrotałem cicho, uciekając się do pewnej sztuczki, która może się udać raz na tysiąc, ale Thomas Pircher połknął haczyk razem ze spławikiem, żyłką i całą wędką.

Mój drogi energumen pochylił się nade mną, żeby usłyszeć, co takiego jego ofiara mamroce. Ludzie bywają nieprawdopodobnie naiwni.

Nagłym poderwaniem głowy zdzieliłem go w brodę. Zabolał mnie kark; ból był silny, ale do zniesienia. Złagodził go wrzask, który wyrwał się napastnikowi. Nie straciłem ani sekundy. W mgnieniu oka stanąłem na nogi, chwyciłem krzesło i z całej siły grzmotnąłem przeciwnika w plecy.

Thomas runął raptownie jak ścięty.

Stałem nieruchomo i wyzywałem wszystkich: może ktoś jeszcze chce się do mnie dobrać.

– Czekam. Kto następny?

W tym momencie zobaczyłem swoje odbicie w szybie Lily. Noga krzesła w prawej, twarz jak zakrwawiona maska i wyraz szaleństwa w oczach. Poczułem, że to, co się tu dzieje, jest wstrętne i daremne. Mogłem wrzeszczeć, że jestem niewinny, zedrzyć sobie gardło, a bywalcy Lily i tak wierzyliby tylko farbom drukarskiej swoich dzienników.

Może nazajutrz, w świetle dnia, ktoś zacząłby powątpiewać w to, co wysmażyły pismaki, kopiując komunikaty dla prasy ułożone przez K.K. Za tydzień może wysłuchaliby mnie tutaj wszyscy. Za pół roku mógłbym nawet wymienić na luzie kilka zdań z Thomasem Pircherem, który wciąż jeszcze jęczał na posadźce. Ale nie tego wieczora. Tego wieczora nikt nie przyznałby mi racji. Cokolwiek bym powiedział na swoją obronę, zabrzmiałoby to w ich uszach fałszywie.

Rzuciłem nogę od krzesła, otarłem twarz rękawem kurtki i wróciłem do domu.

#### 4

Annelise nie spała. Tym lepiej.

Nie musiałem długo tłumaczyć, dlaczego mam spuchnięty nos i tyle krwi na twarzy. Opowiedziałem jej, co się wydarzyło, a ona strasznie się rozłościła. Wykrzykiwała, że Werner zaraz się tym zajmie, i przez dłuższy czas nie mogłem jej uspokoić. Nie warto, by aż tak się unosiła. Kiedy wyświetli się film, sprawy wrócą na właściwy tor. Na razie można tylko robić dobrą minę do złej gry.

– Ale...

– Żadnego ale. Co mogłabyś zrobić? Złożyć doniesienie? W takiej miejscinie, gdzie do bijatyki dochodzi nawet w salonach gry przy parafiach?

– Ale...

– Ale trzeba zmienić bar, i co? Będzie kłopot z bogactwem możliwości, prawda?

Annelise opatrzyła mi rany i musiałem jej obiecać, że jutro pojedę na ostry dyżur, żeby mnie obejrzel. Podwiózł mnie tam z rana Werner, który oczywiście (czego nie warto dodawać) znał już wszystkie szczegóły bójki w Lily.

W szpitalu San Maurizio okazało się, że nie mam złamanego nosa ani żeber. Wszystko tylko okropnie mnie bolało i lekarze przepisali mi mnóstwo środków przeciwbólowych. Podziękowałem Wernerowi za opiekę, pożegnałem się z nim i wróciłem do domu. Wieczorem długo rozmawiałem przez telefon z Mikiem. Wyjaśnił mi, czego jeszcze nie załapałem, jak to się stało, że wyciekły informacje do prasy, co wymyślił *ad hoc* Kawał Kutasa, aby stworzyć wokół naszego dokumentu aurę „dzieła przeklętego”. Na koniec, znużony całym dniem, skryłem się w warsztacie w Welshboden i robiłem sanki, które miałem na Boże Narodzenie postawić Clarze pod choinką.

## 5

W nocy z drugiego na trzeciego grudnia śniła mi się Bestia. Tam w głębi. W bieli. Z tymi szczękami, którymi miała mnie zmiażdżyć. Uczucie skrajnej nienawiści.

Wynoś się, syczała Bestia.

*Wynoś się.*

# *Der Krampusmeister*

## 1

Annelise już dawno temu opowiadała mi o tym święcie i teraz, choćbym miał twarz nie wiem jak spuchniętą, za żadne skarby nie wyrzekłbym się takiej okazji, skoro znalazłem się w Siebenhoch.

Piątego grudnia, święto san Nicola (tutaj: san Nicolò, z akcentem na końcu), Górna Adyga obchodzi w swoim normalnym stylu, który utknął w połowie drogi między błaznowaniem a posępną powagą.

Annelise pokazywała mi fotografie i filmiki na YouTube, z których mogłem się zorientować, jak przebiegają uroczystości. Zachwyciły mnie. Nazwałem sobie dzień piąty grudnia Świętem Południowotyrolskiego Diabła. Coś w rodzaju archaicznego Halloween bez seksownych kociaków psujących jego nastrój. Annelise moja opinia oburzyła. Wytykała mi, że nie jest to święto na cześć diabła, tylko święto, podczas którego diabeł zostaje *przegnany*. Chyba jestem ograniczony, skoro nie dostrzegam tak zasadniczej różnicy. Przeprosiłem żonę za pomówienie święta i próbowałem ją za wszelką cenę udobruchać, żeby nie mącić świątecznej atmosfery, ale tak naprawdę dalej byłem przekonany, że racja jest po mojej stronie.

Sama ceremonia na koniec obrządku, kiedy święty wypędza diabły, wydawała mi się jakby pocieszającym zamknięciem tej sprawy narzuconym przez producenta pozbawionego fantazji.

Piątego grudnia zbudziłem się przed świtem podniecony jak dzieci w Wigilię. Nie mogłem sobie znaleźć miejsca. Annelise i Clara patrzyły z niedowierzaniem na moje ożywienie. Nawet zatelefonowałem do Wenera, żeby go spytać, czy obchody odbędą się jak co roku, chociaż sypie śnieg. Werner uprzytomnił mi, że śnieg od jakiegoś czasu przestał padać i że pewnie tego jeszcze nie zauważyłem, ale śnieg w tych stronach to nic nadzwyczajnego.

Okolo szóstej, kiedy całe Siebenhoch było jeszcze pogrążone w ciemnościach, Werner podjechał po nas, a my byliśmy już gotowi do wyjścia. Cieszyłem się, że nie stracę ani sekundy z tego festynu.

Przez całą drogę do centrum Siebenhoch Clara, której udzielił się mój entuzjazm, zasypywała dziadka pytaniami. Robił, co mógł, żeby zapanować nad jej podnieceniem. Nie, diabły (diabeł nazywa się tutaj *Krampus*) nie

porwą jej, co najwyżej zabrudzą jej nosek sadzą. Nie, to nie są prawdziwe diabły, tylko miejscowe chłopaki poprzebierane za diabły. Nie, wbrew temu, co powtarza za swoim ojcem jakieś przedwcześnie rozwinięte dziecko, krampusy nie są naprawdę złe.

– Są bardzo złe, uwierz mi, osiem liter – szeptałem, mrugając do Clary porozumiewawczo jak prawdziwy konspirator.

– Córeczka nie wierzy – oświadczyła Clara, zadzierając nosek. – Córeczka wierzy siedmiu literom.

– „Mamusia”?

– „Dziadek”.

– Dobrze by było, Jeremiaszu, żebyś i ty wierzył dziadkowi – powiedział cicho Werner.

Zamilkłem.

Siebenhoch było naprawdę klejnotem górskiego budownictwa. Małe domy przyklejone do siebie i do kościółka, za którym ciągnął się cmentarz, biały tego dnia pod półmetrową warstwą śniegu.

To stamtąd miały przybiec krampusy.

Na placu stało pełno ludzi, głównie turystów, wszyscy byli opatuleni, jakby musieli sprostać syberyjskiej zimie, i obwieszeni aparatami fotograficznymi gotowymi, by uwiecznić diabły Południowego Tyrolu.

W kiosku kupiliśmy filiżankę gorącej czekolady dla Clary, dwa piwa, dla mnie i dla Annelise, i znaleźliśmy dobre miejsce, żeby w pełni cieszyć się świątecznym widowiskiem.

Za kościołem już coś się działo. Chłopaki z Siebenhoch poprawiały na sobie kostiumy, rozbawione dzieci krzyczały, ślizgając się na lodzie. W oknach domów majaczyły twarze starszych ludzi. Nie widać było jeszcze proboszcza, miał się pokazać dopiero na drugiej części festynu, przebrany za san Nicolò i gotowy przepędzać groźne krampusy.

– Widzisz tego tam?

Werner wskazał mi mężczyznę z dużymi wąsami siedzącego na schodach przed kościołem, który trzymał niezapaloną fajkę w ustach i przypatrywał się tłumowi.

– Tego typu w czerwonej czapce?

– To nasza żywa tradycja. *Krampusmeister*.

– Mistrz diabelski? – spytałem urzeczony.

– Pilnuje kostiumów. „*Krampusmeister*” to określenie, którego używamy tylko tutaj, w Siebenhoch, i jesteśmy z niego bardzo dumni. Od kiedy istnieje Siebenhoch, istnieje także *krampusmeister*.



– Myślałem, że bawią się w to tylko młodzi.

Werner zaprzeczył ruchem głowy.

– *Nix*, tu w grę wchodzi reguły, których trzeba przestrzegać, Jeremiaszu. Chodzi o tradycję. W kostiumach krampusów bardzo wielką rolę odgrywają szczegóły. Gdyby w nich czegoś zaniedbać, on mógłby się zezłościć.

– Krampusmeister? – spytałem, patrząc na dobrotliwego mężczyznę z fajką w zębach, którego nazwiska nie umiałem sobie przypomnieć, choć byłem pewien, że gdzieś się już z nim zetknąłem.

– Nie, diabeł.

Zaniosłem się śmiechem.

– To jest czyste wariactwo.

– Jakie wariactwo, tato?

Wpakowałem sobie Clarę na ramiona (zrobiła się już ciężka!) i wskazałem jej człowieka z fajką.

– Widzisz tego pana w czerwonej czapce, co siedzi na schodach?

– Nie zimno mu w tyłek, tato?

– Jemu nie.

– Jak to: jemu nie?

– Bo to krampusmeister – powiedziałem podniosłym tonem. – Diabelski krawiec.

Clara uznała, że to cudowne, długo wykrzykiwała to słowo, była zachwycona.

Mrugnąłem do Annelise.

– Taka jest jego praca. Szyje stroje dla krampusów, prawda, Wernerze?

– Każdy krampus musi mieć rogi, a te rogi muszą być prawdziwe. Rogi barana, kozy, krowy albo koziorożca.

– Zabijają zwierzęta, żeby zabrać im rogi? – spytała Clara.

Pierwszy raz, odkąd poznałem Wenera, zobaczyłem, że się zaczerwienił.

– Ależ skąd. Te rogi zwierzętom odpadają... same.

– Jak liście?

– *Genau*. Spadają jak liście. Może jeszcze chcesz czekolady, Claro?

– A to ich nie boli, że spadają im rogi?

– Nawet tego nie czują. Naprawdę nie chcesz czekolady...

– I co jeszcze muszą mieć krampusy?

Rozległ się głośny zbiorowy krzyk i w ten sposób tłum uratował teścia przed dalszym przesłuchaniem.

Krampusy nadciągnęły w długim szeregu, jeden w odległości dwu metrów od drugiego. Pierwszy niósł w ręku pochodnię, trzymał ją jak znicz

olimpijski.

– Ma straaaasznie długie rogi – wyszeptała Clara.

Pochód krampusów zbliżał się marszowym krokiem. Marsz był powolny, niemal żałobny.

Tłum z wolna się uciszał. Błyskały flesze, ale i to nie trwało długo. Siebenhoch pograżyło się w niewiarygodnej ciszy.

Każdy krampus był inny, ale wszystkie miały narzucone na ramiona zwierzęce skóry, przy pasie dzwoneczki, a w prawych rękach trzymały różgi z łodyg sorgo. Niektóre zamiast różg nosły bykowce. Wyglądały naprawdę przerażająco.

Zwłaszcza w tej ciszy.

– Ależ oni są brzydki – wyszeptała Clara.

Spostrzegłem, że drży jej głos, więc pogłaskałem jej nogę, żeby ją uspokoić.

– Oni tylko udają diabły. Noszą maski.

Clara nic na to nie odpowiedziała. Krampusy już się zatrzymały i utworzyły półkole kilka metrów przed tłumem, który odruchowo cofnął się o parę kroków. Krampus z pochodnią zajął miejsce dokładnie pośrodku szyku; stał odwrócony tyłem do kościoła. Pochodnia świeciła wysoko nad jego rogami.

– To chyba nie jest udawanie, tato. Nie mają na buziach płatków kukurydzianych.

– Bo to nie są zombi, malutka. To krampusy. Ale nie są prawdziwi. Noszą maski.

Nie tylko Clara poczuła się niepewnie. Zobaczyłem, że wszystkie dzieci, nawet starsze od niej, do tej chwili rozbawione, ucichły i nie odstępowały rodziców.

– Ile liter ma słowo „maska”, Claro? – spytał Werner.

– No, ma... ma... nie wiem ile.

Clara osunęła się Wernerowi w ramiona, pół twarzy wcisnęła w kołnierz jego kurtki, ale jednym okiem patrzyła, co się dzieje na placu. Usłyszałem, że Werner ją uspokaja, przez chwilę nawet ją łaskotał, ale mimo to na pierwszy świst różgi cała drgnęła.

Wyrwał mi się cichy okrzyk, bo zaskoczyło mnie to, co zaszło na placu. Poszły w ruch nahajki – krampusy zadawały ciosy kamieniom bruku. Suchy trzask rozniósł się na całe miasteczko. Zapaliłem papierosa.

Drugi suchy trzask, potem trzeci i czwarty. Smagali bruk coraz szybciej.

*Trak! Trak! Trak!*

Niczym w jakimś paroksyzmie. W kulminacyjnym momencie krampus z pochodnią wyrzucił z siebie wściekły wrzask, gardłowy, gwałtowny.

Bykowce przestały znęcać się nad brukiem. Ustał odgłos smagania kamieni. A krampusy rzuciły się z bojowym okrzykiem na tłum.

Wiedziałem, że to nastąpi. Miało być atrakcją tego święta.

Krampusy napadły na tłum, wystraszyły przytulone do siebie pary, wrzeszczały na turystów, którzy ich fotografowali i filmowali, potrząsali ludziami nad głowami różgami z sorgo, zmuszali młodych chłopców do tańca w rytmie lekkich uderzeń po nogach i brudzili sadzą buzie najmłodszym dzieciom.

Opowiadała mi o tym Annelise i widziałem to na filmikach.

A mimo to byłem zaskoczony.

Tłum się cofnął. Falował, szumiał. Jakiś rosły osiłek wypchnął mnie z placu w uliczkę, docisnął do pierwszej bramy.

Krampusy wciąż popychały zebranych na placu ludzi albo wciskały się pomiędzy nich tam, gdzie tłum się przerzedzał. Biegły za ludźmi i wrzeszczały z uciechy, jeśli ktoś pod ich naporem upadł.

Straciłem z oczu Wenera i Clare, straciłem z oczu Annelise.

Zobaczyłem, że krampus prześladowuje jakiegoś chłopca, który nie miał jeszcze szesnastu lat i rzucił się do ucieczki razem z towarzyszącą mu dziewczyną, a tymczasem drugi, w masce, która upodabniała go do skrzyżowania bohatera *The Thing* z seryjnym mordercą Michaeliem Myersem z cyklu *Halloween*, przebiegł tak blisko mnie, że poczułem zapach koziej skóry, którą był okryty, i alkoholu, którym się zaprawił.

To był szczegół, który zarówno Werner, jak i Annelise przede mną zataili. Krampusy w większości wpadały przed występem do miejscowych barów. A tam częstowanie ich grappą miało przynieść właścicielom szczęście.

*South Tyrol style*, prawda?

Wyszedłem z bocznej uliczki i ruszyłem na poszukiwanie Clary. Niepokoilem się o nią, bo na pewno bardzo się przeraziła. Ale tłum był zbity, przedzierałem się z trudem, wielu turystów przyjechało tutaj z okolicznych miasteczek, gdzie święto san Nicolò obchodzono mniej efektownie, tak że publiczność niemal nie mieściła się w Siebenhoch. Musiałem się przedostawać na plac okrężną drogą, przez boczne uliczki. I w jednej z nich dopadł mnie krampus.

Pojawił się z nagłą, zobaczyłem go pod światło. Miał na głowie wielkie rogi baranie, na twarzy drewnianą maskę nabijaną ciemnymi gwoździemi, co wyglądało jak żelazny zarost. Wydał mi się ogromny.

Przeraził mnie jego widok, chociaż nie było powodu, żeby się go bać. Był to młody chłopak z maską na twarzy, i tyle. Ale kiedy się odezwał, sprawa

zaczęła wyglądać inaczej.

– Ej, Amerykaner!

Poznałem go po głosie.

Thomas Pircher.

– Nie chcę awantury, okej? – powiedziałem wesołym tonem, by sprawić wrażenie człowieka, którego rozbawiły obchody.

Miałem już za sobą kontakt z Thomasem i nie chciałem tego doświadczenia powtarzać. Zatrzymałem się. Krampus podszedł blisko.

– To ty – powiedział.

– Odczep się – odparłem.

Odwróciłem się i chciałem uciec.

– Gdzież to się wybierasz, Amerykaner? – rzucił drugi krampus, który pojawił się nie wiadomo skąd.

– Chcę znaleźć córkę. Zejdź mi z drogi.

– Byłeś grzecznym dzieckiem, Amerykaner, czy musimy zawlec cię do piekła?

W piekle już byłem, pomyślało mi się. Nie było to piekło z płomieniami i sadzą, tylko z lodem, zamrożone i odwieczne.

– Byłem grzeciutkiem dzieckiem, nie rozbiłem ci przecież gęby, no nie?

– No nie – rzucił głos za moimi plecami.

Rózga z sorgo chlasnęła mnie po twarzy. Nie była zrobiona z twardych łodyg, tylko z elastycznych, ale zaboląło. Pewnie nos nie był jeszcze wygojony. Poślizgnąłem się na świeżym śniegu i upadłem, przeklinając. Krampus schylił się nade mną i sychnął mi w twarz sadzą. Wcisnął mi ją z całej siły w nos, który zaraz zaczął krwawić.

– Widzisz, jak to źle być niegrzecznym dzieckiem? Takiego nie omija...

– Dajcie mu spokój.

To nie san Nicolò się odezwał, to był krampusmeister. Wystarczyło, że się pojawił, a oba krampusy rzuciły się do ucieczki, szyderczo chichocząc i wyjąc jak wilki do księżyca.

Krampusmeister podał mi chusteczkę. Trzymał fajkę w zębach i z uwagą mi się przypatrywał.

– Dziękuję – powiedziałem, wycierając z twarzy sadzę i krew.

Nie chciałem, żeby Annelise i Clara przestraszyły się, gdy zobaczą, jak zostałem potraktowany. W dodatku to przecież ja nalegałem, żeby wybrać się na to diabelskie święto.

– Pan jest krampusmeisterem? – upewniłem się. – Werner mi mówił, że to pan zajmuje się kostiumami.

– *Genau*. Muszę pilnować tradycji. Niech pan sobie pociągnie – dodał, podsuwając mi butelkę.

Miałem głowę przechyloną do tyłu, tamowałem krew, więc dałem mu znak, że odmawiam. Dorzuciłem:

– Nie, dziękuję.

– Jak pan woli, ale dobrze by panu zrobiło. Poczęstunek krampusmeistera. To także należy do moich obowiązków.

– A te inne obowiązki? O co jeszcze musi pan dbać?

– Muszę się rozglądać, czy chłopaki nie zaczynają zanadto wyczyniać. A kiedy zaczynają, muszę im dawać po łapach i łagodzić sprawę.

– Czystą chusteczką i grappą?

– Koniakiem.

Zatamowałem krew, ale nos nie przestawał mnie okropnie boleć. Warto by było przyłożyć lód. Sięgnąłem po garstkę śniegu.

– Jutro pański nos będzie jak nowy. Chciałbym jeszcze o coś pana spytać.

– Słucham.

– Będzie pan chciał złożyć skargę na to, co pana spotkało?

– Nie. To nie miało nic wspólnego ze świętem. Między mną a tym typem już było coś na rzeczy.

– Świetnie to pan rozstrzyga – powiedział krampusmeister. – Tradycja tego święta jest dla nas bardzo ważna. Krampusy wymierzają karę złym ludziom i przepędzają z nich złe duchy. Przejmują je w siebie.

– A potem spada z nieba san Nicolò i uwalnia ich od tego zła.

– Naturalnie. Ale na wszelki wypadek, kiedy kończy się święto i ludzie rozchodzą się po domach, a proboszcz zdejmuje sztuczną brodę i czerwony płaszcz, ci młodzieńcy, którzy przebierali się za krampusy, muszą iść do spowiedzi i otrzymać rozgrzeszenie.

– Lepiej z diabłem nie żartować.

– Tak to pan mówi, jakby widział pan w tym coś zabawnego.

– Ochota na żarty jest silniejsza ode mnie.

– I dlatego krampusy zawzięły się na pana. Pan lubi igrać z diabłem. Ale diabeł nawet kiedy się śmieje, jest zawsze śmiertelnie poważny. Mam na tę kwestię własny pogląd, trudno się dziwić, skoro już od tylu lat zastanawiam się nad diabłem i nad sposobem, w jaki należy go ukazywać. Chce pan posłuchać?

– Z ochotą.

– Myślę, że jedną z kar, jakie Bóg obmyślił dla diabła, jest to, że on nigdy nie może śmiać się naprawdę. Diabeł jest zawsze poważny.

Zdjąłem chustkę ze śniegiem z nosa.

– To paradoks – powiedziałem. – Kiedy się z diabła śmieję, wspieram go, kiedy się nie śmieję, *jestem* diabłem. I tak, i tak przegrywam.

Krampusmeister przytaknął, ale z ociąganiem.

– Tak właśnie jest. Tu, u nas, diabeł zawsze wygrywa. Śmieje się ostatni.

Pożegnaliśmy się, ale dopiero kiedy odnalazłem Annelise i Clare, przyszło mi do głowy, że powinienem był go spytać o nazwisko. Byłem pewien, że jego twarz już gdzieś widziałem.

I że to jest ważne.

## 2

Nie zobaczyłem, jak na ratunek przybywa san Nicolò. Widziałem tylko, jak krampusy, już poskromione, są wprowadzane do kościoła (przez otwarte na oścież drzwi biło w oczy mocne światło halogenowe) przez ministrantów przebranych za anioły.

San Nicolò już rozdał woreczki z różowej bibuły zawiązane wstążeczką. Clara triumfalnie trzymała jeden z nich w ręku. Wyciągnęła go w moją stronę.

– Tato, popatrz, jaki prezent dał mi san Nicolò.

– Sam ci dał?

– Wyglądał jak Święty Mikołaj, ale to nie był Święty Mikołaj, był za bardzo wymagający.

Rzeczywiście san Nicolò z białą brodą i w czerwonym płaszczu wyglądał jak skromniejsza odmiana pocziwego starego Świętego Mikołaja. Ale nie powtarzał „o-ho-ho”.

– Co to znaczy, że jest za bardzo wymagający? – spytałem głównie po to, by odsunąć chwilę wyjaśniania, co takiego stało się z moją twarzą.

– Święty Mikołaj wcale nie przepędza diabłów, prawda?

Nienaganna logika.

Annelise wyciągnęła ręce w rękawiczkach i ujęła moją twarz. Przekręcała ją na prawo i na lewo.

– Co ci się stało?

– Krampus – odpowiedziałem. – Epicka potyczka. Było ich trzydziestu. A może nawet czterdziestu. Albo stu, tak, chyba było ich stu.

– Tato?

– Co, skarbie?

– Nie rób z siebie pajaca.

– Kto cię nauczył tak mówić do ojca?

– Co się stało? – spytał z kolei Werner. Jego jastrzębie oczy były przymrużone.

– Potknąłem się. Krampus skoczył na jakiegoś grubasa, a ja uskokczyłem, żeby nie upaść razem z nim. I upadłem. A skoro już leżałem, to pomalował mi twarz.

To wyjaśnienie nie przekonało Annelise, a na pewno nie przekonało Wenera, ale na tym się skończyło.

Pochyliłem się do Clary i razem zajrzeliśmy do woreczka od san Nicolò. Mandarynki, orzeszki arachidowe, czekoladki i figurka z piernika w kształcie krampusa, którą córka od razu podarowała ojcu. Nie przepadam za piernikami, a san Nicolò może istotnie jest bardziej wymagający od Świętego Mikołaja (jednakże byłem pewien, że moje czerwone sanki wyrównają nasze rachunki), ale z całą pewnością Jeremiasza Salingera nie może zastraszyć awanturnik nie dość, że pijany, to jeszcze z rogami na głowie. Podrzuciłem figurkę w górę, bez namysłu odgryzłem jej głowę i zjadłem ze smakiem.

### 3

Namęczyliśmy się tamtego dnia z zapędzeniem Clary do łóżka. To takie chwile, kiedy rodzice mają nadzieję, że jakoś znajdą przycisk *off* ukryty w głowie własnego dziecka. Krampusy. San Nicolò, który „podniósł złoty kij i powiedział: «Zabierajcie się stąd, krampusy! Zostawcie te dobre dzieci w spokoju!», a dzieci tupwały nogami i piszczały. Tato, szkoda, że nie słyszałeś, jak piszczały! Wtedy san Nicolò zerwał się, jakby chciał bić te krampusy, ale to na pewno było udawane, prawda? Ale one uklęknęły, a potem przyszły te inne dzieci ze skrzydłami i...”. Słowem, mało brakowało, a nie zmrużyłaby oka całą noc, a my razem z nią.

Przed dwunastą zaczęła ziewać, a o północy wreszcie się poddała. Od razu poszliśmy do kuchni, żeby zrobić sobie kanapki ze speckiem i wyjąć z lodówki zimne piwo.

Nos bolał mnie bez przerwy.

– Nie chcesz mi opowiedzieć, co się stało?

– Było ich milion, Annelise.

– Daj spokój.

Jeszcze ze speckiem w ustach wymamrotałem:

– To wciąż ten sam osobnik, ten Thomas Pircher.

– Mógł ci złamać nos.

– Nie było aż tak źle, jak się wydaje. Popchnął mnie i nic więcej.

Annelise pogłaskała to miejsce, w którym różga z sorgo trochę mnie zadrasnęła.

– A to?

– Pazury.

– Drapaliście się pazurami jak rozhisteryzowane panienki?

– Popatrz, jak zniszczył mi się lakier.

– Głupek. Co chcesz zrobić?

Zgniotłem puszkę po piwie i wrzuciłem jak w koszykówce do pojemnika z segregowanymi śmieciami.

– Piękne nic. Muszę skończyć prezent dla Clary, kupić choinkę...

– ...z plastiku.

Przewróciłem oczami, nie mogłem znieść plastikowych choinek, chociaż zdawałem sobie sprawę, że w kwestiach ekologicznych wypadam jak dinozaur.

– ...*made in China*. Przystroi się ją jak należy i będziemy mieli wspaniałą Wigilię.

– Na pewno?

– Kocham cię, Annelise, to już wiesz, prawda?

– Ja ciebie też kocham. Jednak mogę się założyć, że już skrada się jakieś „ale”.

– *Ale* nie lubię, kiedy zmieniasz się w wychowawczynię. Mężczyźni już tacy są. My nie dyskutujemy, my rzucamy się z pięściami. Tylko tak umiemy rozstrzygać spory.

– Nie to miałam na myśli. – Annelise skrzyżowała ręce na piersiach.

– Za miesiąc Mike będzie ze wszystkim gotów. Urządzimy premierę tutaj, w Ortisei albo w Bolzano. K.K. powiedział...

– Kto?

– K.K., Kawał Kutasa. Kierownik działu marketingu naszej sieci. Powiedział, że to doskonały pomysł. W mailu użył dwukrotnie słowa „ekscytujący”, a czterokrotnie „epicki”.

– I myślisz, że ludzie poznają się na filmie?

– Poznają się – zapewniłem Annelise, chociaż wcale nie byłem tego pewien.

Możliwe, że nawet nie będą mieli ochoty zastanawiać się nad tym naszym nieszczęsnym dokumentem. Zresztą szczerze mówiąc, miałem wątpliwości, czy zechcą przyjść na projekcję. Samo podejrzenie, że może tak się stać,



budziło we mnie mdłości.

Więc po to, by takie myśli odpędzić, zacząłem znowu myśleć o Bletterbach.

# Siedem liter i sanki

## 1

Odczekałem kilka dni. Chciałem, żeby spuchnięty nos trochę mi skłęśł. A potem już bez ociągania się, sprawdzwszy dane w internecie, pod pretekstem, że muszę kupić w mieście ozdoby na choinkę, pojechałem do sądu w Bolzano.

Sąd mieścił się w nowoczesnym budynku o geometrycznym kształcie, zaprojektowanym w czystym stylu faszystowskim, przy nieciekawym piazza Tribunale. Przywitało mnie spojrzenie z płaskorzeźby, na której gigantycznych rozmiarów Mussolini wyciągał rękę w rzymskim pozdrowieniu („Wierzyć! Słuchać! Walczyć!” – głosił napis), i po chwili zanurzyłem się we włoskim labiryncie sprawiedliwości.

Urzednicy byli dla mnie niezwykle uprzejmi. Kiedy przedstawiłem się i wyjaśniłem, czego poszukuję, posłali mnie na trzecie piętro, gdzie trochę czekałem, żeby urzędujący tego dnia prokurator znalazł dla mnie parę minut. W końcu wyszedł do mnie, przeprosił za zwłokę, wytknął mi, że nie uzgodniłem naszego spotkania telefonicznie, i mocno uścisnął mi rękę.

Nazywał się Andrea Zeller. Był młody, szczupły, przygarbiony i nosił ciemny krawat. Wiedziałem, bo czekając na niego, zdążyłem przeczytać o tym w archiwalnych zapisach online miejscowej kroniki sądowej, że za tym skromnym wyglądem przeciętnego urzędnika kryje się rekin palestry.

Zeller oczywiście także wyszukał informacje o mnie, kiedy na niego czekałem, bo nie musiałem mu wyjaśniać, kim jestem. Ale w przeciwieństwie do mieszkańców Siebenhoch nie odniósł się do mnie nieprzyjaźnie. Przeciwnie, kiedy oświadczyłem, że liczę na jego pomoc przy realizacji nowego projektu filmowego, wydał się bardzo zadowolony.

Zaprowadził mnie do pobliskiego baru, wybrał spokojny stolik w kącie sali, a kiedy podano nam kawę, zatarł ręce, poprawił okulary i spytał:

– W czym mogę być panu pomocny, panie Salinger?

– Jak już wspomniałem, przygotowuję się do realizacji filmu dokumentalnego o morderstwie, które miało miejsce w Górnej Adydze w roku 1985. Chciałbym się skontaktować z prokuratorem i dowódcą karabinierów, którzy wtedy przeprowadzili śledztwo. Przypuszczalnie obaj są już na emeryturze. Kapitan nazywał się Alfieri, Flavio Massimo Alfieri,

nazwisko jak dla cesarza – zażartowałem, ale nadaremnie, bo wciąż miałem przed sobą nieporuszoną twarz rozmówcy – a prokurator nazywał się Cattaneo, Marco. Być może pan...

– Dobrze pamiętam doktora Cattaneo. Niestety nie żyje, chyba od dziesięciu lat. O kapitanie Alfierim nigdy nie słyszałem. Mogę dać panu numer telefonu dowództwa naszej prowincji. Pewnie będą coś wiedzieć. Ale proszę nie spodziewać się po nich za wiele, bardzo nie lubią informować o życiu prywatnym swoich podwładnych. A o jakie zabójstwo panu chodzi? Rok osiemdziesiąty piąty nie był w naszych stronach spokojny.

– Pan pochodzi z tych stron?

Zeller zaczął się nerwowo bawić pozłocaną zapalniczką.

– Urodziłem się tutaj, w dzielnicy Oltrisarco, ale wychowałem się w Gries, gdzie mieszczą się wytwórnie wina Santa Maddalena. W osiemdziesiątym piątym byłem tuż po dyplomie i doskonale pamiętam atmosferę, która wtedy panowała w mieście. *Ein Tirol* wypowiedział wojnę Italii, napięcie było wręcz namacalne. Jeżeli pański film ma opowiedzieć o tym okresie, to boję się, że...

– Nie, nie interesuje mnie tutejszy terroryzm. Nie pociąga mnie ten temat. Zamierzam zająć się morderstwem w okolicy Siebenhoch, w wąwozie Bletterbach.

Prokurator starał się przypomnieć sobie, jakie wydarzenie mam na myśli.

– Niestety, nie mogę skojarzyć, o czym mowa – powiedział w końcu.

– Dzienniki nie rozpisywały się o tej zbrodni. Zajmowały się nawałnicą, podczas której zginęło chyba dziesięć osób.

– Tę sprawę pamiętam. Burza wyrządziła wiele szkód. Nie dziwię się, że zabójstwu poświęcono wtedy mniej uwagi. Kogoś ujęto?

– Nie, nigdy. Dochodzenie, z tego co wiem, nie zostało jeszcze zamknięte.

Zellerowi załśniły oczy.

– Żadnego śledztwa w sprawie morderstwa nigdy nie oddaje się do archiwum, przynajmniej dopóty, dopóki zabójca nie zostanie skazany, jednakże skoro po tylu latach – po ilu? po trzydziestu? – nikt nie został ujęty, to rzeczywiście może dokumentacja została umieszczona w archiwum sądowym. Mogę panu przekazać numer telefonu, żeby nie tracił pan czasu na szukanie dojścia. Co pan na to?

– Byłoby to nadzwyczaj miłe – ucieszyłem się.

– Tutaj nic takiego nie ma.  
– Chce mi pan powiedzieć, że dokumentacja została zagubiona? – spytałem niespokojnie.

– Nie, mówię co innego: nie ma jej *tutaj*.

– To gdzie może być?

– W odpowiedniej komendzie policji. Policja może nie spieszyła się z przekazaniem dokumentacji do archiwum. Mają tyle papierkowej roboty...

– Nie spieszyli się trzydzieści lat – przerwałem mu. – To możliwe, pana zdaniem?

To nie jego kłopot.

– A poza tym – dodałem z rozgoryczeniem – tamtego śledztwa nie prowadziła policja, tylko karabinierzy.

Urzędnika to nie speszyło.

– Wobec tego musi się pan zwrócić do karabinierów.

Wyszedłem z archiwum wściekły. Nie dość, że niczego nie uzyskałem, to byłem spóźniony z kupnem ozdób choinkowych. Zostawiłem samochód na piazza Vittoria, za pomnikiem, i ruszyłem do zatłoczonego centrum Bolzano, które mieszkańcy nazywają „Portykami”. Kupiłem kolorowe gwiazdy, święte mikołaje rozmaitej wielkości i chyba z dziesięć kilo błyskotek i srebrnej bibułki. Nasz dom będzie lśnić i migotać.

Wrzuciłem wszystko do bagażnika i zanim ruszyłem do Siebenhoch, postanowiłem zrobić jeszcze jedną desperacką próbę. Zatelefonowałem do dowództwa jednostki wojskowej.

Po trzecim sygnale odpowiedział mi jakiś znudzony głos.

Wyłumaczyłem, kim jestem, rzuciłem też mimochodem nazwisko prokuratora. Głos stał się mniej znudzony, bardziej uważny.

Spytałem o kapitana Alfieriego.

– Czy mógłbym z nim zamienić parę słów?

– Trudno będzie, panie Salinger. Zmarł.

– Przykro mi.

– Był znakomitym oficerem. Jeśli jeszcze chce pan o coś...

– Tak, chciałbym jeszcze o coś zapytać.

Głos w telefonie zdradzał niepokój. Postarałem się wyjaśnić zwięźle, o co mi chodzi.

– Próbuję dotrzeć do pewnej dokumentacji. Dotyczy dawnego dochodzenia, którym zajmował się kapitan Alfieri.

– Powinien pan spytać o to w archiwum sądowym.

– Już tam pytałem, powiedzieli mi, że u nich tej dokumentacji nie ma.

– Dziwne – usłyszałem. – Bardzo dziwne.

No to w takim razie trzeba będzie skopać czyjś tyłek w dowództwie jednostki.

– Mógłbym panu podać numer archiwizacji.

– Bardzo proszę, panie Salinger.

Podyktowałem mu oznaczenie akt.

Usłyszałem, że mężczyzna coś szepce sam do siebie. Potem doszedł do mnie odgłos klawiatury, w którą uderzały jego niezbyt wprawne palce.

W końcu rozległ się wesoły okrzyk.

– Teraz sobie to przypominam, oczywiście! Sprawa Bletterbach. Zagadkę mamy rozwiązana, panie Salinger. Dokumentacji nie ma w archiwum sądu.

– Bo jest u was?

– Nie, ma ją u siebie ten natręt Maks Krün. Jest w Siebenhoch.

Zdumiało mnie to.

– Słucham?

– Pan jest tutejszy, mówił mi pan, że jest z Siebenhoch.

– Tam mieszkam.

– W takim razie na pewno zna pan Krüna. Jest zwierzchnikiem straży leśnej.

– Poznałem go. Nie rozumiem tylko, dlaczego to on ma u siebie dokumentację śledztwa.

– Dlatego że Krün to taki, za przeproszeniem, syn przyzwoitej pani – wykrzyknął wesoło dyżurny karabinier. – Jest uparty jak muł. Ta sprawa z osiemdziesiątego piątego...

– Zna pan tę sprawę?

– Nie, w osiemdziesiątym piątym siedziałem sobie spokojnie w Pozzuoli, chciałem zostać mechanikiem samochodowym i dziewczyny patrzyły na mnie łaskawym okiem, panie Salinger. Nie powinien mnie pan postarzać. A o tym, w jaki sposób Krün umie wszystkich nas wykiwać, opowiada się u nas legendy. To dlatego tę sprawę pamiętam. Taki to już typ, ten Krün.

– Zaciekawił mnie pan. Proszę mi wyjaśnić, jak ta sprawa się potoczyła.

– Śledztwo było nasze z urzędu, rozumie pan?

– Doskonale.

– Więc parę lat dokumentacja była tutaj, u nas, w Bolzano. A potem o tej sprawie wszyscy już zapomnieli i teczka znalazła się w archiwum. Ale ponieważ śledztwo dotyczyło zabójstwa, nie zostało przez archiwum przejęte ostatecznie. Teczka leżała, powiedzmy, w takim biurokratycznym letargu. Zawsze tak się dzieje. Pan mnie słucha? Proszę słuchać, bo dopiero teraz

będzie najciekawsze. Krünowi ta sprawa nie dawała spokoju, więc zaczął grzebać w zarządzeniach i przepisach. A musi pan wiedzieć, że on ma w Siebenhoch stanowisko obrońcy praw publicznych *ad interim*. I zgodnie z prawem, na które Krün natrafił, a które wywodzi się w prostej linii ze Statutu Albertyńskiego i nigdy nie zostało anulowane, urzędnik publiczny pełniący obowiązki obrońcy praw może zażądać wydania dokumentacji każdego przestępstwa popełnionego na podległym mu terytorium i przechowywać ją u siebie, jak długo zechce, czyli w tym wypadku – dopóki papier doszczętnie nie zettleje. – Zarechotał tak gromkim śmiechem, że mógł mi nadwerężyć bębunki w uszach.

– Twierdzi pan – odezwałem się, kiedy już ten szczególny śmiech ucichł – że teczka z dokumentami znajduje się w siedzibie straży leśnej w Siebenhoch?

– Tak, panie Salinger, jest w Siebenhoch – potwierdził głos w telefonie, który brzmiał już bardzo poważnie. – Mogę powiedzieć panu coś jeszcze? Bo nie chciałbym, żeby pan źle zrozumiał to moje rozbawienie.

– Słucham pana.

– Tę historię z Krünem opowiadamy od dwudziestu lat wszystkim młodym karabinierom skierowanym do nas, ale wcale nie po to, żeby się z Krüna pośmiali. Mówimy o nim tylko dobrze, bo jest dla nas wzorem. Podziwiamy go.

– Za co?

– Ci zamordowani byli jego przyjaciółmi – rzucił szorstko głos w telefonie.

– Co by pan zrobił na jego miejscu?

### 3

Każdy z tamtej czwórki starał się jakoś wyrwać z Bletterbach. Cały zespół ratowniczy. Werner, Maks, Günther i Hannes. I co się z nimi stało?

Günther własnoręcznie wykopał sobie grób, bo chciał utopić tamto przeżycie w alkoholu. Hannes postradał rozum. Werner uciekł z Siebenhoch. A Maks? Werner powiedział mi, jak zareagował Maks. Zmienił mundur leśnika w zbroję obrońcy Siebenhoch. Uczepił się tej roli, bo nie chciał zginąć. Teraz miałem niezbity dowód.

Siedem liter: „obsesja”.

### 4

Rankiem w Wigilię Werner zastał mnie w warsztacie w Welshboden, kiedy słońce jeszcze nie wychyliło się zza gór. Sanki były gotowe, lakier już wysechł.

– Wygląda na to, że dobrze sobie radzisz z takimi robótkami.

Drgnąłem, zaskoczył mnie.

– Chyba cię nie obudziłem? – zapytałem ze skruchą.

Werner potrząsnął głową i zaraz zaczął przyglądać się sankom.

– Możesz być pewien, że spodobają się Clarze.

Miałem wątpliwości. Patrzyłem i wypatrywałem usterki.

– Mam nadzieję – szepnąłem.

– A ja mam pewność.

– Może poślizg nie będzie taki, jak trzeba? Płozy mocowałem w pośpiechu.

– Gdyby nawet były to najpowolniejsze sanki na świecie albo gdyby rozsypały się po pierwszym przejeździe, to i tak zrobiłeś je ty. Własnoręcznie. I to właśnie Clara będzie kiedyś wspominać.

– Tak mówisz?

– Clara wyrośnie, Jeremiaszu. Wyrośnie bardzo szybko i nie będziesz już mógł chronić jej nieustannie przed kłopotami. Wiem o tym, bo sam to przeżywam. Co na to może poradzić ojciec?

Nie odezwałem się. Zaschło mi w gardle. Czekałem, żeby Werner ciągnął dalej.

– Ojciec może podarować córce tylko dwie rzeczy: poczucie szacunku dla siebie i piękne wspomnienia. Kiedy Clara stanie się dorosła, kiedy zostanie matką, co zachowa jej pamięć z tych świąt? Czy to, że sanki ślizgają się powoli jak ślimak, czy to, że zrobiłeś je własnoręcznie?

Uśmiechnąłem się, byłem mu wdzięczny za te słowa.

Zauważyłem, że trochę zwilgotniały mu oczy.

Jakoś za wiele wspomnień zawisło tego ranka w powietrzu.

– Tak czy inaczej tylko jednym sposobem można sprawdzić, jak jest – powiedział Werner, otrząsając się z zakłopotania i smutku. – Trzeba je wypróbować.

Myślałem, że żartuje.

Ale Werner nie był typem dowcipnisa.

Gdyby ktoś nas zobaczył – dwóch wielkich dorosłych mężczyzn, którzy kolejno rozpędzają się i jadą na sankach po zaśnieżonej łące w Welshboden, podnieceni jak chłopcy, i przeklinają jak portowi tragarze, ilekroć zaryją nosem w śnieg – to pewnie wzięłby nas za wariatów. A myśmy się po prostu bawili.

Kiedy ukazało się słońce, byliśmy zadyszani i wciąż roześmiani.

– Powiedziałbym, że sanki się udały, prawda?

– Powiedziałbym, że muszę ci podziękować, Wernerze.

## 5

Prezenty rozdawała zaraz po Wigilii Clara: to zadanie chyba podobało się jej nie mniej od otwierania paczek.

Nasz dom w Siebenhoch wypełniły okrzyki zdumienia i radości. Można by odnieść wrażenie, że Werner nigdy w życiu nie pragnął niczego bardziej niż tego krawata w różowe kropki („Będiesz miał na sobie trochę koloru, dziadku, a w różowym ci do twarzy”). Annelise przytulała grubego sweter z reniferem, jakby spotkała starego przyjaciela („To jest ona, mamo, nazywa się Robertina, bardzo lubi pelargonie”), a co do mnie, to nigdy nie widziałem nic piękniejszego od tych rękawiczek, tak kolorowych, że oczy aż bolały od patrzenia na nie.

Oprócz rękawiczek dostałem powieść mojego ulubionego autora (od Annelise), skrzynkę z narzędziami (od Wenera), fotografię grupy Kiss z podpisem „Pozbieraj się, przyjacielu!” (od Mike’a), którą się dość wzruszyłem.

– Podobają ci się rękawiczki, tato?

– Każdy palec wygląda inaczej! Są niesamowite, skarbie! – Włożyłem je i pyszniłem się nimi jak paw. – Są po prostu wspaniałe...

– „Wspaniałe” to ile liter, tato?

– Tyle, skarbie, ile razy muszę cię pocałować.

Całowałem ją i podrzucałem, obracając w powietrzu, a Clara udawała, że się ode mnie opęda.

Piękne wspomnienia, prawda?

Kiedy się uspokoiiliśmy, zabrałem głos:

– Myślę, córeczko, że twój prezent gdzieś się zawieruszył, ale musisz go poszukać. Nie wiem gdzie.

Clara już rozpakowała prezent od Wenera (książeczkę z obrazkami) i od Mike’a (koszulka z logo Kiss i napisem „Clara” na plecach). Popatrzyła na mnie, a oczy miała jak dwie gwiazdy.

– Gdzie powinnaś szukać, osiem liter?

Zburzyłem jej włosy, udając, że całkiem się pogubiłem. Tata jest stary, tatę już zawodzi pamięć.

– Cztery litery nie mówi prawdy.



– Być może – odpowiedziałem. – Ale coś mi się zdaje, że powinnaś włożyć kurtkę i rękawiczki.

W mgnieniu oka kurtka była w połowie zapięta, szalik zarzucony byle jak, a Clara już stała na progu domu. Zanim otworzyła drzwi, spytała Annelise:

– Mogę?

– To nie będzie pony, skarbie.

– Nie chcę pony, mamó. Mogę wyjść?

– Przed rokiem chciałaś pony.

Clara tupnęła nogami, niecierpliwiła się.

– Przed rokiem byłam mała, mamó. Już wiem, że nie można trzymać pony w domu. To już wiem. A teraz mogę wyjść?

Annelise nie zdążyła wyrazić zgody, a powiew wiatru już nas wszystkich obsypał drobnymi płatkami śniegu.

– Tatoooo!

Uśmiechnąłem się. Annelise pocałowała mnie w policzek.

I oto wyszliśmy podziwiać dzieło mego życia.

– Ależ są piękne! I całe czerwone.

– Jaskrawoczerwone. Sanki się obrażą, jeśli powiesz inaczej. Jaskrawoczerwone Sanki, przedstawiam wam Clarę. Clara, przedstawiam ci...

Nie dokończyłem zdania. Clara już siedziała na swoim prezencie.

– Pomożesz mi, tato?

Jak nie podporządkować się takiej roześmianej istocie? Przez dwie godziny, a może dłużej, ciągnąłem Clarę bez ustanku tam i z powrotem po łące za domem w przymglonej poświacie księżycy, a łąka z wolna stawała się polem naszej bitwy.

W końcu padłem na ziemię zwyciężony.

– Tata jest stary – dyszałem. – Clara jest śpiąca. Jutro pojedziemy do Welshboden i nauczę cię zjeżdżać z góry. To ciekawsza zabawa. I może uda mi się uniknąć tak ciężkiego wysiłku.

– Clara nie jest senna. Tata nie jest stary. Tylko trochę stary – protestowała dziewczynka.

Annelise wzięła ją za rękę.

– Czas do łóżka. Jutro znowu będziesz się bawić sankami. – Mrugnęła do mnie, co miało znaczyć, że czas najwyższy, żeby Salinger także odpakował swój najważniejszy prezent. Ten prezent szczególny, broniony nieletnim, który tak bardzo lubiłem. – Jeśli tylko twój tata będzie jeszcze jutro do czegoś zdolny.

I ja tak myślałem.

Nie powinienem o tym wiedzieć z góry. Nie należy znać prezentów przed Wigilią, doskonale zdaję sobie z tego sprawę. Ale też nie jest to nic przyjemnego kręcić się po domu, zaglądać do szuflad i wszędzie węszyć jak pies za truflami.

Nie, tak się nie robi.

Ale ciekawość, dziewięć liter, nie daje spokoju. Poza tym dla usprawiedliwienia muszę dodać, że Annelise nie wysiliła się na szczególnie pomysłowy schowek. Wystarczyło mi niecałe pół godziny i już prezent znalazłem. Muszę też dodać, że sam napis na prezencie, „Victoria’s Secret”, pobudził mnie do spełnienia powinności.

## 6

W każdym razie sekret Victorii został w mgnieniu oka odkryty. Ależ niegrzeczną dziewczyną była ta Victoria, naprawdę niegrzeczną.

# Większość spraw już wygląda inaczej

## 1

Do sprawy Bletterbach powróciłem znowu około dwudziestego ósmego grudnia. Przeczytałem raz jeszcze swoje notatki i zacząłem głowić się nad tym, co wykryłem w sądzie w Bolzano.

Wieczorem trzydziestego przystąpiłem do działania.

## 2

Otworzyła mi mała, drobna kobieta. Miała ciemne, krótko obcięte włosy i wielkie, błyszczące oczy.

– Verena? – spytałem.

Wbiła we mnie wzrok.

– Jesteś tym reżyserem, o którym teraz wszyscy mówią, tak? Zięciem Wenera.

– Jestem scenarzystą, nie reżyserem. – Uniosłem butelkę blauburgundera, którą kupiłem, jadąc tutaj. – Mogę wejść?

Wiał silny wiatr, przenikał do kości, ale Verena spostrzegła to dopiero po chwili. Przesunęła się, przepuściła mnie przodem. Zamknęła drzwi.

– Założę się, że szukasz Maksa.

– Nie zastałem go?

– Narada w Bolzano. Masz pecha, ale wejdź, siadaj. Napijesz się czegoś?

– Bardzo chętnie.

Powiesiłem kurtkę, szalik i czapkę, poszedłem za Vereną do kuchni. Posadziła mnie przy stole, na którym stał wielki kosz pełen wszelkiego dobra. Owoce i słoiki z warzywami w occie, dżemy. Wyłącznie domowej roboty.

– Pewnie wszystko to znakomite.

– Tacy są u nas, w Siebenhoch, ludzie – wyjaśniła. – Albo chcą za coś podziękować, albo za coś przeprosić. Pół na pół.

Roześmialiśmy się do siebie.

– Werner także dostał kilka takich świątecznych koszy. Nic, tylko wystrzegać się przejedzenia.

– Szkoda – powiedziała Verena. – Wcisnęłabym ci coś z naszych zapasów.

To też nas rozśmieszyło.

Herbata była bardzo gorąca, dmuchałem na nią. Verena nalała filiżankę także sobie. Próbowałem wyobrazić sobie ją taką, jaka była w osiemdziesiątym piątym, i wydało mi się to nietrudne. Nie mogła wyglądać całkiem inaczej niż ta kobieta, którą miałem przed sobą. Żona szefa Krüna wyglądała na trzydzieści lat, chociaż pewnie zbliżała się do pięćdziesiątki.

– Ta twoja butelka to „dziękuję” czy „przepraszam”?

– Jedno i drugie, szczerze mówiąc. Chciałem podziękować Maksowi, że nie wlepił mi mandatu i...

Verena mi przerwała, wzniosła oczy ku niebu.

– To przed tobą także popisał się tym swoim ulubionym numerem?

– Jakim numerem?

Verena przybrała groźny wyraz twarzy (surowego policjanta) i zaczęła udawać męża.

– Słuchaj mnie uważnie, chłopcze, bo jesteś nietutejszy i nie masz tutaj prawa dłubać sobie palcem w nosie. Nie lubimy tu takich, co dłubią sobie palcem w nosie. Wieszamy ich przed ratuszem, a potem gramy w piłkę ich głowami...

Herbata utknęła mi w gardle.

– ...albo strzelamy do nich z wiatrówki – dokończyła zdanie, mrugając do mnie.

– Tak, właśnie taki numer mi wyciął. Tyle że był to numer za przekroczenie szybkości.

– Więc pół butelki to „dziękuję”, a druga połowa? – spytała Verena.

Nie zapomniałem, że wszystkim moim poczynaniom przypatruje się na swój sposób Werner. Ale z drugiej strony chciałem koniecznie wykorzystać nadarzącą się okazję i zadać Verenie parę pytań. Odezwałem się na wpół serio, na wpół żartobliwie:

– Chyba się przyjaźnimy, jak myślisz?

– Od ponad dziesięciu minut.

– W moim kraju i tyle wystarczy, by razem budować imperia finansowe.

– Wobec tego możemy uznać, że się przyjaźnimy. Wyrzuć z siebie, co masz wyrzucić.

Przełknąłem łyk herbaty.

– Chciałbym cię spytać o Maksa z czasów Bletterbach.

Uśmiech ulotnił się z twarzy Vereny. Na środku czoła pojawiła się głęboka pionowa zmarszczka. Trwało to chwilę, potem twarz znowu się rozpogodziła.

– W Centrum Turystycznym nie zasypali cię folderami?

– Byli bardzo uprzejmi – odpowiedziałem ostrożnie. – Ale chciałbym się dowiedzieć czegoś więcej o tym morderstwie w osiemdziesiątym piątym. Po prostu z ciekawości – dodałem.

– Po prostu z ciekawości – powtórzyła Verena, bawiąc się filiżanką. – Tylko z samej zwyczajnej ciekawości chcesz się dowiedzieć o tym być może najbardziej ponurym wydarzeniu w całej historii Siebenhoch, Salinger?

– Ciągnie mnie do tego moja druga natura – powiedziałem, licząc na to, że ten wykręt wypadnie dość swobodnie.

– Ciągnie cię do rozdrapywania starych ran? Nawet na coś takiego swojej drugiej naturze pozwalasz?

– Nie chcę ci się wydać...

– Nie wydajesz mi się. Jesteś taki – przerwała mi sucho Verena. – Zabieraj tę swoją butelkę i wynoś się.

– Dlaczego, Vereno? – spytałem zdumiony tak gwałtowną reakcją.

– Dlatego że od tamtego roku już nigdy nie mogę świętować swoich urodzin, może chociażby to wystarczy ci za powód?

– Nie wystarcza.

Dwudziesty ósmy kwietnia. Przyjęcie urodzinowe.

Wszystko nagle stało się jasne. Zawstydzilem się.

Odetchnąłem głęboko.

– Może Maks jest całkiem innego zdania niż ty. Może on miałby ochotę coś mi opowiedzieć...

Zamilkłem.

Nienawiść i udręka. Tyle odczytałem z jej twarzy.

Udręka ponad miarę.

– O tym zapomnij, Salinger.

– Dlaczego?

Verena zacisnęła pięści.

– Dlatego – odpowiedziała szeptem. Otarła łzy. – Z łaski swojej, Salinger. Nie rozmawiaj z nim o tym. Nie chcę, żeby cierpiał.

– W takim razie – powiedziałem – dlaczego ty mi o tym nie opowiesz?

Sądząc ze zmienionego wyrazu jej twarzy, mogłem przypuszczać, że w głowie Vereny toczy się błyskawiczna krwawa bitwa.

Poczekalem w milczeniu na jej wynik.

– Obiecujesz mi, że potem nie przyjdzie ci do głowy rozmawiać o tym z Maksem?

– Obiecuję.

„B” jak „blagier”.

„B” jak „bydlak”.

„U” jak „uśmiech”.

– Nie zawiedziesz się – dorzuciłem.

– I zapewniasz mnie, że nie potrzebujesz tego do jakiegoś filmu? – spytała.

– Zapewniam. To jest tylko takie moje hobby.

Wyrwało mi się to słowo tak bardzo niestosowne. Wyrwało się niezręcznie, przyznaję. Ale gdybym powiedział prawdę, wyrzuciłaby mnie z domu. Nie mówiąc o tym, że w tamtej chwili sam nie miałem pojęcia, jak przedstawia się prawda.

Czy rzeczywiście tylko z czystej ciekawości chciałem jej zadawać te pytania? Czy raczej już i u mnie ta historia z Bletterbach zmieniła się w obsesję?

– Co chcesz wiedzieć?

– Wszystko to, co ty wiesz – odpowiedziałem niecierpliwie.

– Wszystko, co wiem, sprowadza się do tego, że nienawidzę tamtego miejsca. Moja noga nie stanęła tam od osiemdziesiątego piątego.

– Był jakiś powód?

– Kochasz swoją żonę, Salinger?

– Tak, kocham.

– To jak odnosiłbyś się do takiego miejsca, gdzie twoja żona utraciła kawałek siebie?

– Nienawidziłbym go.

– No właśnie. Nienawidzę Bletterbach. Nienawidzę także tej pracy, którą wykonuje mój mąż. Nienawidzę jego munduru. Nienawidzę tych dni, kiedy jedzie do lasu wyłapywać kłusowników, nienawidzę też tych jego popisów przed nietutejszymi – popatrzyła na stół – i tych przeklętych koszy z podarunkami. – Przeciągnęła ręką pod nosem, wzięła głębszy oddech. – Maks jest wspaniałym człowiekiem. Najlepszym dla mnie. Ale tamta sprawa została w nim i bardzo bym chciała, żebyśmy stąd wyjechali. Żeby rzucił w diabły straż leśną, Siebenhoch i ten nasz dom. Ale to niemożliwe. Tamto jest jak blizna. – Wskazała przy tym na kolistą bliznę nad moim okiem. – Tyle że swoją bliznę Maks ma tutaj. – Położyła rękę na sercu. – Gdybyś nawet, człowieku, poszedł stąd sobie, to i tak blizny zabierzesz ze sobą, masz je na zawsze. Nie da się ich od siebie oddzielić.

– Mogę to zrozumieć.

– Nie – rzuciła Verena – nie możesz.

A przecież mogłem. Bestia świadkiem.

– To musiało być trudne – powiedziałem.

– Trudne? – westchnęła opryskliwie. – Trudne, mówisz? Wyobrażałam to sobie nieraz, chwila po chwili. Było już tak, że chciałam go zostawić. Wyjechać stąd, rzucić wszystko. Poddać się.

– Ale zostałam.

– Porzuciłbyś żonę?

– Nie, też bym z nią został.

– Z początku nie chciał o tym wspominać ani słowem. Prosiłam, żeby poszedł do jakiegoś psychologa, ale zawsze odpowiadał mi tak samo. Mnie nie potrzeba lekarza, potrzeba, żeby upłynęło trochę czasu. Tylko czas się tu liczy, mówił – wyszeptała, potrząsając głową – tylko czas może tu coś pomóc.

– Mówi się, że czas to najlepsze lekarstwo.

– Dopóki cię nie zwali z nóg – usłyszałem jej gorzką odpowiedź. – Ta sprawa masakry w Bletterbach to jakieś przekleństwo. Słyszałeś, co się stało z innymi? Hannes zabił Helene, Werner wyrwał się stąd, nie żegnając się z nikim. Spakował się i zniknął. Ale jeszcze zanim wyjechał, nikt go nie widywał, nie ciągnęło go do nikogo, z kim mógłby powiedzieć sobie chociażby „cześć”. Zmienił się. Stał się milkliwy, rozdrażniony. Widać było, że nie może tutaj mieszkać. I był jeszcze Günther. – Verena objęła się za ramiona, chyba drżała. – Bałam się, kiedy widziałam, jak rozsiadają się z Maksem i rozmawiają. Mogli tak siedzieć godzinami, tutaj, u nas w domu; zamykali drzwi i gadali, bez przerwy gadali. Nie pili przy tym i przynajmniej za to warto dziękować Bogu, ale kiedy Günther szedł do domu, Maks miał w oczach jakieś takie dziwne światło... – Verena szukała właściwych słów. – Miał trupie oczy, Salinger. Chciałbyś zobaczyć trupie oczy u swojej żony?

Na takie pytanie możliwa jest tylko jedna odpowiedź.

– Nie.

– Potem przychodził trochę rzadziej. Miał tu w mieście dziewczynę, Brigitte, zanosilo się nawet na coś poważniejszego. Spędzał mniej czasu z Maksem, a ja byłam szczęśliwa, że się od niego odczepił. Kiedy Maks był sam, bez Günthera, to chyba czuł się lepiej. Jednak co roku pod koniec kwietnia stawał się innym człowiekiem. – Verena kręciła obrączkę na palcu. – Kiedy zauważyłam to po raz pierwszy, w osiemdziesiątym szóstym, miałam dziewiętnaście lat. W takim wieku śmierć jest czymś, co zdarza się dziadkom albo alpinistom, kiedy postawią krok dalej, niż powinni. Pomyślałam, że urządzę urodziny, bo to pewnie Maksowi dobrze zrobi. Wiesz, że go rozerwie.

– Ale się myliłaś?

– Wtedy po raz pierwszy i jedyny zobaczyłam Maksa tak wściekłego. Nie – poprawiła się – nie tak należy to ująć. Przeraził mnie. Zadałam sobie pytanie,

czy warto walczyć o kogoś, kto stracił rozsądek. Czy naprawdę chcę spędzić resztę życia z szaleńcem? Ale zaraz zrozumiałam, że nie odmienia go tak wściekłość, tylko cierpienie. Evi, Kurt i Markus byli jego jedynymi przyjaciółmi, a on musiał oglądać ich okaleczone ciała. Wtedy mu wybaczyłam, ale od tamtego roku już nigdy nie urządziłam urodzin. W każdym razie nie świętowałam ich z Maksem. Rok później na dzień przed moimi urodzinami Maks spakował walizkę i pojechał do starego domu rodzinnego, żeby upić się i choćby w ten sposób trochę sobie ulżyć. Potem robił tak co roku, może z nawyku, a może jakby dla odprawienia jakiegoś obrządku. Dla niego było to jedyne rozwiązanie – gdyby nie to, pewnie skończyłby jak Günther i Hannes.

– Werner także się jakoś uratował...

Verena się skrzywiła.

– Werner ma więcej lat niż Maks i jest ulepiony z innej gliny. Był kierownikiem ratownictwa i niejedno widział. A Maks wtedy był jeszcze chłopakiem, chociaż takiej naiwnej dziewczynie jak ja wydawał się dorosły. No i przede wszystkim Maks miał w rękach ten telegram, który nie dawał mu spokoju.

Widząc moje zaskoczenie, roześmiała się.

– O telegramie jeszcze nie wiesz, Salinger?

– O jakim telegramie?

– Chcesz go zobaczyć?

– Oczywiście.

Verena wyszła z kuchni i wróciła z fotografią w ramce (Kurt, Maks, Markus i Evi z rozwianymi włosami). Wyjęła ją, a wtedy zza ramki wypadł pożółkły telegram. Położyła go na stole i wygładziła obiema rękami.

– Tu masz to, co nie daje Maksowi spokoju.

– Co jest w tym telegramie?

Verena mi go podsunęła.

*Geht nicht dorthin!*

– Nie idźcie tam – wyszeptałem.

U dołu była data: dwudziesty ósmy kwietnia 1985.

– Kto go wysłał?

Verena westchnęła, jakby słyszała to pytanie dziesiątki razy. Odwróciła telegram.

– Oscar Grünwald. Kolega Evi, pracował na tym samym uniwersytecie.

– Ale dlaczego...?

– Było takie zadanie, którego naczelnik Hubner czym prędzej się wyzbył,



kiedy mógł przekazać je Maksowi. Odbierało się telegramy i pilną pocztę w Aldino. Siebenhoch było małą miejsciną, nie mogło mieć odrębnego urzędu pocztowego, a listonosz był za stary, żeby krążyć tam i z powrotem na przedwojennym motocyklu. Maks tego obowiązku nie znosił, uważał, że to nie dla niego. – Popatrzyła na mnie ciepłym spojrzeniem. – Cenił sobie swój mundur. Było mu w nim do twarzy... – Gestem ręki odpędziła tamte dawne myśli. – Tak dogadali się ze sobą Hubner i tamci z poczty. Kiedy przychodziło coś ważnego, ktoś ze straży leśnej miał pędzić po to do Aldino i dostarczać to tutaj adresatowi.

– To nie było nielegalne?

Verena się obruszyła.

– Ludzie ufali naczelnikowi Hubnerowi. Maksowi też. Jakże mogliby mieć o coś takiego pretensje?

– Więc pretensji nie było – powiedziałem, ale całą uwagę miałem skupioną na tej kartce papieru.

„Nie idźcie tam!”

– Tamtego dnia Maks pojechał rano do Aldino po pocztę. Evi była już w drodze do Bletterbach, więc Maks włożył telegram do kieszeni i natychmiast o nim zapomniał. Potem zaczął się ten cały burdel i Maks miał urwanie głowy.

– Tak?

– Łało, w wielu miejscach obsunęła się ziemia. Maks musiał dokonywać pomiarów. Był sam, naczelnik Hubner jeszcze leżał po zawale w szpitalu San Maurizio w Bolzano. Pod wieczór przewróciła się ciężarówka i na Maksa spadło mnóstwo pracy. Paskudny wypadek, bał się, że nie zdąży na moje urodzinowe przyjęcie. Ale zdążył, jak coś obiecuje, to można mieć pewność, że dotrzyma słowa.

– A telegram?

– Znalazłam go w kieszeni jego kurtki, kiedy już wrócił z Bletterbach. Gdybym przeczuła, jakie będą konsekwencje mojego odkrycia, spaliłabym telegram bez słowa. Ale pokazałam go Maksowi i nigdy nie zapomnę jego twarzy w tamtej chwili. Jakbym mu wbiła nóż w serce. Popatrzył na mnie i tyle tylko mi powiedział: „A mogłem...”. Nic więcej, ale zrozumiałam, co chciał powiedzieć. Mógł ich uratować. I właśnie to wpędziło go w obsesję.

– A to jest nierozsądne.

– Też tak myślę. Ale Maks? W tamtej sytuacji? Kiedy zobaczył ciała swoich jedyńskich przyjaciół w Siebenhoch tak okrutnie okaleczone? Już ci to mówiłam: zmienił się. Zaczął nękać karabinierów, telefonował do nich na

posterunek w dzień i w nocy. Nawet pobił się z kapitanem.

– Z Alfierim.

– Kapitan nie złożył zażalenia, ale co się stało, to się stało. Maks twierdził, że nikt nic nie robi, żeby wykryć mordercę jego przyjaciół. Tak nie było, ale kiedy ktoś wytykał mu, że nie ma racji, wpadał w szał. Kiedy uznał, że dochodzenie utknęło w miejscu i że akta wkrótce przeniosą do archiwum, zaczął śledztwo na własną rękę. I dotąd go nie zakończył.

– Dowiedziałem się, że cała dokumentacja tamtego śledztwa znajduje się teraz w siedzibie w Siebenhoch.

– Nie, nie tam. Maks trzyma ją w domu swoich dziadków, w starej siedzibie Krünów. Tam się wychował. Wszystko tam wywozi.

Herbata całkiem wystygła. Mimo to piłem ją, bo chciało mi się palić i uznałem, że to jedyny sposób, żeby nie myśleć o papierosie. Nie poskutkowało.

– Chyba dowiedział się, kto to jest ten Oscar Grünwald?

– Nigdy nie pokazywał mi żadnych dokumentów ze swojego prywatnego archiwum, ale mogę ci zaręczyć, że są tam także teczki założone na każdego z mieszkańców Siebenhoch.

To mną wstrząsnęło.

– Tylko w ten sposób może ciągnąć dalej – powiedziała Verena. – Żeby nie stłumić w sobie złości. Maks jest sierotą. Jego rodzice zginęli w wypadku samochodowym, kiedy miał parę miesięcy. Wychowywała go babka. Frau Krün. Twarda kobieta. Dożyła niemal stu lat. Jej mąż, dziadek Maksa, zginął w głośnym wypadku w kopalni miedzi, kiedy w dwudziestym trzecim zaważyła się tam ściana. Od tego dnia Frau Krün ubierała się tylko na czarno. Wraz ze śmiercią męża straciła wszystko, nikt w tamtym czasie nic nie słyszał o jakichś ubezpieczeniach. Byli bardzo biedni, może najbiedniejsi w całej naszej prowincji. Maks był dzieckiem wrażliwym, nieśmiałym. Uczył się dobrze, zresztą Frau Krün nie dopuściłaby do tego, żeby miał inne stopnie niż celujący. Jedynymi jego przyjaciółmi byli Kurt, Markus i Evi. Przy nich nie musiał być tym żołnierzkiem, którego Frau Krün chciała sobie wychować, mógł czuć się swobodnie. Ich śmierć wymusiła na nim samotność.

– Trzydzieści lat złości i gniewu. Nie zniszczy go to?

Umilkliśmy, zamyślił się oboje.

– A ty? – spytałem.

– Co ja?

– Co ty o tym sądzisz?

Verena obracała w rękach fotografię. Kręciła palcem małe kółka wokół

twarży Maksa, beztroskiego chłopaka bez brody.

– Może uznasz, że jestem zabobonna górką, ale aż tak źle ze mną nie jest. Mam dyplom pielęgniarki i zawsze uchodziłam za *świetną* pielęgniarkę. Za rozsądną, dobrze przygotowaną; tutaj w mieście niejeden mógłby to poświadczyć. Lubię czytać, wymusiłam na zarządzie miasta, żeby załatwili dla Siebenhoch szerokie pasmo internetu. Nie wierzę w bajki, w potwory pod łóżkiem albo że ziemia jest płaska. Ale jestem pewna, że Bletterbach to miejsce przekłete, tak pewna jak tego, że palenie szkodzi zdrowiu. Za dużo ludzi tam poginęło. Znikali pasterze i nigdy nikt nie umiał ich odnaleźć. Drwale opowiadali historyjki o dziwnym świetle i różnych jeszcze dziwniejszych zjawiskach. Możesz odnieść się do tego, jak chcesz, ale nawet w najbardziej absurdalnej legendzie jest jakieś źdźbło prawdy.

Przypomniało mi się plemię Fanesów.

Verena ciągnęła dalej:

– Mogę się założyć, że od kiedy nasłuchałeś się tych wszystkich złośliwości na swój temat, nie będzie ci trudno uwierzyć, że w przeszłości przeprowadzono tutaj wiele procesów inkwizycyjnych. Wyłapywano głównie wiedźmy, ale nie palono ich na stosie. Siebenhoch miał swój własny sposób wymierzania kary. Te nieszczęsne kobiety wywożono do Bletterbach i porzucano tam na pastwę losu. Nigdy żadna stamtąd nie wróciła. Miele się i miele językami o tym wąwozie, a wszystko to na pewno nie podobałoby się w Centrum Turystycznym.

– Groza pociąga – powiedziałem.

– Ale nie taka groza. Byłeś tam?

– Nawet wziąłem ze sobą córkę.

– I podobało ci się?

– Clara była uszczęśliwiona.

– Pytałam o ciebie.

Zastanowiłem się chwilę.

– Nie, ja nie byłem tak uszczęśliwiony jak ona. Tam jest tak... Głupio o tym mówić, bo cały świat jest stary, ale tam ciąży ci to, że stary jest czas.

Verena przytaknęła.

– Cięży ci to, że stary jest czas, o to chodzi. Bletterbach jest jak ogromny cmentarz. Te różne skamieliny są jak kości, jak resztki zmarłych. Resztki jakichś istot, które... Nie jestem fundamentalistką, Salinger. I nie jestem bigotką. Wiem, że Darwin miał rację. Gatunki się rozwijają, a jeśli się nie rozwijają, kiedy zmieniają się warunki życia, przepadają. Ale wierzę w Boga. Nie w tego starca z siwą brodą, który siedzi sobie na wysokościach, taki

widoczek do mnie nie przemawia; wierzę w innego Boga i w te jego sposoby, dzięki którym jakoś ciągnie przed siebie nasza maszyna zwana wszechświatem.

– Brzmi rozsądnie.

– No właśnie. I myślę, że była jakaś przyczyna, dla której Bóg postanowił pozbyć się tamtych istot.

Wydało mi się, że kuchnia nagle stała się ciemna i ciasna. Zawiało klaustrofobią.

Verena zerknęła na zegar wiszący nad zlewem i popatrzyła na mnie wymownie.

– Zrobiło się późno, Salinger, musisz się zabrać. Nie chciałabym, żeby Maks cię tu zastał.

– Dzięki za te opowieści.

– Nie dziękuj mi, nie ma za co.

– I mam nadzieję, że butelka okaże się tyle warta, ile kosztowała.

Verenę rozbawił mój żart. Przesłuchanie dobiegło końca.

– Dam ci znać, ile była warta.

Wstaliśmy oboje.

– Salinger?

– Nie, Verena, nie bój się, nie powiem o niczym Maksowi.

Rozpogodziła się. Co prawda nie zanadto, ale przynajmniej na tyle, żeby zmarszczka na czole całkiem znikła.

Uścisnęła mi rękę.

– To dobry człowiek. Nie zrób mu krzywdy.

Zastanawiałem się, czy jest jakiś stosowny sposób zakończenia naszego spotkania, kiedy rozległ się odgłos otwieranych drzwi i usłyszeliśmy zmęczone kroki Maksa.

– Salinger? – zawołał zaskoczony. – Czemu zawdzięczamy twoją wizytę?

Verena podniosła butelkę blauburgundera.

– Salinger opowiedział, jak kiedyś nie wlepiłeś mu mandatu, drogi szeryfie.

Maks się roześmiał.

– Nic mi nie byłeś winny.

– Jestem już jakby tubylcem – zażartowałem. – Ale zrobiło się późno i chociaż miałem nadzieję, że otworzymy tę butelkę razem, idę, bo Annelise będzie się niepokoić.

Maks rzucił okiem na zegarek na ręce.

– Nie jest tak późno. Masz odjechać tak na sucho? – Przemierzył hol dużymi krokami. – Biorę korkociąg, za chwilę...

Urwał. Zamurowało go na progu kuchni. Verena ruszyła w jego stronę, ale stanęła i podniosła rękę do ust. Maks odwrócił się i wysyczał:

– Co to takiego? – Pokazał na fotografię i telegram leżące na stole.

– Zagapiłam się, Maks, zaczepiłam o ramkę i...

– Nie kłam – rzucił Maks. Wlepił oczy we mnie. – Za dużo kłamiesz.

– To moja wina – powiedziałem.

– A czyjażby?

– Chciałem z tobą trochę pogadać. Dlatego przyjechałem.

– Ale ciebie nie było – wtrąciła Verena, niemal połykając słowa – i pomyślałam, że lepiej będzie, jeżeli to ja z nim porozmawiam.

– To moja wina, Maks – powtórzyłem głośno. – Verena nie zamierzała...

Maks ruszył groźnie w moją stronę.

– Czego nie zamierzała?

– Opowiadać.

Maks cały drżał.

– A Verena już wie, dlaczego tamta historia tak cię ciekawi?

– Co masz na myśli?

Maks zaśmiał się drwiąco.

– Wie, że chcesz się na tym obłowić?

Zamarłem.

– Czy ta kreatura ci powiedziała – zwracał się już tylko do żony – że chce zgarnąć trochę dolarów za filmik o masakrze w Bletterbach? Proszę się rozgościć, panie reżyserze. Bierz pan sobie te nasze trupy i wystawiaj je na widok publiczny na połowie kuli ziemskiej. Spluń sobie nawet na ich groby. Ty przecież właśnie tak zarabiasz na życie, Salinger?

– Tak napisały gazety, ale to kłamstwo na kłamstwie. Dowiodę tego, kiedy dokument o Ortles będzie gotowy. A teraz mogę cię zapewnić, że nie mam zamiaru nakręcić żadnego filmu o historii Kurta, Evi i Markusa.

Maks podszedł do mnie bliżej.

– Nie waż się wymawiać tych imion...

– Lepiej będzie, jeżeli sobie pójdę, Maks. Przykro mi, że was nachodziłem.

Dzięki za herbatę, Vereno.

Nie zdążyłem odwrócić się do drzwi, bo Maks chwycił mnie za gardło i przycisnął do ściany. Drewniany krucyfiks upadł na posadzkę, roztrzaskał się na kawałki.

Verena krzyknęła.

– Spróbuj się znowu tu kręcić – wyrzucił z siebie szef Krün – a wpakuję cię w takie tarapaty, jakich sobie nawet nie wyobrażasz. W najgorsze tarapaty.

Ale jeśli masz trochę oleju we łbie, w tym swoim gówniarskim głupim łbie, to pomyśl, że czas się stąd zbierać. Nie trzeba nam w Siebenhoch szakali.

Chwyciłem go za rękę, chcąc uwolnić się z uścisku. Trzymał mnie mocno, zdołałem tylko nabrać głębiej powietrza i rzucić:

– Nie jestem szakalem, Maks.

– Coś mi się zdaje, że tak to tam u was w Hollywood jest, że przywykliście do takiego świnienia. Ale tutaj, w Siebenhoch, mamy coś takiego, co nazywamy moralnością.

Uwolnił mnie.

Dyszałem.

Wtedy Maks mnie uderzył. Twardą prawą pięścią. Dokładnie w kość policzkową. Rozbłysło mocne światło, osunąłem się na posadzkę. Kiedy uniosłem głowę, Maks wznosił się nade mną jak wieża.

– To zadatek. I znikaj, chyba że masz ochotę na więcej.

Bolało mnie. Chwyciłem kurtkę i wyszedłem.

### 3

Na szczęście Clara już spała.

Wszedłem, starając się nie hałasować. Zdjąłem buty, czapkę, kurtkę. W domu było ciemno, ale nie musiałem zapalać światła, umiałem poruszać się po omacku.

Dotarłem do łazienki i umyłem twarz. Połowa była w kolorze bakłażana.

– Salinger...

Poczułem, że coś się we mnie zaciska.

Annelise miała włosy w nieładzie i zaniepokojony wyraz twarzy. Nawet bez makijażu wydała mi się bardzo piękna. Ujęła w rękę moją głowę i przyjrzała się sińcowi.

– Kto cię tak urządził?

– To nic takiego, spokojnie.

– Ten typ? Ten z baru Lily?

– Brzydko to wygląda i tyle – zrobiłem kilka głupawych grymasów, żeby ją rozpogodzić.

Bolało tak mocno, że aż łzawiły mi oczy.

– Nie ujdzie mu to tym razem. Zgłoszę sprawę karabinierom. Dość tego.

– Daj spokój, z łaski swojej.

– Co się z tobą dzieje, Salinger?

Nie była oburzona. Była wystraszona.

– To Maks.

– Szef Krün? – Annelise sprawiała wrażenie zdeorientowanej. – Był pijany?

– Nie był pijany, powiem nawet, że trochę na to zasłużyłem.

Annelise odsunęła się ode mnie.

Jestem przekonany, że coś w niej wyczuwało, jakie rzeczy chodzą mi po głowie. Te całe godziny za zamkniętymi drzwiami przy komputerze. Nagłe wyjazdy. Była bystra, musiała zauważyć. Ale nie chciała wyciągać wniosków. Tym razem jednak już nie mogła udawać, że nic nie widzi.

– Co ty planujesz?

Mówiła cicho, głuchym głosem. Wolałbym, żeby krzyczała.

– Nic.

Annelise przycisnęła mi palcem siniec.

– Boli?

– I to jak – jęknąłem.

– Twoje kłamstwa bolą bardziej. Muszę usłyszeć prawdę. Teraz. Natychmiast. I musisz mnie przekonać, że nie robisz nic głupiego.

– Pójdziemy do kuchni? Chciałbym się czegoś napić.

Annelise odwróciła się i bez słowa zniknęła w ciemnym korytarzu. Poszedłem za nią. W przejściu zajrzałem do sypialni Clary. Spała skulona na boku. Poprawiłem na niej kołdrę. Dotarłem do kuchni.

Annelise postawiła już na stole piwo.

– Czeka.

– Po pierwsze, musisz wiedzieć, że nie jest to żadna praca.

– Nie jest?

– Nie. To tylko mój sposób na to, by mózg mi nie zardzewiał.

– Wdawanie się w bójkę z połową miasteczka?

– To są skutki uboczne.

– Ja także jestem dla ciebie skutkiem ubocznym?

Zauważyłem, że głos jej drży. Chciałem ująć jej rękę. Zdążyłem tylko ich dotknąć. Były lodowate. Annelise cofnęła je, oparła na brzuchu.

Zacząłem jej wszystko wyjaśniać, unikając słowa „obsesja”.

– Nie, to nie jest praca – zakończyłem. – Potrzebuję tego dla...

– ...dla?

– Bez tego chyba mógłbym zwariować. – Pochyliłem głowę. – Szkoda, że nie powiedziałem ci o tym wcześniej.

– Naprawdę tak myślisz? Że powinienesz być powiedzieć mi o tym wcześniej?

– Ja...

– Przecież obiecałeś. Rok urlopu. Tylko rok. I co? Jak długo trwał? Miesiąc?

Nie odezwałem się. Miała rację.

„B” jak „blagier”.

– O Boże, jesteś jak dziecko. Porywasz się na coś i nie myślisz o skutkach. Całkiem nie umiesz...

– Annelise.

– Ani słowa więcej. Obiecałeś. Okłamałeś mnie. Co jutro powiesz Clarze? Że nadziałeś się na czyjąś pięść?

– Wymyślę coś zabawnego.

– Zawsze się tak wymykasz, prawda? Coś wymyślisz. Powinna odejść od ciebie, Salinger. Zabrać dziecko i odejść. Ty jesteś niebezpieczny.

Zaszokowały mnie te słowa. Poczułem ucisk w żołądku. Ból gdzieś zniknął.

– Nie mówisz poważnie, Annelise.

– Mówię poważnie.

– Źle się stało – przyznałem – wiem o tym. Okłamałem wszystkich. Ciebie, Wenera. Wszystkich. Ale nie zasługuję na taką karę.

– Zasługujesz na cięższą.

Chciałem powiedzieć coś na swoją obronę, ale w myślach przyznawałem Annelise świętą rację. Wyszło na jaw, że jestem marnym mężem i jeszcze gorszym ojcem.

– Niedobrze z tobą, Salinger. – Annelise zmieniła ton. Wyczuwało się jakby płacz w jej głosie. – Musisz brać te lekarstwa. Wiem, że ich nie bierzesz.

– Lekarstwa nie mają tu nic do rzeczy, chciałem tylko...

– Dowieść sobie samemu, że ciągle jesteś sobą? Że się nie zmieniłeś? Mogłeś umrzeć w tamtym lodowcu. Jeżeli myślisz, że to cię nie zmieniło, to naprawdę jesteś idiotą.

Coś się we mnie zacisnęło. Wyszło mi w ustach, język stał się kawałkiem skóry.

*Wynoś się.*

– Nie ma co udawać, że nic się nie stało. Zmieniłeś się. Ja także się zmieniłam. Nawet Clara się zmieniła. To normalne. Nie wychodzi się bez szwanku z takiej opresji.

– No tak, nie wychodzi się.

– Myślisz, że niczego nie zauważyłam. Przyglądałam ci się. Znam cię. Widzę, jak teraz patrzysz.

– A jak patrzę?



– Patrzysz jak zwierzę w klatce.

– Już chyba wychodzę z klatki.

Annelise zaprzeczyła ruchem głowy.

– Ty tak naprawdę myślisz, Salinger? Popatrz mi w oczy. Powiedz prawdę. I musisz wiedzieć, że jeśli nie usłyszę czystej prawdy, zadzwonię po ojca, zabiorę Clarę i już dziś przenocujemy w Welshboden.

– To jest tak...

Nie dokończyłem. Nagle coś się zdarzyło. Coś się we mnie rozsypało.

Zacząłem szlochać, zalałem się łzami.

– To Bestia, Annelise. To Bestia jest ciągle tutaj, ze mną. Czasami milczy, czasami mnie nęka, trafiają mi się dni naprawdę radosne, kiedy nie myślę o niej nawet sekundę. Ale ona jest bez przerwy we mnie. I syczy, ciągle syczy, słyszę jej głos, nie umiem na to nic poradzić, jej...

Annelise mnie objęła. Czułem, jak jej ciepłe ciało na mnie napiera. Pogrążyłem się w tym cieple.

– Ja się ciągle boję, Annelise. Ciągle.

Kobieta, którą kochałem, uspokajała mnie tak, jak wiele razy na moich oczach uspokajała Clarę. Łzy powoli się wyczerpywały. Został tylko szloch.

A wkrótce i on ustał.

Annelise odsunęła mnie od siebie łagodnie.

– Dlaczego mi o tym nie mówiłeś?

– Bo nie chciałem zażywać tych obrzydliwych lekarstw.

Annelise się obruszyła.

– Potrzebujesz ich.

Wreszcie i ja to zrozumiałem.

– Tak. Potrzebuję.

Annelise głęboko westchnęła.

– Obiecujesz?

Skinąłem głową.

– Wszystko, co chcesz.

– Rok przerwy. Zaczynamy od dziś.

– Tak.

– I już bez masakry w Bletterbach.

– Tak.

– I zaczniesz brać lekarstwa. – Popatrzyła mi w oczy. – Będziesz brać?

– Tak – skłamałem.

# Król elfów

## 1

Trzydziestego pierwszego grudnia wszedłem do sypialni Clary i ją obudziłem. Nachmurzona córka wpatrywała się we mnie sennym wzrokiem.

– Tato?

– Obudź się, leniu, musimy jechać.

– Dokąd?

– Do zamku króla elfów – odpowiedziałem rozpromieniony.

W oczach Clary zalśniła ciekawość. Usiadła na łóżku.

– Gdzie mieszka król elfów?

– Daleko stąd, w wysokich górach. Jest tam bardzo pięknie.

– Zawieziesz mnie naprawdę do króla elfów?

– Zapewniam cię z ręką na sercu, malutka – odpowiedziałem, mrużąc do niej oko. – Ile liter ma „serce”?

– Pięć – odpowiedziała.

Szkoda, że nie tyle samo ile „miłość”, pomyślałem.

Clara zerwała się z łóżka i pobiegła do kuchni, gdzie Annelise przygotowała lekkie śniadanie. W niecałe pół godziny byliśmy gotowi do wyjazdu.

Zorganizowałem wszystko, pomogli mi w tym Werner i parę osób, które poznałem podczas kręcenia *Mountain Angels*. To miał być prezent. Dla Clary. Prezent dla Annelise. Chciałem, żeby zaczęła mi ufać. Chciałem, żeby patrzyła na mnie tak, jak patrzyła piętnastego września.

Dlatego kiedy już wsiedliśmy do samochodu, byłem podniecony jak Clara. Ruszyłem i po chwili znaleźliśmy się na głównym trakcie.

Jakieś ciężarówki i kilka aut, resztę szosy mieliśmy dla siebie. Włączyłem odtwarzacz i zacząłem śpiewać na cały głos piosenki zespołu Kiss.

Clara zatkała sobie uszy, Annelise przysłuchiwała się memu popisowi tyleż z rozbawieniem, co z powątpiewaniem.

Miała to być niespodzianka i Annelise nie mogła przewidzieć, co miałem w zanadru, kiedy wymyślałem, jak będziemy świętować nasze południowotyrolskie powitanie Nowego Roku, ale nie wyglądało na to, by nabrała podejrzeń co do jakichś innych moich poczynań.

W każdym razie nie ma mowy o Bletterbach.

Nie wiem, jak dalece mi ufała, ale była tutaj, obok mnie i to mi wystarczało, by odnajdywać w sobie mnóstwo energii i nadziei. Zaczynał się rok 2014; miał to być rok przełomowy.

Rok, w którym miałem wyzdrowieć.

– Tam będzie zimno?

– Bardzo.

– Clara się przeziębii.

– Clara się nie przeziębii.

– W takim razie ty złapiesz grypę.

– Kraczesz i kraczesz.

– I nie chcesz mi powiedzieć, gdzie jedziemy?

Nie odpowiedziałem jej.

Nie chciałem po tylu zawiłych staraniach zepsuć niespodzianki. Lepiej zacisnąć usta i milczeć. Przede wszystkim nie chciałem zdradzić, jak dostaniemy się do tego zamku króla elfów. Annelise, mogę dać głowę, za nic by się na to nie zgodziła. A kiedy stanie wobec faktu dokonanego, weźmie mój pomysł za nędzny podstęp, ale uzna, że wymyśliłem go w dobrym celu.

Nastawiłem radio jeszcze głośniej i zacząłem wykrzykiwać *Rock'n'Roll All Nite*.

Dojechaliśmy do Ortisei, na pierwszy postój w naszej podróży. Miasteczko zasypała gruba warstwa śniegu, ale panował w nim ożywiony ruch.

Zaparkowałem auto w centrum i pochłonałem śniadanie z pantagrueliczną pasją. Clara zjadła kawałek placka większy od niej całej. Kiedy się już najedliśmy, popatrzyłem na zegarek.

– Spóźnimy się trochę na ten specjalny powóz, który nas powiezie.

Annelise się rozejrzała.

– Myślałam, że to tutaj spotka nas ta twoja niespodzianka.

– W Ortisei?

– Pomyliłam się.

– Tutaj nie jest dość zimno.

– Dla mnie aż za zimno, Tato Niedźwiedziu.

Oddychałem głęboko.

– Dla Taty Niedźwiedzia to śmieszna temperatura. Jemu jest ciepawo.

– Na termometrze mamy minus siedem.

– No to mamy tropikalny upał.

– Tato? A jeśli się spóźnimy, to powóz zmieni się w coś innego?

– Lepiej się pospieszyć. Nigdy nie wiadomo. Ale mama musi nam coś obiecać, bo inaczej specjalny powóz zniknie.

– Co ma wam obiecać Mama Niedźwiedzica? – spytała podejrzliwie Annelise.

– Że będzie mieć zamknięte oczy.

– Jak długo?

– Dopóki Tata Niedźwiedź nie powie „już”.

– Ale...

– Mamo! Chcesz, żeby specjalny powóz zmienił się w coś innego? Ja muszę koniecznie zobaczyć zamek króla elfów.

Dobrze, że Clara się wtrąciła – to zadecydowało. Ruszyliśmy i za niecały kwadrans dojechaliśmy tam, gdzie mieliśmy dojechać.

– Mogę otworzyć oczy?

– Jeszcze nie, Mamo Niedźwiedzico.

– A ten zapach? Co to takiego?

– Nie zwracaj na to uwagi.

– To chyba ropa?

– Górskie powietrze, kochanie. Myśl tylko o tym.

Pomogłem Annelise wysiąść z auta i zaprowadziłem ją za rękę pod hangar.

– Teraz Mama Niedźwiedzica może już patrzeć.

Annelise zobaczyła, o co chodzi. Zareagowała, jak przewidywałem.

Założyła ręce na piersi i rzuciła:

– Wybij to sobie z głowy.

– Będzie zabawnie.

– Nawet o tym nie myśl.

– Latanie zawsze było marzeniem ludzkości. Ikar. Leonardo da Vinci. Neil Armstrong. Dla człowieka mały krok naprzód...

– Ikar źle skończył, geniuszu. Jeśli naprawdę ci się zdaje, że wsiądę do czegoś takiego, to, kochany Jeremiaszu Salingerze, jeszcze mnie nie znasz.

– Jak to? Czemu?

– Temu, że to coś nie może latać. Nie ma skrzydeł.

Znałem ją. Dobrze ją znałem. Dlatego nie sprzeczałem się z nią, tylko wziąłem Clarę na rękę i podszedłem do helikoptera.

– To B3 – wyjaśniłem Clarze. – Jest to jakby latający muł.

– Je siano?

– Siano i ropę naftową.

– To ropa tak śmierdzi?

– Nie mów tego głośno, bo B3 może się obrazić.

– Przepraszam pana, panie latający mule.

– Myślę, że ci wybaczył.

– Skąd wiesz?

– Tata – powiedziałem uroczyście – wie wszystko.

Zastanawiałem się, jak długo jeszcze będę mógł stosować taką odzywkę, żeby zakończyć spór.

– Wsiądziemy do tego latającego muła, żeby dostać się do zamku króla elfów?

– Oczywiście. Widzisz tego pana – spytałem, wskazując jej pilota B3, który już szedł po nas. – Powiezie nas tym mułem.

Clara klaskała w ręce, była bardzo podekscytowana.

– Mogę zapytać, jak taki muł wisi w powietrzu?

– Zrobimy tak – odpowiedział pilot – jak będzie najlepiej. Może chcesz usiąść przy mnie? Pomożesz mi czymś takim kierować.

Clara usiadła w kabinie helikoptera bez jednego słowa.

Podszedłem do Annelise.

– A ty, skarbie?

– Zawsze błaznujesz – odpowiedziała.

Lot trwał niecały kwadrans. W górze nie było wiatru, a chmury nie przesłaniały widoczności. Krajobraz w dole prawdziwie zasłużył sobie na okrzyki Clary. Nawet Annelise, kiedy już przywykła do hałasu, musiała przyznać, że jest wspaniale. Co do mnie, byłem zanadto ożywiony zachwytem mojej córki, żeby myśleć o Bestii.

Albo o tych wszystkich wąwozach pod nami wyłobionych przez strumienie.

Wylądowaliśmy w zamieci śnieżnej, na lodzie. Zabraliśmy z helikoptera plecaki. Pożegnałem się z pilotem i helikopter odleciał, a my zostaliśmy sami. Na trzech tysiącach metrów wysokości.

– To tu jest zamek króla elfów?

Schronisko Vittorio Veneto na Sasso Nero było staroświeckim budynkiem wzniesionym z cegły, kamienia i zaprawy. Zbudowali je pionierzy alpinizmu, a teraz ta siedziba chlubiła się śladami swoich dawnych czasów jak zdobyczą. W tych murach chroniło się Bóg wie ile tysięcy ludzi w ciągu stu dwudziestu lat ich istnienia. Wkrótce miano je zburzyć, bo roztapianie się zmarzliny pod lodowcem zagrażało fundamentom. Przykra była myśl, że już wkrótce tego miejsca nie będzie.

Od kiedy helikopter zniknął z pola widzenia, otaczała nas niemal nierealna cisza. Dokoła nas były tylko niebo, śnieg i skały. Nic więcej. Annelise lśniły oczy – poklepałem ją po policzku.

– Minus dwadzieścia pięć, kochana żono. To jest to, co Tata Niedźwiedź

nazywa „zimno”.

– Idziemy, tato?

Zza drzwi wysunął głowę stary mężczyzna ubrany na czarno, z oczami jak szparki i resztkami włosów na głowie. Miał ostro zarysowaną twarz, a na niej nieodłączny uśmiezek.

– Pan to pan Salinger – powiedział, biorąc do ręki mój plecak. – A pani to Annelise, córka Wenera Maira, prawda?

– Tak, to my.

– A ty na pewno jesteś Clara. Podoba ci się mój dom, *du kloane* Clara?

Clara przypatrywała się przez chwilę temu dziwnemu osobnikowi, który istotnie wyglądał na elfa, a potem zamiast odpowiedzieć na jego pytanie, sama spytała:

– Ty tutaj mieszkasz, proszę pana?

– Od ponad trzydziestu lat.

– To na pewno ty jesteś królem elfów?

Mężczyzna popatrzył zaskoczony najpierw na mnie, potem na Annelise.

– Ta dziewczynka zasłużyła sobie chyba na podwójną porcję tortu. Wejdźcie, zapraszam.

Oprócz króla elfów i kilku członków personelu – duszków, zdaniem Clary – w schronisku nie było nikogo. Zamek był nasz. Clara była nadzwyczaj ożywiona. Annelise nie mniej.

A ja byłem z siebie dumny.

Zjedliśmy kolację wcześniej, jak zazwyczaj w schroniskach. Ogromne porcje polenty z grzybami, speck, przysmażane ziemniaki i woda tak czysta, że nigdy jeszcze takiej nie piłem. Może sprawiała to wysokość, może radość, że znalazłem się tutaj z najbliższymi mi istotami, ale ta woda naprawdę uderzyła mi do głowy. Popołudnie wlokło się długo, ale byliśmy w doskonałych nastrojach. Wdaliśmy się w pogawędkę z właścicielem schroniska i jego pracownikami.

Sypały się cudowne anegdoty, jedna bardziej niezwykła od drugiej. Clara słuchała zachwycona. Często przerywała opowieści, żeby spytać o więcej szczegółów, a właściciel schroniska zamiast się irytować, był uszczęśliwiony, że ma tak uważną publiczność. O jedenastej wznieśliśmy grappą toast za Nowy Rok i przygotowaliśmy się do ostatniego etapu mojej niespodzianki.

Kazałem Clarze i Annelise włożyć na siebie po dwa swetry i puchowe kurtki, zabraliśmy latarkę i wyszliśmy nacieszyć się nocą.

Wystarczyło zrobić parę kroków, żeby znaleźć się w innym świecie. W świecie absolutnego bezmiaru i piękna. Usiedliśmy na śniegu. Odkręciłem

termos z gorącą czekoladą i podałem go Clarze.

– Chcesz zobaczyć cud, malutka?

– Jaki cud?

– Tam, w górze.

Clara podniosła głowę.

Nie było najmniejszych zanieczyszczeń. Nie było smogu. Nie było nawet chmur. Mogliśmy wpatrywać się w gwiazdy, w jakie tylko chcieliśmy. Annelise oparła się o mnie.

– To wspaniałe.

Nie odezwałem się. Nie było potrzeby. Ale wyczułem, jakim tonem Annelise to powiedziała. Był to głos kobiety, którą wybrałem na towarzyszkę swego życia. Nie było w nim nieufności, nie było rezerwy.

Annelise była najzwyczajniej zakochana.

– Wiesz co, Clara?

– Jak mi powiesz, to będę wiedziała.

– Patrzysz na skarby króla elfów. On nie ma pieniędzy, nie ma nawet samochodu. W szafie trzyma tylko dwa ubrania, ale jest najbogatszym elfem na świecie. Nie wydaje ci się?

– To tutaj rodzą się gwiazdy, tato?

– Pewnie tak, malutka, pewnie tak.

Siedzieliśmy, wpatrując się w gwiazdy, dopóki nie przyszła dwunasta.

Wznieśliśmy toast i objęliśmy się. Clara pocałowała mnie głośno w policzek i śmiała się z echa, jakie to wywołało. Powiedziała, że w ten sposób góry składają nam życzenia.

Wróciliśmy do zamku znacznie bogatsi, niż wyszliśmy z niego przed godziną.

## 2

Annelise nie orientowała się w moich sprawkach. A wybieg, który zastosowałem, był prosty: wystarczy zażywać środki nasenne co wieczór, przed spaniem. Dzięki nim nie ma przywidzeń, koszmarów, nocnych krzyków i Annelise nie nabiera podejrzeń.

Poza tym starałem się być najbardziej troskliwym mężem świata i ojcem godnym tego miana. W dalszym ciągu okłamywałem Annelise w sprawie lekarstw, ale chciałem dotrzymać obietnicy. Miałem zapomnieć o morderstwie w Bletterbach, miałem się cieszyć rokiem przerwy i miałem wyzdrowieć.

To było ważne. Dla mnie. Dla Clary i Annelise. I dla Wenera. Teść nic nie mówił, ale z jego spojrzenia mogłem na kilometr wyczytać upomnienie. Nie wiem, kiedy Annelise zwierzyła się ojcu; jak ją znam, pewnie niewiele mu powiedziała, ale nie było sposobu, bym mógł wymknąć się temu spojrzeniu drapieżnego ptaka.

Nie wymknę mu się nigdy.

W pierwszym tygodniu stycznia bez ustanku pędziłem na sankach z Clarą. Nie ma co kryć: bawiło mnie to jak dzieciaka. Za domem Wenera był dość łagodny stok, po którym jaskrawoczerwone sanki mknęły jak rakietka. Nie było tu niebezpiecznie, bo u dołu stoku zaczynało się małe wzniesienie, na którym łatwo wytracało się szybkość.

Natomiast łąka po zachodniej stronie Welshboden była zupełnie inna i surowo zabraniałem Clarze nawet myśleć o zjeżdżaniu tym stokiem dobrym dla kamikadze. Był stromy i u dołu kończył się lasem, w którym grube pnie tylko czekały, żeby z mojej księżniczki zrobić kotleciki. Nawet ja nie odważałem się zjeżdżać tym stokiem. Słowem: *verboten*.

Dni w Siebenhoch płynęły teraz przyjemnie i monotonnie. Bawiłem się z Clarą. Mocno spałem. Jadłem z apetytem, a siniec na twarzy stawał się resztką żółtawej plamy i niedługo miał zniknąć. Kochałem się z Annelise. Na początku łagodnie, potem coraz namiętniej. Annelise zaczęła mi przebaczać.

Do miasteczka jeździłem jak najrzadziej i tylko na zakupy. Papierosy kupowałem na stacji benzynowej w Aldino. Omijałem sklepik Aloisa.

Czasami myślałem o Bletterbach, ale zmuszałem się do odpędzania tej pokusy. Nie chciałem stracić rodziny. Wiedziałem, że groźba Annelise nie brała się z chwilowego lęku i złości. I w żadnym razie nie chciałem sprawdzać, czy tak jest rzeczywiście.

Dziesiątego stycznia poznałem Brigitte Pflantz.

### 3

Było w czym wybierać. Na półkach stały różnego rodzaju koniaki, burbony, wódki i grappy. Do wódki nigdy mnie nie ciągnęło, a jeśli chodzi o grappę, to zawsze mogłem liczyć na specjalną rezerwę w domu Maira, tak że z góry ją pomijałem. Koniaku nie lubiła Annelise, zresztą mnie także nie bardzo zadowalał, jednak burbon od czasu do czasu...

Usłyszałem kobiecy głos, ale nie zrozumiałem, co ta kobieta do mnie mówi.

– Słucham? – spytałem, odwracając się.

– Nie przeszkadzam?



Miała włosy barwy lnu, które opadały po obu stronach twarzy, i niedbale podmalowane oczy.

– Nie, nie, byłem tylko zamyślony.

– Znamy się – odpowiedziała nieznajoma.

Wpatrywała się we mnie. Spostrzegłem, że ma wielkie zęby żółkłe od nikotyny. W jej oddechu można było wyczuć alkohol, a była dopiero dziesiąta rano.

– W czym mogę pani pomóc? – zapytałem, starając się, by wypadło to uprzejmie.

– Nie masz pojęcia, kim jestem?

– Chyba nie – odpowiedziałem zakłopotany.

Wyciągnęła rękę. Wymieniliśmy uścisk. Nosila skórzane rękawiczki.

– Nie znamy się osobiście. Ale ty dobrze wiesz, kim jestem.

– Naprawdę?

Wlepiony we mnie wzrok zaczął mnie niepokoić.

– A jakże. Jestem ważną osobą. Dla ciebie, Salinger, jestem osobą, powiedziałabym, fundamentalną. – Włożyła ręce do kieszeni kurtki, która miała za sobą już niejedną zimę. – Mogę mówić do ciebie „Jeremiaszu”?

– Będiesz jedyną osobą, która tak do mnie mówi, oprócz Wenera i mojej matki.

– Piękne imię. Biblijne. Wiesz o tym?

– Owszem.

Kobieta wyrecytowała:

– Dlaczego krzyczysz z racji twej rany? Uskarżasz się, że bólu twego nie można uśmierzyć? To ci uczyniłem z przyczyny twej wielkiej nieprawości i licznych grzechów twoich.

– Nie przepadam za religią, proszę pani...

– Jestem panną. Mów mi Brigitte. Brigitte Pflantz.

– Dobrze, Brigitte – rzuciłem, chwytając pierwszą lepszą butelkę i wkładając ją do wózka. – Ale teraz, proszę wybaczyć...

Brigitte zagroziła mi drogę.

– Nie powinieneś tak mnie traktować.

– Bo gniew Pana będzie mnie nękał przez tysiące lat?

– Bo się nie dowiesz, co się wtedy wydarzyło w Bletterbach.

Zamurowało mnie.

– Właśnie o to chodzi. – Kobieta nie ustępowała.

Rozległo się kliknięcie w mojej głowie.

– Narzeczona Günthera Kagola. *Ta* Brigitte.

- Wielu ludzi u nas mówi, że chcesz nakręcić o tym film.
  - Nie będzie żadnego filmu – rzuciłem stanowczo.
- Przez chwilę się wahałem. Ale przewyciężyłem to.
- Cieszę się, że cię poznałem, Brigitte.
- Pchnąłem wózek i poszedłem do kasy.

#### 4

Wieczorem, po kolacji, odpowiedziałem na kilka maili Mike'a. Potem otworzyłem folder „Sprawy”, bo postanowiłem wyrzucić plik „B” do kosza. Przejrzałem go.

A potem zostawiłem go tam, gdzie był.

To nic nie znaczy, powiedziałem sobie. Nie chciałem się jednak pozbyć tych notatek.

Jeszcze do tego nie dojrzałem.

#### 5

Jeździć na sankach. Rzucić śnieżkami. Wypróbować nowe przepisy kulinarne. Kochać się z Annelise. Zażywać coś na sen. I następnego dnia znowu.

Dwudziestego stycznia postanowiłem zrezygnować ze środków nasennych. Nie nachodziły mnie koszmary.

Dwudziestego pierwszego stycznia – to samo. Także dwudziestego drugiego, trzeciego i czwartego.

Byłem w siódmym niebie. Czułem się silny. Kiedy odrzuciłem zakusy Brigitte Pflantz, stało się dla mnie bardziej zrozumiałe, o co walczę. Co rano po przebudzeniu powtarzałem sobie: „Uda ci się, już raz ci się udało, więc poradzisz sobie z tym, poradzisz sobie na pewno”.

Trzydziestego stycznia, jednego z najzimniejszych dni tego nowego roku, ktoś zapukał do drzwi naszego domu.

# Dom Krünów

## 1

Drzwi otworzyła Annelise. Ja właśnie doprowadzałem do porządku kuchnię. Mike powiedziałby, że to zajęcie dobre dla pedałów, ale mycie talerzy okazywało się jedną z niewielu czynności zdolnych mnie uspokajać.

– Do ciebie.

Od razu zrozumiałem, że zaszło coś niepokojącego. Głos Annelise był lodowaty.

Odwróciłem się oblepiony pianą od płynu do zmywania aż po łokcie.

– Kto to?

Z czapką w zaczerwienionych z zimna rękach stała na progu kuchni ostatnia osoba na świecie, której mógłbym się tu spodziewać.

– Cześć, Maks – przywitałem go, czekając, żeby woda z kranu opłukała mi rękę. – Napijesz się kawy?

– Prawdę mówiąc – odpowiedział – to ja chciałem cię zaprosić na kawę. I chciałem ci pokazać coś z tego, o czym... rozmawialiśmy. To niedaleko.

Annelise zrobiła się czerwona aż po uszy i bez słowa wyszła z kuchni.

Maks spojrzał na mnie zbity z tropu.

– Chyba nic złego...

– Zaczekaj chwilkę – wydusiłem z siebie.

Annelise siedziała w salonie na moim ulubionym fotelu. Patrzyła przez okno na zasypany śniegiem, a Clara robiła sobie kolejną laleczkę.

– Czego on jeszcze chce od ciebie? – szepnęła.

– Chce mnie przeprosić.

Annelise popatrzyła na mnie z uwagą.

– Masz mnie za głupią?

Słusznie się domyślała. Czym mogło być to „coś”, o czym Maks chciał ze mną porozmawiać, jak nie masakrą w Bletterbach?

– Jeżeli chcesz, zaraz wyrzucę go z domu. Tyle że ja także chciałem go przeprosić – powiedziałem, całując ją w czoło. – Dotrzymam tego, co ci obiecałem. Nie chcę was stracić.

Czyżbym był naprawdę przekonany, że zachowam się dostatecznie powściągliwie?

Ze tylko uściśniemy sobie z Maksem ręce, jak dwaj rozsądni mężczyźni,

a jeśli szef Krün zacznie mówić o Bletterbach, przerwę mu, podziękuję za miłe spotkanie i wrócę do domu z czystym sumieniem?

Chyba tak.

Mówiłem do Annelise szczerze i chyba to ją przekonało. Ale czy nie odzywał się we mnie jakiś głos, jakiś bardzo natarczywy głos, który błagał, kiedy Annelise czule mnie objęła, żebym wyrzucił Maksa kopniakami z naszego domu i powrócił do zmywania naczyń?

– Zrób tak, jak musisz zrobić, Salinger. Ale wróć do mnie. Wróć do nas.

## 2

– Pojedziemy moim. – Szef Krün wskazał na swojego jeepa straży leśnej.

– Maks – uprzedziłem go. – Jeśli chcesz mnie przeprosić, chętnie przyjmę przeprosiny. I bardzo mi przykro, zapewniam cię, że wtrącałem się w twoje sprawy. To było złe. Ale nie mam zamiaru rozprawiać z tobą o masakrze. Obiecałem żonie, że zapomnę o tej historii, okej? Było, minęło.

Naprawdę?

No to dlaczego czułem, że serce bije mi tak mocno? Dlaczego nie mogłem się doczekać, żebyśmy już wsiedli do jeepa i żebym mógł wreszcie usłyszeć, co Maks ma mi do powiedzenia?

Siedem liter: „obsesja”.

Maks kopnął zaspę śniegu i pokiwał głową.

– Wyżyłem się na tobie, bo zrozumiałem, że wpakowałeś się w tę historię z Bletterbach po uszy. A skoro doszło już do tego, że musiałeś złożyć Annelise obietnicę, to chyba gorzej z tobą, niż mi się zdawało. Nie okłamuj mnie, Salinger. Wyraźnie po tobie widać, jak sprawy stoją. Wszystko jest jasne jak słońce.

Nie powiedział ani jednego słowa, które rozmijałoby się z prawdą.

Morderstwo w Bletterbach ciągle jeszcze zadręczało jakąś część mnie. Prędzej czy później wróciłbym do zastanawiania się nad nim, do domysłów i zadawania pytań.

A wtedy jaki los czeka moją rodzinę?

To właśnie w tamtej chwili uległem?

Nie.

W dalszym ciągu okłamywałem samego siebie.

– To nie jest tak.

– Nie wykręcaj się, Salinger. Czekasz na to. Chcesz, żebym cię zasypał informacjami, plotkami, poszlakami. – Maks podszedł bliżej i wycelował

palec w moją pierś. – A ja właśnie coś takiego zamierzam zrobić. Pokażę ci, ile w tej sprawie jest ślepych zaułków, tak że raz na zawsze odechce ci się skończyć tak jak Günther. – Westchnął. – Albo jak ja.

– Maks, obiecałem.

Opierałem się marnie. Użalałem się niepewnym głosem. Zagubionym. Jakbym płakał.

– Pojedziesz ze mną i na pewno uznasz, że nie złamałeś obietnicy.

Odwrociłem się, popatrzyłem na wielkie okna salonu. Podniosłem rękę, chciałem pożegnać Annelise, widziałem pod światło jej sylwetkę. Ona także podniosła rękę. I zaraz zniknęła.

– Ale o co ci chodzi? – spytałem niemal szeptem.

– Chcę ci oszczędzić trzydziestu lat udręki.

### 3

Nie było ruchu na drodze: jakieś jeepy, czarny mercedes jadący w przeciwnym kierunku. Minęliśmy Welshboden i na skrzyżowaniu Maks skręcił na nieutwardzoną drogę przez las.

Dojechaliśmy do rodzinnego domu Krünów parę minut po drugiej.

– Witam cię na ziemi moich przodków.

– Tutaj dorastałeś?

– Verena ci powiedziała?

– Mówiła mi trochę o twoim dzieciństwie. Powiedziała mi o Frau Krün.

– Dla mnie to była *Omi*, babcia. Była kobietą nieustępliwą, ale poza tym porządną i przede wszystkim silną. Biedowaliśmy, ale żeby mi niczego nie brakowało, *Omi* musiała być twarda wobec wszystkich. Była wdową, wychowywała sierotę. W mieście jej szorstkość brali za pychę. Niełatwo było ludziom dostrzec, że za taką postawą kryje się coś całkiem innego. Śmierć dziadka bardzo ją dotknęła, serce jej krwawiło, ale to, co je wypełniało, było samą miłością. Miała wielkie serce, moja *Omi*. – Maks się uśmiechnął. – Wsiadaj.

Dom Krünów był górskim gospodarstwem z dachem krytym dachówką, który już od dawna wymagał naprawy. Pod rynnami widać było resztki jaskółczych gniazd.

Pochyła jabłoń rosła tuż przy drzwiach wejściowych, które przy otwieraniu zaskrzypiały na zawiasach.

W środku nie było światła.

– Zrezygnowałem z elektryczności – wyjaśnił Maks, zapalając lampę

naftową. – Mam tu generator, ale używam go tylko w szczególnych okolicznościach. Zrobię kawę, chyba nie odmówisz?

Oświetlone lampą wewnątrz nabrało mniej widmowego wyglądu. Na kominku stała fotografia upstrzona plamami wilgoci.

– Mały Maks i Frau Krün – powiedział Maks, zajęty parzeniem kawy. – Siadaj, gdzie chcesz.

Oprócz stołu i kilku krzeseł w tej *Stube* – bo tak nazywa się w Górnej Adydze to ogromne pomieszczenie spełniające wiele funkcji (kuchnia, sypialnia, salon, urządzone z myślą o ceramicznym piecu, który nadawał tej przestrzeni nazwę: z myślą o prawdziwym *Stube*) – stały jeszcze dwie metalowe szafy biurowe.

Szef Krün zauważył moje spojrzenie.

– Trzydzieści lat śledztwa. Konfrontowani ze sobą świadkowie. Zebrane dowody. Fałszywe tropy. Wiele podejrzeń. Trzydzieści lat życia spędzone na zbieraniu czegoś, czego nie ma. Zmarnowane trzydzieści lat.

– Wielka porcja tortu, który nie ma smaku.

Maks uniósł brwi.

– Rozmawiałaś o tym z Luisem?

– Jego styl jest nie do podrobienia, prawda?

– Ale jest coś, czego nawet Luis nie miał śmiałości ci powiedzieć: ofiary Bletterbach to nie tylko Kurt, Evi i Markus. To także Günther i Hannes. Verena. Brigitte. Manfred. Werner. I ja.

Patrzyłem na płomienie w kominku. Patrzyłem, jak rozpryskują się iskry, które Clara nazywała diabełkami, i jak gasną na ściankach kominka poczerniałych od Bóg wie ilu lat zbierania się sadzy.

Maks westchnął.

– Zamykałem oczy i słyszałem głos Kurta. Nawet kroki Evi na podłodze albo śmiech Markusa. A kiedy otwierałem oczy, to ich *widziałem*. Oskarżali mnie. „A ty żyjesz”, mówili do mnie.

Przeszedł mnie dreszcz.

*A ty żyjesz.*

Zapaliłem papierosa.

– Zostałem sam. Z kim miałem rozmawiać? Verena nie była w stanie mnie zrozumieć. Werner zabrał się stąd. Hannes... Hannes zrobił coś tak strasznego. Pozostał mi Günther. Chciał jak najwięcej wiedzieć. Ale pił. Ja także chciałem wiedzieć. Chciałem dopaść tego skurwysyna, który skazał mnie na samotność, i wykończyć go. Ni mniej, ni więcej. Z góry postanowiłem, że go powieszę. A czas płynął. Günther zginął w wypadku.

Ożeniłem się. Zmarł Hubner. Verena nie chciała, żebym objął jego posadę, ale ja miałem ochotę zostać szefem Krünem. Wyobraziłem sobie, że będę saltnerem Siebenhoch. Wiesz, o kim mówię?

Nigdy dotąd nie słyszałem tego słowa.

– Dawniej każda miejscina miała swojego saltnera – wyjaśnił mi. – Wybierało się go spośród najsilniejszych chłopaków, miał pilnować wszystkich winnic i obór. To zajęcie cieszyło się szacunkiem. Wszyscy musieli mieć zaufanie do saltnera – jeżeli choćby jeden głos był przeciwny jego wyborowi, to takiego chłopaka odrzucano. Gdyby saltner zechciał, to mógłby się zmówić z jakimś łobuzem, i sprzątnęliby ludziom całoroczne zbiory, a wtedy miasteczko byłoby skazane na pewną śmierć. Czułem się jak saltner.

Rzuciłem niedopałek w płomienie. Nie wypaliłem nawet połowy papierosa. Czułem zawroty głowy.

– Saltner chroni ufających mu ludzi – powiedziałem – a ty chciałeś chronić wszystkich mieszkańców Siebenhoch.

– Robiłem to przez wiele lat, ale dzisiaj... – Głos mu się załamał. – Ci, co tam zginęli, byli moimi najbliższymi przyjaciółmi, Salinger. Kochałem ich. Ale gdybym mógł się cofnąć w czasie, zabrałbym Verenę i wyrwał się stąd, nie oglądając się za siebie. Do diabła z Siebenhoch. Do diabła z Evi, Markusem i Kurtem. Brzmi okrutnie? Ale nie jest okrutne. Jestem pewien, że kiedy usłyszysz o wszystkim, zrozumiesz, że nie warto się w to pakować.

– Możesz wyjechać w każdej chwili. Co cię trzyma w Siebenhoch?

Maks chwilę się namyślał.

– Masakra w Bletterbach zmieniła się w cel mego życia. – Na jego kościstej twarzy pojawił się nikły gorzki uśmiech. – To się stało jakąś obsesją; chcę cię przed nią uchronić. Gdyby ktoś trzydzieści lat temu pokazał mi całe to archiwum, gdyby mnie przestrzegł... może wszystko ułożyłoby się inaczej. Mnie i Verenie.

Przypomniały mi się słowa jego żony. Jej niepokój, łatwo wyczuwalny.

Pomyślałem o Annelise. I Clarze. Uprzytomniłem sobie, że Clara może dorastać przy ojcu coraz bardziej nieobecny, chorym.

*Wróć do nas.*

– Opowiadaj, proszę.

Maks wstał. Metalowa szafka na akta otworzyła się z łoskotem.

– Zaczniemy od dochodzenia urzędowego – powiedział.

– Było w rękach karabinierów z Bolzano.

– Kapitana Alfieriego i ówczesnego prokuratora. Nazywał się Cattaneo. Prokuratora nigdy nie widziałem. Raz tylko rozmawiałem z nim przez

telefon. Kapitan Alfieri był przyzwoitym człowiekiem, ale chyba wolałby się zajmować innymi sprawami. Z dochodzeniowego punktu widzenia masakra w Bletterbach była okropnie kłopotliwa. Poczynając od miejsca zbrodni.

Pokazał mi plik kartek maszynopisu w pomarańczowej okładce. Gruby jak słownik. Zabębnił po nim palcami.

– To raport wydziału technicznego. Ponad czterysta stron. Musiałem zwrócić się do lekarza z Aldino, żeby pomógł mi zrozumieć pewne terminy. Daremny wysiłek. Nie zachowały się żadne resztki organiczne, nie było odcisków palców, nic a nic. Ulewa i błoto zmyły wszystko – podsumował, wkładając dokument z powrotem do szafki. – A poza tym ten raport ukończono, kiedy i prokurator, i Alfieri już zrozumieli, że winnego morderstwa nie da się ująć.

– A ty – powiedziałem – mimo to chciałeś znaleźć tego łajdaka.

– Nie ustępowałem. Za nic bym nie ustąpił. Ale to było walenie głową w mur. Nikt już nie chciał słyszeć o Bletterbach. Doszło nawet do tego, że pobiłem się z kapitanem Alfierim.

– Luis mówił mi o różnych podejrzaniach...

– Dojdziemy do tego. Wcześniej chcę ci pokazać coś innego.

Wyjął z szafki teczkę z dokumentami. Odwrócił ją, nie otwierając, i pchnął po stole w moją stronę.

– To miejsce zbrodni. Otwórz. Zobaczysz.

Już pierwsza fotografia była jak cios pięścią w twarz. Następne tak samo. W większości zdjęcia były czarno-białe, tylko kilka kolorowych. Wszystkie odrażające.

– O Boże...

Maks wyjął mi je delikatnie z rąk. Zaraz jednak jak jakiś natrętny prestidigitator zaczął mi je podsuwać jedno po drugim.

– To namiot. Kurt wybrał takie miejsce, żeby...

Przypomniało mi się, co mówił Werner.

– Żeby wiatr nie mógł go porwać.

– Chcesz się napić czegoś mocniejszego? Zbladłeś.

Uspokoilem go ruchem ręki.

– A czyj to plecak?

– Markusa. Jak widzisz, jest podarty. Uznaliśmy, że Markus rzucił nim w napastnika, kiedy się bronił. On jedyny próbował uciec. Patrz na to.

Następna fotografia.

Następna groza.

– To buty Markusa. Jego zwłoki leżały gdzie indziej. Był boso, miał na



sobie sweter. Chyba dopiero co się położyli, kiedy ten łajdak ich zaatakował.  
– Maks na chwilę umilkł. – Ten śpiwór poznaję, to był prezent ode mnie. Tutaj tego nie widać, ale kazałem na nim wyhaftować inicjały Kurta.

Stuknął w fotografię.

Jeszcze to. Nowa fotografia. I jeszcze jedna.

„Kurt. Kurt. Kurt”.

Ile razy wymawiał imię przyjaciela, rzucał na stół jego zdjęcie.

– Patolog sądowy powiedział, że zabójca go zranił, ale nie od razu zabił. Przypuszczalnie Kurt pierwszy rzucił się na niego, a on się spieszył, nie chciał, żeby wymknęli mu się inni. Ale można też przyjąć, że chciał Kurta ukarać za jego bohaterską postawę. Chciał go na razie unieruchomić i zmusić do oglądania tego, co sam robił potem. Uderzył i od razu zabił Evi, ścigał Markusa i dopiero po paru minutach wrócił do Kurta.

– Ścigał Markusa?

– Markusowi udało się uciec. Nie uciekł jednak daleko.

Patrzyłem na fotografie rzucone na stół.

– Torturował go? – Wskazałem rany na ciele Kurta.

– Lekarz sądowy twierdził, że kiedy morderca wrócił do Kurta, on już nie żył. Te rany zostały zadane *post mortem*. Znęcał się nad zwłokami.

– Jakby to właśnie Kurt miał być jego główną ofiarą? – próbowałem odgadywać.

Maks niemal się uśmiechnął.

– Ja także tak myślałem. Potem wydało mi się, że główną ofiarą mogła być Evi. Potem, że Markus. To piekielna karuzela, Salinger. – Zawahał się, popatrzył na mnie. – Zdjęcia Evi są...

Skinałem głową.

– Ciągniemy dalej.

– To Evi...

Chyba krzyknąłem. Zerwałem się i pobiegłem na dwór. Zanurzyłem twarz w śniegu. Zwymiotowałem wszystko, co zjadłem na obiad. I krzyczałem, tyle tylko pamiętam.

Maks mnie podniósł, podtrzymał i zaprowadził do domu. Posadził na krześle przy kominku. Wymierzył mi policzek, po chwili drugi. Uspokajałem się, mogłem już głębiej oddychać.

– Przepraszam cię, Maks.

– To ludzkie.

Wskazałem na fotografię.

– To nie jest ludzkie.

– Miałem na myśli twoją reakcję.

Zapaliłem papierosa.

– Dlaczego odciął jej głowę?

– Ze wszystkich pytań, Salingerze, to jest najbardziej daremne. Nie ma na nie odpowiedzi.

– *Musi być.*

– Przypuśćmy, że dopadłeś już mordercę. Przypuśćmy, że masz go przed sobą i możesz spytać: „Dlaczego?”. Co by ci powiedział, jak myślisz?

– Nie jestem psychiatrą. Nie wiem.

– A jeżeli on właśnie tak by ci odpowiedział? „Nie wiem”. A jeżeli nie ma żadnego powodu? Albo jeżeli ten powód jest tak bezsensowny, że aż śmieszny? Jeżeli morderca odpowiedziałby ci: „Zrobiłem to dlatego, że nie podobał mi się deszcz”? Albo że tak mu kazał jego pies? Albo że był znudzony? Jak byś to potraktował?

Rozumiałem, co chce mi powiedzieć, ale byłem innego zdania.

– Znaleźć przyczynę to tyle, co znaleźć zabójcę.

– Być może. Ale kiedy nie ma żadnych poszlak? Wtedy nie ma sensu zastanawiać się nad przyczynami. Tak sobie wmawiałem. Znajdziesz winnego, to i przyczyna się znajdzie. Wobec tego lepiej zająć się podejrzanymi.

– Jakimi podejrzanymi?

– *Wszystkimi.* Nie pomijając nikogo.

Otworzył drugą część drzwiczek do szafki. Wyjął jedną z wielu teczek. Na okładce widniał napis „M. Krün”.

– Tutaj masz wyniki śledztwa dotyczącego podejrzanego Maksa Krüna – wyjaśnił. – Rozłożył na stole mapę. – Popatrz. Zaznaczyłem tutaj wszystko. Naszą drogę. Ewentualną drogę Kurta, a nawet *trzy* różne drogi, które Kurt miał do wyboru. Także możliwe drogi ucieczki.

– A te liczby?

– To godziny. Na czerwono przypuszczalne godziny na szlaku Kurta, Evi i Markusa. Na czarno dokładniej zapamiętane godziny drogi naszej ekipy ratowniczej. A tu masz kopię protokołu wypadku drogowego. Na niej, jak widzisz, jest nie tylko mój podpis, podpisał go także funkcjonariusz straży pożarnej.

– Chodzi o ten wypadek tuż przed zabawą urodzinową u Vereny?

– Ciężarówka przewróciła się w pobliżu Siebenhoch. – Maks wskazał palcem punkt na drodze wychodzącej z miasta, dwa kilometry za Desparem w stronę Aldino. – Wieźli herbicydy. Samo podniesienie auta i uwolnienie

jednego pasma ruchu zabrało nam trzy godziny, a gdyby ładunek się wylał, dopiero zaczęłyby się burdel. Pracowaliśmy szybko, nie chciałem zawieść Vereny, ale trzeba było działać bardzo ostrożnie. Zrobiłem zdjęcie polaroidem dla firmy ubezpieczeniowej. Tu je masz.

Była na nim przewrócona ciężarówka z numerem rejestracyjnym dobrze widocznym na pierwszym planie.

– Dziewiętnasta dwadzieścia. Datę i godzinę na odwrocie zapisałem nie ja, tylko szef strażaków. Rozstałem się z nim około dwudziestej. Parę minut później byłem już w siedzibie straży leśnej i wypełniałem formularze. O dwudziestej pierwszej pojechałem do domu, przebrałem się i popędziłem na przyjęcie urodzinowe do Vereny. O dwudziestej drugiej trzydzieści dzieliśmy tort. Popatrz.

Zdjęcie grupowe. Zegar nad rozbawionymi uczestnikami wskazywał godzinę dwudziestą drugą trzydzieści.

– Ktoś cię tam widział?

– Nikt. Mam niepodważalne alibi tylko o dwudziestej i dwudziestej drugiej trzydzieści.

– Niejasne dwie i pół godziny. A o której zdaniem lekarza nastąpił zgon Kurta, Evi i Markusa?

– Przypuszczalnie między dwudziestą a dwudziestą drugą. Popatrz teraz tutaj.

Maks rozłożył przede mną mapę Bletterbach. Wziął do ręki skalówkę i zaczął mierzyć.

– W linii prostej od Siebenhoch do miejsca zbrodni jest mniej więcej dziesięć kilometrów. Gdyby pominąć brak drogi, różnicę poziomów i to piekło z wody i błota, to dobry piechur mógłby dotrzeć do miejsca, gdzie znaleźliśmy ciała, w dwie, może dwie i pół godziny. Ile policzyć na zabijanie? W relacji nic o tym nie ma, tego nikt nie może wiedzieć. Pamiętajmy jednak, że Kurt próbował się bronić i że Markus uciekał. Zajęło to, powiedzmy, piętnaście minut. Może dwadzieścia. I znowu dwie godziny z minutami na powrót. Ile to w sumie?

– Pięć godzin, mniej więcej. Nie biorąc pod uwagę tej nadzwyczajnej burzy i całej reszty. Wobec tego podejrzany Maks Krün zostaje uwolniony od zarzutów.

Maks skinął głową.

– Ale to obłąd, Maksie – dodałem wstrząśnięty.

– Obłąd?

– Ty sam przeprowadziłeś takie dochodzenie w swojej sprawie. To co to

jest?

– To jest coś takiego, Salinger, przed czym chciałbym cię uchronić.

Pomyślałem, że nigdy nie posunąłbym się aż tak daleko. To paranoja. Pomyślałem, że Maks miał całe trzydzieści lat, żeby kopać pod sobą coraz większą przepaść i w końcu do niej się stoczyć. Ale ja w ciągu niecałych trzech miesięcy już zdążyłem narazić nasze małżeństwo.

Maks rzucił na stół następne teczki.

– Trop: *serial killer*. Mówił ci o nim Luis?

W tej teczce były głównie wycinki prasowe. Kilka faksów. Ręcznie szkicowane mapy. Kartki zapisane nerwowym i niemal nieczytelnym charakterem pisma.

– Co to takiego? – spytałem.

– Notatki. Zapis rozmów telefonicznych, ściślej mówiąc.

– Z kim?

– Z prokuratorami. Pomagałem im szukać powiązań z Bletterbach.

– Znalazłeś je?

– Ten drań nie był z Siebenhoch, tylko z Nova Ponente. A to dość blisko. Wobec tego niczego nie można było wykluczać. Tyle że dopiero w grudniu osiemdziesiątego piątego w ciągu tych dwóch tygodni, kiedy był tutaj na nartach z żoną i dziećmi.

– Miał rodzinę?

– A to cię dziwi?

Żona i dzieci. Przełknąłem aluzję.

– Właściwie nie.

Maks zamknął teczkę.

– Był winny, ale nie masakry w Bletterbach.

Następna teczka była dość gruba. Wyjął z niej kartkę A3, na której były naklejone ponumerowane kopie legitymacji, chyba z dziesięć. Pod każdym numerem widniały informacje odsyłające do innych notatek w innych teczkach.

– A ci to kto?

– Kłusownicy buszujący po lasach w tamtym okresie. Markus siedział im wciąż na karku. Moja w tym wina, myślę. Miałem dwadzieścia trzy lata, właściwie byłem jeszcze dzieciakiem. Aby dobrze wypaść przed Markusem, wymyślałem dziesiątki przygód podczas polowań na kłusowników. Te idiotyzmy zachwycały go, a mnie pozwalały czuć się mocniejszym, niż byłem. A praktycznie całe to wyłapywanie kłusowników zaczynało się i kończyło w biurze naczelnika Hubnera.

– Nie zaczajaliście się w lesie, nie stosowaliście jakichś pułapek?

– Skądże – odpowiedział rozbawiony Maks. – Hubner podnosił słuchawkę i rozmawiał z kłusownikami. Pytał: „Nie dobieraliście się w nocy do niczego?”, i tyle. Ale ja też wiedziałem, kto się tym zajmuje, i sprawdziłem każdego z nich. Nie dogrzebałem się do niczego. Byli kłusownikami, nie mordercami. Jest naprawdę spora różnica między zabiciem sarny a zmasakrowaniem człowieka.

– A co było z narkotykami?

Maks pokazał mi inną teczkę.

– Nic takiego. Markusa przyłapano kiedyś z haszyszem w kieszeni. Z niewielką ilością. Sprzedał mu to kolega w szkole. Naczelnik Hubner upomniał go, a dowód rzeczowy wyrzucił. Myślisz, że można kogoś zabić za parę gramów haszu?

– Ale ty i to sprawdzałeś.

Maks popatrzył na mnie krzywo.

– Oczywiście.

Tyle mi wystarczyło.

– Verena? – spytałem niepewnie.

– Tu masz jej ruchy tamtego dnia. Wypad do fryzjerki. Dwa razy zakupy dla matki, tu i tu, a potem już tylko w domu przy torcie, ciągle razem z przyjaciółkami.

– Poza tym jest drobniotka.

– W takiej sprawie nigdy nie można mieć pewności.

Pomyślałem o Annelise. Gdzie w kwietniu osiemdziesiątego piątego była Annelise? W wózecku. Kilkumiesięczne niemowlę. Dobre alibi.

Nawet w oczach Maksa?

– Werner? Tu go masz – powiedział Maks, otwierając szufladę w szafce. – Günther? Służę panu. Brigitte? Naturalnie. Hannes? Jeśli chodzi o Hannesa, to nawet istniały konkretne powody. Od kiedy Kurt przeniósł się do Innsbrucka, ojciec i syn nie rozmawiali ze sobą. Ale jego także odrzuciłem. Spędził wtedy cały dzień za miastem, przy czymś pracował. Wszystko jest tutaj pozapisywane, gdybyś chciał, masz jak na talerzu. Sprawdziłem także Maura Tognona. Ojca Evi i Markusa.

– Odszukałeś go?

– To zrozumiałe – odpowiedział Maks, jakby to była najzwyczajsza rzecz na świecie. – Prawdziwy kawałek śmierdzącego łajna, tak go oceniam. I nie tylko ja. Mam jego wyciąg z rejestru skazanych. Pisał sobie na wizytówce „przedstawiciel handlowy”, ale bynajmniej nim nie był. Był szubrawcem,

oszustem i gwałtownikiem. Zwłaszcza wobec kobiet. I właśnie to go uchroniło.

– To znaczy?

– W osiemdziesiątym piątym go wsadzili. Usiłowanie zabójstwa. Chodziło o jedną z tych wielu nieszczęśnic, które uwodził, a potem dla zabawy znęcał się nad nimi.

– Taki skurwysyn.

– Możesz to krzyczeć na prawo i lewo.

Z kieszeni koszuli wyjął telegram. Ten, który pokazała mi Verena.

*Geht nicht dorthin!*

Nie idźcie tam!

Nie zapomniałem go i nie zapomniałem nazwiska nadawcy.

– Kim był ten Oscar Grünwald?

– Poznałem Oscara Grünwalda. Zetknąłem się z nim kilka razy, kiedy jeździłem razem z Markusem do Innsbrucka odwiedzić jego siostrę. Był człowiekiem skromnym, samotnym. Evi bardzo go lubiła. Na mnie robił wrażenie stukniętego. Kiedy Evi mi go przedstawiła, powiedziała, że Oscar prowadzi bardzo poważne badania, ale potem wykryłem, że sprawy wyglądały trochę inaczej. Wyrzucili go z uniwersytetu. Barman, doradca prawny, ogrodnik, przewodnik turystyczny – takie były jego badania. Z zawodu był geologiem, ale skończył również drugi wydział. Paleontologię.

– Badał skamieliny – powiedziałem, przypomniawszy sobie o Yodim. I o Bletterbach.

– Tobie także wiąże się jedno z drugim?

– Bletterbach to ogromny zbiór skamielin pod otwartym niebem.

– Ja też tak myślę.

– Co się stało, że usunęli go z uniwersytetu?

– Konflikty między naukowcami, tak to nazwijmy. Straciłem wiele czasu, żeby to naświetlić. Uniwersytet w Innsbrucku starannie kryje swoje wewnętrzne spory. A ja oprócz tego telegramu nie miałem nic.

– Jak się do tego odniósł kapitan Alfieri?

– Alfieri nic nie wiedział o telegramie.

– To możliwe?

– Telegram mógł być zarówno dowodem oskarżenia, jak i uwolnieniem od podejrzeń, zależnie od tego, jak do tej rzeczy by się podeszło. Mógł też być świadectwem czystego zbiegu okoliczności. Nie miał znaczenia.

– To nie tak – sprzeciwiłem się zapalczywie. – Mnie wydaje się czytelny. Grünwald wiedział, że ktoś chce ich w Bletterbach zabić, i próbował ich

przed tym przestrzec. Napisał jasno: *Geht nicht dorthin!* Nie idźcie tam!

Maks patrzył na mnie nieporuszony.

– Mogła to być równie dobrze pogróżka. Nie idźcie tam, bo jak nie posłuchacie, *może się to dla was źle skończyć*. Nie pomyślałeś o tym?

– Tak czy inaczej dla śledztwa telegram był ważny, nie sądzisz? Może karabinierzy...

Maks zacisnął pięści.

– Nikogo nie interesowało, kto zabił moich przyjaciół. Było to od samego początku jasne. W tamtych latach ważne były tylko podkładane bomby. Karabinierzy mieli co innego na głowie. Gdybym zaniósł telegram Alfieriemu i opowiedział mu o Grünwaldzie, straciłbym czas. Tylko jeden człowiek mógł wykryć mordercę. Ja. A telegram upominał mnie, że mam o tym pamiętać. Był jak wydany na mnie wyrok. Bo gdybym wtedy o nim nie zapomniał i nie trzymał go w kieszeni, tylko się nad nim zastanowił, mógłbym ich ocalić.

– I dręczy cię to do dziś, tak?

– Także to. Uważam, że ten telegram to dowód odmowy pomocy. Czyli jestem współnikiem zabójcy.

– To idiotyczne, Maks.

– Szukałem Grünwalda. Szukałem go, gdzie tylko mogłem. Wydałem na to sporo pieniędzy. I nic z tego nie wyszło. Przepadł. Telegram to ostatni ślad jego istnienia.

– Człowiek nie może przepaść jak kamień w wodę. Musiał mieć jakichś przyjaciół, bliskich, kogoś, kto go znał.

– Nie, trafiłem na człowieka najbardziej samotnego na kuli ziemskiej, Salinger. Bardziej samotnego niż ja – powiedział niemal szeptem. – Ja przynajmniej miałem te trzy widma, które ciągle były przy mnie.

#### 4

Zrobiło się późno. Maks włożył teczek do szafki, zamknął ją na kłódkę i poszliśmy do szarozielonego jeepa straży leśnej, gdzie Maks włączył na maksimum ogrzewanie.

– *Tak nie jest* – powiedziałem, kiedy już siedzieliśmy w środku. – Nie byłeś tak okropnie samotny. Była z tobą Verena.

– Verena to całkiem co innego. Dzięki Verenie nie skończyłem jak Günther.

Wrzucił bieg, ruszyliśmy. Cały czas jechaliśmy w milczeniu, dopóki nie przyjechaliśmy pod nasz dom. Maks zaparkował i wyłączył światła.

Słuchałem odgłosu silnika.

– Verena chciała mieć dzieci – wyjawiał Maks z wbitym przed siebie wzrokiem. – Byłaby wspaniałą matką. Powiedziałem jej, że nie możemy sobie pozwolić na dziecko. Powiedziałem, że to niewłaściwy czas. I ciągle to odkładałem. Ale w grę wchodził inny powód: bałem się. Bałem się, że kiedyś może mi się zdarzyć coś takiego, co zdarzyło się Hannesowi. Pewnego dnia budzisz się i ruszasz do lasu szukać ciała swojego syna.

Dostrzegłem za oknem salonu Clare. Machała do mnie. I ja jej pomachałem.

Trzeba było wysiąść.

Już otwierałem drzwi, gdy Maks mnie zatrzymał.

– Posłuchaj. Nazwałem cię wtedy mordercą. A ty nie jesteś mordercą. Wiem, co się wydarzyło na Ortles. Nie było w tym twojej winy.

Nie odezwałem się. Przynajmniej nie od razu. Bałem się, że głos odmówi mi posłuszeństwa.

– Dzięki, Maks.

Cieszyłem się, słysząc te słowa.

– Ty masz dziewczynkę, Salinger. Możesz być szczęśliwy. Ci tutejsi to nie twoi ludzie. Tu nie jest twoje miejsce. Nie sądzisz – wskazał mi Clare w oknie – że masz coś lepszego, o co możesz walczyć?

## 5

Tej nocy znowu znalazłem się w *głębi*. W głębi Bestii. Pomimo środków nasennych.

Nie krzyczałem. Obok mnie Annelise spokojnie spała, wyglądała rozczulająco, ślicznie, taką ją najmocniej kochałem. Zbudziłem się zapłakany, w przekonaniu, że straciłem wszystko, dla czego warto żyć.

Objąłem ją. Moją żonę. Przyłgnałem do niej. Kiedy moje serce zaczęło bić wolniej, przestałem płakać. Starając się nie obudzić Annelise, wstałem. W łazience otworzyłem szafkę i wyjąłem lekarstwo, które miałem co rano zażywać. Te pigułki nie mogły stać się dla mnie ratunkiem, były tylko jego chemiczną namiastką. Schowałem je z powrotem. Nie chciałem mieć z niczym takim do czynienia. Zamierzałem tylko podwoić dawkę środków nasennych, jeżeli to będzie konieczne. Nie mogłem pozwolić, żeby chemia rozstrzygała o moich emocjach.

Jakoś sobie z tym poradzę, pomyślałem. Poradzę sobie po swojemu.



# Pierwszy lutego

## 1

Pierwszego lutego zdarzyły się trzy rzeczy. Rozpętała się zamieć śnieżna, omal nie zabiłem człowieka i zadzwoniłem do Mike'a.

## 2

Legendarne dni kosa, trzy najzimniejsze dni w roku, jakoś nie chciały się skończyć. „Ten paskudny ptak – zrzędził Werner – chce nas wszystkich załatwić”.

W grudniu temperatura tutaj była taka, jaka bywa co roku – na tyle niska, że marzły ci końce palców mimo rękawiczek, jednak nie na tyle niska, żebyś marzył jedynie o powrocie do ciepłego domu (przynajmniej ja tak to odczuwałem, bo zimno niespecjalnie mi dokucza). Ale w styczniu wdarł się tu syberyjski mróz, który z uporem chciał zmienić północno--wschodnie rejony Włoch w jakąś arktyczną tundrę zamieszkałą tylko przez niedźwiedzie i zwierzęta futerkowe.

Siebenhoch lśniło skute lodem, zdradliwym i twardym jak pancerz.

Miejscowi byli do takich dni przyzwyczajeni, ale w miasteczku oprócz nich przebywali również liczni turyści, którzy swój pobyt tutaj opłacali złamanymi rękami i stawami biodrowymi. Nawet mnie zdarzyło się kilka razy grzmotnąć o ziemię.

Doszedłem do wniosku, że chodzenie po lodzie nie wymaga po prostu zręczności, tylko że jest to sztuka dziedziczona z pokolenia na pokolenie. To by tłumaczyło, dlaczego Clara i Annelise radzą sobie na lodzie z wdziękiem tancerek, a ja przy nich wypadam jak nieporadne skrzyżowanie gęsi bez nogi z klaunem, któremu wsadzono między pośladki ostrą papryczkę.

W nocy dzięki poświacie księżycy lśniącej na wysokich lodowcach nie trzeba było posługiwać się latarkami. Wszystko było rozświetlone widmowym niebieskawym odbłaskiem. Czasami wyglądało to pięknie, a czasami przerażająco.

Zwłaszcza wtedy, gdy przed zaśnięciem myśli same kierowały się w stronę mrocznego wąwozu Bletterbach.

Kiedy pierwszego lutego obudziłem się z językiem zdrętwiałym od środków nasennych, stwierdziłem, że leżę sam, bez łagodnego dotyku ciała Annelise.

Przeciągnąłem się i odczekałem chwilę, żeby pozbierać myśli, a potem, nie spiesząc się, wstałem i podszedłem do okna podziwiać zimowy krajobraz. Las okryty śniegiem, strome dachy domów w Siebenhoch przesłonięte zadymką, którą wzniecał porywisty wiatr niosący płatki śniegu. Słońce zmieniło się w nikłą plamkę nad horyzontem. Nie tyle się je widziało, ile można było się domyślić, że tam tkwi.

Wypiłem kawę; pomogła mi wrócić do powszedniego świata.

Annelise od wczesnego rana była na nogach. Sprzątanie w domu Salingerów. Nie przepadałem za niektórymi zajęciami (do mnie należało zmywanie naczyń, pilnowanie pralki i prasowanie, Annelise słała łóżka i odkurzała – tak to rozdzieliliśmy między siebie), ale po wyjściu spod prysznicę zabrałem się do roboty. W południe mieszkanie lśniło jak lustro.

O pierwszej w Annelise odezwał się instynkt wiewiórki. Popatrzyła na mnie tym swoim szczególnym wzrokiem i z niepokojem zawyrokowała:

– Umrzemy z głodu.

W kredensie mieliśmy całe kilogramy makaronów różnego typu, cukier biały i trzcinowy, sól morską i kamienną, konserwy (groszek, fasola, ciecierzycy, różnego rodzaju zupy, przecier pomidorowy), dobre piwo, bakalie (orzechy, orzeszki arachidowe, figi, suszone śliwki, jabłka, gruszki, a nawet daktyle) i wiele innych rzeczy, a wszystko to mogłoby wykarmić pułk wojska przez zimę dwukrotnie dłuższą od tej, która nam groziła.

– Skarbie – powiedziałem. – Chyba przesadzasz?

– Nie żartuj, Salinger.

– Mówię tylko, że co najmniej do 2030 roku ten dom nie zmieni się w hotel Panorama z *Lśnienia*.

– Salinger...

– Mówię poważnie, Annelise. Już teraz możesz mi to zdradzić. Gdzie schowałaś siekiere, skarbie?

– Nie żartuj z takich rzeczy.

Zacząłem przewracać oczami i zgrzytać zębami.

– Wendy? Skarbie? A moja siekiera? Gdzie jest moja siekiera?

Annelise popatrzyła na mnie ze złością. Nie znosiła tego filmu.

– Nie spodobało ci się moje aktorstwo?

– Nie.

– Chcesz, żebym nad nim popracował? To daj mi siekiere.

– Dość tego.

– Okej.

Pocałowałem Annelise w czubek nosa, wziąłem kartkę i długopis i pogodziłem się z koniecznością wyjścia do sklepu, czego wcześniej nie planowałem.

Trzeba było co najmniej dziesięciu minut, żeby spisać to wszystko, co Annelise kazała mi kupić, i całej wieczności, żeby dojechać do supermarketu. Na środku drogi przewróciło się auto i przyhamowało ruch.

Kiedy już podjechałem do miejsca wypadku, zauważyłem, że między ludźmi z pomocy drogowej krąży Maks. Nacisnąłem klakson. Szef Krün odwrócił się i wyglądał, jakby chciał kogoś ugryźć. Poznał mnie i złość mu minęła.

Opuściłem szybę.

– Cześć, Salinger – krzyknął, przytykając rękę do daszka.

– Zimnawo, co?

– Tak powiadają.

– I tak to będzie trwało?

– Co najmniej tydzień.

– Ktoś ucierpiał?

– Turyści – prychnął Maks. – Grają komedię. Mogliby wywołać lawinę swoim kichaniem. Wiesz, co jest gorsze od ludzi z miasta?

– Nie mam pojęcia.

– Ludzie z miasta, którym się wydaje, że *nie* są ludźmi z miasta.

Zaśmiałem się razem z nim.

Od dnia, kiedy Maks pokazał mi swoją kartotekę w domu Krünów, nie widziałem się z nim. Chciałem mu podziękować. Ale czułem, że jest w tym coś wstydliwego, a nie tylko owo zakłopotanie, które nie pozwoliło mi powiedzieć tego, co należało, wtedy, kiedy należało.

– Jedziesz na zakupy?

Pokazałem mu listę Annelise.

– Żona się niepokoi, że zima będzie długa.

– I chyba się nie myli.

– Przynajmniej mam okazję postać sobie w miejscu i wypalić trochę benzyny.

– Znikaj, bo ci wlepię mandat. Zakłócasz ruch.

Podaliśmy sobie ręce, podniosłem szybę. Było naprawdę zimno.

Może jednak dobrze się stało, powiedziałem sobie, wymijając dźwig podnoszący rozbite auto. Może tego, co zobaczyłem w domu Krünów, nie

trzeba wyjawiać i rozgłaszać, może musi to być jedną ze spraw, których lepiej nie odgrzebywać i nie wystawiać na światło dzienne. Chociażby tyle.

W każdym razie zupełnie nie myślałem o Bletterbach tamtego pierwszego lutego. Ręczę głową.

I dlatego to, co wkrótce mnie spotkało, tak niebywale mnie zaskoczyło.

#### 4

Wyszedłem z supermarketu z trzema okropnie wypchanymi torbami, włożyłem je do bagażnika. Wsiadłem, włączyłem ogrzewanie w samochodzie, zapaliłem papierosa.

Uchyliłem okno na tyle tylko, żeby się nie udusić.

Oparłem głowę i zamknąłem oczy. Ukołysał mnie monotony warkot silnika i zdrzemnąłem się. Widocznie sprzątanie domu nadspodziewanie mnie zmęczyło. Spałem niedługo, tyle tylko, żeby żarzenie papierosa zdążyło dotrzeć mi do palców. Raptownie oprzytomniałem, przeklinając. Otworzyłem drzwi i wyrzuciłem niedopałek.

Nie zobaczyłem, jak znika w śniegu. Rozglądałem się zdeorientowany. Nie widać było neonowego szyldu supermarketu po lewej. Nie widać było nic. Przemknęło mi przez głowę, że może oślepiłem. Wszystko w górze i w dole było takie samo.

– To tylko śnieg – mówiłem sobie, próbując uciszyć bicie serca. Ten stary perkusista zaczął sobie pozwalać na ryzykowne salto mortale. Przycisnąłem rękę do piersi. – Okropna zamieć, nic więcej. Trzeba ją spokojnie przeczekać.

Werner mówił mi o takich zamieciach. To całkiem co innego niż burza śnieżna. Burze śnieżne tak się mają do zamieci jak zwyczajne letnie burze do tych samoodradzających się. Zamiecie pojawiają się z nagłą, w ciszy, i są gorsze od mgły.

Oślepiają.

Poczułem ucisk w żołądku. Dokoła wszystko było białe.

Podciągnąłem szybę, byłem zadyszany. Wiedziałem, co się zbliża, ale nie chciałem się na to zgodzić. Nic z tego sprzeciwu nie wyszło, musiałem przełknąć tę gorzką pigułkę, którą przeznaczył dla mnie pierwszy dzień lutego.

Stało się. Jednak to mi się stało.

ZSP. Zespół stresu pourazowego.

Głos Bestii.

Z początku przypominał trzeszczenie radia nastawionego na martwą stację.

Ale już po kilku minutach wydarzyło się coś konkretniejszego, co zaczęło nade mną górować. Musiałem z całej siły wczepiać się rękami w kierownicę. Próbowałem się z tym zмагаć, oddychałem głęboko, robiłem to wszystko, co zalecają lekarze, żeby powstrzymać zaczynający się atak paniki. Nie pomogło.

Pełny paraliż.

*Wynoś się.*

Tamten głos. I jej zapach. Zapach Bestii. Metaliczny, zostawiający drętwy nalot w ustach. Pradawny. Tak dawny, że powoduje wymioty. Bo Bestia była pradawna. Tak dawna, że... wreszcie musiałem krzyknąć.

Lewą ręką wyczułem klamkę drzwi. Wypadłem z samochodu. Uderzyłem kolanami o lód na asfalcie, zabolalo, ale ból okazał się błogosławieństwem.

Syczenie umilkło.

Tkwiałem nieruchomo, na czworakach, na oblodzonym asfalcie, a śnieg wciskał się we wszystkie zakamarki odzieży. Poczucie zimna pozwoliło mi odzyskać kontrolę nad sobą.

Skinąłem głową. Otarłem łzy. Wstałem.

– Żyję – powiedziałem.

Żyję i utknąłem w zamieci śnieżnej. Widoczność była mniejsza niż dwa metry.

Wsiadłem do samochodu. Włączyłem światła. Wrzuciłem bieg i ruszyłem, czując, że opony ślizgają się na lodzie.

Ona wyłoniła się znikąd.

Miała otwarte usta, a ręce rozłożone szeroko jak Chrystus na krzyżu. Była ubrana w błękitną kurteczkę, całkiem niestosowną przy takim zimnie. Wbiłem auto w asfalt na mniej niż dziesięć centymetrów przed nią.

Brigitte Pflantz popatrzyła najpierw na mnie, potem na niebo.

I natychmiast upadła jak ścięta z nóg.

## 5

Rzuciłem się do niej z pomocą. Była zamroczona, raczej alkoholem niż upadkiem.

Musiałem ją wcisnąć do samochodu, nie mogła utrzymać się na nogach.

– Brigitte? Słyszysz mnie, Brigitte?

Wczepiła mi się w rękę. Oczy miała rozgorączkowane.

– Do domu.

– Muszę cię zawieźć do szpitala.

– Do domu – powtórzyła.

– Nie, Brigitte, to głupi pomysł. Potrzebujesz pomocy.

– Jedynej pomocy, jakiej potrzebuję, Salinger, mogę oczekiwać od Boga. Ale Bóg już dawno mnie porzucił. Usiądę prosto, tego potrzebuję. I będę ci mówić, jak masz jechać.

Zapiąłem na niej pas. Ruszyliśmy.

Brigitte mieszkała w starym domu, tynk na ścianach dawno się skruszył. Okiennice zwisały ukośnie, wypaczyła je wilgoć.

Wnętrze przedstawiało się jeszcze gorzej. To jest mieszkanie alkoholiczki w ostatnim stadium nałogu, powiedziałem sobie, kiedy Brigitte wreszcie wygrzebała z torebki klucz, trafiła nim w otwór zamka i wpuściła mnie do środka. Wszędzie wały się puste butelki. Meble pokrywała warstwa tłuszczu i kurzu. Wszędzie stał zaduch jak w klatce ze zwierzęciem.

Położyłem Brigitte na kanapie. Dopiero wtedy spostrzegłem, że na nogach ma wiosenne pantofelki. Delikatnie je zdjąłem. Stopy były sine, dłonie i wargi również. Dzwoniła zębami. Żółtawe oczy pod obrzękłymi powiekami pewnie świadczyły o żółtacze. Rozszerzone źrenice śledziły każdy mój ruch. Zauważyłem w kącie pokoju koce poplamione wyschłymi wymiocinami. Kiedy już oswoiłem się z zaduchem, przestałem na coś takiego zwracać uwagę.

Okryłem ją kocem i zacząłem rozcierać.

– Myślisz, że nie potrzeba ci lekarza? – spytałem po chwili.

– Już mi lepiej. Możesz przerwać. Nie wiadomo, co by na to powiedziała twoja żona.

Szczelniej otuliłem ją kocem i zapaliłem papierosa. Zorientowałem się, że cały jestem spocony. Teraz, kiedy już przestałem się o nią niepokoić, byłem zły. Mogłem ją zabić. W tej złości uniosłem się:

– Po diabła wychodzisz w taką zamieć z domu i jeszcze tak głupio ubrana? To się mogło źle skończyć, naprawdę.

– Jestem alkoholczką, Salinger. Nie zauważyłeś? – wymamrotała. – Alkoholicy zawsze tak się zachowują. Gotowi krzywdzić siebie i innych.

Uśmiechnęła się.

A mnie zamurowało. Rzadko zdarza się widzieć tak łagodny uśmiech.

– Jeżeli chcesz się napić, nie krępuj się – powiedziała, a jej twarz odzyskiwała normalne kolory. – Jest w czym wybierać. I dziękuję ci, że mnie nie przejechałeś.

– Nie warto mi dziękować – rzuciłem opryskliwie.

Brigitte usiadła, wygładziła fałdy koca jak wieczorową suknię.

– Przeciwnie, warto. Zawsze warto powiedzieć „dziękuję”. Tamtej nocy,

kiedy zginął Günther, miałam mu właśnie powiedzieć „dziękuję”, ale nie zdążyłam. Usiądź sobie.

Dzwoniło mi w uszach, jakby jej słowa przeniosły mnie gdzieś wysoko.

Zrzuciłem ze znośniejszego krzesła stertę gazet. Mogłem usiąść.

– Wiesz, że Günther popełnił samobójstwo? To wcale nie był wypadek. Günther znał drogi wokół Siebenhoch lepiej niż ktokolwiek. Mógł przejechać ten zakręt z zamkniętymi oczami. A tamtego wieczora nie wypił ani kropli. Wiem, że nie wypił. Byłam z nim. Zanim skończył ze sobą, byliśmy razem.

– A za co chciałaś mu podziękować?

– Powiedział, że już kończy z tą historią w Bletterbach i piciem. Bo przez to marnuje życie. Nie domyśliłam się, co ma na myśli. A on postanowił się zabić. Znadto się spiłam, żeby to zrozumieć. Uważał, że moje picie to też jego wina, że to przez niego nie odklejam się od butelki. Kochał mnie, pomyśl.

Popatrzyła na mnie zaczepnie, nie chciała, żebym temu zaprzeczył.

– Byliście ze sobą szczęśliwi? – spytałem.

– Nie tak jak Kurt z Evi, trochę inaczej. My nie byliśmy jak Kurt i Evi, niestety – zadrwiła. – Ale było nam ze sobą dobrze. Kochaliśmy się i kiedy nie piliśmy, trafiały nam się dni naprawdę piękne. Szkoda, że z biegiem lat coraz rzadziej. Podaj mi tę, co tam stoi. A ty nie chcesz? Mnie suszy.

– Lepiej nie pij.

– To moje lekarstwo, Salinger. Podaj mi.

Mogłem nie podawać. Mogłem wstać z tego kulawego krzesła i wyjść bez słowa. Już się pozbierała. Przemarzła, ale to już niczym nie groziło, nie musiałem jej pomagać. Ale nie zostawiłem jej samej. Nie wyszedłem.

Jak zwykle okłamywałem sam siebie.

Wmawiałem sobie, że zostaję z jej powodu, dla niej. Dopóki tu byłem, dopóki miała ochotę do mnie mówić, nie rwała się do picia. Dałbym jej kilka kropel, żeby się rozgrzała, i tyle. Była przecież przemarznięta.

„Z” jak „załganie”.

Ale naprawdę nie zostałem u niej po to, żeby poznać nowe szczegóły morderstwa w Bletterbach. Zostałem, żeby odpędzić Bestię. Gdybym krążył wokół tej historii z Bletterbach, nie myślałbym o bieli, o tej wszechobecnej bieli, którą zamieć okryła Siebenhoch, i o tym, jak łatwo i szybko mój umysł się poddaje. Klin wybija się klinem.

Bałem się. Bałem się tego, co dopadło mnie na parkingu pod supermarketem.

A gdyby taki atak trafił mi się, kiedy jestem z Annelise? Od razu by się

zorientowała, że nie zażywam leków. I co by zrobiła? Odeszłaby czy tylko znów by mi tym zagroziła? A gdyby taki atak, mój Boże, dopadł mnie, kiedy jestem z Clarą? Jak zachowałaby się wtedy moja córka?

Podsunałem Brigitte butelkę piwa, która stała na stole. Wypiła ją w jednej chwili.

Miała oczy rannego zwierzęcia.

– Brzydzisz się mną, Salinger?

– Martwię się o ciebie.

– Dlaczego się martwisz?

– Bo masz poważny problem.

– Mnie z tym dobrze, mój drogi. Teraz, kiedy już nie ma Günthera, naprawdę mi dobrze.

– Nie byliście w sobie zakochani?

– Miłość nie wygląda tak, jak to pokazują na filmach. Przynajmniej nie w Siebenhoch. Zrozumiałam, że jestem zakochana w Güntherze, kiedy się zabił.

Wyrwał się jej gardłowy śmiech, przechyliła głowę do tyłu.

– Zabił się, żeby mnie uratować, rozumiesz? Właśnie to chciał mi w ten sposób powiedzieć. Że musi odebrać sobie życie, bo widzi, że mnie niszczy. Że tamtą historią mnie zabija. Że *siebie* zabija. To dlatego przykro mi, że mu nie podziękowałam.

Brigitte wstała, koc osunął się na brudną podłogę.

Potykając się, dotarła do kredensu z ciemnego drewna. Wysunęła szufladę, a gdy coś wyjmowała, wypadły z niej butelki. Nawet tego nie zauważyła.

Usiadła, podsunałem jej koc. Owinęła się nim i podała mi stary album fotograficzny w skórzanej oprawie.

Od kiedy Maks pokazał mi zdjęcia z miejsca zbrodni, jakoś mnie do fotografii nie ciągnęło.

– Weź do ręki, nie gryzie.

Położyłem sobie album na kolanach. Zwlekałem z otwarciem.

– To ty?

– To byłem ja – poprawiła mnie Brigitte. – Mówili, że mogłabym być aktorką.

Kobietę, którą miałem przed sobą, dzieliły lata świetlne od urody tej jasnowłosej dziewczyny z albumu. Z ręką opartą na biodrze, z wyzywającym spojrzeniem. Długie włosy i szorty, które odsłaniały nogi godne każdego pokazu mody.

– To jest zdjęcie z 1983 roku. Właśnie skończyłam dwadzieścia lat. Byłam



kelnerką w Aldino. Skróciłam sobie służbową spódnicę. Tylko parę centymetrów mniej, a od razu mierzy się świat inną miarą. Klienci prześcigali się w napiwkach. A niektórzy, kiedy kończyłam pracę, koniecznie chcieli ściągać mi majteczki.

– I jak im szło?

Nie zdążyłam ugryźć się w język; Brigitte mogła źle zrozumieć to pytanie, ale uznała je za komplement.

– Jednemu szło lepiej, drugiemu gorzej – odpowiedziała zalotnie. – Nie byłam dziewczyną lżejszych obyczajów, ale kiedy ktoś był dla mnie szczególnie miły, nie miał twarzy oszpeconej bliznami i nie brakowało mu inteligencji, to *czasami* nie musiał płynąć pod prąd. Pomyśl tylko. A matka posyłała mnie aż do dziesiątego roku życia do szkoły u zakonnicy. Z tamtego czasu zostało mi tylko jedno: cytowanie Biblii. Szkoda, że nie mogłeś mnie słyszeć. – Zaśmiała się i próbowała pociągnąć z pustej butelki. Sposepniała. – W lodówce musi jeszcze być coś zimnego – powiedziała, wskazując mi drzwi kuchni.

Zaduch kuchni odpychał. Okiennica była zamknięta, a kiedy zapaliłem światło, dziwiąc się, że jeszcze nie odcięli jej prądu, dostrzegłem ogon myszy wślizgującej się w szparę w ścianie. Lodówka cicho mruzczała. Prócz resztek jedzenia były w niej tylko piwo i mocniejsze trunki.

Wyjąłem puszkę forsta i wróciłem do pokoju.

– Nie można pić samemu, to przestępstwo.

– Nie szkodzi, nic mi nie będzie, jeśli nie wypiję.

– Trzydzieści lat temu stanąłby ci od samego patrzenia na mnie, Salinger, a teraz nie chcesz się ze mną napić piwa?

– Może trzydzieści lat temu byłbym też żonaty jak dziś.

– Żonaty mężczyzna to mistyfikacja – odpowiedziała Brigitte. – Myślisz, że żaden żonaty nie kręcił się tutaj, pod moim domem?

– Nie wątpię, że się kręcił.

Chyba samym tonem uraziłem Brigitte, bo była rozżalona i kazała mi przewrócić kartkę w albumie. Przewróciłem.

Na drugim zdjęciu Brigitte obejmowała dziewczynę, którą z łatwością rozpoznałem. Brunetka z niebieskimi oczami i piegami na zadartym nosie.

Evi.

– Moja najlepsza przyjaciółka – wyjaśniła Brigitte. – Chociaż byliśmy jak dzień i noc. Ona czuła, zrównoważona, inteligentna, a ja... – zawahała się – ja byłam tą suką Brigitte Pflantz.

– Tak siebie oceniałaś?

– Tak mnie oceniali w Siebenhoch.

– I to ci doskwierało?

– Może. Ale miałam Evi na pociechę. Byłyśmy nierozłączne, naprawdę. Ja byłam jedynaczką, ona miała tylko Markusa, a w dodatku obie bardzo chciałyśmy mieć siostry. Adoptowałyśmy się nawzajem. Całymi dniami byłyśmy razem i zaśmiewałyśmy się bez powodu. Chciałyśmy spędzać ze sobą jak najwięcej czasu, mimo że ja miałam na głowie pracę, a ona tę matkę. – Brigitte posmutniała. – Tę szmatę.

Umilkła.

A ja czekałem.

Brigitte popatrzyła na mnie, pociągnęła z puszki. Odbiło się jej.

– To była pijaczka. I wariatka. Słyszałam, jak wrzeszczy. Wszyscy słyszeliśmy, jak wrzeszczy. I doskonale wiedzieliśmy, że kiedy szła do miasta, wyperfumowana i wystrojona, to szła się kurwić.

– Evi także o tym wiedziała?

– Nie musisz pytać. Wiedziała, jakżeby inaczej. Bóg mi świadkiem. Ale wiesz co? Nic nie mogło odebrać Evi uśmiechu. To, co ci mówię, brzmi jak żart. Jej matka to pijaczka najgorszego sortu, a ona wciąż miała siłę się uśmiechać. Ale Evi właśnie taka była. Zawsze umiała widzieć w rzeczach ich lepszą stronę.

– Jakaż tutaj mogła być lepsza strona?

– Musiałbyś ją spytać. Ja jestem wykapaną kopią jej obrzydliwej matki. Ale przynajmniej miałam tyle rozsądku, że zamknęłam do siebie dostęp. Nie potrzebowałam dzieci, kochany. Nic mi po nich. Chciałam być wolna. Brigitte Pflantz mogła wsiąść sobie do samolotu, zostać w Hollywood aktorką, tam pieprzyłiby ją najpiękniejsi aktorzy świata, ale nikt nie mógłby jej niczego nakazać. Nikt.

– Nawet Günther?

– Günther pojawił się później. Wcześniej pojawił się Kurt.

Podnosiłem właśnie do ust puszkę piwa, ale te słowa Brigitte zatrzymały mi rękę w połowie drogi.

– Nie miałem pojęcia – powiedziałem speszony – że ty z Kurtem...

– Nie miałam na myśli *tego*. Kurt nigdy mnie nie wyobracał, chociaż nie miałabym nic przeciwko temu, był naprawdę przystojnym chłopakiem. Jasne włosy, przenikliwe spojrzenie. Chciałam tylko powiedzieć, że Evi zakochała się w Kurcie, a mnie odstawiła na bok.

Umilkła, zastanawiała się.

– Jak pożar w lesie. Jedna iskra i wszystko staje w ogniu. Tak samo było

z Kurtem i Evi. To mniej więcej w tym czasie zrobili nam tę fotografię. W osiemdziesiątym pierwszym. Evi właśnie w tym roku zrobiła dyplom i przeniosła się do Innsbrucka.

– To cię ucieszyło?

– Że wyjechała?

– Tak.

– Wszyscy zapowiadali, że stąd wyjadą, ale tylko ona to zrobiła.

Podziwiałam ją.

– A Kurt? Jak to przyjął?

– Pojechał za nią. Trudno dać ci lepszą odpowiedź.

– Ale ty poczułaś się niepotrzebna? Tak mówiłaś...

– Chyba mnie o nic nie podejrzewasz, Salinger?

– Nie podejrzewam nikogo, nie bawię się w śledczego.

– A mówią inaczej. Ale nie ma co kryć, tamto mnie dotknęło. Bo wszystko potoczyło się błyskawicznie. Dzień wcześniej byliśmy z Evi nierozłączne, dzień później już mówiła tylko o Kurcie. Kurt to, Kurt tamto. Miała dla mnie coraz mniej czasu. Brigitte zniknęła z zasięgu radaru, mój drogi. Pożar i ratuj się kto może. Zaiskrzyło między nimi właśnie w Bletterbach, los naprawdę ma dziwne poczucie humoru, nie uważasz?

– Na to wygląda.

– Będziesz tak dobry i napijesz się drinka z tą kobietą, Salinger? Tu już nic nie mam.

– Nie za szybko jedziesz?

Brigitte wzruszyła ramionami.

– To już ostatnia – powiedziałem, wróciwszy z kuchni.

– I co dalej? Kopniesz mnie w tyłek?

– Muszę iść.

Brigitte pochyliła się w moją stronę.

– Nie chcesz, żebym opowiedziała ci o Kurcie i Evi? Wszystko w tej sprawie kręci się wokół nich.

– Opowiedz.

– Kurt był o pięć lat starszy od Evi. Przystojny chłopak, była kolejka pod jego drzwiami. – Uśmiechnęła się złośliwie. – Kobiety z obrączką na palcu czy bez obrączki pożerały go wzrokiem.

– Kurt korzystał z tego?

– Nawet jeśli korzystał, to był na tyle sprytny, że nikt go na tym nie przyłapał. Ale, jak chcesz wiedzieć, to Kurt nie był z tych. Miał w głowie tylko góry. Za wzór obrał sobie ojca, Hannesa. Chciał także zostać

ratownikiem. I był nim, dopóki nie przeniósł się do Innsbrucka. Z ojcem byli bardzo podobni, choć żyli jak pies z kotem, a w końcu całkiem przestali się do siebie odzywać. – Wypiła łyk piwa. – Evi spędzała wiele czasu w Bletterbach. Wiesz, że studiowała geologię?

– Mówili mi.

– Nabrała ochoty tam, w Bletterbach. Kiedy nie miała nic do roboty, a mnie nie było pod ręką, brała plecak i szła wypatrywać skamielin.

– Ty z nią nie chodziłaś?

– Po tych kolczastych krzakach? Chyba kpisz? Widziałeś, jakie miałam nogi?

Uśmiechnąłem się.

– Mowy nie ma. Krzaki jeżyn nie dla miss Siebenhoch.

– Tutaj nic takiego nie urządzali, ale mogę ci zaręczyć, że zdobyłabym tytuł. Nie o to szło. Właśnie w czasie jednego z takich wypadów Evi spotkała Kurta. Znali się wcześniej, ale nigdy przedtem nie przyjrzeni się sobie tak naprawdę. Iskra. Pożar. Wiesz, co podobało się Kurtowi w Evi? To, że zawsze umiała znaleźć w rzeczach dobrą stronę. Kurt był chłopakiem drażliwym. Jak jego ojciec. A Evi była pogodna. Nie można było się z nią skłócić. I była nadzwyczaj, cudownie inteligentna. Przewróć ostatnią stronę.

Na końcu albumu była plastikowa teczka, grubo czymś wypchana.

– Co to takiego?

– Moja kolekcja sukcesów Evi. Obejrzyj sobie.

W większości były to wycinki z gazet. Niekiedy krótkie notatki. Evi Baumgartner (a nie Tognon, co zaraz spostrzegłem) zdobyła nagrodę w... Zasługuje na uwagę... Miejscowa badaczka...

– Badaczka?

– Naprawdę była badaczką, nie mieliśmy tutaj nigdy kogoś takiego – odpowiedziała Brigitte. – Jedź dalej, będziesz miał dowód.

Dalej było kilka broszurek. Wydał je uniwersytet w Innsbrucku.

– Publikacje Evi – wyjaśniła Brigitte.

– Ale Evi jeszcze nie zrobiła dyplomu, kiedy... to się stało.

– Kiedy ją zamordowali, to chcesz powiedzieć?

Kiwnąłem głową.

– Już ci mówiłam, że była bardzo zdolna. Błyszczała. Jej profesorom nie trzeba było wiele czasu, żeby się na niej poznać. Evi wtedy pokazywała się tutaj, w Siebenhoch, dość rzadko. W tych ostatnich latach swego życia. Brała na siebie za dużo prac, za dużo studiowania. Czekala ją kariera naukowa, najprawdziwsza.

Wyjęła mi broszurkę z ręki.

– Popatrz. To jej pierwsza publikacja. Była strasznie podniecona, kiedy mi o niej mówiła przez telefon. Prawdę mówiąc, trochę ją naciągnęli z tą pracą, ale ona mówiła, że ja jak zwykle źle myślę o ludziach.

– Jak to: naciągnęli ją?

– To była bardzo krytyczna analiza pracy innego badacza z tego samego uniwersytetu. Zagadnienia naukowe, zagmatwane, ale nie o to chodzi. Dla mnie było jasne, że wykorzystali talent Evi. Jacyś jej profesorowie namówili ją, żeby opublikowała ten swój elaborat, bo jednemu ze swoich chcieli zaszkodzić. Nie wymyśliła swego tematu sama, podsunęli go jej. Rozumiesz, o co mi chodzi?

– O kierowanie z tylnego siedzenia.

– Ale na tym się nie skończyło. Tamten skrytykowany typ przyszedł z pretensjami do nich do domu. Zarzucił Evi, że mu wyrządziła krzywdę. A po dwu godzinach zostali serdecznymi przyjaciółmi. Było jakby tak: ty przewracasz do góry nogami moją pracę, a ja mimo to będę twoim najlepszym przyjacielem. Coś takiego nie mogło się wydarzyć nikomu innemu, tylko Evi. Taka właśnie była.

Zaschło mi w ustach.

Niespodziewanie objawił mi się powód.

– Pamiętasz nazwisko tamtego badacza?

– Nie pamiętam, ale je znajdziesz, jest gdzieś tam wymienione.

Szukałem go, ale przecież z góry wiedziałem, jak będzie brzmiało.

Oscar Grünwald. Nadawca telegramu.

*Geht nicht dorthin!*

– Jakbyś zobaczył zjawę, Salinger.

– Mogę liczyć na twoje piwo?

Brigitte wskazała mi drzwi do kuchni.

– Jedno dla ciebie, jedno dla mnie.

Przyniosłem piwa, usiadłem, piłem wprost z butelki. Zapaliłem papierosa. Chwilę się namyślałem, a Brigitte przypatrywała mi się w milczeniu.

– O co ci chodzi? – spytałem.

– O ciebie.

– Jak to: o mnie?

– Dlaczego tak bardzo wciągasz się w tę sprawę? Naprawdę nie potrzebujesz tego do swojego filmu?

– Nie mam swoich filmów, nie jestem reżyserem.

– To dlaczego?

– Nie twoja sprawa.

Brigitte zagwizdała przez zęby, rozległ się ostry świst.

– Wiesz, Salinger, kogo mi przypominasz?

– Pewnie nie będę zadowolony, kiedy mi powiesz.

– Günthera. Też koniecznie chcesz wykryć, kto ich zamordował.

To nie było pytanie.

I nie było na nie odpowiedzi.

– Günther twierdził, że zna wiele tajemnic tamtego morderstwa w Bletterbach. Takich, których się nie ujawnia. Bo natychmiast wyleciałoby w powietrze całe Siebenhoch. Mówił o tym tylko wtedy, gdy był porządnie pijany. Kiedyś chciałam go wysondować, myślałam, że coś z siebie wydusi. Specjalnie po to go upiłam. Złościło mnie to gadanie o tajemnicach, z którego nic nie wynikało. Zdawało mi się, że takie kręactwo nie zasługuje na szacunek.

– Na szacunek?

– To ja wycierałam jego wymiociny, kupowałam aspirynę, żeby mu ulżyć po przepiciu, bo tym stanem usprawiedliwiał siedzenie w domu i unikanie pracy. Ja z nim spałam, kiedy nachodziły go jakieś przywidzenia. Ale nigdy nie ujawnił mi niczego. Niczego. Kiedy się zabił, przez parę dni nawet się zastanawiałam, czy to nie było zabójstwo.

– Przyszło ci do głowy, że ktoś mógł go zabić, żeby zamilkł na dobre?

– Tak. Ale to nie miało sensu.

– Dlaczego nie miało sensu?

– Bo i tak już sam się zabijał. Jeszcze trochę, i już by go nie było.

– Ty przecież jakoś go chroniłaś.

– A kto miał chronić mnie?

Umilkłam.

– Jeszcze czasami do tego wracam – rzuciła. – Byłaby to śmierć bardziej bohaterska, prawda? – Jej głos drżał. – Günther zamordowany, bo mógłby wyjaśnić morderstwo w Bletterbach.

Płakała.

– Przykro mi, Brigitte.

Nagle uniosła głowę, oczy jej lśniły.

– Wynoś się, Salinger, wynoś się i zamknij za sobą drzwi.

Nie chciałem zostawiać jej samej, jeszcze nie wróciła do siebie. Ale zostawiłem. Porzuciłem ją. Została z zapasem swoich butelek i z oddziałem swoich demonów.

Zamieć już nie znęcała się nad Siebenhoch, już nie pokrywała miasta śniegiem i lodem. Przejechałem tych kilka kilometrów dzielących mnie od Clary i Annelise pogrążony w rozbieganych myślach.

Zanim dojechałem do miejsca, z którego widać nasz dom, zatrzymałem się i wyłączyłem silnik. Wyjąłem komórkę i chwilę czekałem, żeby zza oceanu odezwał się Mike.

Po siódmym sygnale usłyszałem zachrypnięty głos.

– Salinger? Chyba nie wiesz, co robisz, że dzwonicz o takiej popieprzonej godzinie?

– I tak zawsze mi powiesz, że dzwonię za wcześnie. Teraz jest to blondynka?

– *Redhead*, sierzancie. – Mike się rozpogodził. Usłyszałem, że zamyka drzwi. – No jak? – powiedział z jakimś niepokojem w głosie. – Jak ci idzie, wspólniku?

– Raz tak, a raz inaczej. A tobie?

– Mister Smith chce mnie ukrzyżować, a ja już dwukrotnie pomyliłem udźwiękowanie. Wspólniku, szczerze. Wszystko w porządku? Bierzesz te magiczne pigułki?

– Skąd wiesz?

– Mike McMellan wszystko wie.

– Rozmawiałaś z Annelise?

– *Yep*. Martwimy się o ciebie, chłopie.

Zacisnąłem powieki. Nie chciałem się wzruszyć.

– Chcę cię o coś prosić.

– Annelise powiedziała mi, że cię trąciło na temat historii jakiegoś zabójstwa.

– Masakry – poprawiłem go odruchowo.

– Czyli czegoś tam. To prawda?

– Prawda.

Za oceanem milczenie. I jakieś odgłosy, których nie umiałem rozpoznać. Ale zaraz zrozumiałem. Mike z chrzęstem wyłamywał sobie palce.

– Powiedziała mi, że jeżeli odważę się pomagać ci w tym, to mi obetnie, wiesz co...

– Zapewniam cię, że byłabyś do tego zdolna.

– To słabo się urządziłeś, wspólniku.

Teraz z kolei ja trochę pomilczałem.

– Muszę to wiedzieć.

– Kto popełnił zbrodnię trzydzieści lat temu? Zwariowałeś?

– Nic takiego, jeszcze nie zgłupiałem – odpowiedziałem, chociaż coś we mnie podszeptywało, że powinienem uznać odwrotnie, zwłaszcza po tym, co wyjawiała mi Brigitte. – Chcę tylko odkryć, czy jestem zdolny do odkrywania. Czy jeszcze jestem w stanie opowiedzieć przyzwoicie jakąś historię.

– No jasne, że...

– Nie po Ortles.

– Okropna sprawa, Salinger, chcesz, żebym ci podkreślił ego? Chcesz, żebym ci wyszeptał, że jesteś najlepszy ze wszystkich żyjących pisarzy? Dogodzę ci, jeśli chcesz. Wsiądę jeszcze dzisiaj do samolotu i przyjadę śpiewać ci kołysanki, ale musisz wiedzieć, że jeśli coś takiego stało się u was poważnym problemem, to jesteś głupi jak but.

– Nie możesz tego zrozumieć.

Uraziłem go. Wpadłem na to, zanim skończyłem zdanie.

– Nie mogę zrozumieć, bo przy tym nie byłem, o to ci chodzi? – wykrztusił.

– Bynajmniej nie dlatego.

– Szkoda, że wyłazi z ciebie taki zasraniec, Salinger.

– Gdybyś to ty był wtedy na moim miejscu, nic by się nie stało.

– Nieprawda.

Zastanawiałem się nad tym wiele razy. Całe noce.

– Nie pozwoliłbyś sobie na to zasrane pakowanie się do przepaści. I teraz mielibyśmy nowy *factual*, *Mountain Angels* firmy McMellan–Salinger, Mister Smith zacierałby w swoim biurze ręce, licząc pieniądze, a my... my już myślelibyśmy o drugiej serii. Albo o jakimś innym filmie.

– Przecież to robimy – wymamrotał Mike. Nigdy jeszcze nie słyszałem go tak przybitego.

– Właśnie *to* źle znoszę.

Westchnienie.

– Ja też. Ale mamy umowę.

– Wiem. A teraz uważnie mnie wysłuchaj – powiedziałem, udając, że mówię spokojnym głosem – bo potrzebna mi twoja pomoc.

– Wal.

– Musisz mi wyszukać wszystko, co da się znaleźć o jednym człowieku.

– O kim?

– Masz papier i długopis?

– *Claro*.

– Nazywa się Oscar Grünwald. Był asystentem na uniwersytecie w Innsbrucku, czy kimś w tym rodzaju. Pamiętaj: wszystko, czego uda się



o nim dowiedzieć. Spuść ze smyczy tego zero zero siedem, którego masz w sobie.

- Salinger?
- Chcesz, żebym ci przeliterował?
- To chyba niezbyt dobry pomysł?
- Nietrafne pytanie.

Milczenie.

Wreszcie głos Mike'a:

- Czy to przynajmniej dobra historia?
- Uśmiechnąłem się i po raz pierwszy tego dnia byłem szczery.
- Wspaniała, Mike. Kiedy znajdę trochę czasu, to ci ją opowiem.
  - W takim razie powodzenia.
  - *Bye, man.*
  - Wspólniku?
  - Co takiego?
  - Uważaj.

## 7

Clara była ubrana na czerwono. Ciemna czerwień. Czerwień w odcieniu krwi. Trzymała ręce za plecami, była blada, a stopy miała granatowe. Oczy szeroko otwarte i nieruchome. Przykucnąłem z otwartymi ramionami, chciałem, żeby do mnie podeszła, żeby mnie objęła. Chciałem ją ogrzać.

- Dlaczego nie idziesz, malutka?
- Słyszysz to, tato?

Nie słyszałem nic i tak jej odpowiedziałem.

Clara pochyliła głowę.

- Dlaczego płaczesz?
- Ten głos mówi, że przyjdzie po ciebie. Mówi, że tym razem... – Clara pociągnęła nosem, jej oddech zmienił się w obłok. Było zimno. Było bardzo zimno. – Mówi, że tym razem ja muszę być z tobą.

Chciałem do niej podejść. Objąć ją. Pocieszyć.

Ale nie mogłem ruszyć się z miejsca.

- Sześć liter, tato.
- „Słońce”.
- Sześć liter, tato.

Była boso, dopiero teraz to spostrzegłem. Stopy nie były sine. Były czarne. Jak stopy zmarłego.

– Sześć liter, tato.  
– Nie, malutka, *nie*.  
Clara uniosła głowę. Ktoś wydłubał jej oczy.  
Krzyknąłem. Krzyczałem.

8

Sześć liter. Bestia.

# Pracownia diabła

## 1

Kiedy zadzwoniłem do drzwi Manfreda Kagola, był już piąty lutego. Zamięć ustała, można ją było najwyżej wspominać, i chociaż słońce nie radziło sobie jeszcze z lodem nawet w godzinach popołudniowych, chętnie wychodziło się na spacer.

Twórca Centrum Turystycznego mieszkał w jednym z najstarszych i najładniejszych domów w Siebenhoch. Bogactwo jego siedziby nie było ostentacyjne, ale dawało o sobie znać wieloma detalami. Eleganckie kraty w oknach, ściana, którą na wiosnę na pewno zalewała kaskada kwiatów glicynii, wszędzie dopracowane szczegóły – skromnie, ale luksusowo. Jedynym elementem świadczącym o próżności gospodarza był czarny mercedes, najnowszy model, stojący pod łupkowym zadaszaniem, teraz pokrytym warstwą śniegu.

Otworzyła mi kobieta, chyba pięćdziesięcioletnia.

– Pani Kagol?

– Jestem gospodynią. Pan Salinger?

– Tak, to ja. Byłem umówiony. Przepraszam panią za niezręczność.

Poszedłem za nią do *Stube*, wskazała mi skórzany fotel. *Stube* w domu Kagola była przykładem salonu całkowicie innego od tej *Stube*, w której spędził dzieciństwo Maks, a zagłębiony w ścianę piec wydał mi się prawdziwym dziełem sztuki. Nie bardzo się na tym znam, ale sądząc po mistrzostwie, z jakim zostały wykonane majolikowe kafle, musiał być popisową pracą znakomitego rzemieślnika. Boazeria ozdobiona była snycerką, która musiała kosztować majątek. Wszystko tutaj mówiło zresztą o pieniądzu i władzy.

– Przepraszam, że kazałem panu czekać, panie Salinger. – Manfred Kagol uściśnął mi rękę solennie i mocno. – Napije się pan czegoś?

– Najlepiej tego samego co pan.

– Jestem abstynentem – powiedział Kagol takim tonem, jakby mnie za to przeproszał. – A chyba nie zadowoli pana woda mineralna.

– Przeciwnie, napijmy się wody mineralnej.

Gosposia wyszła po wodę.

Kiedy wróciła z dwoma kieliszkami, na których dnie leżały plastry cytryny,

i karafką, na pewno z najczystszej krysztalu, Manfred podziękował i pozwolił jej już iść. Ledwo zamknęła za sobą drzwi i zostaliśmy sami, nalał do kieliszków.

– Mimo że wznoszenie toastów wodą podobno przynosi nieszczęście – powiedział, podnosząc kieliszek – to jednak wznoszę toast, mając nadzieję, że nie jest pan przesądny.

– Wiele rzeczy można o mnie powiedzieć – odpowiedziałem, stukając kieliszkiem o jego kieliszek – ale nie to, że jestem przesądny.

– Zaciekawia mnie pan, panie Salinger. Więc co może pan o sobie powiedzieć?

– Jestem ojcem. Mężem. Scenarzystą telewizyjnym. I marnym narciarzem.

Manfred zaśmiał się uprzejmie. Pogładził wąsy, opadające i szare, jak z żelaza.

– I przyjechał pan tutaj w roli scenarzysty telewizyjnego?

– Nie, tutaj jestem tylko pisarzem.

– Mieliśmy u nas cieśli i snycerzy – stwierdził Manfred, wskazując na boazerię – mieliśmy kilku biskupów, parę wiedzów, wielu alpinistów i bardzo wielu przeróżnych urzędników. Ale pisarzy? Nie widzieliśmy nawet cienia pisarza. Ciekaw jestem pańskiej pracy.

Starłem się być wiarygodny. Dobrze się przygotowałem. Miałem na to cztery dni, musiałem przepracować w sobie wszystko, o czym powiedziała mi Brigitte. Obmyśliłem sobie zręczną historyjkę, żeby omotać Manfreda Kagola. A przy tym łudziłem się, że ten nie wypaple wszystkiego Wernerowi. Wtedy znalazłbym się w tarapatach.

– Jak pan wie, jestem tutaj, w Siebenhoch, gościem. Po nieszczęśliwym wypadku...

– Znam tę sprawę. Przykro mi, że spotkała pana taka tragedia. Mam nadzieję, że nie pozostawiło to żadnych śladów.

– Początkowo było ciężko, teraz czuję się znacznie lepiej. Aż tak dobrze, że już się śmiertelnie nudzę.

Manfred omal nie zadławił się wodą mineralną. Jego donośny śmiech spowodował, że opadła z niego maska wytworności i pojawił się tamten człowiek, jakim Kagol musiał być, zanim stał się zamożny.

Niesłychanie ambitny góral.

– Wyobrażam sobie – powiedział, kiedy już się uspokoił. – Siebenhoch to nie Nowy Jork.

– Ale ja potrzebowałem spokoju, właśnie takiego jak w Siebenhoch. A poza tym – dodałem, udając zakłopotanie, którego wcale nie czułem – właśnie

tutaj odkryłem to moje... powołanie.

– Pisarskie?

– Wie pan, zawsze sądziłem, że pisarze to osoby poważne. Ludzie z kilkoma dyplomami, rasa kujonów. A tymczasem pewnego dnia obudziłem się i powiedziałem sobie: dlaczego nie mam napisać książki o tym miejscu, gdzie jestem? O jego mitach i legendach. Słowem, biografii Siebenhoch.

– Biografii Siebenhoch? Nie chciałbym studzić pańskiego zapału, panie Salinger, ale pojawiło się już wiele książek mówiących o naszym regionie. Nie przechwalając się, mnóstwo z nich sfinansowała nasza fundacja.

Spodziewałem się takiej uwagi.

– Przeczytałem te książki, proszę pana. Co do jednej. Ale nikt w nich nie odniósł się do tego miasta jak do żywej istoty. Jak do kogoś, kto urodził się, dorastał i osiągnął siłę wieku.

– Dziwaczny punkt widzenia, moim zdaniem.

– Ale może właśnie dzięki temu przeczytałby pan moją książkę? Z prostej ciekawości, co w niej dziwnego?

– Świetny pomysł. – Manfred uniósł kieliszek. – Jednak nie mam pojęcia, jak mógłbym panu pomóc. Chciałby pan, żebym pomógł ją panu opublikować?

– Nie, nie szukam wydawcy. Nie trzeba stawiać wołów, zanim postawi się wóz, mówiła moja *Mutti*. Najpierw napiszę książkę, a potem zatroszczę się o dalszy ciąg.

– Wspaniała filozofia. Ale w dalszym ciągu nie...

– Wielu ludzi żywi przekonanie, że uchronił pan Siebenhoch od nieuchronnej powolnej śmierci.

– To przesada.

– A jednak myślę, że wyróżniał się pan niezwykłą intuicją. Nie mam na myśli tylko Centrum Turystycznego. Utrzymał pan przy życiu tradycje Siebenhoch. I głównie to mnie interesuje.

Manfredowi zalśniły oczy.

Trafiony i zatopiony.

Z werwą to potwierdził:

– Czym bez tradycji byłoby Siebenhoch, panie Salinger?

– Jednym z zakątków turystycznych, jak tyle innych. Z Bletterbach zamiast plaży. Z animatorami przebranymi w tyrolskie stroje i piosenkami ludowymi w windach hotelowych. A tymczasem jest tutaj pan, krampusmeister. Toteż chciałbym zacząć moją książkę od człowieka, który szyje stroje dla diabła.

– Człowiek, który szyje stroje dla diabła. To znakomite. Mogę mówić do

pana „Jeremiaszu”?

– Proszę bardzo. Z tym że będzie pan jedyny, bo wszyscy mówią do mnie Salinger. Wszyscy oprócz mojej matki i Wenera.

– No to pozostaniemy przy Salingerze. Proszę mi towarzyszyć, panie Salinger.

## 2

Sprowadził mnie schodami do piwnicy. W powietrzu stał tu mocny zapach kleju żywicznego. Kiedy zapalił światło, zrozumiałem, o co chodzi.

Uśmiechnąłem się, byłem zdumiony.

– To tu powstaje cała magia?

– Pracownia diabła, by sparafrazować pańskie słowa, panie Salinger.

Pomieszczenie było ogromne, pewnie ciągnęło się pod całym domem. Pośrodku stał gigantyczny stół, na którym leżały stroje krampusów i ich maski. Stały też rozmaite maszyny do szycia.

Pod wszystkimi ścianami pracowni ciągnęły się niezwyklej długości regały, oszklone szafy i ławy pełne różnych przedmiotów.

– Niesłychane.

– Staram się używać tylko tradycyjnych materiałów. Jak pan widzi, stosuję naturalne kolory. Żelazo dla błękitu, na przykład. Rtęć. Srebro. Nic, czego nie udałoby się znaleźć w naszych stronach.

– To także stąd?

Wskazałem na słój wypełniony muszelkami.

– Pokażę panu teraz jeden z moich skarbów.

Wyjął z oszklonej szafy książkę. Wyglądała na starą. Zwróciłem uwagę, że każda strona jest osłonięta celofanem.

– Co to?

– Notatki pewnego nauczyciela. Z 1874 roku. Cesarz przydzielił mu posadę w Siebenhoch. Gdyż monarchia austro-węgierska dbała o oświecenie swoich poddanych. Marzeniem Habsburgów było cesarstwo światłe, gdzie nie byłoby analfabetów i wszystko działałoby perfekcyjnie. Herr Weger mieszkał tutaj pięćdziesiąt lat. Ożenił się z miejscową dziewczyną, za kościołem może pan znaleźć jego grób: prosty żelazny krzyż, bo takiego życzył sobie w testamencie.

– Weger – wtrąciłem. – Chyba nie ma w Siebenhoch Wegerów.

– Miał syna, ale syn umarł na dyfteryt. Smutna sprawa. Weger na to nie zasłużył. Był człowiekiem inteligentnym i jak na tamte czasy miał bardzo

postępowe poglądy. Tutaj – wskazał zapiski – ma pan tego dowód. Pod koniec dziewiętnastego wieku Europa oszalała na punkcie pozytywizmu. Utrzymywano, że nauka rozwiąże wszelkie problemy. Jakieś oświecenie wyniesione na najwyższy poziom. Wszędzie stawiano fabryki, budowano linie kolejowe. Wkrótce każda ulica miała mieć oświetlenie elektryczne. Habsburgowie byli zafascynowani dziełami wielkich myślicieli swojej epoki, Weger także się nimi zaczytywał. Ale potem się ich wyrzekł.

– Dlaczego?

Chociaż zjawiłem się w domu Kagola z zamiarem zdobycia informacji o zmarłym bracie najbardziej przedsiębiorczego człowieka w Siebenhoch, to i ta sprawa bardzo mnie zaciekawiła.

– Dlaczego? Bo zrozumiał, że pewnych spraw nie można i nie należy eliminować.

– Na przykład?

Manfred rozłożył ręce, obejmując tym gestem całą pracownię.

– Dawnych tradycji. Już wiele razy próbowano je wykorzenić, panie Salinger. Naprzód Kościół katolicki, potem oświecenie, Napoleon, wreszcie Habsburgowie. Tymczasem prosty nauczyciel zdał sobie sprawę, że gdyby zniszczyć dawne tradycje, to zniknęłyby nie tylko osobliwe obyczaje czy ludowe przysłowia, ale zniknęłyby też duch tych stron. Wobec tego zaczął prowadzić ten swój rejestr.

Pokazał mi kilka stron. Kaligrafia Wegera była elegancka i gęsta. Pisał niemczyzną inkrustowaną słowami, których nie umiałbym przełożyć. Ale przede wszystkim ten genialny nauczyciel miał wyjątkowy talent artystyczny.

– Te rysunki są niezwykle.

– Dokładne jak fotografie, prawda? Ale Weger nie ograniczył się do spisywania dawnych baśni i rysowania tradycyjnych kostiumów. Oprócz tego zaczął je gromadzić.

Zaprowadził mnie na koniec pracowni.

– Naturalnie – wyjaśnił, otwierając wielką szafę wbudowaną w ścianę – nie są to stroje oryginalne. Tylko wierne kopie. Ten sam materiał, te same zdobienia. Jak pan widzi – dodał, podzwaniając ozdobnym pasem – umocowano tutaj muszelki.

Byłem zafascynowany.

– A to, to także kopie?

– Nie, te rzeczy są prawdziwe. Zapłaciłem za nie z własnej kieszeni.

Były to maski krampusów. Manfred włożył lateksowe rękawiczki i ostrożnie przeniósł eksponaty na stół, żeby pokazać mi je z bliska w ostrym

jarzeniowym świetle.

– To najstarsza. Zdaniem znawców może pochodzić nawet z szesnastego wieku. Niezwykła, prawda?

Nie mogłem oderwać od niej wzroku.

– Arcydzieło.

– Budzi w panu lęk?

– Szczerze mówiąc, nie. Nazwałbym ją ciekawą, zabawną. Ale na pewno nie przerażającą.

– Jako że wszystko podlega zmianie, panie Salinger. Ludzie modyfikują swoje pojęcie straszności zależnie od przekształceń historycznych i zmieniających się zwyczajów. Ale myślę, proszę mi wierzyć, że niegdyś ta maska musiała naprawdę przerażać.

– Nie było kina. Nie było telewizji i nie było Stephena Kinga.

– Ludzie mieli tylko Biblię, źle przełożoną i jeszcze gorzej pojmowaną. I zimowe noce, które trwają długo.

– I tuż za domem Bletterbach.

Nawet nie połąpałem się, że coś takiego mówię. Byłem zahipnotyzowany maską krampusa. Tymi pustymi oczodołami przede wszystkim.

– Boi się pan Bletterbach?

– Mam powiedzieć szczerze?

– Oczywiście – odpowiedział Manfred, wkładając na powrót swoje skarby do szafy.

– Bletterbach mnie przeraża. To prehistoryczny cmentarz.

Manfred odwrócił się do mnie i przypatrzył mi się.

– To nie są pańskie słowa, prawda?

– Rzeczywiście nie moje. Ale sądzę, że są trafne. Usłyszałem je od Vereny, żony...

– Żony szefa Krüna. Ale ona także powtarzała je za kimś innym.

– Naprawdę?

Manfred westchnął.

– Tej rozmowy nie ma co ciągnąć tutaj, panie Salinger. Tragiczne wspomnienia. Wolałbym rozmawiać o tym w świetle dnia, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu.

### 3

Manfred wpatrywał się w fotografię, w zdjęcie lotnicze Bletterbach wiszące obok głowy jelenia wyrzeźbionej w sosnowym drewnie.



- Pewnie dostrzega pan na tym zdjęciu pewną osobliwość, panie Salinger?
- Brakuje Centrum.
- No właśnie. Domyśla się pan, kto to zdjęcie zrobił?
- Nie.
- Ta sama osoba, która twierdziła, że Bletterbach to prehistoryczny cmentarz.
- Pański brat Günther?
- Tak, Günther. Z helikoptera ratownictwa. Podarował mi je na urodziny. Mówił, że tylko taki dureń jak ja może liczyć na zarobki na tym ponurym wąwozie. Był pewien, że Bletterbach nie może się spodobać turystom.
- Pomylił się.
- Wielu tak się myliło w tamtym czasie. Ale ja byłem pewien swego. Nie miałem wątpliwości. – Popatrzył na mnie i zobaczyłem w jego oczach coś, co rzadko miałem okazję w życiu oglądać. – Wiedziałem, że mi się powiedzie. Najistotniejsze dla mnie pytanie nie brzmiało, czy ludzi zaciekawili Bletterbach, tylko czy to ja zawładnę tym klejnotem, czy ktoś inny.
- Chyba się pogubiłem.
- Wybuchła już moda na turystykę i docierała wszędzie. Do Doliny Aosty, do Szwajcarii. Do Austrii. A u nas wyglądało na to, że nikt jej nie dostrzega, ponieważ wszyscy byli zbyt zajęci bombami i domaganiem się specjalnych praw. Ale prędzej czy później i tutaj ktoś musiałby na to wpaść.
- A pan nie chciał, żeby ten ktoś pana ubiegł.
- Chciałem mieć Bletterbach dla siebie, panie Salinger. Czułem się właściwym człowiekiem na właściwym miejscu.
- I czas przyznał panu rację.
- Manfred przytaknął z zadowoleniem.
- Tak się o tym mówi. Istotnie, czas przyznał mi rację. Moja rodzina nie była bogata. Nikt w Siebenhoch nie był bogaty. Przynajmniej w tamtych czasach. Młodzi wyjeżdżali, starzy nie zajmowali się niczym innym poza narzekaniem. A ci w kwiecie wieku? Albo wyjeżdżali, albo uskarżali się, że nie udaje im się wyjechać. Mieliśmy cztery krowy. Mógłby pan tak zacząć swoją książkę, od tych czterech krów. Gdyż to dzięki tym czterem krowom odrodziło się Siebenhoch.
- Proszę mi to wyjaśnić.
- To nietrudne. Ojciec umarł, a ja odziedziczyłem wszystko, co mieliśmy.
- Chociaż był jeszcze Günther?
- U nas obowiązuje prawo niepodzielnej współwłasności. Pierworodny dziedziczy wszystko, ale musi przekazać połowę wartości całego majątku

drugiemu dziecku, wypłacając ją w gotówce. Połowę albo jedną trzecią czy jedną czwartą, zależnie od tego, ile rodzina ma dzieci. Najważniejsze, żeby ziemia i zabudowania nie zostały podzielone.

– Dlaczego?

– Dlatego że w Górnej Adydze podział jałowego terenu rujnuje rodzinę. Skazuje ją na głodowanie, jak nie na coś gorszego. Kiedy zmarł ojciec, sprzedałem krowy. Günther nie miał nic przeciwko temu. I oświadczył mi, że spłacę go, kiedy zechcę, że jemu się nie spieszy. Miał mnie za pomyleńca, ale był pewien, że sobie poradzę. Pieniądze ze sprzedaży krów zainwestowałem w moją pierwszą firmę. Było to przedsiębiorstwo budowlane.

– Bo miał pan budować Centrum Turystyczne.

– Chodziło mi to już po głowie, ale nie od tego zacząłem. Wykopy pod fundamenty Centrum zrobiłem dopiero w 1990 roku. Natomiast Kagol EdilBau powstało w 1982, w dniu moich trzydziestych urodzin, a wybrałem ten dzień, dlatego że byłem młodym idealistą i wydawało mi się to bardzo... symboliczne. Tak czy inaczej przyniosło mi fortunę. Ale pierwszym zleceniem Kagol EdilBau była naprawa dachu nad kurnikiem w Aldino. Utknąłem po uszy w kurzym gównie, jednak, proszę mi wierzyć, byłem najszcześliwszy na świecie.

– Cztery krowy i sterta gówna. Nadawałoby się to na tytuł mojej książki.

– Wspaniały tytuł, tylko obawiam się, że niezbyt wiele egzemplarzy by pan sprzedał.

– Günther pracował u pana?

Manfreda to pytanie zaniepokoiło.

– Już po raz drugi wspomina pan mego brata, panie Salinger. Z jaką intencją?

Z ciekawości doбираłem słowa, jakbym stąpał po kruchym lodzie.

– Wielokrotnie słyszałem, że ludziom w Siebenhoch brakuje Günthera.

Manfred chyba był tym zaskoczony.

– Naprawdę?

– Tak mi często mówiono.

– W nawiązaniu do jego alkoholizmu? – spytał z niezmiennym wyrazem twarzy.

– W nawiązaniu do morderstwa w Bletterbach.

– Chce pan i o tym pisać?

– Nie sądzę – odpowiedziałem obojętnie. – Mógłbym co najwyżej wspomnieć o tym w dwóch słowach, aby podkreślić posępną aurę Bletterbach.

- Ten pomysł mnie nie przekonuje, panie Salinger.
- Książka ma opowiedzieć o Siebenhoch, a tamto wydarzenie jest przecież częścią historii tego miasteczka.

Manfred przytaknął, ale w jego oczach pojawił się ślad podejrzliwości.

- Mnóstwo niedobrych rzeczy wydarzyło się tamtego dnia. I w następnych dniach.

– Słyszałem o nich od Wenera. Nawet on stąd wyjechał.

- W pośpiechu, panicznie. Spakował się w nocy i zniknął. Tak mi opowiedziano.

– Pana tutaj nie było?

– Nie, byłem gdzie indziej.

– W interesach? – dopytywałem.

– W osiemdziesiątym piątym Kagol EdilBau przekształciło się w spółkę z ograniczoną odpowiedzialnością, w Kagol EdilBau Srl. Miałem biuro w Rovereto, nieustannie kręciłem się po północnych Włoszech. Prowadziłem budowy we Friuli, w Wenecji Euganejskiej i kończyłem bardzo ważne zlecenie w Tyrolu. Budowę ośrodka narciarskiego. Zatrudniałem personel administracyjny, a rok wcześniej przyjąłem do pracy dwóch młodych architektów, którzy mieli bardzo nowatorskie pomysły. Jeden z nich w dalszym ciągu u mnie pracuje, drugi przeniósł się do Niemiec. Zaprojektował kilka stadionów i wieżowiec w Emiratach Arabskich.

– Zrobił karierę – skomentowałem.

– W osiemdziesiątym piątym właściwie nie pokazywałem się w Siebenhoch. W następnych latach również. Wracałem tutaj na lokalne święta, ale nawet wtedy myślami byłem gdzie indziej. – Westchnął. – Pan do czegoś w życiu niechętnie wraca myślą, panie Salinger?

– Do niejednego.

– To zapewne dobrze pan zrozumie, dlaczego nie cieszy mnie pomysł ukazania czarno na białym tamtej przykrej historii.

– Nie ma o czym mówić – odpowiedziałem. – Mnie obchodzą krampusy i legendy. Reszta to tło. Śmiało mogę tamtą sprawę pominąć. Nie chciałbym nikogo niepokoić tą moją książką, której, jak siebie znam, pewnie nie będę potrafił ukończyć.

– Mogę się panu czymś odwdziaczyć?

– Owszem. Pozwoleniem na zapalenie papierosa.

Manfred otworzył na oścież okno.

– Chętnie zapaliłbym razem z panem, panie Salinger, ale rzuciłem palenie.

Rozmowę przerwało nam nieoczekiwane drapanie w drzwi. Manfred się

rozpogodził.

Wbiegły dwa psy. Dwa dobermany, które najpierw powąchały mnie, a potem obskoczyły swego pana. Manfred odwzajemniał ich entuzjazm szczerym uczuciem.

– Ulisses i Telemach.

– Piękne imiona.

– To wszystko, co mam.

– Nie ma pan rodziny?

– Mam firmę. Mam Centrum Turystyczne. Trzy hotele, z tego dwa tutaj, w Siebenhoch. I jestem krampusmeisterem. Ale nie mam dzieci. Nie miałem na to czasu.

– Przez pracę?

Manfred głaskał łby obu dobermanów leżących przy nim.

– Tak, przez pracę. Günthera także straciłem przez pracę.

Odchylił się na oparcie fotela. Wypił kieliszek wody, a ja w tym czasie rozkoszowałem się dymem z marlboro.

Od chłodu ciągnącego zza okna zmarzło mi pół twarzy.

– Ale nawet kiedy mnie tu nie było, wiedziałem o wszystkim, co działo się w miasteczku. Wiedziałem o Güntherze i o jego nałogu.

– O alkoholu?

– Oczywiście. Ale Günther był... – Manfred sposepniał – ...bardzo słaby. Pan uważa, że to marna cecha? Proszę być ze mną szczerzy.

– Tak, marna.

– Günther był moim bratem, ale wprowadził mnie w zażenowanie. Ja byłem żywym świadectwem tego, że marzenia można urzeczywistnić dzięki sile woli. Przekształciłem cztery krowy w imperium finansowe, z dnia na dzień coraz prężniejsze. Obracałem sumami o dziewięciu zerach, panie Salinger. Politycy codziennie przyczołgiwali się, by mi się podlizywać. Jedno moje słowo, a firma transportowa traciła połowę zamówień, jeden mój gest, a składy materiałów budowlanych padały i nie umiały się podnieść. Miałem nowatorskie pomysły, dzięki nim kwitłem. Świat należał do mnie. – Pokazał mi mocno zaciśniętą pięść. – A Günther był słaby. Wyłącznie słaby. Jak nasz ojciec. Nasz ojciec także pił jak gąbka. Zmarł na marskość wątroby.

– Przecież Günther widział tę...

– Tę masakrę? I co z tego? – odpowiedział mi butnie Manfred. – Gdyby pan wiedział, ilu martwych robotników widziałem w swoim życiu. Murarzy, co zginęli pod płynnym cementem lub spadli z rusztowań, techników rozszarpanych ładunkiem wybuchowym. Widziałem mnóstwo zabitych. I co?

I zmieniło mnie to, zmusiło do picia i użalania się nad sobą?

– Pewnie Günther był z innej gliny niż pan.

– Tak, Günther nie był z tej samej gliny, w żadnym razie. Był przewrażliwiony. Wielki i silny jak niedźwiedź. Wyrażał się tak, że nasza biedna matka zemdlałaby, gdyby go usłyszała. Ale miał złote serce. Niestety zrozumiałem to poniewczasie, dopiero wtedy, gdy minęła mi ta pierwsza euforia. Dla mnie lata osiemdziesiąte i dziewięćdziesiąte były jak jedno wielkie święto, w czasie którego pracowałem osiemnaście godzin na dobę przez siedem dni w tygodniu. Ale nigdy nie znajdowałem czasu na sprawy najważniejsze.

– Na takie jak rodzina?

– I jak Günther. Często mówiłem, że jestem jedynakiem. Śmierć Günthera była jak należne zakończenie zmarnowanego życia. „O jednego pijaczynę mniej”, powiedziałem sobie i w dalszym ciągu podpisywałem umowy, przeglądałem projekty i pozwalałem różnym radnym, by mi całowali tyłek, jakby nic się nie stało. W gruncie rzeczy byliśmy z Güntherem bardzo do siebie podobni.

– Jak pan to rozumie?

– Tak, że Günther miał picie, a ja pracę. Praca była moim nałogiem. A kiedy zacząłem wyhamowywać, zachciało mi się patrzeć wstecz. I zastanawiać się nad Güntherem. Zrozumiałem, że zachowałem się wobec niego niegodziwie. I zadałem sobie pytanie, czy w mojej mocy było go uratować.

– W jaki sposób?

Manfred popatrzył na mnie, jakbym przyleciał z Marsa.

– Byłem i jestem bogaty, panie Salinger. Mogłem go oddać do jakiejś renomowanej kliniki, gdzie by się nim zajęli, mogłem mu opłacić przejazdkę dokoła świata z usłużnymi kurewkami na deser. Ale go porzuciłem, zostawiłem samego. Tutaj. W tym naszym domu, gdzie urodziliśmy się i gdzie on dalej mieszkał. Teraz ten dom niemal od fundamentów przebudowałem.

– Niemal?

– Kiedy wreszcie doszło do mnie, co zrobiłem Güntherowi, ogarnęła mnie jakaś wściekłość. Nie wiem dlaczego, ale o wszystko oskarżałem te stare mury. Chciałem je czym prędzej zrównać z ziemią. Ale to był mój dom. Nasz dom. Więc go odmieniałem od piwnic po dach. Nie miałem jednak sumienia ruszać pokoju, w którym mieszkał Günther, i ten pokój do dziś pozostał taki, jakim był, kiedy Günther ostatni raz z niego wyszedł.

– Nie znam się na tym, ale wydaje mi się, że to szalony pomysł –

wymknęło mi się.

– I ja czasami tak myślę. Chce pan zobaczyć?

Poszedłem za Manfredem na piętro.

Całe mieszkanie Kagola było wykwintnie umeblowane, ze sprzętami starannie dobranymi, a pokój Günthera wyglądał jak nora.

Deski ścian były czarne od sadzy, łóżko zniszczone przez korniki, a szyby w oknie tak brudne, że z trudem dochodziło tu światło słoneczne.

Na szafce nocnej przy niezastłanym łóżku stała butelka. Służyła za przycisk, pod nią leżały dwa tysiąclirowe banknoty.

– Co pan na to, panie Salinger?

Chciał coś jeszcze dorzucić, ale przerwał mu głos gospoisi. Telefon z Berlina, pilny. Manfred zaklął.

– Interesy – powiedział. Przeprosił mnie i w pośpiechu zbiegł na dół.

Zostałem sam. Przed sobą miałem jak gdyby wehikuł czasu. Trudno było oprzeć się takiej okazji. Chociaż z dołu dochodziły mnie niewyraźne słowa rozmawiającego Manfreda, wróciłem z progu do pokoju Günthera.

#### 4

Zrobiłem coś, czego się nie robi. Coś, co było w jakimś sensie profanacją. Zajrzałem do szafy (i pod łóżko, i do szafki nocnej, i...) człowieka od dwudziestu lat nieżyjącego. Człowieka, który żył krótko i nieszczęśliwie. Günther nie zasłużył na to, co mu zrobiłem.

Jednak to przekonanie nie powstrzymało mnie nawet na chwilę.

Trafiła mi się okazja, aby sprawdzić, czy w tym, co mi mówiła Brigitte, był choćby cień prawdy. Wcześniej łudziłem się, że rozmowa z Manfredem dostarczy mi nowych danych. Ale Manfred nie powiedział nic, co mogłoby potwierdzić moje przypuszczenia.

Byłem zdyszany, kiedy łapczywie zaglądałem do starych butów Günthera, grzebałem w przeterminowanych lekarstwach, w piżamach, w bieliźnie. Kątem oka zobaczyłem lustro, ale wolałem nie patrzeć na swoje odbicie. Szukałem. A czas biegł szybko.

Sekunda. Dwie sekundy, trzy...

Prędko. *Prędko.*

Jeżeli Günther rzeczywiście miał jakieś podejrzenia, to dowody na to były tutaj. Mogłem je znaleźć tylko w tej nieoczekiwanej mi udostępnionej skarbnicy. Czułem to tak samo jak ten wieloletni kurz, który drażnił mi nozdrza. Szukałem w kieszeniach marynarek, w kieszeniach spodni.

Przerzucałem recepty i kartki pocztowe. Grzebałem w jego plecakach. W śpiworze przeżartym przez mole. Szukałem w każdej nieszczęsnej szparze tego porzuconego pokoju. Ale znajdowałem tylko stare rachunki, brudne chustki do nosa i wycofane z obiegu monety. Oblewał mnie pot.

Potem ją zobaczyłem.

W szafie. Pozytywka. Niemal mi zagrała, tak mnie zaciekawiła. Wyjąłem ją, wstrzymując oddech.

Skupiłem się i wyteżyłem słuch. Z parteru dobiegał monotony głos Manfreda.

*Nie zwlekaj.*

Odwrociłem pozytywkę, natrafiłem na przegrodę na baterie. Dobierałem się do niej, używając paznokci jak wytrycha. Rzecz nie była warta takiej ostrożności: kwas wyciekł z baterii, zmienił je w małe gąbki wydzielające przykry zapach. Z pozytywki nie mogła się wydobyć żadna melodia i zdradzić, jak sobie tu poczynam.

Jak profanuję grób Günthera Kagola.

Otworzyłem skrzynkę. Zaskrzypiały zawiasy, nic więcej. W środku znalazłem kilka kartek maszynopisu, które wyglądały na pismo urzędowe. Rozprostowałem je i próbowałem się zorientować, co to takiego. Na maszynopisie były pieczętki i ciemniejsze plamy. Pewnie od piwa, pomyślałem. Albo od łez.

Zaparło mi dech.

Ale uratowały mnie psy.

Usłyszałem szczekanie, potem głos Manfreda, który je uciszał. Włożyłem kartki do kieszeni, a pozytywkę do szafy, zamknąłem ją i udawałem, że zaciekawiło mnie osadzenie szyb.

– To chyba ołów?

Miałem nadzieję, że nic nie zauważy. A byłem zadyszany.

– Tak się kiedyś robiło – powiedział.

Popatrzył na mnie, gładząc wąsy.

– Chce mnie pan jeszcze o coś spytać czy...?

– Już i tak nadużyłem pańskiej gościnności, panie Kagol. Cieszyłbym się, gdybym któregoś dnia mógł sfotografować pańską pracownię. Jeżeli nie ma pan nic przeciwko temu.

– Proszę bardzo. Ale chodziło mi o... – powiedział i liczył na to, że samo jego spojrzenie wyjaśni mi więcej.

– Nie, nie będę pytał o Bletterbach. Niech umarli spoczywają w spokoju.

Kartki maszynopisu paliły mi kieszenie spodni.

Reszta czasu spędzonego z Manfredem ulotniła mi się z pamięci. Wykreśliłem ją. Pamiętam tylko, że nie mogłem się doczekać, kiedy wyjdę i dorwę się do swego skarbu.

Cztery stroniczki. Papier był pożółkły i kruszył się w palcach. Na końcu widniała data: siódmy kwietnia 1985. Dwadzieścia dni przed morderstwem.

Przeczytałem te kartki jednym tchem. Potem jeszcze raz. Nie chciałem uwierzyć w to, co Günther wykrył. Wszedłem na chwilę w jego buty i poczułem coś niesamowitego. Zrozumiałem, dlaczego powoli zabijał się piciem.

Ten maszynopis to była ekspertyza rzeczoznawcy dotycząca sytuacji hydrogeologicznej. A rzeczoznawca w lapidarnych słowach, popartych kilkoma wykresami i częstym odwoływaniem się do mapy katastralnej, wykazywał, że budowa Centrum Turystycznego w samym Bletterbach jest dla systemu ekologicznego wąwozu nie tylko szkodliwa, ale wręcz bardzo niebezpieczna.

Fundamenty Centrum wzniesiono w latach dziewięćdziesiątych, pięć lat po tym, jak młoda badaczka wyspecjalizowana w geologii, formułując na tych czterech stroniczkach poważne zastrzeżenia, zyskała sobie wroga, którego nawet jej niezwykły uśmiech nie potrafiłby zjednać. Podpis pod tym dokumentem będącym miażdżącą opinią w sprawie budowy Centrum Turystycznego w Bletterbach był oczywiście podpisem Evi.

Miałem jeszcze w uszach wzdorliwe słowa, w jakich Manfred ukazał mi Günthera. Ale czy człowiek, który nie chciał się pogodzić z alkoholizmem brata, mógł być mordercą?

Może nie mógł, mówiłem sobie, czytając po raz kolejny ekspertyzę.

A jednak Manfred Kagol dowiódł całemu światu, że jest człowiekiem, z którym lepiej nie zadzierać. Zwłaszcza w tamtych latach. Używając jego słów: Günther miał dla siebie picie, on pracę.

Ale swojej ambicji miał znacznie więcej, moim zdaniem. Te cztery krowy, z których był tak dumny, okazały się nie tylko zwierzętami odziedziczonymi w spadku po ojcu pijaku. Były symbolem. Symbolem awansu społecznego. Natomiast Centrum Turystyczne było uchwytnym znakiem jego triumfu.



# *Jaekelopterus rhenaniae*

## 1

Następnego dnia rano usiadłem do komputera i uzupełniłem notatki w pliku, zapisując to wszystko, co wykryłem, dołączając zeskanowany dokument z podpisem Evi i formułując domysły, pytania i tropy, które przychodziły mi do głowy.

Dużo tego było.

Potem pomimo mrozu wybrałem się na dłuższą przechadzkę z nadzieją, że przyda mi się trochę ruchu, bo pomoże wyzbyć się poczucia zagrożenia, które nade mną zawisło. Nie pomogło. W czasie obiadu zjadłem nieuważnie parę kęsów i odpowiadałem monosylabami na pytania Annelise, aż się w końcu zniechęciła i przestała do mnie odzywać.

Myślałem tylko o ekspertyzie Evi. Tymi paroma stroniczkami powstrzymała budowę Centrum Turystycznego na pięć lat. A okres pięciu lat przy takiej konkurencji w sektorze turystycznym staje się długi jak era geologiczna.

Przyszło mi na myśl, że gdyby Evi nie została zamordowana dwudziestego ósmego kwietnia 1985 roku i mogła w dalszym ciągu walczyć o zachowanie Bletterbach w pierwotnym stanie, do którego najwyraźniej była mocno przywiązana (przecież to tam, jak powiedziała mi Brigitte, zrodziła się jej miłość do Kurta, tam też odnajdywała spokój ducha, kiedy jej matka wpadała w furję), to może Centrum Manfreda Kagola byłoby do dziś jedynie pomysłem w jego głowie.

Nie byłoby Centrum, nie byłoby zarobków.

Pieniądze.

Oto motyw naprawdę poważny, stary jak ludzkość. Bądź co bądź nawet Rzym wzniósł swoją potęgę na przestępstwie. Romulus zabił Remusa podczas błahej sprzeczki o granice katastralne.

– Tato?

Nawet nie podniosłem głowy znad talerza, kiedy odpowiedziałem:

– Słucham, malutka.

– Wiedziałaś, że skorpiony nie są owadami?

– Co mówisz?

– Skorpiony nie są owadami. Słyszałaś o tym?

– Naprawdę?

Clara przytaknęła.

– Są pajakami – zawołała ożywiona zdobytą wiadomością. – Tak powiedzieli w telewizji.

Nie przejąłem się tym.

– Zabierz się do jedzenia, nie tknęłaś ziemniaków – odparłem.

Clarę to uraziło, nadąsała się. Nie zauważyłem tego jednak, bo byłem zatopiony w myślach.

Mozna zabić dla pieniędzy?

Próbowałem wyliczyć, ile Centrum Turystyczne zarabia rocznie. Jeżeli dane, które znalazłem w internecie, były prawdziwe, to liczba turystów kupujących co roku bilety wahała się między szesnastoma a stu tysiącami. Niezłe wyniki, od których jednak trzeba odliczyć koszty administrowania i utrzymania i zapewne coś jeszcze. Tyle że lawina dochodów Kagola nie bierze się tylko z tego. Co najmniej połowa zwiedzających, którzy opróżniają kieszenie, żeby podziwiać kanion w Dolomitach, nocuje w hotelach w Siebenhoch. I naturalnie w Siebenhoch jada, kupuje pamiątki, artykuły pierwszej potrzeby i wszystko inne.

– Tato?

– Słucham, skarbie – odpowiedziałem.

– Co będziemy robić po południu?

Zmusiłem się i przełknąłem trochę gulaszu, przynajmniej tyle, żeby Annelise nie miała żalu, że go nie skosztowałem. Był znakomity, ale nie ciągnęło mnie do jedzenia. Nie mijąca mi ta niechęć.

– Nie wiem, malutka.

– Pójdziemy na sanki?

W mojej wyobraźni pieniądze zgarniane przez Centrum zmieniały się już w rzekę złota.

– Oczywiście.

Kto najwięcej zarabiał na tym zyskownym przedsięwzięciu? Ludność Siebenhoch, ale przede wszystkim Manfred Kagol. Człowiek, który sprzedał cztery krowy, żeby stać się... no, kim?

– Obiecujesz?

Zburzyłem jej włosy.

– Obiecuję.

Cztery krowy i dach kurnika w roli trampoliny pozwalającej w końcu zapanować nad Siebenhoch. Kagol jest właścicielem Centrum Turystycznego i dwu największych hoteli w mieście. Głównie on na tym zarabia.

Manfred Kagol.

Sprzątnąłem ze stołu. Wreszcie zatopiłem się w ulubionym fotelu. Włączyłem telewizję. Oczy coś oglądały, do mózgu nie docierało nic.

Clara przybiegła jak piesek, wpatrzona we mnie.

– Tato?

– Słucham, osiem liter.

– O czym myślisz?

– Oglądam telewizję.

– Już się skończyło, pięć liter ze zdrobnieniem.

Istotnie.

Uśmiechnąłem się.

– Coś mi się wydaje, że pięć liter ze zdrobnieniem musi sobie zrobić trochę porządku w głowie.

– Idziemy na sanki?

Zaprzeciłem ruchem głowy.

– Potem.

– Kiedy?

– Muszę jeszcze coś zrobić.

– Ale obiecałeś!

– Jeszcze troszkę, niedługo pójdziemy.

Wstałem.

– Gdzie idziesz?

– Skoczę do Bolzano. Jak tylko wrócę, idziemy na sanki, okej?

## 2

Musiałem zdobyć dowody. A jedynym miejscem, gdzie mogłem na nie natrafić, był urząd katastralny prowincji. Tylko tam mogła mi się wyklarować historia budowy Centrum Turystycznego.

A potem?

Potem, powiedziałem sobie, zanim zadzwonił telefon, pewnie coś z tego wszystkiego zrozumie.

## 3

– Zbudziłem cię, współniku?

– U nas dopiero druga po południu, jadę samochodem.

– Zawsze mi się płaczą te poprzestawiane godziny.

– Ale zrobiłeś, o co cię prosiłem, Mike?

Na linii były zakłócenia. Głos Mike'a dochodził do mnie porozrywany na kawałki.

Zakląłem.

Na szczęście trafił się zjazd na stację benzynową. Wrzuciłem kierunkowskaz, wypatrzyłem miejsce na parkingu, zatrzymałem się. Wyłączyłem głośnik i przyłożyłem komórkę do ucha.

– Mam uwagi wstępne. Pierwsza: sporo się namęczyłem. Druga: to jeden wielki burdel. Gdzieś ty się wybrała na to twoje polowanie?

Zapaliłem zapalniczkę i po raz pierwszy po obiedzie zaciągnąłem się papierosem. Zakrztusiłem się dymem.

– To dziwaczna sprawa.

– Zacznę od końca. Grünwald. Nikt nie ma pojęcia, gdzie się podział. Zniknął z dnia na dzień.

– Kiedy? W osiemdziesiątym piątym?

– Kwiecień, a może maj 1985 roku.

– Jak to: kwiecień albo maj? Nie dało się tego ustalić ściślej?

Głos Mike'a zrobił się skrzekliwy.

– Czemu sam nie zabierzesz się do swoich kaprysów, skoro tak znakomicie krytykujesz starania innych?

– Bo ty, Mike, jesteś geniuszem. A ja skromnym pisarzyną.

– No, dalej.

– I jesteś jedynym człowiekiem na świecie, który może mi pomóc w tym moim tańcu na lodzie.

– I co?

– I nic. Nie jestem na czacie erotycznym.

– Gdybyś był na czacie erotycznym, tobym sobie trochę zaoszczędził. Wiesz, ile kosztuje rozmowa międzynarodowa?

– Mimo że używasz telefonu naszej sieci, tak?

– Chcesz, żebym ci przeczytał twój horoskop, skoro już jesteśmy w tych rejonach?

– Chcę, żebyś zaczął sprawozdanie. Kwiecień albo maj 1985 roku.

– Oscar Grünwald znika. Miał wygłosić odczyt w Ingolstadt, które to miasto leży...

– ...w Niemczech.

– Ale nie pojawił się tam. Odczyt miał się odbyć siódmego maja, mówiąc precyzyjnie. W miejsce Grünwalda sprowadzono doktora Van der Velta, Holendra. Zyskali na tym, sądząc z jego dorobku. A Grünwald, Salinger, był

już rozjechany.

– Co to znaczy: rozjechany?

Kiedy Mike mówił, wyjąłem ze schowka notes i długopis. Zacząłem notować ważniejsze dane.

– To znaczy, że uniwersytet cofnął mu fundusze.

– Co jeszcze?

– Wiarygodność naukowa Grünwalda zaczęła się zmniejszać z początkiem osiemdziesiątego trzeciego. Uniwersytet wielokrotnie wyrażał zastrzeżenia do jego badań.

– Uniwersytet w Innsbrucku?

– W Innsbrucku, w Wiedniu. Dwie publikacje krytyczne w Berlinie, jedna w Weronie.

– Coś zaszło?

– Powinieneś spytać inaczej. Kim naprawdę był Oscar Grünwald?

– Geologiem i paleontologiem – odpowiedziałem.

– Odpowiedź poprawna, ale umniejszająca. Oscar Grünwald – głos Mike'a przybrał nudny ton człowieka czytającego z kartki, ale starałem się, jak mogłem, by zanotować wszystko, co referował – urodził się w Karyntii, na przedmieściu Kla...

– Klagenfurtu.

– Tak jest. Ósmego października 1949 roku.

– W osiemdziesiątym piątym miał trzydzieści sześć lat.

– Trzydzieści sześć lat, dwa dyplomy i doktorat badawczy. Paleontologia. Był bardzo zdolny, tyle ci powiem.

– Bardzo zdolny?

– W moim pojęciu był genialny.

– A cóż ty wiesz o geologii i paleontologii?

– Trochę się oświeciłem w ostatnich dniach. To raczej ja spytałbym: a co ty o tym wiesz?

– Wiem, że geologia to nauka o skałach, a paleontologia to nauka o skamielinach.

– Słyszałeś kiedyś o permie?

– O tej erze wielkiego wymierania?

Z tej ery pochodzą przecież najniższe warstwy wąwozu Bletterbach. Elementy puzzli zaczęły wreszcie do siebie pasować.

– Perm trwał, licząc w milionach lat, od dwustu pięćdziesięciu do dwustu dziewięćdziesięciu. W tym okresie nastąpiło największe w historii naszej planety wymieranie żyjących gatunków. Niemal pięćdziesiąt procent żyjących

istot przestało istnieć. Pięćdziesiąt procent, Salinger. To cię nie zwala z nóg?

– Pewnie i ciebie zwala, padajmy razem.

– Istnieje wiele teorii dlaczego. Wzrost promieniowania kosmicznego, co można sobie przedstawić jako spożytkowanie zwierząt na hamburgery pieczone w gigantycznej mikrofalówce. A może mniejsza produktywność mórz, a może przestawienie się biegunów magnetycznych, a może mniejsze zasolenie oceanów, rozrzedzenie atmosfery, wzrost ilości siarkowodoru w atmosferze wywołany działalnością bakterii, które wtedy ruszyły do swojej brudnej roboty. I wreszcie moja ukochana teoria znana wszystkim.

– Asteroid?

– Olbrzymia, cudowna, apokaliptyczna kula do kręgli, która trafiła w planetę i niemal rozwaliła ją na dwie części. Hollywood do entej potęgi. I to bez kaskaderów, współnika. Ale Grünwald szybko się znudził rozważaniem tego.

– Dlaczego? Zrozumiałeś dlaczego?

– Odwieczny brak funduszy, który od niepamiętnych czasów prześladowuje takich mózgowców jak on. Grünwald nie należał do tych badaczy, co to mają tyłek przyspawany do krzesła. Nie ciągnęło go do grzebania w teoriach.

– Chciał je potwierdzać.

– Tylko że w paleontologii szukanie potwierdzeń troszkę kosztuje. A nikt mu nie chciał sypnąć kasą na ekspedycje badawcze. Wiem, że nie ma sensu tak mówić o kimś, kogo nie znam, ale czuję do niego sympatię. Kto z nas nie gustuje w świrach? Tyle że taki typ powinien zostać, powiedzmy, scenarzystą, a nie naukowcem.

– Taki jesteś pewien?

– Wszyscy badacze permu zadawali sobie pytanie: kula ognia czy egzaltowane trzęsienie ziemi? Rozbuchane mikroorganizmy czy połaskotane wulkany? Ale Grünwald zadał sobie pytanie znacznie ciekawsze. Dlaczego jedne gatunki przeżyły, a inne nie? Genetyka? Szczęśliwy los? I w taki oto sposób dochodzimy do jego teorii nisz ekologicznych. Do tej teorii, przez którą popadł w niełaskę.

– Co to takiego?

– Konkretnie miejsca, w których apokaliptyczne warunki permu objawiły się w wersji, powiedzmy, łagodniejszej, co pozwoliło żyjącym istotom ująć cało z kataklizmu. Poradziły sobie z nim na własną rękę.

– Czyli jak?

– Grünwald zakładał, że jeszcze dzisiaj mogą istnieć miejsca, w których zachowały się przy życiu pewne organizmy zatrzymane w rozwoju. Jakoś

ocalały z wielkiego masowego wymierania...

– Ocalały, ale się nie rozwijają? I to trwa do dziś? *Jurassic Park* bez tych żabich stworów i bez DNA?

– Tak jak mówisz. – Niemal widziałem, jak niepokieszony kręci głową. – Grünwald miał stanowisko badacza w Innsbrucku i go usunięto. Nikt nie chciał mieć z nim do czynienia. Nie mógł publikować badań ani wydawać książek na uniwersytecie.

– Więc jak zarabiał na życie?

– Był geologiem. Organizował wyprawy w Andy, gdzie miał kontakty z miejscową ludnością. Udzielał konsultacji, ale nie gardził też dorywczą pracą przewodnika lub sprzedawcy. Zapracowywał się, kiedy natrafił na coś dla siebie. I nagle w osiemdziesiątym piątym zniknął.

– I nikt go nie szukał?

– Z tego, co wiem, nikt – odpowiedział sucho Mike.

Przyszła mi na myśl Brigitte. Jej album z wycinkami gazetowymi o sukcesach Evi.

– Evi Baumgartner – wymamrotałem.

– Słucham?

– Evi Baumgartner – powtórzyłem, obserwując jakiegoś drapieżnego ptaka, może sokoła, który powoli zataczał kręgi na przejrzystym tego dnia niebie.

– Kto to?

– Jeśli przejrzysz publikacje, które podważały wiarygodność naukową Grünwalda, to na pewno natrafisz na jej nazwisko.

I na motyw.

Usłyszałem, jak Mike stuka w klawiaturę komputera.

– Nie ma nic.

Wytknąłem sobie w myślach, że jestem idiotą.

– Poszukaj pod „Tognon” – powiedziałem, odnajdując w pamięci prawdziwe nazwisko Evi.

Nowa salwa klikania.

– Mamy ją. Uniwersytet w Innsbrucku. I nie jakieś teksty, które podważają wiarygodność naszego przyjaciela, tylko *jeden* zasadniczy tekst, z którego potem inne teksty czerpią pełnymi garściami. Kim jest ta Evi?

– Jedną z zamordowanych w Bletterbach.

– Co powiedziałaś?

– Powiedziałem, że była jedną z ofiar w Bletterbach. W tej historii, którą staram się odtworzyć.

Mike coś wymamrotał. Jeszcze raz usłyszałem odgłos palców stukających

w klawiaturę.

- Pisze się przez „c” i „h” na końcu?
- Bletterbach? Tak. Dlaczego pytasz?

Mike, małpując baryton lektorów czytających zapowiedzi filmowe, rzucił:

- Zaskakujące, wspólniku.
- Daj spokój z tym graniem kretyna.
- Nie gram kretyna. A ty wdepnąłeś w sam środek niszy ekologicznej.
- Niemożliwe. Zabawiamy się chyba w *science fiction*.

– Tak uważasz? – odpowiedział Mike. – No to przytoczę ci w zarysie treść książki naszego przyjaciela Grünwalda. Górna Adyga ma swój mikroklimat. Teoretycznie powinna mieć klimat kontynentalny, ale wpakowała się między Alpy. I nie ma klimatu kontynentalnego. A w takim razie, skoro otaczają ją Alpy, powinna mieć klimat alpejski, prawda? Nieprawda. Alpy chronią od wiatrów z północy, Alpy chronią od powiewów znad Morza Śródziemnego, ale to nie Alpy decydują o klimacie regionu, Alpy proponują mu tylko coś odrębnego: mikroklimat. A właśnie to, żeby uściślić, jest zdaniem Grünwalda podstawowym warunkiem tworzenia się nisz ekologicznych. A ty – dorzucił – trzymaj się mocno, bo zaraz usłyszysz coś zabawnego.

– Wal.

– W Górnej Adydze rosną rozmaite odmiany drzewa miłorzębu, które w Europie wymarły tysiące lat temu. Tylko w Dolomitach sobie stoją i kpią z naukowych ustaleń, czując się znakomicie w dobrym towarzystwie miejscowych drzew. Oraz na przykład w towarzystwie nautilusa. W teorii ten mięczak wyginął czterysta milionów lat temu. A w Górnej Adydze znaleziono jego skamieliny pochodzące sprzed *dwustu* milionów lat.

– Mam rozumieć, że nautilus, kiedy pożegnał się ze światem, tutaj jeszcze nurkował sobie spokojnie przez następne dwieście milionów lat? Fantastyka naukowa, Mike.

– Nie, wspólniku. Nisza ekologiczna. I zapewniam cię, że sprawdzałem to w niejednym opracowaniu.

– Przecież...

– Posłuchaj. W jednej ze swoich ostatnich publikacji Grünwald pisze właśnie o Bletterbach. Zamieścił to w jakimś piśmie, które lokowałbym między serialami *Z archiwum X* a *Doktor Who*. W takim czasopiśmie, które co dwa tygodnie ogłasza koniec świata.

Serce zaczęło mi mocniej bić.

– Grünwald ustalił – ciągnął Mike – że Bletterbach jest jednym z takich miejsc, gdzie można natrafić na żywy materiał biologiczny z epoki permu.



Jego konkretne egzemplarze. Nie mówię tu o disneyowskiej rybce Nemo. Prześlę ci skan.

Zaczekałem, żeby w komórce rozległ się sygnał ememesa. Popatrzyłem.

I wpatrywałem się w ekranik półprzytomnie.

Jakby skorpion z ogonem syreny. Wydłużony korpus pokryty pancerzem, który upodabniał go do langusty. W życiu nie widziałem stworzenia tak złowrogiego.

Osiem liter.

– Co to za potwór?

– *Jaekelopterus rhenaniae*. Wybacz mi wymowę.

Próbowałem sobie wyobrazić, jak wyglądał kuriozalny świat, na którym żyła taka kreatura. Na naszej planecie mrowiły się potwory wyzbyte wszelkich impulsów prócz instynktu łowieckiego i to te Bóg pewnego dnia postanowił usunąć.

Mike referował dalej:

– Gigantyczny przodek dzisiejszych pajaków, a raczej skorpionów.

Coś mi zaświtało w głowie, ale kiedy próbowałem to uchwycić, przepadło.

– Stawonóg. Ale stawonóg morski. Żył w wodzie. Miał dwa i pół metra długości. Szczypce rozwierały mu się na pół metra.

– I Grünwald był przekonany, że jakieś takie kuriozum płące się po wąwozie Bletterbach?

– Pod wąwozem. Pisze tutaj o podziemnych jaskiniach i jeziorach. To kuriozum żyło w słodkiej wodzie. I było drapieżnikiem, od którego lepiej było trzymać się z daleka.

Tych ostatnich wyjaśnień Mike'a prawie już nie słyszałem. Siebenhoch, powtarzałem sobie. Dawna nazwa tego miejsca brzmiała Siebenhöhlen. Siedem jaskiń.

– Słyszysz mnie, Salinger?

– Masz papier i długopis? – wychrypiałem. – Jest jeszcze jedna osoba, o której dane chciałbym cię prosić. Manfred Kagol. To miejscowy przedsiębiorca.

– Kiedy zmarł?

– Wczoraj z nim rozmawiałem. Chcę wiedzieć wszystko, co na jego temat wykryjesz. Skup się zwłaszcza na jego majątku.

– Jest bogaty?

– Nieprzyzwoicie bogaty.

– Ale co taki typ ma wspólnego z *Jaekelopterusem rhenaniae* i z Grünwaldem?

– Dziękuję ci, Mike.

#### 4

Wnętrze Urzędu Katastralnego w Bolzano było przyjemnie oświetlone i bardzo nowoczesne. A personel na szczęście okazał się cierpliwy, kiedy starałem się pokrętnie objaśnić, o co mi chodzi.

Musiałem poczekać pół godziny, ale wykorzystałem ten czas na uporządkowanie sobie w myślach tego, co Mike wykrył na temat Grünwalda. Tworzył teorie naprawdę osobliwe. Dziwaczne. Bardziej pasujące do świata filmu niż do konserwatywnego środowiska akademickiego.

Uprzytomniłem sobie, że Grünwald był jedyną postacią w tej historii, na której fotografię nigdy się nie natknąłem. Wyobraziłem sobie, że wyglądał jak zwariowany naukowiec ubrany trochę jak Indiana Jones, trochę jak dziewiętnastowieczny urzędnik, i to bardzo niezdarny. Nie wiem dlaczego, skoro był to człowiek, który prowadził badania w Andach – nie pasował mi do wspinaczki po ścianach skalnych. Widziałem go raczej jako kogoś, kto często się potyka i kto nosi muszkę zamiast krawata.

Z pewnością Grünwalda pochłaniała jego praca. Poświęcił wszystko dla swoich teorii. Mike nie wspomniął mi ani słowem o jego romansach czy małżeństwach. Fakt, że zniknął z dnia na dzień, a nikogo to nie zaniepokoiło, podpowiadał mi, że Grünwald właściwie nie obcował bliżej z ludźmi. Samotnik z jednym jedynym celem w życiu. Odnaleźć niszę ekologiczną i dzięki temu odzyskać utracony szacunek środowiska naukowego.

Potrząsałem głową, miałem wątpliwości.

Czy mógł być aż tak maniacko pochłonięty swoją obsesją, żeby poświęcać kobiecie, która zrujnowała mu karierę? Być może. A co oznaczał ten jego telegram? Evi chciała zejść do jaskiń pod Bletterbach, żeby po raz kolejny podkopać teorię Grünwalda, a jego umysł już nie mógł znieść kolejnej obrazy?

Może ta pogodna Evi była w gruncie rzeczy idiotką tak zaślepioną swoim szybkim awansem w świecie akademickim, że chciała hałaśliwie rozgłaszać, jak bardzo teorie Grünwalda są żałosne, żeby jeszcze jaśniej zabłysnąć w oczach uniwersyteckich świętych krów?

Nie wyglądała mi na taką z tymi swoimi jasnymi oczami i ze wszystkim, co o niej usłyszałem. Tyle że – powtarzałem sobie, przechadzając się tam i z powrotem korytarzem urzędu – o zmarłych, jak wiadomo, mówi się zawsze dobrze.

Rysowała się jeszcze inna możliwość.

Może Evi zmieniła zdanie, mimo że tak bardzo kochała Bletterbach i że znała wąwóz lepiej niż ktokolwiek. Może uświadomiła sobie, że teoria Grünwalda o niszach ekologicznych nie jest w końcu całkiem niedorzeczna, i postanowiła zbadać jaskinie pod Bletterbach z nadzieją, że znajdzie jakieś jej potwierdzenie, które przywróciłoby wiarygodność naukową Grünwaldowi, również przez nią kwestionowaną.

Naturalnie to tylko jeden z domysłów.

Ale co z tymi olbrzymimi skorpionami z permu?

Nic.

A jednak.

Pojawiła mi się w głowie ulotna wizja. Te fotografie zrobione na miejscu zbrodni, które pokazywał mi Maks. Te amputacje. Wykręcone, odcięte ramiona.

Rany.

Odcięta głowa Evi.

Czy te straszliwe okaleczenia mogłyby mieć coś wspólnego z półmetrowymi szczypcami *Jaekelopterus rhenaniae*? A jeżeli...

Czyjś głos przywrócił mnie do rzeczywistości.

Urzędnik, który zaprowadził mnie do bardzo wysokiego pomieszczenia przypominającego czytelnię, miał brodę, która opadała mu na koszulę, i oczy ukryte za wielkimi okularami słonecznymi. Wskazał mi metalowe biurko, wyjątkowo brzydkie, ale wygodne, na którym leżały pliki dokumentów w okładkach.

– Powodzenia...

Usiadłem, coś mi skrzyknęło w kręgosłupie. Westchnąłem. I zabrałem się do czytania.

## 5

I oto, czego się dowiedziałem: Centrum Turystyczne w Bletterbach zostało otwarte ósmego września 1990 roku. Prace budowlane trwały krótko i przebiegały bez zakłóceń.

Projekt zlecony wziętemu austriackiemu architektowi zakładał, że „należy zachować piękno naturalnego środowiska w harmonijnym połączeniu z technologią i funkcjonalnością nowoczesnego dzieła”. Cokolwiek miałyby to znaczyć.

Nie natrafiłem na ekspertyzę sporządzoną przez Evi. Nie było jej. To

znaczy kiedyś była, została umieszczona w spisie rzeczy, ale ktoś ją usunął. Dobrze wiedziałem kto.

Sprawdziłem jednak od początku do końca całą resztę dokumentacji i czułem się coraz bardziej zagubiony.

Rok po ekspertyzie Evi, w 1986, niejaki doktor Rossetti, geolog, przedstawił ekspertyzę odmienną, znacznie bardziej rozbudowaną, w której dowodził, że projekt Centrum Turystycznego może zostać bez zastrzeżeń zrealizowany. Zwłaszcza że, jak stwierdzał doktor Rossetti, „nie istnieje żadne niebezpieczeństwo ustąpienia podłoża skalnego, gdyż górne warstwy wąwozu są utworzone z granitu, co spełnia wymagania projektu budowy złożonego do zatwierdzenia przez firmę Kagol EdilBau”. Cztery krowy przekształcone w imperium finansowe.

W osiemdziesiątym ósmym pojawia się trzecia ekspertyza, tak samo przychylna budowie Centrum Turystycznego, sporządzona przez inżyniera Pfaucha. Wierna kopia ekspertyzy doktora Rossettiego sprzed dwóch lat. Ciekawa sprawa, powiedziałem sobie.

Złożenie dwóch korzystnych ekspertyz w odstępie dwóch lat prawdziwie mnie zaintrygowało. Wobec tego pojechałem jeszcze do miejskiej biblioteki.

Chciałem dociec, dlaczego Kagol tak się spieszył.

## 6

Parę minut później byłem już w bibliotece, zadyszany i ze startującym do lotu silnym bólem głowy. Nawet pół kilo aspiryny nic by tu nie pomogło.

Nie chciałem tego odkładać. Po tym, co wykryłem w Urzędzie Katastralnym, nabrałem apetytu.

Wypełniłem formularz, zczekałem, chciałem zatelefonować, ale komórka była rozładowana, czekałem dalej. Potem rzuciłem się do pracy, nowe kartki wydarte z notesu, nowe zapiski.

I wreszcie po raz pierwszy jakaś odpowiedź.

W osiemdziesiątym szóstym, kilka miesięcy po złożeniu przychylniej ekspertyzy w sprawie projektu Manfreda Kagola, doktor Rossetti został aresztowany pod zarzutem przyjmowania łapówek. Chciałeś zbudować siedemdziesięciopiętrowy superhotel na piaszczystej plaży, gdzie rodzą się żółwie morskie? Przekaż kilkanaście milionów lirów doktorowi Rossettiemu, a on już ci załatwi to, co sobie wymarzyłeś.

Aresztowanie Rossettiego było jak kij włożony w szprychy Kagol EdilBau i Manfred znalazł się w sytuacji, w której przysłowiowa góra urodziła mu

mysz. Musiał więc wynająć drugiego rzeczoznawcę, inżyniera Andreasa Pfaucha.

W życiorysie Pfaucha nie było żadnych mętnych plam, łapówek, intryg, a mimo to uznałem, że mam prawo zadać sobie w tej sprawie jedno pytanie.

Kiedy Pfauch napisał trzecią, decydującą ekspertyzę, miał dziewięćdziesiąt trzy lata. Czy można było polegać na zdaniu niemal stulatka? Możliwe jest wszystko, nawet to, że potwory w pancerzach i ze szczypcami siedzą pod Bletterbach, ale od sztuczki z ekspertyzą jawnie wiało oszustwem.

Pożegnałem się z bibliotekarzem i ruszyłem do domu. Po drodze zatrzymałem się pod apteką. Ból głowy stawał się permem w miniaturze.

## 7

Nie pamiętam nic szczególnego z drogi z Bolzano do Siebenhoch, tylko ciemność i nieustanne rozważanie tego, o czym się dowiedziałem. Zamiast skupić się na prowadzeniu, zaprzątałem sobie myśli Manfredem Kagolem, Centrum Turystycznym, a także tamtą nieszczęsną trójką młodych ludzi.

Przypomniał mi się pewien szczegół, który w swoich poszukiwaniach zagadek życia Grünwalda wykrył Mike, ale który w rozmowie przez telefon nie zwrócił mojej dostatecznej uwagi. Dopiero teraz zaczął coś ważnego znaczyć.

Kiedy Grünwalda usunięto ze świata uniwersyteckiego, to znaczy kiedy zabrakło mu pensji, jak sobie radził z zarabianiem na życie? Podejmował się, jak ustalił Mike, udzielania drobnych konsultacji. Jakiego rodzaju konsultacji mógł udzielać geolog?

Ekspertyzy.

Niedane mu już było rozmyślać o stworach pod Bletterbach. Biedny Grünwald. Prawdziwe monstra mieszkały *над* Bletterbach, były dwunożne i nie miały szczypiec.

Być może rozpędziłem się zanadto w swoich dywagacjach. Pewnie tak. Ale pomyślałem, że skruszona poczuciem winy Evi powierzyła Grünwaldowi sporządzenie ekspertyzy dowodzącej niemożności budowy Centrum Turystycznego, żeby zwolniony naukowiec mógł jakoś związać koniec z końcem, a sama tylko podpisała dokument. I tym sposobem wspólnie wysadzili w powietrze projekt Manfreda. Tym można by nawet wytłumaczyć zagadkowe zniknięcie Grünwalda wkrótce po morderstwie w Bletterbach.

Mike powiedziała by, że to moje kluczenie w domysłach trochę zgrzyta, bo przede wszystkim nie mam na coś takiego żadnych dowodów. Ale wszystko

to mogłem wyjaśnić tylko dzięki dalszym poszukiwaniom. Sednem sprawy było tutaj co innego.

Na ekspertyzę Manfred musiał wydać masę pieniędzy. Co do tego zgoda.

A co zdarzyło się potem?

Manfred wyczekiwał stosownej chwili i na jego szczęście trafiła się ta nadzwyczajna burza, która idealnie usuwała wszelkie podejrzenia o morderstwo. No to zabił Kurta, Evi i Markusa. A potem pozbył się Grünwalda.

I znów głos Mike'a w mojej głowie odpowiedział mi: nieprawda.

A szef Krün?

Maks miał przecież teczkę z dokumentami odnoszącymi się do najbogatszego człowieka w mieście. I odrzucił podejrzenia. Jednakże ludzie bogaci mogą sobie kupić dowolne żelazne alibi. Alibi, w które uwierzyliby wszyscy, nawet taki obsesyjny paranoik jak Maks. Ale nie Günther. Günther doszedł do tych samych wniosków co ja teraz, ale nie ośmielił się zadenuncjować własnego brata.

To były te palące rewelacje, o których po pijanemu wspomniała Brigitte.

Wszystko się zgadzało.

Człowiek, który przekształcił Siebenhoch w jeden z głównych ośrodków turystycznych w regionie, był w istocie brutalnym mordercą. Pieniądze codziennie przechodzące przez ręce wszystkich mieszkańców miasteczka nosiły ślady krwi trzech niewinnych osób. Evi, Kurta i Markusa. Pozostawało jeszcze jedno pytanie.

Co robić?

Porozmawiać jeszcze raz z Brigitte, postanowiłem. Może czegoś mi nie powiedziała. Może Günther napomykał jej o czymś, czym się ze mną nie podzieliła. To pewne, wmawiałem sobie, kluczem do wszystkiego jest tutaj Brigitte.

Dojechałem pod dom, ale nie zauważyłem, że światła są zgaszone. Zaparkowałem i schowałem notatki do wewnętrznej kieszeni kurtki. Wyjąłem klucze.

– Gdzie byłeś? – rozległ się w ciemności głos Wenera.

Drgnąłem.

– Przestraszyłeś mnie.

– Gdzie byłeś?

Nigdy nie widziałem go w takim stanie. Miał podkrążone oczy, napiętą skórę na twarzy i czerwone powieki, jakby płakał. Zaciskał i rozluźniał pięści, jakby chciał mnie uderzyć.

– W Bolzano.

– Sprawdzales komórke?

Wyjalem ja. Byla rozladowana.

– Oj!

Werner chwycil mnie za kołnierz kurtki. Mimo swego wieku ręce miał jak ze stali.

– Werner...

– Dzwonił do mnie Manfred. Powiedział, że chcesz napisać książkę. Wypytywales go o różne sprawy. Oklamales mnie! – krzyknął. – Oklamales też swoją żonę.

Czułem pustą przepaść w żołądku. Zgaszone światła. Żadnych odgłosów. To mogło świadczyć tylko o jednym: Annelise zrobiła to, przed czym mnie ostrzegała. Odeszła.

Ugięły się pode mną nogi.

– Annelise o tym wie?

– Jeżeli wie, to nie ode mnie.

– To dlaczego nie ma nikogo w domu?

Werner zwolnił uchwyt. Cofnął się o krok, patrząc na mnie z odrazą.

– Są w szpitalu.

– Co się stało? – wybełkotałem.

– Clara – powiedział.

I zaczął płakać.

# Kolor szaleństwa

## 1

Nie pokazali mi jej. Miałem czekać. Usiąść, czytać gazetę. Czekać, aż ktoś przyjdzie, nie wiadomo kto. Dziesięć liter: „niemożliwe”.

Zacząłem krzyczeć.

Powiedzieli mi, żebym się uspokoił.

Krzyczałem jeszcze głośniej i rzuciłem się z pięściami na pielęgniarza. Broniąc się, pchnął mnie na ścianę. Uderzyłem głową o gaśnicę.

Ktoś wezwał policję. Trzydzieści liter: „niepotrzebnie”.

Nawet na widok ludzi w mundurach nie odzyskałem równowagi. Pamiętam, że dwaj policjanci wykręcili mi ręce, jakbym był przestępcą. Nie byłem przestępcą, tylko okazem najbardziej niebezpiecznym ze wszystkich żywych stworzeń – ojcem oszalałym z lęku.

Nie mieli wyboru.

Obalili mnie na podłogę i założyli mi kajdanki. Rozległ się zgrzyt zatraskiwanego metalu, przez co wpadłem w szal. Zarobiłem kilka ciosów pięścią celnie wymierzonych w nerki. Na koniec rzucili mnie na niewygodne plastikowe krzeselko.

– Panie Salinger...

– Zdejmijcie mi kajdanki.

– Kiedy pan się uspokoi, zdejmujemy.

Zebrał się już przy nas tłumek ludzi. Kilku pielęgniarzy, sprzątac, który wciąż siąkał nosem. Jacyś pacjenci.

– Moja córka – syczałem, starając się pohamować wściekłość. – Chcę widzieć moją córkę.

– To niemożliwe, proszę pana – powiedział pielęgniarz, zwracając się raczej do policjantów, niż do mnie. – Dziecko leży na intensywnej terapii, jest przy nim matka. Lekarz powiedział...

Podniosłem głowę, piniąc się:

– Gównu mnie obchodzi, co powiedział lekarz, chcę widzieć moją córkę!

Rozpłakałem się.

Dobrze mi to zrobiło.

Może pomogło ich udobruchać. Na pewno uspokoiło mnie.

Wreszcie policjant, który założył mi kajdanki, zechciał ze mną



porozmawiać.

– Jeżeli przeprosi pan pielęgniarkę, to może obaj z kolegą zapomnimy, co pan tu nawyczyniał, i damy panu spokój. Ale tylko wtedy, kiedy pan mi przyrzeknie, że nie będzie pan szalał. Zrozumiał pan?

Usłyszałem, że otwierają mi kajdanki. Podali wodę.

Była ciepła, ale wypilem całą szklanekę.

– Kiedy będę mógł...

Odpowiedział mi pielęgniarkę, którego przed chwilą omal nie udusiłem.

– Wkrótce. Jeszcze trochę cierpliwości.

– Cierpliwość. Jedenaście liter – wymamrotałem.

– Słucham pana?

– Nie, nic. Przepraszam.

W powietrzu stał przykry zapach środków dezynfekcyjnych. Clara nie znosiła tego zapachu. Zapamiętała go ze swego pobytu w szpitalu przed rokiem, kiedy cierpiała na zatrucie pokarmowe, a mnie jak zwykle nie było przy niej, bo wciągnąłem się po uszy w montaż *Road Crew*. Kiedy Annelise w końcu złapała ze mną kontakt, Clarze zdążyli już zrobić płukanie żołądka. Była małym stworzonkiem, miała niewiele ponad metr, leżała równo na łóżku, za dużym dla niej, biała jak fartuch pielęgniarski, który miałem na sobie. Patrzyła na mnie tak, że nigdy tego jej spojrzenia nie zapomniałem.

„Dlaczego mnie nie uchroniłeś?”, pytały jej oczy.

Dlatego że miałem coś do roboty. Byłem daleko.

Byłem marnym człowiekiem.

A teraz siedzę tutaj z głową wspartą na rękach, coraz bardziej wystraszony, i czekam, żeby mi ktoś powiedział, co się stało. I mam ten zapach w nozdrzach, który chyba z chwili na chwilę staje się coraz mocniejszy.

Dwie godziny później Annelise, całkiem wykończona, wyszła do mnie. Wstałem i podbiegłem ją objąć, ale odsunęła się ode mnie, a kiedy chciałem ją pocałować, cofnęła się o krok.

– Co z nią?

– Gdzie byłeś?

– Co z nią? – powtórzyłem.

– Gdzie byłeś?

Mogliśmy się tak droczyć w nieskończoność. Ona mnie obwiniała, a ja próbowałem się domyślić, co przede mną ukrywa. Czułem, że znów ogarnia mnie wściekłość i że nad nią nie zapanuję.

– Powiedz mi, do cholery, co z moją córką?! – krzyknąłem.

Kątem oka dostrzegłem, że pielęgniarkę zerwał się i podchodzi do nas.

– Mogę w czymś pomóc, proszę pani?

– Nie, wszystko w porządku. Dziękuję – odpowiedziała odruchowo Annelise.

– Powiedz mi wreszcie coś, do diabła – szepnąłem, zgrzytając zębami. Nie panowałem nad sobą.

Tak jakby winę za to, co się działo, ponosiła Annelise.

– Zjeżdżała na sankach i miała wypadek.

– Jaki wypadek?

– Poszła do Welshboden – odpowiedziała Annelise, patrząc przed siebie. – Nie zauważyłam, że zniknęła. Myślałam, że bawi się w ogrodzie. Ale wzięła sanki i doszła sama aż do Welshboden. Ciągnęła sanki. Pięcioletnie dziecko.

Mogłem to sobie wyobrazić. Clara idzie pod górę główną szosą aż do domu dziadka. Odważne pięcioletnie dziecko idzie zasapane skrajem szosy, a mijający je kierowcy z ciekawością na to patrzą. Ciagnie za sobą sanki prawie tak ciężkie jak ona sama.

Dlaczego to zrobiła?

Bo jej obiecałem, że po południu pójdziemy na sanki razem. Była na mnie zła. Bo nie dotrzymałem obietnicy. Kolejnej obietnicy. Musiałem pojechać do Bolzano i grzebać w przeszłości Manfreda.

– Werner na chwilę stracił ją z oczu, był na poddaszu. A Clara... – Annelise zamknęła oczy. – Poszła na zachodnie zbocze, Salinger. I zjechała nim.

Tam, gdzie zabroniłem jej zjeżdżać. Na ten stok, który w dole kończył się lasem.

– Jak się czuje?

– Uraz głowy. Lekarz powiedział, że miała szczęście, bo żyje. Widziałam sanki, Salinger. Już ich...

Chciałem wziąć ją za rękę. Gwałtownie mi ją wyrwała.

– Muszą ją operować?

– Całą głowę ma obandażowaną, wiesz? Taka malutka. Taka bezbronna. – Głos Annelise zmienił się w płacz bez łez. – Pamiętasz, kiedy się urodziła? Jaka wydała ci się delikatna?

– Bałaś się, że możesz coś jej zrobić.

– Pamiętasz, co mi wtedy powiedziałeś? Żeby mnie uspokoić. Pamiętasz, Salinger?

Pamiętałem.

– Że będę was chronił. Was obie.

– Próbowałam do ciebie zadzwonić. Miałaś rozładowaną komórkę, a ja... – potrząsnęła głową – nic nie wiedziałam. Przyjechał lekarz i karetka. Ojciec

płakał i mówił, że Clara jest silna i wyzdrowieje. A tam był – wyszeptala – tam śnieg był... Salinger, śnieg był czerwony. Bardzo czerwony. Bardzo.

Jeszcze raz chciałem ją objąć. Jeszcze raz moja żona odsunęła się ode mnie.

– Gdzie byłeś?

– W Bolzano. Komórka mi się rozładowała. Dzwonił Mike. Pewnie za długo gadaliśmy. Zawsze zapominam naładować i... i...

Nie mogłem dalej mówić.

Czerwony śnieg. Bardzo czerwony.

Śnieg.

Bestia, pomyślałem. Bestia zrobiła, co zapowiedziała.

Jak w tamtym śnie.

– Po co jeździłeś do Bolzano?

– Chciałem wam coś kupić.

– Znowu *kłamiesz*.

– Nie mów tak.

– Nigdy cię nie ma. Nigdy.

– Nie mów tak.

Te jej słowa były jak ciosy pięścią.

– Nigdy cię nie ma – powtórzyła.

Umilkła i to było dotkliwsze od tysiąca słów. Usiedliśmy.

Czekaliśmy.

W końcu, kiedy już straciłem poczucie czasu, wyszedł do nas lekarz.

– Państwo Salingerowie? Rodzice Clary?

## 2

Czaszka mojej córki.

Patrzyłem na kliszę z prześwietleniem głowy Clary, zawieszoną na podświetlonej szklanej płycie, i ciągle sobie powtarzałem: Za dwieście milionów lat to się zmieni w skamielinę. Nie przestawałem wpatrywać się w kliszę i przez to nie słuchałem uważnie, co lekarz nam wyjaśnia. Zakreślił pisakiem koło wokół ciemniejszej plamki. Tą stroną głowy Clara uderzyła w tamten przeklęty świerk. Uraz. A wydawało się, że to malutka plamka bez znaczenia. Wielkości biedronki. Tyle zmartwienia przez tak niewielką plamkę.

Nie mogłem tego zrozumieć.

– Panie doktorze, to nie może być bardzo poważne, prawda? – Stuknąłem

palcem w płytę. – Taka mała plamka. Biedronka. Dziewięć liter.

Lekarz wstał, znowu podszedł do podświetlonej płyty i przeciągnął ołówkiem po zakreślonym pisakiem kręgu.

– Jeżeli ten krwiak sam się wchłonie, to dziecko uniknie operacji i wkrótce wróci do domu. Jeżeli nie, będziemy musieli operować.

Zamroczenie zmieniło się we mnie w przerażenie.

– Mówi pan, że musicie się dostać do środka, do czaszki mojej córki?

Lekarz się cofnął. Podszedł bliżej stołu, jakby chciał, żeby odległość od moich rąk do jego szyi stała się jak największa.

Byłem pewien, że wie, co wydarzyło się na korytarzu, jak potraktowałem policjantów i pielęgniarza.

– Panie Salinger – powiedział, odchrząknawszy. Starał się zachować dystans i zawodową powagę. – Jeżeli krwiak nie wchłonie się sam, operacja będzie konieczna. Nie chciałbym państwa straszyc, ale w przeciwnym wypadku dziecku grozi utrata wzroku. Może częściowa, może całkowita.

Milczenie.

Pamiętam tylko milczenie.

Potem płacz Annelise.

– Możemy ją zobaczyć? – usłyszałem swój głos.

Szedłem za lekarzem, w głowie miałem straszliwą pustkę.

### 3

Leżała w pokoju sama. Wszędzie przymocowane miała rurki. Jakies skomplikowane aparaty brzęczały. Czasami słyhać było „bip”. Lekarz rzucił okiem do karty choroby.

Przyglądałem się płytkom posadzki pod nogami i patrzyłem na spękania tynku, na lśniący metal łóżka, w którym spała Clara. Na koniec odważyłem się popatrzeć na córkę. Była taka malutka. Chciałem coś powiedzieć. Może pomodlić się. Może zanucić kołysankę. Nie odezwałem się. Nie zrobiłem nic.

Wyprowadzono nas.

Pamiętam jarzeniowe światło. Plastikowe krzeselka. Annelise robiła, co mogła, żeby nie płakać. Pamiętam, że naraz znalazłem się przed lustrem w łazience śmierdzącej chlorem. Pamiętam, z jaką złością na siebie spojrzałem. Czułem, że ze złości przewraca mi się w żołądku. Ta złość wymuszała na mnie, bym patrzył na świat przez jakąś czerwoną siatkę, nienależącą do mnie. Może tak patrzą zwierzęta. Była to największa złość, jakiej w życiu doświadczyłem. Rodzaj otumaniającego impulsu, który może

skłonić do nieobliczalnych postępów.

Była to złość zamkniętej w klatce bezradności. Nie mogłem nic zrobić dla Clary. Nie byłem chirurgiem. Nie było we mnie prawdziwej wiary, modlitwy zdały mi się bezsensowne. W równej mierze co złorzeczenie. Komu miałem złorzeczyć, skoro moje wyobrażenie Boga było tak mgliste, że niemal bez reszty się ulatniało. Mogłem złorzeczyć sobie i już niezliczoną ilość razy to zrobiłem. I mogłem się starać jakoś pocieszać Annelise. Ale słowa, które wypowiadałem, brzmiały absurdalnie. Były jak ta kawa pita o trzeciej w nocy przy barowym stoliku na pierwszym piętrze szpitala w Bolzano.

Musiałem się jakoś wyładować, by to wszystko we mnie nie wybuchło. Przypomniałem sobie swój sen. Clara z pustymi oczodołami. Clara, która może oślepnąć.

Osiem liter: „czerwień”. Cztery litery: „żółć”. Sześć liter: „błękit”. Pięć liter: „czerń”. Znowu sześć liter: „fiolet”. Trzy litery: „róż”. I błękit, i zieleni, wszystkie ich odcienie na świecie, na zawsze utracone. Przepadłe. Clara nie zobaczy już kolorów.

Zostanie jej tylko jeden kolor. Jaki, nie miałem wątpliwości.

Cztery litery: „biel”.

Biel będzie zadrezczać moją córkę do końca jej dni. Ślepotą to biel. Świat zmienia się w paletę, na której są tylko gęsta mgła i lód.

Kiedy zobaczyłem Wernera rozglądającego się za nami i podniosłem rękę, żeby nas dostrzegł, zrozumiałem, że całą winę ponosi biel.

Że ponosi ją Bestia.

Było w tej myśli szaleństwo, zdawałem sobie z tego sprawę. Ale wcale nie chciałem się od tego szaleństwa odzegnawać, przeciwnie, rzuciłem się w nie bez namysłu. Lepsze szaleństwo niż ten lęk, w którym tkwiłem.

I tak oto uwierzyłem w rzecz szaloną.

Jeżeli odnajdę zabójcę z Bletterbach, pokonam Bestię. I dzięki temu uratuję Clare.

# Zabija się drzewo

## 1

Wyjechałem ze szpitala o świcie. Namawiałem Annelise, żeby wróciła do domu razem ze mną. Tłumaczyłem, że musi wypocząć i zjeść coś ciepłego. I pozbierać się, na ile to możliwe. Wyglądała na bliską załamania nerwowego. Zaciskała chusteczkę w palcach, składała ją na różne sposoby, chyba zależnie od biegu swoich myśli. W kilka godzin postarzała się o dziesięć lat. Ale uparła się, że wyjdzie ze szpitala tylko razem z córką. Pocałowałem ją delikatnie w czoło. Nawet na mnie nie popatrzyła. Chciałem powiedzieć, że ją kocham.

Nie powiedziałem.

Zostawiłem ją z Wernerem i wróciłem do Siebenhoch sam. Otworzyłem drzwi i poczułem ukłucie w sercu. Dom był ciemny, widmowy. Brakowało głosu Clary, który go zawsze ożywiał. Płakałem, nie ruszając się z miejsca, a wiatr rozwiewał mi włosy. Nie miałem nawet tyle siły, żeby zamknąć drzwi wejściowe. Wciąż stałem na progu. Kiedy już rozjaśniło się na dobre i straciłem czucie w przemarzniętych rękach, przełamałem się i nie zważając na paralizującą ciszę, wszedłem do środka.

Zadowolilem się jajecznicą i dużą porcją kawy, po której byłem zanadto pobudzony, ale wreszcie przytomniejszy. Wypaliłem dwa papierosy, jeden za drugim, patrząc przez okno, jak wiatr kołysze koronami drzew. Otworzyłem komputer niemal odruchowo i zanotowałem to wszystko, czego dowiedziałem się o Manfredzie i Grünwaldzie. Dwie ekspertyzy. *Jaekelopterus*. Wszystko. Po chwili spostrzegłem, że uderzam w klawiaturę tak mocno, jakbym chciał ją rozbić. Zacząłem pisać jeszcze energiczniej. Łzawiły mi oczy.

Morderstwo w Bletterbach zatruwało mi duszę. Ale już nie umiałem o nim nie myśleć. Zatelefonowałem do Wenera.

Nie ma nowych wiadomości. Tak, Annelise czuje się dobrze.

– Na pewno?

– A ty, Jeremiaszu, co mi powiesz?

– Że na pewno z ochotą rozbiłbyś mi głowę.

– Nie w takiej chwili, chłopcze. Dziś chcę tylko, by lekarze powiedzieli, że Clara wyzdrowieje.

– Wyzdrowieje.

Byłem pewien tego, co mówię.

Clara miała wyzdrowieć, ponieważ ja miałem zwyciężyć Bestię.

## 2

Wiatr zepchnął nad Górną Adygę wielki niż atmosferyczny znad Bałkanów. Radio w aucie krakało, że posypie śnieg. Znowu wszędzie biel, pomyślałem. Wyłączyłem je i zaparkowałem samochód tuż za cmentarzem w Siebenhoch.

Po drodze zatrzymałem się jeszcze w barze, zamówiłem kawę z brioszką. A potem ostrożnie, rozglądając się, czy nikt mnie nie widzi, ruszyłem w stronę domu Brigitte. Szedłem z pochyloną głową, jak te nieliczne osoby, które mijalem po drodze. Mroźny wiatr niósł już zapach śniegu. Przeklinałem śnieg, jednak ta niechęć jeszcze bardziej mnie mobilizowała. A wszystko po to, by uratować Clare.

Nagle się zawahałem.

Czarny mercedes w najnowszej wersji stał przed wejściem do domu Brigitte. Jak ogromny lśniący karaluch z przyciemnionymi szybami. Wyglądał niewinnie, auto jak auto. Ale rzecz miała się trochę inaczej. Doskonale znałem ten samochód. Widywałem go wiele razy podczas pobytu w Siebenhoch. To był samochód Manfreda Kagola.

Schowałem się za narożnikiem pobliskiego domu.

Czekałem, a pierwsze płatki śniegu zaczęły już sypać z szaropertłowego nieba.

Pojawił się.

Miał na sobie płaszcz z wielbłądziej wełny z podniesionym kołnierzem, a na głowie kapelusz z szerokim rondem, który zasłaniał połowę twarzy. Ale to na pewno był on, rozpoznałem go natychmiast. Zauważyłem, że wychodząc, zamknął drzwi na klucz. Miał więc klucz od tego domu i poczynał sobie tak, jakby był jego właścicielem. Czy zaskoczyło mnie to? Bynajmniej.

Przycisnąłem do piersi plastikową torebkę, którą niosłem. Jeżeli miałem jakieś wyrzuty sumienia na myśl o tym, co zamierzałem zrobić, to to, że zobaczyłem wychodzącego stąd Manfreda, całkiem je zagłuszyło.

Mercedes odpalił. Kłęb białego dymu wydobył się z rury wydechowej i auto bezgłośnie zniknęło.

Policzyłem do sześćdziesięciu. Minuta zupełnie wystarczy. Szybkim krokiem podszedłem do domu i zadzwoniłem. Raz, dwa, trzy razy.

Nie musiałem dzwonić po raz czwarty.

Mój uśmiech był fałszywy jak moneta trzyeurowa, natomiast wyraz zaskoczenia na twarzy Brigitte na pewno nie był udawany.

– Cześć, Brigitte.

Była w szlafroku w różowo-białą szachownicę. Przytrzymała jego krawędzie na piersi, z pewnością chcąc się osłonić przed zimnem. Odsunęła kosmyk włosów za ucho.

– Salinger – rzuciła. Głos miała zachrypnięty. – Co ty tu robisz?

– Przyjechałem pogadać.

Nie czekałem, żeby mnie zaprosiła do środka. Wszedłem i już. Po chwili wahania Brigitte zamknęła za mną drzwi.

W mieszkaniu panował jak zwykle bałagan, choć Brigitte najwyraźniej próbowała je trochę uporządkować. Z półek zniknęły butelki, a meble gdzieś odkurzyła. Stolik przed kanapą był pusty, nie leżały na nim ani zgniecione puszki, ani butelki po piwie. Stare gazety, poprzednio wszędzie porozrzucone, zostały pozbierane i złożone w jeden kąt. Zobaczyłem, że koce, którymi ją okrywałem i ratowałem po przemarznięciu, leżą porządnie poskładane, a na nich wylądował jak trofeum album w skórzanej oprawie.

Podniosłem wysoko plastikową torebkę i wyciągnąłem w jej stronę.

– Przyniosłem śniadanie, Brigitte.

– Ty na śniadanie pijesz four roses?

– Nie ja – odpowiedziałem.

W kuchni znalazłem szklaneczkę. Podstawiłem ją pod strumień wody z kranu, starannie opłukałem i wytarłem. Wróciłem do salonu.

Brigitte usiadła na kanapie, narzuciła sobie koc na ramiona. Miała gołe nogi. Gołe i wydepilowane, co od razu zauważyłem. Posprzątała mieszkanie i wydepilowała sobie nogi.

Manfred.

Nalałem burbona do szklaneczki i wyciągnąłem w jej stronę.

– Na zdrowie.

Brigitte odwróciła głowę. Podeszedłem bliżej. Wcisnąłem jej szklaneczkę do ręki. Potem tę rękę mocno zacisnąłem. Brigitte jęknęła.

– Czego chcesz, Salinger?

– Porozmawiać.

Brigitte odruchowo zachichotała.

– O czym?

– O śmierci Evi. – A po chwili dodałem: – O Güntherze.

– Nie wycieraj sobie nim gęby, Salinger. Nie jestem aż taką zatraconą



pijaczką, żeby to znosić.

– Odwiedzają cię, co?

Brigitte nie odpowiedziała. Zacisnęła rękę na szklaneczce.

– Nie twoja sprawa.

– Rzeczywiście. Ale ja mam to.

Wyjąłem z kieszeni kartki ekspertyzy. Nie podałem jej. Trzymałem je w dwu palcach jak kartę w grze.

– Co to takiego?

– Dowód, którego Günther nigdy ci nie pokazał.

– Skąd to masz?

– Nie tak powinnaś spytać.

– A jak, Salinger?

– Suszy cię?

– Nie.

– Miałem przyjaciela – powiedziałem. – Nazywał się Billy, pracował jako *roadie* przy zespole Kiss. Wymyślił sobie własny przepis na śniadanie. Trzy części mleka, jedna *four roses*, surowe jajko i czekolada w proszku. Dodać dwie łyżeczki cukru i dobrze wymieszać. A po chwili znowu świeci słońce. Nie masz ochoty na trochę słońca, Brigitte?

– Sukinsynu. Powiedz, co to takiego te kartki.

Widziałem to w jej oczach. Miała nieprzytomną ochotę się napić. Była alkoholiczką. Nieuleczalną alkoholiczką. Alkoholicy nie mogą się oprzeć nawet kropli alkoholu. A ja nie chciałem, by się opierała. Zachowywałem się jak bydlak. Ale nie miałem tego sobie za złe.

– To jest przyczyna śmierci Evi.

Brigitte zaczęła drzeć. Rozplakała się. Dopiero wtedy zobaczyłem, że ma na twarzy makijaż. Tusz zaczął ściekać ciemnymi smużkami. Brigitte wydała mi się żalosna. Gorzej: odrażająca. Miałem przed sobą zniszczoną alkoholem prostytutkę, która mnie oszukiwała. Skoro mnie odtrącała, obudziła się we mnie jakaś potrzeba znęcania się nad nią.

– Porozmawiajmy o Evi, co ty na to?

– Wynoś się.

– Nie jestem z policji, Brigitte. Nie bawią mnie przesłuchania. Mocna lampa prosto w oczy i cała ta błazenada z tandetnych filmów. To nie dla mnie. Ale nauczyłem się wysłuchiwać ludzi. Robiłem wywiady, wdawałem się w długie rozmowy i zawsze udawało mi się wydostać z nich to, czym w żadnym razie nie zamierzali się dzielić z nieznajomym. Tak wyglądała moja praca.

Brigitte uciekła się do ironii.

– To nie było wpychanie nosa w nie swoje sprawy?

– Słuchanie ludzi. Obserwowanie ich. Wyczuwanie, czy mówią prawdę, czy nie. Dlatego wiem, że ty mnie okłamałaś. Napij się. Łatwiej mi będzie się do ciebie dobrać. Domyślam się, że w tym momencie myślisz tylko o jednym.

Brigitte cisnęła we mnie szklaneczką. Uchyliłem się w ostatniej chwili, ale nie zdołałem odskoczyć, kiedy się na mnie rzuciła. Zalaływało od niej alkoholem. Była jednak słaba. Zniszczyły ją te długie lata nieprzerwanego picia. Z łatwością opanowałem sytuację. Podniosłem Brigitte i siłą posadziłem na kanapie. Puściłem jej przeguby. Skuliła się, leżała przykryta kocem z podwiniętymi nogami. Ze wzrokiem przepelnionym nienawiścią.

– Dawaj butelkę, zasrany szcurze. Przynajmniej sobie ulżę.

Niech mi Bóg wybaczy, ale podając jej four roses, roześmiałem się.

#### 4

Wystarczyły dwa łyki, żeby się uspokoiła. Po czterech znieczulenie alkoholem spowodowało, że przymykały się jej oczy. Wyjąłem jej butelkę z rąk.

– Zostaw.

– Nienawidziłaś Evi, prawda?

– Daj butelkę.

Dałem jej butelkę, ale pilnowałem, żeby nie wypić za dużo. Nie chciałem, żeby zwała się półprzytomna na podłogę. Pozwoliłem jej na jeden łyk i butelka wróciła do mnie.

– Skąd o tym wiesz?

– W tym albumie wcale nie chodzi o sukcesy Evi. Chodzi o twoje zmarnowane życie.

– Jesteś prawdziwym dżentelmenem, Salinger – rzuciła zgryźliwie.

– A ty ślicznotką, co sobie używa z bratem zmarłego narzeczonego.

Brigitte przyjrzała mi się przeciągle.

– Gównu z tego rozumiesz, Salinger.

– To się postaraj, żebym zrozumiał.

– Podaj butelkę.

Podąłem. Zapaliłem marlboro.

– Nie zawsze jej nienawidziłam – powiedziała Brigitte, wpatrując się w jasny płyn w butelce. – Była moją najlepszą przyjaciółką. Dobrze nam było razem. Czego nie miała jedna, to miała druga. Ona była jak dzień, ja jak noc. Układałyśmy wspólne wspaniałe plany.

Strużka burbona spłynęła jej na brodę. Otarła ją z odrazą.

– Ostatniego roku przed maturą tylko o tych planach mówiliśmy. Cieszyło nas, że mamy tajemnicę, o której tylko my dwie wiemy. Było w tym coś awanturniczego i... niepowtarzalnego. To nas łączyło. Oszczędzałyśmy. Wszystko było już obmyślane. Chciałyśmy wyjechać. Zabrać się stąd. A najważniejsze było to, że miałyśmy jechać razem.

– Bez Markusa?

– Dojechałyby do nas, kiedy skończyłyby osiemnaście lat.

– Wybierałyście się daleko?

– Do Mediolanu. Do stolicy mody, jak ciągle wtedy pisywano o Mediolanie w gazetach. Ja miałam zostać modelką, a Evi miała studiować geologię.

– Evi zostawiłaby matkę?

– Ta jej matka była obrzydliwą alkoholiczką, Salinger. I zdziurą. Nie było innego wyjścia. Evi zresztą postanowiła, że pierwsze zarobione po studiach pieniądze wyda na nią, opłaci jej kurację odwykową. Kochana Evi zawsze umiała wymyślić uczciwe rozwiązanie – dorzuciła z goryczą.

– To był wykręt czy naprawdę wierzyła, że tak to urządzi?

– Wierzyła, wierzyła. Była z tych, co śnią w biały dzień. Ale nigdy nie kłamała. I przez to trudniej było się z nią trzymać. Zrozumiałam to dopiero później. Bo do pewnego momentu byłyśmy bez przerwy ożywione, szczęśliwe. Ale jak na złość spotkała Kurta i zakochała się.

– A ciebie odstawiła na bok.

– Masz dobrą pamięć, Salinger – zadrwiła Brigitte i raz jeszcze łyknęła burbona. – Kiedy wyjechała, znienawidziłam ją. Znienawidziłam ją gwałtownie i bez opamiętania. Czułam się porzucona, rozumiesz? Obiecała, że będziemy do siebie ciągle pisywać i codziennie telefonować. I początkowo, w pierwszym roku, tak było, pisała i dzwoniła. A potem... to nie mogło tak trwać. Miała Kurta i swoje nowe życie w Innsbrucku, a ja?

– A ty?

– A mnie się wszystko popieprzyło. Stałam się tą suką Brigitte. Nic sobie nie robiłam z tego, co o mnie mówili ludzie. Piłam, ile chciałam, i zadawałam się z każdym, kto miał coś w portkach. Byłam wściekła, zła na cały świat. Straciłam pracę w Aldino, znalazłam sobie inną, lepiej płatną. Nocny klub w Bolzano. Wywijałam tyłkiem na rurze, ocierałam się cyckami o mordy tych maniaków przy stolikach i upijałam ich na umór. Napiwki szły do wspólnej kasy i raz na tydzień dzieliłyśmy je my, dziewczyny, między siebie. – Zamilkła. – Były jeszcze dochody ekstra, zdobywane na własną rękę.

– Ekstra?

– Zaczęłam się kurwić. W osiemdziesiątym czwartym zachciało mi się kokainy. Cudowne lekarstwo, odgania przykre myśli i napełnia energią. Nic mnie nie obchodziło, nic nie czułam. Tylko rozpęd.

– Kokaina jest droga.

– Jeszcze jak.

Zamknęła oczy. Skrzywiła się, kiedy ostry strumyczek burbona spływał do gardła.

– A jak Evi zginęła, byłam szczęśliwa. Moją najlepszą przyjaciółkę poćwiartowali, a ja co na to? Co robiłam? Wsiadłam do samochodu i popędziłam do Bolzano. Wpuściłam w siebie tyle koki, że tylko cudem nie wylądowałam na cmentarzu. I jeszcze rozdawałam ją na prawo i lewo, każdemu, kto się nawinął. Skończyłam na jakiejś podłodze, a co najmniej pięciu pijanych łajdaków piło dalej i mnie obrabiało. W końcu jeden dał mi następną kreskę i pamięć mi się urwała.

– A Günther?

– Günther był aniołem. To on mnie oderwał od kokainy.

– Ale nie od alkoholu.

– Mylisz się. – Brigitte zaprzeczyła ruchem głowy. – Pierwsze miesiące z nim to było dla mnie piekło. Musiałam się pożegnać z magicznym proszkiem. I nie mogłam pić. Günther wziął sobie urlop i siedział w dzień i w nocy w domu, żeby mnie pilnować. Kiedy wychodził, zamykał mnie na klucz. Gdybym mogła, tobym go zabiła, ale jakiś głos we mnie powtarzał, że rozumie, co Günther ze mną robi. Że rozumie, jaka to szansa, żebyś odmieniła życie. Żebyś się stała...

– Lepsza?

– Normalna, Salinger. I przez jakiś czas byłam normalna.

Brigitte przygryzła wargę do krwi, mocno. Kiedy to spostrzegła, otarła ją ręką i przez długą chwilę wpatrywała się w czerwone ślady na palcach.

– Günther uroił sobie, że przeprowadzi własne dochodzenie w sprawie śmierci Evi.

– Tak ci powiedział?

– Nic mi nie mówił, sama się domyśliłam. I zaczęłam inaczej na niego patrzeć. Już nie był mężczyzną, który wyciągnął mnie z bagna i podarował nowe życie. Nie był wybawcą, rycerzem w lśniącej zbroi. Zmienił się w mojego wroga. Stał się...

– Nowym zdjęciem w albumie ilustrującym zmarnowane życie Brigitte?

– Evi – rzuciła Brigitte z głuchą wzgardą. – Evi i tylko Evi. Ale ona zginęła. Zginęła i została pochowana. Ta oszustka leżała pod trzymetrową warstwą

ziemi. A razem z nią ten drań Kurt, który mi ją zabrał. Nie uwierzysz, to było jak przekleństwo. Günther nic innego nie robił, tylko powtarzał, jakie niesprawiedliwe jest to, co się stało. Całymi godzinami pieprzył, kto to mógł zrobić i dlaczego, i po co, i... niech to szlag trafi! – krzyknęła. – Miałam dość, nie mogłam tego słuchać, tego obrzydliwego gędzenia i gędzenia. A mogłam go utrzymać przy sobie tylko w jeden sposób.

– Wlewając w niego alkohol.

Brigitte przytaknęła.

Wcześniej sprawiała wrażenie wściekłej, teraz – zrozpaczonej. Zakryła twarz dłońmi.

– Bóg nigdy mi tego nie wybaczy, prawda, Salinger?

– Nie zrobiłaś nic złego, Brigitte.

Słuchałem, jak płacze, zagubiona, przybita, z makijażem ściekającym na brodę. Zapaliłem papierosa, czując jakiś głuchy ból w karku.

Nagle uświadomiłem sobie, co robię. Zrozumiałem, że zmuszam udręczoną kobietę do spowiadania się przede mną ze swojego cierpienia, budząc w tym celu jej demona. Oprzytomniałem, przynajmniej na chwilę. Clara leżała jeszcze w szpitalu, a ja, zamiast tkwić przy niej i przy Annelise, zadrećzałem ofiarę tej okropnej historii. Zadrećzałem, bo cóż to było innego.

Poczułem obrzydzenie do siebie, zgasiłem papierosa i podszedłem do kanapy. Pogłaskałem Brigitte po czole. Wyjąłem jej z rąk four roses. Nawet tego nie spostrzegła. Wciąż płakała i jęczała jak ranne zwierzę. Cisnąłem butelką w ścianę. Rozbiła się na drobnutkie kawałki, cały pokój był nimi zasypany.

Brigitte podniosła głowę i popatrzyła na mnie.

– Przepraszam cię – powiedziałem.

– Zasługuję na to.

Mimowolnie chciałem ją objąć. Musiała to zauważyć, bo pokręciła głową.

– Nie warto mnie pocieszać, Salinger.

– Zapomniałem się, Brigitte, bo...

Kiwnęła głową.

– Widzę to w twoich oczach. Ponosi cię. Dlaczego?

– Bo moja córka. Moja żona... – Gestykulowałem, zdając sobie sprawę, że nie potrafię wyrazić tego zamętu, jaki mam w sobie. – Cała ta historia... Ja...

– Nie umiałem się zdobyć na nic innego.

– Nie jestem teraz kurwą, Salinger. Przynajmniej nie taką, za jaką mnie wzięłeś.

Popatrzyłem na nią, nie bardzo rozumiejąc, co chce powiedzieć.

Brigitte wskazała na drzwi wejściowe.

– Manfred. Nie pieprzy mnie.

– Widziałem, że tu przychodzi. Pomyślałem...

– Pomyślałeś nie to, co trzeba.

– Nie rozumiem, skąd bierzesz pieniądze na...

– ...na picie? – rzuciła niepokieszona Brigitte.

– Na rachunki – poprawiłem. – Nie powinienem tak myśleć.

Brigitte nie od razu mi odpowiedziała. Rozglądała się przez chwilę. Rozsiadła się wygodniej na kanapie i poprawiła włosy.

– To morderstwo w Bletterbach, Salinger – powiedziała. – O czym jest cała ta historia morderstwa w Bletterbach?

– O zabójstwie.

– Spróbuj odpowiedzieć mądrzej, Salinger.

– O Evi, Kurcie i Markusie?

– Też nie o tym. O poczuciu winy. O moim poczuciu winy. I Manfreda. Wiedziałeś, że kiedy Günther żył, bracia nie kontaktowali się ze sobą?

– Manfreda zanadto pochłaniała praca. Interes kwitł i na nic innego nie starczało mu czasu.

– Wcześniej także żyli jak pies z kotem. Opowiadał ci o czterech krowach? Każdemu opowiada. Mówi, że od nich zaczęło się jego królowanie.

– A tak nie było?

– Tak było. Tyle że Güntherowi to się nie podobało. Ano tak. Uznał, że brat pomiata swoją rodziną. Ale Manfred był uparty i jednego dnia, o nic nikogo nie pytając, załadował te cztery krowy na ciężarówkę i wywiózł na targ. Günther nie chciał nigdy od niego ani grosza. Ale mówił, że Manfred stał się dorobkiewiczem i zapomniał o swoim pochodzeniu.

Niejasnym gestem pokazała, że Manfred wyrzekł się swojego świata.

– Potem, kiedy Günther zmarł, wiele lat po pogrzebie Manfred ni stąd, ni zowąd zjawił się u mnie z bukietem kwiatów. Ubrany jak fircyk. Wyjaśnił, że chce się rozmówić. Powiedział „rozmówić”, a ja pomyślałam „pieprzyć”. I powiedziałam sobie: a co mi tam? Zobaczę, czy ma fujare tak wielką jak jego brat. Ale Manfredowi nie to było w głowie. Chciał mi dać jałmużnę. Na otarcie łez. Słyszał od ludzi, że Günther mnie kochał. A bogacz zna tylko jeden sposób na pozbywanie się wyrzutów sumienia.

– Pieniądze.

– Co tydzień przyjeżdża tu z kopertą. Chwilę rozmawiamy, a potem on zostawia ukradkiem kopertę, ale w widocznym miejscu. Kiedy gdzieś wyjeżdża w interesach, pocztą przychodzi czek. Nigdy nie jest to taka suma,

żeby mogła za nią stąd wyjechać. Nie skutkowałaby wtedy ta sztuczka z uczinaniem sumienia. Tak to ciągle bierze mnie pod włos. Może wolałabym, żeby mnie pieprzył.

– A nie robił tego?

– Czasami go prowokowałam. Paradowałam goła albo rzucałam niedwuznaczne żarty. Ale on zostawiał kopertę i wychodził. Nawet mnie nie dotknął, chociażby raz. Jeszcze dzisiaj, po tylu latach, przyjeżdża, przynosi pieniądze i od razu się zabiera. Tak że wbrew jego opędzaniu się ode mnie ciągle jestem jego potulną kurwą, Salinger.

Pomyślałem, jak niegodne jest takie postępowanie. Manfred wykorzystywał Brigitte, by uspokoić swe sumienie. Uważał, że tymi datkami wyraża uznanie dla zmarłego brata. Zagłuszał wyrzuty, wykorzystując Brigitte i jej nałóg.

Pokazałem jej ekspertyzę Evi.

Brigitte łapczywie przejrzała kartki.

– To jest bezlitosna opinia. Mówi: nie stawiajcie tu tego budynku, bo to zagrozi hydroekologii. Popatrz na podpis, poznajesz?

– Evi – odparła.

– Jeszcze nie zrobiła dyplomu, ale w tamtych czasach nikt się tym nie przejmował. Wystarczał dyplom technika budowlanego. A w dodatku Evi cenili w środowisku uniwersyteckim. To wystarczało, przynajmniej tutaj, prawda?

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Że to jest wyrok śmierci na Günthera.

Brigitte przeczytała ekspertyzę od deski do deski. Kiedy popatrzyła na mnie, zobaczyłem w jej oczach mroczną studnię, wypełnioną po brzegi rozpaczą, czarną i głęboką.

– Ukrywał to wszystko w sobie... przez tyle czasu.

– Musiało mu być z tym ciężko.

– Własny brat – wyszeptała Brigitte. – Jego własny brat. A ja... – Nie dokończyła. Odchyliła się zdruzgotana na oparcie kanapy. – Wynoś się, Salinger.

## 5

Wyszedłem, przepelniony odrazą do samego siebie.

Mało brakowało, a nie zauważyłbym go.

Czarnego mercedesa Manfreda.

Odebrałem telefon od Wenera, kiedy już szukałem miejsca na parkingu pod szpitalem w Bolzano. Błyskawicznie dostałem się na piętro. Annelise wybiegła mi naprzeciw. Biel nie zawładnie wzrokiem naszej córki. Mój senny koszmar nie był proroczy. Okazało się, że operacja nie jest konieczna, krwiak wchłaniał się samoistnie.

Korytarz zawirował wokół mnie.

Annelise wskazała mi drzwi do pokoju.

– Czeka na ciebie.

Wpadłem do środka.

Tym razem nie zwlekałem, nie przyglądałem się najpierw zielonym płytkom posadzki, na których skrzypiały gumowe podeszwy moich butów, ani spękaniom na ścianach. Nie bałem się stawić czoła rzeczywistości.

Clara była blada, błękitne oczy tkwiły w ciemniejszej otoczce. Jeszcze jej nie odłączyli od tych okropnych rurek, które jakby wyrastały jej z ramion, ale przecież już wiedziałem, że nie grozi jej nic niedobrego.

– Tato! – zawołała.

Z jaką radością słuchałem znowu jej głosu.

Objąłem ją. Ostrożnie, żeby jej nie zabołało. Clara chwyciła się mnie z całej siły. Czułem wyraźnie jej drobne kości. Objąłem ramionami jej biodra. Nie chciałem się rozpłakać.

– Jak się czujesz, osiem liter?

– Boli mnie głowa.

Pogłaskałem ją. Chciałem jej dotykać. Jakbym musiał sprawdzać, że to nie sen.

– Lekarz – usłyszałem za sobą głos Wenera – powiedział, że ma twardą głowę.

– Jak ja – odpowiedziałem, przerywając głaskanie Clary po bladej buzi. – Masz twardą głowę, malutka?

– Zrobiłam coś złego, tato.

– Kiedy?

– Rozbiłam sanki – odpowiedziała.

I rozpłakała się.

– Zrobimy nowe. We dwoje, ty i ja.

– Zrobimy razem, tato?

– Oczywiście. I będą jeszcze ładniejsze od tamtych.

– Tamte były piękne.

– To nic. Jakiego koloru chcesz mieć te nowe?



Clara odchyliła się ode mnie i już na nowo była roześmiana.

– Czerwone.

– Nie znudziły ci się czerwone? Nie wolałabyś różowych?

– Lubię różowy.

Przez chwilę zdawało mi się, że chce jeszcze coś powiedzieć, ale się rozmyśliła. Potrząsnęła głową i oparła ją na poduszce z ledwo uchwytnym jękiem, który nie uszedł mojej uwagi.

– Kiedy ją nam oddadzą?

– Za parę dni – odpowiedział Werner. – Jeszcze ją zatrzymają na obserwację.

– To na pewno rozsądne.

Clara przymknęła oczy. Wyciągnęła do mnie rękę. Ująłem ją w dłoń. Była zimna. Pochuchałem na nią. Clara się roześmiała. Oddychała wolniej. W końcu usnęła.

Wciąż na nią patrzyłem. I wreszcie się rozpłakałem.

– Jak się czuje Annelise?

– Nie chce wracać do domu. A jest bardzo zmęczona. Ale tutaj walczy o wszystko jak dzikie zwierzę.

Moja Annelise.

– A ty?

Werner nie odpowiedział od razu. Po chwili rzucił:

– Musisz mi pomóc, Jeremiaszu.

Popatrzyłem na niego zaskoczony.

Werner był cieniem samego siebie.

– Pomogę, możesz na mnie liczyć.

## 7

Do końca nie rozumiałem, o co chodzi. Nawet kiedy Werner wziął już do ręki dużą siekierę, sprawdził palcem jej ostrze i ruszył przed siebie. Szedł przez nietknięty śnieg, a ja szedłem za nim.

Kiedy doszliśmy na sam dół zachodniego stoku Welshboden, poczułem, że jeszcze chwila, a zemdleję.

Chociaż ostatnio sypał śnieg, pod jego świeżą warstwą można było dostrzec krew Clary. Wszędzie było czerwono, tak jak mówiła Annelise.

Zrobiłem wszystko, żeby nie zwymiotować.

Werner ukląkł, siekierę położył obok siebie. Złączył dłonie, pochylił głowę. Modlił się. Potem zagarnął ręką garść śniegu i rzucił ją w pień świerka. Nie,

to nie był *pierwszy lepszy* świerk.

Ten świerk mógł zabić moją córkę.

Podszedłem bliżej. Na wysokości czterdziestu centymetrów widać było miejsce zderzenia. Trochę odłupanej kory i ciemna plama, która na pewno była plamą krwi. I pasemko włosów. Oderwałem je i delikatnie owinąłem wokół palca, przy obrączce. Popatrzyliśmy z Wernerem na siebie. Już rozumiałem, po co mnie tutaj przyprowadził. Podał mi siekiere.

– To ty masz uderzyć pierwszy.

Zważyłem siekiere w ręce. Leżała znakomicie.

– Gdzie?

– Uderz tutaj – powiedział Werner tonem wprawnego drwala. – Nadamy mu kierunek, padnie, gdzie trzeba.

Kiedy uderzyłem w pień, ból przebiegł od nadgarstka po kark. Jęknąłem. Ale nie wycofałem się. Chwilkę czekałem, żeby ból minął, i uderzyłem po raz drugi.

Werner mnie zatrzymał.

– Teraz z drugiej strony. Zaraz tego skurwysyna rozwalimy.

Obeszliśmy pień.

I znów uderzyłem.

Posypały się ostre drzazgi, któraś mogła mi zranić oko. Nieważne. Znów uderzyłem. I znów. Werner podniósł rękę, zatrzymałem się. Wskazał na cięcie, w którym pokazała się żywica.

Nie podobał mi się jej zapach.

– Teraz ja.

Werner wziął ode mnie siekiere. Rozstawił szeroko nogi. Ruchy miał wprawne, musiał ścinać drzewa wiele razy. Uniósł siekiere. Ostrze złowrogo załśniło. Krzyknął na cały głos, ile miał siły w płucach.

I uderzył.

I uderzył.

I uderzył.

## 8

Drzewo runęło na ziemię, wzbilo śnieżną zamieć. Ostra jak brzytwa drzazga świsnęła mi tuż przy uchu, jakby świerk jeszcze się bronił.

Śnieg opadł. Echo odbite od gór zabrzmiało jak krakanie. Wróciła cisza.

Popatrzyłem na Wenera. Był spocony, w oczach miał jakieś światło, złe, rozpaczliwe.

Wbiłem siekiere w pień. Wyjąłem papierosy.

– Zapalisz?

Werner zaprzeczył ruchem głowy.

– Okropnie chce mi się palić, ale w takim stanie, w jakim jestem dzisiaj, mógłbym dostać zawału. Może będę musiał rzucić palenie.

– Dobrze byś zrobił – odpowiedziałem, zaciągając się mocno.

W nozdrzach miałem zapach żywicy.

– Trzeba chronić bliskich – powiedział Werner. – Zawsze.

Popatrzyłem na niego.

– To prawda.

– A ty ich chronisz?

Potrząsnąłem głową.

– No tak...

Przez chwilę miałem ochotę wyjawić mu wszystko. Moje podejrzenia co do Manfreda. Całą pogmatwaną historię budowy Centrum Turystycznego. Ekspertyzy. Głównie tę sporządzoną przez Evi. Chciałem wyrzucić to z siebie, wyjawić sekret. Powiedzieć o Grünwaldzie. O jego dziwacznej teorii, o jego przyjaźni z Evi. I o Brigitte. Tak, gotów byłem opowiedzieć mu nawet o tym. Jak w jakimś amoku wykorzystałem jej alkoholizm, żeby drażyć przeszłość Siebenhoch. Chciałem się tym wszystkim z kimś podzielić. Dlatego że historia morderstwa w Bletterbach odsunęła mnie od najbliższych. Stało się to, o czym napomknęła przewodniczka: Bletterbach wciągnął mnie w swoje głębiny.

Także o Bestii chciałem mu opowiedzieć. O oślepiającej bieli. I o syczeniu.

Mało brakowało, a bym opowiedział.

Ale zobaczyłem jego zaczerwienioną twarz, usłyszałem, jak ciężko oddycha. Zmęczone ramiona zwisały mu luźno wzdłuż ciała, wokół drapieźnych oczu uwydatniły się zmarszczki.

Werner wydał mi się stary. Słaby.

Nie zrozumiałby.

Milczałem.

# Ktoś umiera, ktoś go oplakuje

## 1

– Nie, nie tak – wyszeptałem, zanurzając się w niej.

Annelise położyła mi opuszki palców na ustach. Przesunąłem po nich językiem. Były słone, przez co wzmoгло się moje podniecenie. Ale wzmoгло się także moje zakłopotanie.

Coś szło nie tak, jak trzeba. Chciałem jej o tym powiedzieć. Annelise zamknęła mi usta pocałunkiem. Miała język suchy, szorstki. Nie przestawała się poruszać.

Dotknąłem jej piersi. Annelise wyprężyła się, wygięła plecy.

Wdarłem się głębiej.

– Nie, nie tak – powtórzyłem.

Annelise znieruchomiała. Popatrzyła z wyrzutem, z oskarżeniem w oczach.

– Patrz, co mi zrobiłeś.

Wtedy to spostrzegłem.

Rana. Straszliwa rana. Cięcie od gardła po brzuch.

Widziałem, jak pulsuje jej serce pokryte siateczką niebieskawych żyłek.

Annelise krzyknęła; ten krzyk był jak łomot padającego drzewa.

## 2

Środki nasenne już nie działały. Wyrzuciłem je do kosza.

## 3

Po piątej zlany potem wszedłem pod gorący strumień wody z prysznicą. Miałem nadzieję, że woda zmyje ze mnie ten chłód, który czułem w głębi, w kościach.

Posprzątałem mieszkanie, zmiotłem śnieg z oblodzonej alejki, chociaż bolały mnie plecy, i o wpół do siódmej byłem już gotów jechać do szpitala.

Na ten dzień wyznaczyłem sobie dwa zadania. Kupić największego na świecie pluszowego misia, jeśli tylko uda mi się takiego znaleźć, i namówić Annelise, żeby wróciła do Siebenhoch.

Już dwa dni nie ruszała się na krok z pokoju w szpitalu. Chciała być stale przy Clarze. A powinna wrócić do domu, żeby się nie rozsypać. Widać już było pierwsze oznaki kryzysu. Drżące ręce, zaczerwienione oczy. Mówiła jakimś piskliwym głosem, którego u niej dotąd nie słyszałem. Rzucała tylko monosylaby, jakby nie chciała wdawać się z nikim w rozmowę. Nie miałem wątpliwości, że ponoszę część winy za jej stan. Mieliśmy sobie wiele do powiedzenia. I Annelise, i ja.

Zastanawiałem się, czy powiem jej prawdę.

Tak.

Ale dopiero wtedy, kiedy napiszę słowo „koniec” w przechowywanej skrycie w moim laptopie dokumentacji zapisanej w Wordzie, która liczyła już wiele stron pisanych z pojedynczym odstępem. Wtedy usiądę z Annelise i pokażę jej, do czego doszedłem. Zezłości się, ale mnie zrozumie.

Ani przez moment nie miałem złudzeń, że w tym moim kluczeniu nie rozmijam się z prawdą. Annelise była bystra, zaraz by spostrzegła, że to, co sobie wmawiałem, kiedy wkładałem kurtkę i szedłem do auta, nie było prawdą. Było tylko częściowym (i idiotycznym) poszukiwaniem prawdy.

Gównu wartym.

„Gówno” – pięć liter.

Po odjęciu jednej mamy już „plac”.

Wyobraźcie sobie mniej więcej trzydzieści centymetrów zlodowaciałego śniegu, smukłą, wysoką dzwonnice i skrzyżowanie dróg – to Siebenhoch. Dodajcie do tego dużo zamieszania i wrzawy. Słowa gorączkowo rzucane i powtarzane z ust do ust, twarze zdumione, niektóre wstrząśnięte, i głowy poruszające się z niedowierzaniem. Do tego nadjeżdżający z północy samochód.

Mój.

Osiem liter: „Salinger”.

#### 4

Dostrzegłem migające światła patrolowego jeepa karabinierów. I drugie – karetki pogotowia. Zaschło mi w gardle.

Karetką nie jechała na sygnale, stała pod domem Brigitte.

Zatrzymałem samochód w niedozwolonym miejscu.

– Co się stało? – spytałem jakąś turystkę okręconą wełnianym szalikiem w jaskrawych kolorach.

Pochyliła się do mojej opuszczonej szyby.

- Chyba ktoś strzelał.
- Kto?
- Jakaś kobieta. Mówią, że się zabiła.

Nie dosłyszałem, co powiedziała potem. Wyskoczyłem z auta. Na placu zdążył się już utworzyć spory tłumek. Przepychałem się energicznie bliżej domu, ale po chwili zastąpił mi drogę pilnujący porządku karabinier. Nie zważałem na niego. Parłem dalej i dotarłem dość blisko. Miałem przed sobą ratownika z pogotowia, stał przed drzwiami domu Brigitte i rozmawiał przez komórkę. Widziałem blade chmurki jego oddechu. Tłumek popchnął mnie jeszcze bliżej. Patrzyłem półprzytomnie na ratownika, dopóki nie schował komórki do kieszeni i nie wszedł do domu.

Próbowałem zajrzeć do środka.

Nic nie zobaczyłem.

Kiedy pielęgniarze w odblaskowych kurtkach połyskujących w widmowym świetle zimowego dnia wyszli z domu, popychając przed sobą nosze, na których rysowało się ciało przykryte prześcieradłem, wstrzymałem oddech. Tłum umilkł.

Musiałem odwrócić wzrok od noszy, które wsuwano energicznie przez tylne drzwi do karetki. Zacisnąłem pięści, wbiłem paznokcie w dłoń.

– To ty.

Ten głos od razu rozpoznałem.

Manfred. Był wstrząśnięty. Pod rozpiętym płaszczem z wielbłądziej wełny widać było wymiętą koszulę, w połowie wciśniętą do spodni, w połowie luźno zwisającą. Nie włożył krawata i nie był ogolony.

Podniósł rękę i wskazał na mnie.

– To ty – powtórzył.

Donośnie jak grzmot.

Ludzie zaczęli się na mnie gapić.

Manfred ruszył w moją stronę. Zatrzymał się dwa metry przede mną. Z wewnętrznej kieszeni płaszcza wyjął portfel.

Nieprzerwanie patrzył mi w oczy. Z nienawiścią.

Wyjął pierwszy lepszy banknot, zmiął go i rzucił we mnie. Banknot ześlizgnął się i spadł na ziemię.

– Tyle ci się należy, Salinger.

Drugi banknot trafił mnie w twarz.

– Za tym się uganiaasz, co? Po to kręcicie filmy, prawda? Dla forsy. Chcesz więcej?

Trzeci banknot trafił mnie w pierś. A na koniec Manfred, histerycznie

roztrzęsiony, rzucił we mnie portfelem.

Nawet nie mrugnąłem okiem, oszołomiony jego napaścią.

– Widziałem, jak od niej wychodziłeś, Salinger. Wczoraj.

Karabinier przyjrzał się najpierw Manfredowi, potem mnie, niezdecydowany, jak ma zareagować. Obaj nie zwracaliśmy na niego uwagi. Tłumek trochę się od nas odsunął.

Manfred podszedł krok bliżej.

– To ty ją zabiłeś, *wstrętny gnoju*.

Chciał się na mnie rzucić, ale karabinier go powstrzymał. Nagle pojawił się zielonoszary mundur. Szef Krün.

Ujął mnie pod ramię.

– Nie ja zabiłem Brigitte, Manfred! To twoja robota, ty świnió! – krzyknąłem, zanim Maks odciągnął mnie na bok. – Obaj dobrze wiemy, dlaczego to zrobiłeś.

Maks siłą zaciągnął mnie do zaułka, skąd już nie mogłem widzieć ani domu, ani Manfreda. Widziałem tylko migotanie świateł odbite w szklanym szyldzie zakładu fryzjerskiego.

Zamknąłem oczy.

– Naprawdę nie żyje?

– Zabiła się.

– Wiesz na pewno?

Maks potwierdził skinieniem głowy.

– Miała w domu dubeltówkę. Umiała strzelać. Sąsiedzi powiedzieli mi, że nad ranem usłyszeli strzał. Drzwi zostawiła uchylone. Zauważyłem to i wezwałem karabinierów i karetkę.

– To nie było samobójstwo.

Maks popatrzył na mnie uważnie.

– Rzucasz bardzo poważne oskarżenia, Salinger.

– To Manfred ją zabił.

– Zabiła się sama.

– Skąd ta pewność?

– Była pijana... – Maks na chwilę zawiesił głos, jakby chciał dodać „jak zawsze”, ale widocznie uznał, że nie trzeba tego dodawać – wszędzie leżały puste butelki. Pani Unterkircher widziała ją wczoraj wieczorem, Brigitte była całkiem zamroczone, odrażająca.

– I co pani Unterkircher zrobiła, żeby Brigitte pomóc? – spytałem ze złością.

– To samo, co my wszyscy robiliśmy dla niej całe lata, Salinger. Nic.

Nie wytrzymałem jego spojrzenia.

– Brigitte nie zabiła się sama. Została zabita. Zabił ją Manfred.

– Powtarzam ci, że to poważne oskarżenie.

– Zdaję sobie z tego sprawę.

– Masz dowód?

Zapaliłem papierosa. Podsunąłem paczkę Maksowi.

– Nie, dziękuję – powiedział. – Trzymaj język za zębami. Starczy tego, co mamy.

– Przyznaj się, Maks, nie zauważyłeś niczego podejrzanego? Niczego, co mogłoby...

– Nie i raz jeszcze nie.

– Powiedziałeś, że drzwi były uchylone.

– Brigitte piła, Salinger. Pijący zapominają dzieci w autach w środku lata, zapominają zgasić gaz, no a potem dzieje się coś takiego czy innego.

Miał rację.

A jednocześnie wiedziałem, że się myli.

– Może nie powinienem ci tego mówić – rzucił Maks – ale Brigitte trzymała w ręku fotografię.

– Evi?

– Nie, Günthera.

– Myślisz, że to może coś znaczyć?

– Myślę, że w ten sposób żegnała się z nami, Salinger. I tylko tyle.

Zamieniliśmy jeszcze parę słów. Rozstaliśmy się. On wracał do domu Brigitte, ja do samochodu. Kiedy już usiadłem za kierownicą, zauważyłem, że w rozchyleniu kurtki został mi zmięty banknot pięćdziesięcioeurowy.

Wyrzuciłem go przez okno.

Uruchomiłem silnik i odjechałem.

## 5

W Bolzano byłem o dziewiątej. Nie udało mi się znaleźć misia największego na świecie, ale ten, który potem dotarł do pokoju Clary, był niewiele mniejszy.

– Jak się masz, maleńka?

– Boli mnie głowa.

– Trochę mniej niż wczoraj?

– Trochę mniej.

Clara pogłaskała szorstki nosek pluszowego misia i spoważniała.



Zauważyłem u niej ten sam wyraz twarzy co wczoraj. Jakby miała mi do powiedzenia coś ważnego, tylko brakowało jej odwagi, żeby się na to zdobyć.

Uśmiechnąłem się. Pogłaskałem ją po buzi; podniosła głowę i popatrzyła na mnie.

- O co chodzi, malutka? – spytałem.
- O nic.
- „Osiem liter” – powiedziałem.
- „Mamusia”.
- Nie, to tylko siedem.
- „Serduszko”.
- Nie, to dziewięć – pokręciłem głową.

Clara wzruszyła ramionami.

- No to nie wiem.
- „Kłamstwo” – wyjaśniłem.

Ujęła mnie za rękę. Sięgnęła do głowy, chciała okręcić sobie pasemko włosów wokół palca. Ten gest miała po Annelise, która w chwili napięcia zawsze tak robiła. Nie natrafiła jednak na włosy, bo głowę miała jeszcze obandażowaną. Ręka opadła na kołdrę. Clara wciąż unikała mego wzroku.

- Wiesz, że możesz mi powiedzieć wszystko, co chcesz?
- Wiem.
- Myślisz, że jestem na ciebie zły za sanki?
- Trochę.
- Ale chodzi jeszcze o coś, prawda?

Clara znowu chciała chwycić w palce kosmyk włosów, ale ująłem jej rączkę i pocałowałem. Potem ją połaskotałem. Zaśmiała się i wcisnęła twarz w brzuch misia.

- Powiesz mi o tym, kiedy zechcesz – dodałem.

Clarę to od razu podniosło na duchu. Z powagą wyciągnęła do mnie rękę – sprawa załatwiona.

– Co wy tu we dwoje kombinujecie? – zapytała nas Annelise, która weszła do pokoju razem z Wernerem.

Wstałem i ją objąłem. Annelise odwzajemniła mój uścisk, ale zrobiła to chłodno, z dystansem. Prócz zapachu mydła poczułem zapach jej spoconego ciała.

- Musisz wreszcie dobrze wypocząć.
- To ty jej przywiozłeś tego misia? – spytała. – Pierwszy raz go tu widzę. Tak zawsze wyglądała jej taktyka: zmieniała temat.
- Miś to prezent. A ty musisz odpocząć we własnym łóżku.

– Zostanę tu tak długo, jak długo będą Clarę leczyć. Dopiero potem wrócimy do domu. Obie razem.

Przeszła obok mnie i usiadła na łóżku Clary.

– Okej – powiedziałem.

Bawiłem się z Clarą jeszcze z godzinę.

Starłem się nie myśleć o śmierci Brigitte, myślałem tylko o Clarze. Była słaba i blada, ale widziała i będzie widziała, a już wkrótce zaniosę ją do auta i odwiozę do domu.

W bezpieczne miejsce.

Nigdy już nie pozwolę, żeby zdarzyło się jej coś złego, przysięgałem sobie.

Tej przysięgi naturalnie nie uda mi się dotrzymać. Tak jest zawsze, gdy przysięgamy, że nic nie zagrozi życiu naszych bliskich.

Na pewno mogę Clarze ofiarować, jeśli się postaram, dar zachowania pięknych wspomnień. Tamte słowa Wenera odezwały mi się wyraźnie w pamięci. Zadudniły jak upadający świerk, wyrąbany w cierpieniu przez dwu zgnębionych mężczyzn.

Około jedenastej, razem z pielęgniarzem roznoszącym jedzenie, wszedł do pokoju lekarz. Poznał mnie i wyciągnął na powitanie rękę. Uścisnąłem ją trochę skrępowany.

– Nie mylił się pan, panie Salinger – odezwał się do mnie po przywitaniu się z Annelise.

– Mówiłem, że to tylko biedronka – wymamrotałem, czerwieniąc się.

– Dziewięć liter, „biedronka”, to ostatecznie nie tak dużo. – Lekarz wybuchnął dźwięcznym śmiechem, którym zaraził mnie i Annelise.

Powiedział nam, że Clara spisała się na medal. Podawał jej środki, które miały ułatwić wchłanianie się krwiaka. Zagrożenie było poważne, ale już można o nim zapomnieć.

– Wykonamy jej teraz tomografię i zależnie od wyniku zdecydujemy, czy ją wypisać, czy jeszcze przez parę dni mieć na oku.

– Co to jest tomografia, tato?

Clara właśnie skończyła jeść. Zaskoczył mnie jej apetyt, uznałem to za dobry znak. Pomogłem jej wytrzeć usta czystą serwetką, czego nie robiłem od roku i bardzo mi tego gestu brakowało.

– Tomograf jest jak radar. Pamiętasz, co to jest radar?

Wyjaśniałem jej to przy okazji naszego lotu do Europy. Byłem pewien, że nie zapomniła. Miała znakomitą pamięć.

– Takie radio, co pomaga samolotom. Żeby się nie zderzyły.

– A tomograf to taki radar, który pomaga zobaczyć, co ludzie mają

w środku.

– Jak jest zrobiony?

– Wiesz... – szukałem wzrokiem lekarza.

– Jest podobny do ogromnej pralki. Położymy cię w nim na łóżku i każemy leżeć bez ruchu. Potrafisz leżeć bez ruchu?

– Jak długo?

– Kwadrans. Najwyżej pół godziny. Nie dłużej.

Clara milczała i zastanawiała się.

– Chyba potrafię. – A potem, zwracając się do mnie, spytała: – To nie będzie bolało, tato?

– Nic a nic. Będzie ci tylko nudno.

To Clarę uspokoiło.

– Będę sobie wymyślała jakąś historyjkę.

Pocałowałem ją i nagle zadzwoniła moja komórka. Popatrzyłem zaniepokojony na Annelise i gotów byłem odrzucić połączenie. Palec już był na czerwonym przycisku.

Telefonował Mike.

– Przepraszam.

Wszedłem na korytarz i odebrałem.

– Wspólnik?

– Zaczekaj – powiedziałem.

Wszedłem do łazienki, upewniwszy się, że nie ma w niej nikogo.

– Mów, tylko szybko.

– Co się dzieje?

– Jestem w szpitalu. Clara. Miała wypadek. Ale już jest lepiej.

– Jaki wypadek? Salinger, nie żartuj.

– Zjeżdżała na sankach i uderzyła w drzewo. Już nic jej nie grozi.

Wyzdrowieje.

– Co to do diabła znaczy „nic nie grozi”? A groziło, Salinger? Że...?

Zamknąłem oczy, oparłem się o białą umywalkę.

– Posłuchaj, Mike. Nie traćmy czasu. Mów, co wykryłeś. U nas, w Siebenhoch, dużo się działo.

– Rozglądałem się jeszcze za Grünwaldem, ale prócz szczegółów tej jego teorii nie mam nic nowego. Dalej nie wiadomo, kiedy i gdzie zmarł, to mam na myśli.

– Gdzie się zapodział – poprawiłem.

– Naprawdę myślisz, że tylko gdzieś się zapodział, wspólniku?

– Nic nie myślę, Mike.

– Dobrze się czujesz? Na pewno?

– Nie, nie czuję się dobrze. Ale zlituj się, mów dalej.

Mike chwilę milczał. Pewnie zapalał papierosa. Mnie także chciało się palić, ale jedno marlboro zapalone tutaj pewnie włączyłoby alarm przeciwpożarowy w całym szpitalu.

– Mówiłeś o tej Evi. Znowu mi wypłynęła.

– W związku z Manfredem Kagolem?

– Zgadłeś.

– Chodzi o ekspertyzę kwestionującą budowę Centrum Turystycznego.

– Wiedziałeś o tym?

– Wiedziałem. Co jeszcze znalazłeś?

– Mało, a raczej nic. Tej ekspertyzy nie wzięto pod uwagę i po pięciu latach jednak doszło do otwarcia Centrum.

– Niech to szlag trafi! – Uderzyłem pięścią w ścianę.

– Co się dzieje, Salinger?

– Jak myślisz, ile rocznie zarabia Manfred Kagol na tym Centrum?

– Wliczając do tego hotele i innego jego interesiki tam u was?

– No.

– Kupę milionów euro.

Poczułem gorycz w ustach, żółć się we mnie burzyła.

– Myślisz, że to Manfred mógł zabić Evi? – spytałem cicho.

– Dlaczego miałby ją zabić? – spytał zdumiony.

– Bo rzucała mu kłody pod nogi przed budową tego Centrum.

– Coś ci się uroiło, Salinger.

– O czym ty mówisz? – zdziwiłem się.

– Mówię ci, że gdybym był Manfredem Kagolem, to całowałbym ziemię, po której stąpała Evi.

– Ale ekspertyza...?

– Ekspertyza kwestionowała projekt i zatrzymała budowę Centrum Turystycznego w Bletterbach. Ale tego projektu, tego pierwszego, nie złożył Manfred Kagol.

Zakręciło mi się w głowie.

Zdawało mi się, że jest w niej tylko pusto i biało.

– Chyba majaczysz, Mike.

– Pierwszego projektu nie przedstawiło Kagol EdilBau. Zgłosiła go firma z Trydentu, EdilGroup80. Ta sama, która tam, w waszych górach, zbudowała wiele wyciągów.

Czułem się tak, jakbym gdzieś spadał i spadał. Posadzka pod nogami

rozstąpiła się i mnie pochłoneła.

– Salinger? Jesteś tam?

– Ekspertyza... Ekspertyza Evi *pomogła* Manfredowi?

– Otóż to. Po namyśle uznałem, że Manfred w osiemdziesiątym piątym w żadnym razie nie mógłby mieć projektu tak ambitnego, jaki złożył później. Evi wyświadczyła mu ogromną przysługę. Dlaczego miałby ją zabijać?

Nie zrobiliby tego za żadne skarby.

– Dzięki, Mike. Jeszcze... – wykrztusiłem – pogadamy.

Przerwałem rozmowę, nawet się z nim nie żegnając.

Odkręciłem kran, zmoczyłem twarz.

Odetchnąłem z ulgą.

Manfred nie zabił Evi. Nie był mordercą.

Popatrzyłem na siebie w lustrze.

No tak. Teraz już wiesz, jak wygląda gęba mordercy.

Miałem przed sobą mordercę Brigitte. To ja ją zabiłem, taka jest prawda.

– „Czy umarli zmartwychwstają? – wyszeptalem. – Książki twierdzą, że nie, noc aż krzyczy, że tak”<sup>3</sup>.

Był to cytat z mojej ulubionej powieści, wozilem ją wszędzie ze sobą. Zdanie Johna Fantego nabrało innego znaczenia w ustach zabójcy, który wstrząśnięty patrzył teraz na mnie z lustra.

Nie wytrzymałem napięcia. Zgiąłem się wpół pod ciężarem tego, co zrobiłem. Osunąłem się i uderzyłem głową o umywalkę. Ból zadbał o mnie.

## 6

Ocucił mnie pielęgniarz. Za jego zaniepokojonym obliczem dostrzegłem poważną, bladą twarz Annelise. Kiedy zobaczyła, że otwieram oczy, wyszła z łazienki i głośno zatrzasnęła za sobą drzwi.

– Pańska żona zorientowała się w pokoju, że pan nie wraca, i to ją zaniepokoiło. Chyba pan zemdłał.

Pomógł mi usiąść. Oddychałem z otwartymi ustami. Jak spragniony pies.

– Poradzę sobie, zaraz jakoś...

– Mocno się pan uderzył. Chyba byłoby dobrze...

Poczułem zawrót głowy. Uchwyciłem się pielęgniarza i z trudem stanąłem na nogi.

– Już w porządku. Muszę iść. Muszę...

Pielęgniarz mi odradzał. Nawet nie wysłuchałem go do końca.

Kiedy przyszedłem pod pokój Clary, stanąłem. Nie miałem odwagi wejść.

Słyszałem głos Annelise i szczebiotanie naszej córki. Dotknąłem czule drzwi.  
Poszedłem korytarzem dalej.  
Nie umiałbym stawić im czoła.

## 7

Zszedłem schodami do kuchni. Wziąłem do ręki butelkę Jacka Daniel'sa. Chciałem się upić. Pierwszy łyk wydał mi się kwaśny, podrażnił przełyk. Zakaszlałem, reszkę whisky wyplułem. Ale byłem uparty. Powstrzymałem przykry odruch. Drugi łyk. I ten kwaśny. Ale moje myśli nie odstępowały od głowy Brigitte roztrzaskanej strzałem z dubeltówki. Od jej krwi zalewającej posadzkę. Oddychałem możliwie najgłębiej, żeby powstrzymać mdłości. Nie chciałem wymiotować. Nie po to piłem. Chciałem stracić poczucie rzeczywistości. Chciałem tej całkowitej czerni bez snów, której doświadczyłem po uderzeniu głową o szpitalną umywalkę. Zanim Annelise... Trudno mi było myśleć o Annelise.

Następny łyk.

Tym razem Jack Daniel's spłynął łagodniej. Otarłem usta grzbietem dłoni. Poszedłem do salonu i zapadłem się w mój ulubiony fotel.

Wyjąłem z paczki papierosa. Miałem odrętwiałe ręce. Namęczyłem się, żeby zapalić zapalniczkę, a kiedy mi się to udało, wpatrywałem się w płomyk jak idiota i zadawałem sobie pytanie, do czego mi jest potrzebny i dlaczego jest tak ważne, by przybliżyć płomyk do tej białej rurki, która sterczy mi z ust. Odrzuciłem zapalniczkę daleko od siebie i wyplułem papierosa.

Piłem i piłem. Głowę miałem ciężką jak ołów.

Próbowałem po raz kolejny podnieść do ust butelkę.

Nie udawało się. Butelka wysunęła mi się z rąk.

I wreszcie ciemność.

Kiedy odzyskałem przytomność, leżałem na łóżku. Rozejrzałem się zagubiony. Leżałem w nieoświetlonym pokoju. Jak się tu dostałem? Chyba jednak w całym tym zamroczeniu dowlokłem się tu sam. Ostatnia rzecz, jaką pamiętałem, to brzęk butelki upadającej na podłogę.

Wysiliłem wzrok.

Próbowałem się podnieść.

– Coś ty sobie wbił do głowy?

Drgnąłem.

Nie rozpoznałem, czyj to głos dochodzi do mnie z ciemności.

– Kto to? – rzuciłem. – Kto to?

Głos nie odezwał się więcej, za to ukazała się czyjaś sylwetka. Wydała mi się gigantyczna. Przemieszczała się skokami. Ktoś zmarły, pomyślałem, tylko zmarli tak się poruszają.

Ktoś zapalił światło.

Werner.

Usiadłem na łóżku z największym trudem, siłą woli.

– Miałem paskudny dzień.

Werner nie skomentował.

– Musisz zapłacić czymś żołądek. Potrafisz sam zjeść?

– Spróbuję.

Źle było na schodach. Każdy krok dudnił mi w głowie jak cios pałką. Pogodziłem się z bólem. Zasłużyłem na to. Byłem mordercą.

Dwukrotnym.

Naprzód ratownicy na Ortles, a teraz...

Werner zrobił mi jajecznicę, którą ledwo przełknąłem. Zjadłem chleb, plasterek specku i wypłem dużo wody.

Werner nie odzywał się, dopóki nie skończyłem jeść. A ja dopiero wtedy zobaczyłem, w jakim jest stanie. Siedział nienaturalnie wyprostowany, miał zmiętą twarz.

Wyglądało na to, że coś go boli. Ale przede wszystkim był zażenowany.

– Nie przyjechałem po to, żeby cię zbudzić, chciałem cię tylko prosić o pomoc. Grzbiet – rzucił. – Przez całe życie przechwalałem się, że nigdy nie zażyłem nic mocniejszego od aspiryny, a teraz...

– Coś cię boli?

– Już nie jestem młodzieniaszkiem – stwierdził gorzko.

– Czemu nie pójdziesz do kogoś, kto ci coś doradzi?

– Daj spokój, Jeremiaszu, nie ciągnie mnie do lekarzy. Może masz jakieś mocniejsze pigułki przeciwbólowe?

Wszystko w nim, ton głosu i dobierane słowa, mówiły to samo, co mogłem odczytać z jego oczu. Tacy jak Werner nienawidzą dwu rzeczy: ujawniania swojej słabości i proszenia o pomoc. Wstałem i poszedłem do łazienki. Znalazłem pudełko ze środkiem przeciwbólowym, który przepisali mi po piętnastym wrześniu.

– Vicodin – powiedziałem po powrocie do kuchni.

Werner wyciągnął rękę.

– Mogę zażyć dwie?

– Wystarczy jedna.

Wrzucił sobie pigułkę do ust.

– Annelise nie wróci dziś wieczorem do domu – powiedziałem. – Może już nigdy nie wróci.

Werner sięgnął po paczkę papierosów. Zapalił, ja też zapaliłem.

– W małżeństwie przychodzą chwile gorsze i lepsze. Jedne i drugie mijają.

– A jeśli nie miną?

Nic nie odpowiedział. Patrzył na dym z papierosa, który wznosił się do sufitu i tam się rozwiewał.

Skończył palić, zgniótł niedopałek w popielniczce i wstał, opierając się o stół.

– Czas wracać do Welshboden.

– Weź te pigułki, mogą ci się przydać.

– Jutro się pozbieram, zobaczysz.

Schował lekarstwo do kieszeni. Pomogłem mu włożyć kurtkę.

Na dworze było jeszcze ciemno.

– Jeremiaszu – powiedział Werner – słyszysz?

Wytężyłem słuch.

Nie rozumiałem, co ma na myśli.

– Nic nie słyszę.

– Cisza. Nie słyszysz ciszy?

– Słyszę.

– Od kiedy nie ma Herty i muszę siedzieć sam, nienawidzę tej ciszy.



# Dwoje spiskowców i obietnica

## 1

Pogrzeb Brigitte odbył się dwa dni później, dziesiątego lutego.

Sekcja była właściwie czystą formalnością, a jej wynik z góry wiadomy. Brigitte popełniła samobójstwo. Maks zawiadomił mnie o wyniku autopsji osobiście z samego rana, gdy sprzątałem mieszkanie przed powrotem Clary i Annelise.

– Miała w sobie za dużo alkoholu, by móc utrzymać się na nogach. Była pijana w sztok, Salinger.

– No tak.

Maks spostrzegł, że mam siniec na czole po uderzeniu o umywalkę.

– A to? – spytał.

– Nic ważnego.

Piliśmy w milczeniu kawę. Pogoda była szara, ponura.

– Słyszałem, że dzisiaj puszczają Clare do domu.

– Od Wenera?

– Spotkałem go w aptece. Chyba coś mu dolega.

– Ma kłopoty z kręgosłupem.

– Powinien pójść do lekarza. Pięć lat temu wybiłem sobie staw. Bolało jak cholera i Verena załatwiła mi fizjoterapeutę. Po dwu zabiegach byłem jak nowy.

– Powiedziałeś mu o tym?

– Mówisz, a jemu jednym uchem wchodzi, drugim wychodzi. Twardy łeb. Ale zobaczysz, że jak nie będzie mógł podnieść Clary, to coś z tym zrobi.

– Miejmy nadzieję.

Maks przez chwilę bawił się pustą filiżanką, potem wstał.

– Chciałem... no cóż, chciałem tylko dać ci znać o tamtym.

– Dziękuję.

– Przyjdiesz na pogrzeb?

– Manfred przyjdzie?

– Manfred wszystko opłacił.

– Chyba nie przyjdę.

Maks włożył czapkę z godłem straży leśnej.

– Jesteś przyzwoitym człowiekiem, Salinger.

Nie. Jestem mordercą.

## 2

Słuchałem posępnych dźwięków dzwonu, dopóki udawało mi się je znosić. Potem włączyłem telewizor i nastawiłem na cały regulator.

O trzeciej po południu zapukał do drzwi Werner.

Miałem już na sobie kurtkę.

– Jak twój kręgosłup?

– Bardzo dobrze.

– Nie żartujesz?

– Popatrz.

Pochylił się, dotknął palcami podłogi, a potem nagle się wyprostował jak żołnierz na komendę „baczność”.

– Chyba jednak dobrze by było, gdyby jakiś lekarz rzucił na ciebie okiem.

– Jedziemy – zmienił temat, wskazując na auto. – Nasza dziewczynka czeka.

Stały już przed szpitalem, kiedy dojechaliśmy. Spóźniliśmy się, bo zatrzymał nas jakiś wypadek na drodze. Ale zły humor od razu nam minął na widok Clary.

Miała na sobie czerwony płaszcz, a beret naciągnęła na uszy, żeby nie marznąć i żeby ukryć lekki bandaż, którym lekarz zalecił owijać głowę jeszcze przez kilka dni. Pod pachą tkwił miś.

Pomachała nam ręką.

Annelise uśmiechnęła się zdawkowo.

Powrót Clary do domu zmienił się w święto. Była ożywiona, mówiła bez chwili przerwy, także po obiedzie, który starannie przyrządziłem. Były ulubione dania Clary i kilka takich, za którymi przepadała Annelise. Wycisnąłem, ile mogłem, z moich talentów kulinarnych.

– Lekarka powiedziała, że byłam bardzo dzielna.

– Co ty mówisz?

– Powiedziała, że jeszcze nigdy nie spotkała tak dzielnej dziewczynki.

Clara mówiła to z powagą, była bardzo dumna.

Lekarka, która robiła jej tomografię głowy, musiała wyrzucić na niej nadzwyczajne wrażenie. Clara ciągle przytaczała jej słowa.

– Pokazała mi mój mózg. Mam w nim pełno kolorów. Lekarka powiedziała, że może zobaczyć moje myśli. Ale ja widziałam tylko kolorowe plamki. Ona naprawdę umie odczytać ludzkie myśli, tato?

– Tomografię robi się nie po to, żeby poznać ludzkie myśli. Widać tylko prądy elektryczne w mózgu. Pokazują nasze emocje.

– Prądy elektryczne? Jak w lampce?

– Zgadłaś.

– I te prądy pokazywały, co ja czuję?

– Oczywiście.

– A wiesz, jak ma na imię lekarka?

Wiedziałem, ale udałem, że nie wiem.

– Nie mam pojęcia, skarbie.

– E-li-sa-bet-ta – wyskandowała. – Ile to liter?

– Dziesięć.

– Śliczne imię.

– Prześliczne.

– Myślisz, że jak będę dorosła, to mogę zostać lekarką od mózgów?

– Na pewno, malutka.

Rozmawialiśmy, dopóki Clary nie zaczęła ogarniać senność: jej ruchy spowolniły, mówiła mniej wyraźnie, opadała jej głowa. Była blada.

Werner wstał od stołu.

– Chyba dziadek także musi już pomyśleć o spaniu.

– Dziadku – powiedziała, otwierając szeroko oczy (które, jak zauważyłem, były zaczerwienione i zmęczone) – jeszcze nie. Jeszcze zostać.

Werner pocałował Clarę w czoło, a ja zaniósłem ją do łóżka. Nie zdążyłem zgasić światła, a dziewczynka już spała. Zamknąłem drzwi i poszedłem do kuchni.

Annelise siedziała sztywno, w napięciu. Trzymała puszkę forsta w ręku.

Nie podobało mi się jej spojrzenie. Zawsze też złościło mnie, że wypija piwo duszkiem.

– Musimy porozmawiać – powiedziała.

Wiedziałem, o czym, i wiedziałem, co z tego wyniknie.

Nie będzie happy endu.

Ująłem ją za rękę i zwierzyłem się ze wszystkiego.

– Wiem, co mi chcesz powiedzieć. Ale nie mów. Daj mi jeszcze miesiąc. Jeżeli za miesiąc zechcesz mi powiedzieć to samo, co chcesz powiedzieć teraz, wysłucham cię uważnie. Wezmę sobie to do serca. Ale za miesiąc. Tylko tyle. Zrób to dla mnie.

Annelise przyciągnęła sobie pasemko włosów do ust.

– Miesiąc.

– Tylko tyle. A potem, jeśli zechcesz... – Nie miałem odwagi kończyć

zdania.

– Dla Clary. Zrobię to dla Clary. – Wstała. – Ale będziesz spał w gabinecie. Ja... – głos się jej załamał – nie czuję się na siłach.

### 3

Dwójka spiskowców poczyniała sobie bardzo sprytnie. Ani Annelise, ani ja do ostatniej chwili nie połapaliśmy się w niczym.

O wpół do siódmej przyjechał Werner, przywitał się z nami, nic nam nie wyjaśniał, przywiózł jakieś produkty do kuchni i zamknął się w niej z Clarą. Annelise oglądała coś w telewizji, a ja poszedłem do swojej nory, do tego małego gabinetu, gdzie przesiadywałem całymi godzinami, patrząc w sufit albo czytając.

Trudna sprawa. Umysł kluczył, jak umiał. Czułem się jak linoskoczek. Pode mną otwierała się przepaść, prawdziwa samotność. Werner dobrze to wyczuwał: cisza źle na nas wpływa. Nie chciałem spędzić reszty życia, leżąc na łóżku (jak w tej chwili), i słuchać nikłych odgłosów domu, w którym nie ma zwykłego życia.

Od jak dawna nie widziałem, żeby Annelise się śmiała? Od niepamiętnych czasów.

Zatopiłem się w takich posepnych myślach i nie czułem, że czas mija. Około ósmej ktoś zapukał do drzwi. Clara. Miała na sobie świąteczną sukienkę w jaskrawoczerwonym kolorze, a na głowie opaskę przytrzymującą włosy. Zauważyłem, że zrobiła sobie lekki makijaż oczu. Zaskakująca mieszanina czegoś śmiesznego z czymś urzekającym.

- Cześć, malutka.
- Panie Salinger – wygłosiła z przejęciem. – Podano do stołu.
- Słucham? – Otworzyłem szeroko oczy.
- Kolacja – wyjaśniła zniecierpliwiona – jest już podana, panie Salinger.
- Kolacja... – powtórzyłem, całkiem zagubiony.
- Ale proszę włożyć krawat.
- Nie mam krawata, skarbie. I nie rozumiem, o co chodzi...

Clara podeszła do mnie szybko, miałem ją dziesięć centymetrów przed sobą. A ponieważ siedziałem, mieliśmy oczy na tej samej wysokości. Spostrzegłem w niej zdecydowanie, które mogła odziedziczyć tylko po jednej osobie. Po Annelise. Podparła się pod boki. Umiała to robić z niezwykłym wdziękiem.

- Masz krawat, tato. Daję ci pięć minut. Pospiesz się.

I wyszła majestatycznym krokiem.

Krawat się znalazł.

Kiedy zszedłem na dół, zobaczyłem, że Werner urządził wykwintne przyjęcie. Na środku salonu nie było mojego ulubionego fotela, tylko stół nakryty dla dwóch osób. Śnieżnobiały obrus, doskonałe wino (popatrzyłem na etykietę: Krafuss 2008; musiało kosztować majątek), świeca rzucająca jasne lśnienia w półmrok salonu.

Przy stole już siedziała Annelise.

Zamurowało mnie. Annelise była naprawdę prześliczna.

Włożyła czarną wieczorową suknię, która przypomniała mi premierę *Road Crew* i cały tamten wieczór, który Annelise uznała za swój „debiut w wielkim świecie” (kiedy weszliśmy do sali kinowej na Broadwayu, wszyscy, nawet Mister Smith, wstrzymali oddech, a przerażona Annelise szeptała mi do ucha: „Nie zostawiaj mnie samej. Nie zostawiaj mnie samej, *nie waź się* zostawić mnie samej”). Sznur pereł podkreślał urodę smukłej szyi, włosy miała upięte w nienaganny kok.

Teraz wstała i musnęła ustami mój policzek.

– Ciebie także zaskoczyli?

– Całkowicie – odpowiedziałem, wciąż w nią wpatrzony.

Fascynowała mnie.

Mój Boże, jak bardzo mi jej brakuje.

– Proszę państwa...

Tak zaczął Werner. Miał na głowie kucharską czapkę, ogolił się i wyglądał w zabawnym fartuszkach jak skrzyżowanie francuskiego szefa kuchni z niedźwiedziem polarnym. Roześmiałem się.

Wenera wcale to nie spieszyło.

– Kolacja – oznajmił.

Kotleciki jagnięce, ziemniaki ze śmietaną i szczypiorkiem, deska serów i wędlin zdumiewająco obfita, knedle z masłem i mnóstwo innych kulinarnych cudów. A wino godne tej ceny, którą Werner musiał za nie zapłacić.

Trudno było przełamać lody. Jakbyśmy się umówili z Annelise na pierwszą randkę i jakby to w dodatku była randka w ciemno. Mało brakowało, a byłbym ją spytał: „A czym ty się zajmujesz?”

Z wolna się rozluźnialiśmy. Mówiliśmy o Clarze, bo to ona nas najmocniej łączyła. Mówiliśmy o pogodzie, bo o niej zawsze rozmawiają dorośli ludzie w zachodnim świecie. Rozpływaliśmy się nad daniami, które Clara nam przynosiła ze ściereczką przewieszoną przez rękę i w tej swojej ślicznej

czerwonej sukience (patrzyłem na to z przejęciem: „Żebyś tylko tego nie upuściła, żebyś tylko tego nie upuściła”).

Dopiero przy trzecim kieliszku zorientowałem się, dlaczego urządzono nam taki wieczór.

– Dzisiaj jest...

– Nic nie rozumiałeś?

Pokręciłem głową.

– Tak bywa. Pewnie o czymś zapomniałem.

Czternasty lutego.

Na deser Werner przygotował kasztany z bitą śmietaną.

I jako szef kuchni osobiście nam je podał.

– Tato? – zaczęła Annelise.

– *Madame*? Jakieś niedopatrzenia w naszej usłudze?

– Kolacja udała się wspaniale. Ale nie miałam pojęcia, że jesteś tak wytrawnym kucharzem. Gdzie się tego nauczyłeś?

– Szef kuchni nigdy nie ujawnia swoich sekretów.

– Ty nie jesteś szefem kuchni, tylko tatą. Nie wykręcaj się.

– Ujmijmy tę sprawę tak: kiedy stary góral napotyka na swojej drodze tego obrzydliwego potwora, którego wy, młodzi z miasta, nazywacie „czasem wolnym”, to albo wyszukuje sobie jakieś zajęcie, albo kończy w domu wariatów.

Niezapomniany wieczór.

Szef kuchni zadebiutował także jako baby-sitter i kiedy my z Annelise jeszcze sączyliśmy likier ziołowy, a ja pozwoliłem sobie na papierosa, Werner położył Clarę do łóżka.

I pożegnał się z nami.

Zostaliśmy we dwoje. Podziwiałem w milczeniu łagodny zarys odsłoniętych pleców Annelise i nic a nic nie ciążyła mi cisza, przeciwnie – cieszyła mnie.

Przez chwilę czułem się bliski szczęścia.

Annelise wstała i pocałowała mnie delikatnie w policzek.

Poszła schodami na piętro, usłyszałem, jak wchodzi do naszej sypialni i zamyka za sobą drzwi.

Nie oczekiwałem niczego innego, mimo to poczułem ukłucie w sercu.

A przecież nie było nawet śladu sarkazmu w moich słowach, kiedy unosząc kieliszek, powiedziałem:

– Za szczęśliwe walentynki, kochana.

Widziałem, że Clara zdrowieje z dnia na dzień. Żeby to dostrzec, nie musiałem mieć potwierdzenia od żadnego lekarza, choć oczywiście woziliśmy ją regularnie do szpitala na kontrole. Nie miała już podkrążonych oczu i trochę przybrała na wadze, odzyskując to, co straciła w chorobie.

Wychodziliśmy znowu na spacer. Nie można było jeszcze wybrać się w góry, ale Werner nauczył nas chodzić po śniegu z raketami na butach i spędzaliśmy radośnie wiele czasu w lasach wokół Siebenhoch. Brnęliśmy przez śnieg, rozmawialiśmy, obserwowaliśmy ptaki skaczące z gałęzi na gałąź, rozglądaliśmy się za dziuplami wiewiórek (na żadną nie natrafiliśmy, ale Clara zapewniała mnie, że widziała domek gnoma). Pilnowałem, żeby się nie przemęczała, bo niespodziewanie odkryłem, że jestem bardzo troskliwym ojcem. Niepokołem się, że Clara może się potknąć albo spocić, albo zasapać. A jej moje przewrażliwienie bardzo się spodobało, chociaż kiedy przesadzałem, patrzyła na mnie surowo z ukosa, a ja zaraz wyrzucałem sobie, że zrobiłem się chyba gorszy od mojej *Mutti* nadmiernie wyczulonej na przeciągi.

W kontaktach z Annelise nic się nie poprawiło. Byliśmy osobami cywilizowanymi; nie pozwalaliśmy sobie na wrzaski i rzucanie talerzami, jednak za dużo było między nami milczenia i wymuszonych uśmiechów. Czasami spostrzegałem, że Annelise mi się przypatruje, i nie mogłem pozbyć się niepokoju. Zdawałem sobie sprawę, co przy tym myśli:

Czy coś czuję do tego człowieka?

Potrafię mu wybaczyć?

Jeszcze go kocham?

Chciałbym ją objąć i wołać: To ja! To ja! Nie możesz ode mnie odejść, bo to jestem ja i jeśli się rozstaniemy, już nigdy w życiu żadne z nas nie będzie szczęśliwe! Nie mówiłem nic. Nie byłoby to zachowanie godne Salingerów. Ani Mairów. Więc albo udawałem, że tych znamiennych spojrzeń Annelise nie dostrzegam, albo podnosiłem rękę i dawałem znak, że ją pozdrawiam. Ona zazwyczaj nagle się ożywiała, czerwieniła i z zakłopotaniem odwzajemniała moje pozdrowienie.

Dobre i to, myślałem. Dobre i to.

Cały czas próbowałem jakoś delikatnie naprawiać to nasze położenie, ale co wieczór, kiedy szedłem osobno spać i zostawałem sam na sam ze swoimi myślami, zamęczałem się wspomnianiem różnych drobnych gestów, które w ciągu dnia mi się przydarzały, i wciąż sobie coś wyrzucałem. Może powinienem przynieść jej kwiaty, i to nie jakiś bukiet róż, tylko bukietek stokrotek? Albo zaprosić ją na kolację do restauracji? Ale nie umiałem

wyczuć, jak odczytałaby takie zachowanie.

Po długim przewracaniu się w pościeli zapadałem w niespokojny sen.

Pojawiały się koszmary?

I to jakie. Ciągle.

Jednak Bestia nie dawała o sobie znać. Przeważnie śniło mi się, że krążę po naszym mieszkaniu w Siebenhoch, a mieszkanie jest puste, bez mebli, głucho, niezdolne do wydania żadnego odgłosu. Śniła mi się cisza.

## 5

– Tato!

Clara była w ogrodzie. Miała zaróżowione policzki i rozpiętą kurtkę. Uśmiechała się.

– Chodź tu, tato! Już ciepło! Wiatr jest ciepły!

Podszedłem do niej z uśmiechem.

– To fen, malutka.

– Taki fen jak do włosów?

Powietrze owiewało łagodnie twarz. Sprawiało przyjemność.

– Trochę taki. Ale ten wiatr był tu już od dawien dawna, a suszarkę do włosów wynaleziono niedawno.

– Dziwny wiatr, wesoły.

– Ale musisz na niego uważać.

– Dlaczego?

– Wiesz, jak ten wiatr nazywali dawniej górale w Alpach?

– Jak?

– Diabelski.

Clara odwróciła się w moją stronę.

– Tak brzydko?

– Dlatego tak brzydko, że takiego dnia jak dziś łatwo się przeziębic – powiedziałem, zapinając jej kurtkę.

Mało kiedy słowa okazują się tak prorocze. Nie minęło pół dnia, a Clara zrobiła się milkliwa i senna. Nie trzeba było studiów medycznych, żeby zrozumieć, co się dzieje.

– Gorączka. Stało się – powiedziałem po zmierzeniu jej temperatury. – Trzydzieści osiem i pół.

Grypa trwała pięć dni. Potem gorączka spadła i Clara zaczęła nabierać normalnych kolorów. Nie odważałem się jednak wychodzić z nią do ogrodu, chociaż mruczała na mnie niezadowolona.



Skończył się luty.

Pierwszego dnia marca uznałem, że najwyższy czas zrobić to, co postanowiłem. Jedni mówią, że chłopak staje się mężczyzną, kiedy pochowa swoich rodziców, inni – że kiedy sam zostaje ojcem. Żadna z tych opinii mnie nie przekonuje.

Stajesz się dorosły, kiedy nauczysz się przeproszać.

## 6

Dom Kagola był piękny, ale nie przyjechałem tutaj, żeby go podziwiać.

Stałem przed drzwiami wejściowymi, zbierając w sobie całą niezbędną odwagę, żeby wypowiedzieć te jedenaście liter najtrudniejszego na świecie słowa: „przepraszam”.

Bardzo chciałem go przeprosić; ta potrzeba nie dawała mi spokoju, głównie dlatego, że musiałem odzyskać szacunek do siebie. Nie zapomniałem, co się wtedy stało.

Wciąż widywałem Brigitte.

Widywałem Maksa, który mnie zapewniał: „Zabiła się sama, Salinger”.

Widywałem Manfreda rzucającego we mnie banknotami.

A ja wykrzykiwałem do niego, że zamordował Brigitte.

Musiałem przeprosić Manfreda. Zdawało mi się, że bez tych przeprosin nie odzyskam Annelise. Jeżeli nasze małżeństwo, teraz nietrwale jak te bałwany ze śniegu, które lepiła Clara, miało się pozbierać, musiałem przede wszystkim odnaleźć drogę do samego siebie. Nie do tego Salingera, który wykorzystał nałóg Brigitte, żeby nakłonić ją do wyznań, ale do tego, który już robił, co mógł, żeby okazać się najlepszym mężem świata.

Wziąłem głęboki oddech.

Zadzwoiłem.

Nie otworzyła mi gosposia, tylko Verena, żona Maksa. Kiedy mnie zobaczyła, od razu chciała zatrzaskać drzwi, ale jej to uniemożliwiłem.

– Czego tu szukasz, Salinger? – spytała.

– Chcę się zobaczyć z Manfredem.

Verena potrząsnęła głową.

– Nie możesz. Rozchorował się.

– Przyszedłem go przeprosić.

– Powiem ci bez ogródek: nie teraz.

– A kiedy?

Verena długo wpatrywała się we mnie tymi swoimi wielkimi dziecinnymi

oczami.

– Nigdy, Salinger.

I znowu chciała zatrzasnąć drzwi. I znowu jej to uniemożliwiłem.

– Salinger! – zawołała zdumiona moim uporem.

– Co mu jest?

– To nie twoja sprawa.

– Chcę go tylko przeprosić za moje zachowanie.

– Piękny gest – prychnęła, patrząc na mnie ze złością. – Tylko przeprosiny, co? Ty, Salinger, ciągle kłamiesz.

– Ja...

– Ani słowa o masakrze w Bletterbach, co? Obiecałeś mi, że nie będziesz o tym rozmawiał z Makssem, a rozmawiałeś. Zawłókł cię do domu Krünów, prawda?

– Tak – przyznałem. – Sam chciałem tam zawieźć, a ja...

– I pewnie założył ci kajdanki, więc musiałeś.

– Ja...

– Tylko tyle umiesz, Salinger. Ja. Ja. Ja. A *my*? Nie pomyślałeś o nas? Wiesz, jak odkryłam, że Maks zawiózł cię do tej przeklętej dziury? Źle się poczuł. Stał się zaczepny i milkliwy.

Umilkła, westchnęła. Jej zastygłej złości można było wręcz dotknąć.

– Czasem wraca późno w nocy i czuć od niego alkohol, a już od dawna nie zdarzało się nic takiego. Cieszy cię to, Salinger?

Stałem ze spuszczoną głową, nie odzywałem się.

Złość Vereny ujawniła mi, jak żalosne i zbędne są moje starania, żeby obwinić się przed Manfredem. Pewnych rzeczy nie da się skleić. Jeżeli ludzie ci je wybaczą, to dopiero po latach. A nie po kilku tygodniach.

Byłem idiotą.

– Daj temu spokój, Salinger. Bletterbach to tylko cmentarz potworów.

– Właśnie chcę dać temu spokój.

– To zabieraj się stąd. – Oczy Vereny lśniły jak u inkwizytora. – Zabieraj się z Siebenhoch i już tu nie wracaj. Ni-gdy nie wra-caj – wyskandowała.

Chciała jeszcze coś dorzucić. Nową porcję jadu na pewno, ale z głębi mieszkania dobiegł barytonowy głos Manfreda:

– W porządku, pani Krün.

Verena odwróciła się spłoszona i zakłopotana.

Nie mniej niż ja.

– Dlaczego pan wstał, panie Kagol?

– W porządku, Vereno. Może pani już iść do domu.

– Pan powinien wypoczywać, dobrze pan o tym wie.  
– Będę wypoczywał. Ale teraz zamienię dwa słowa z Salingerem.  
– Nie! – krzyknęła. – Nie godzę się na to.  
– Doceniam pani troskliwość, pani Krün – powiedział Manfred z uśmiechem – ale pani jest moją pielęgniarką, a nie moim lekarzem...  
– Uważaj – wysyczała Verena, patrząc na mnie z wściekłością.  
Pożegnała się z Manfredem, obeszła mnie i zniknęła za rogiem ulicy.  
Manfred dał mi znak, żebym wszedł. Poszedłem za nim, a oba dobermany nie spuszczały ze mnie wzroku. Nie spytał, czego się napiję. Powiedział tylko, żebym usiadł.

Zauważyłem, że zgolił wąsy. Miał teraz twarz gołą i wymizerowaną.

– Jak się pan czuje, panie Salinger?

– Przyszedłem do pana, żeby...

– Wiem, po co pan przyszedł.

Odchrząknąłem.

– A pan, panie Manfredzie, jak się czuje?

– Kiedy ktoś godzi się być diabelskim krawcem, to wcześniej czy później czymś za to płaci – powiedział krampusmeister. – Jakiś kłopot z sercem. Nic poważnego. Odpoczynek, kilka zastrzyków i jakoś sobie z tym poradzę. A pani Krün jest naprawdę doskonałą pielęgniarką, dzięki niej już czuję się znacznie lepiej. Ostatnie dni były dla nas wszystkich naprawdę stresujące.

– Powiedziałem o panu wiele okropnych rzeczy, panie Manfredzie. Przykro mi.

Nie skomentował moich słów. Pochylił się, żeby pogłaskać łeb jednego z psów.

Podąłem mu kartki z ekspertyzą Evi.

Przejrzał je z powagą.

– Miała przed sobą znakomitą przyszłość. A tutaj miała rację, co zaraz wyszło na jaw. Firma z Trydentu musiała się poddać. Myśleli po staroświecku, zdawało się im, że cegła i zbrojony beton nigdy nie wyjdą z mody. A cegła i zbrojony beton trochę ważą. I to nie tylko dosłownie, ale też w przenośni. Szkło, stal, aluminium, drewno... na nie trzeba było stawiać, myśląc o przyszłości. I ja już wtedy o tym wiedziałem.

Przypomniał mi się budynek Centrum Turystycznego, jego nowoczesny, lekki kształt.

– Kiedy usłyszałem, że inni mają zakusy na Bletterbach, nie mogłem tego przeboleć. A właśnie miałem puste konto, da pan wiarę? Za wiele rozkręciłem budów, wpływy były jeszcze marne. Wkrótce coś miało wpłynąć, ale na razie

nie mogłem skorzystać z tej okazji. Gdybym stanął przy szosie i sprzedawał gorące kasztany, miałbym dzienny utarg większy niż suma na koncie. Byłem przybity, nie mogłem pogodzić się z myślą, że przepadają mi tak wielkie nadzieje.

Potrząsnął głową.

– Wtedy przyszła mi na myśl Evi. Była inteligentna, błyskotliwa. I ambitna. A przy tym cieszyła się w Siebenhoch szacunkiem. Wszyscy wiedzieli o jej matce i o tym, że sama wychowała Markusa. Nie ubiegałem się o spotkanie z nią. Gdybym rozmówił się z nią osobiście, pewnie uznałaby, że powinna mi odmówić. Ale postarałem się, żeby dotarły do niej wieści w tej sprawie. Mówiono jej z prawa i lewa, że ktoś chce wybudować centrum turystyczne w wąwozie Bletterbach i że już przygotował bardzo inwazyjny projekt w starym stylu.

Manfred pstryknął palcami.

– Sporządziła swoją opinię bardzo szybko. Znała na pamięć każdy kamień w wąwozie. Firmie z Trydentu świat się zawalił. Odwoływali się w sądzie, ale odwołania, jak wiadomo, wloką się całymi latami. Na tyle długo, żeby firma Kagol EdilBau zdążyła już spłacić zadłużenie, odzyskać płynność finansową i przedstawić projekt znacznie stosowniejszy.

– Szkło, aluminium i drewno.

– Otóż to.

– Jednak...

– Mnie wtedy także taki domysł przychodził do głowy. Ci z Trydentu tak tego nie zostawiają, mówiłem sobie. Ale czy mogą być aż tak rozjuszeni, że gotowi są zabić Evi? Pan, panie Salinger, szedł moim tropem.

– Nie tyle pańskim, panie Manfredzie. To był trop Günthera.

Manfred przymknął oczy. Westchnął.

– Zrozumiałem to, kiedy już było za późno. Günther nigdy o tym ze mną nie rozmawiał. Wykrył tę ekspertyzę i wbił sobie do głowy, że skoro tak, to na pewno ja jestem mordercą. Ja, jego brat, niech pan pomyśli. Gdyby coś mi o tym wspomniał... – Manfred potrząsnął głową. – Zostawmy zmarłych w spokoju. Im jest lepiej niż nam.

– Czasem i ja tak myślę.

Umilkliśmy. Słyszeć było tylko oddechy dwu dobermanów i powiewy fenu szarpiące okiennicami.

– Nazwałem pana mordercą, panie Manfredzie. Przykro mi, naprawdę. Nie powinienem był...

– Woda płynie, a czas biegnie, Salinger. Było, minęło. Ja zresztą tym

samym wyzwiskiem obrzuciłem pana.

– I miał pan rację. Jestem mordercą.

– Nikogo pan nie zabił.

– Rozmawiałem z Brigitte o ekspertyzie. Powiedziałem jej, że Günther pewnie myślał źle o panu i że...

Wyrwał mi się szloch, nie mogłem go powstrzymać. Miałem w pamięci zrozpaczoną twarz Brigitte, kiedy mnie wyrzucała z domu. Taką twarz może mieć tylko ktoś, kto stracił wszystko.

– Brigitte powtórzyła mi to, co sobie powiedzieliście, panie Salinger. Nie ukrywam, że miałem pana na oku już od jakiegoś czasu. Zrozumiałem, że w istocie chciałby pan wykryć tajemnicę zabójstwa w Bletterbach. Wiedziałem, że wcześniej czy później zechce pan z nią o tym rozmawiać. Wiedziałem, że wcześniej czy później wyjdzie na wierzch kwestia ekspertyzy Evi. Dla mnie ta sprawa była już zamknięta. Pewnie widział mnie pan wtedy z rana, kiedy wychodziłem z domu Brigitte. A na pewno ja widziałem pana, panie Salinger. Miał pan to wypisane na twarzy. Odkrył pan ekspertyzę i pogubił się pan. Chciałem wobec tego zrobić z tym porządek.

Zapamiętałem czarnego mercedesa.

– Mógł pan już dawno pozbyć się tej nieszczęsnej ekspertyzy – powiedziałem z niedowierzaniem. – Dlaczego ukrył ją pan w pozytywce na tyle lat?

Manfred podniósł wzrok do sufitu, jakby w stronę pokoju Günthera.

– Myślałem, że tam jest bezpieczna. Ale pomyliłem się.

– Kiedy już wyszedłem od Brigitte, pan tam wrócił i wyjaśnił jej, co o tej sprawie myśli.

– Nie, to nie były moje myśli, to była prawda. Opowiedziałem jej o firmie z Trydentu, o kłopotach Kagol EdilBau. I o tym, jak wsączyłem z dala dwa słowa w ucho Evi, żeby rzucić kłodę pod nogi moim konkurentom. Nie chciałem, żeby Brigitte miała o tej sprawie fałszywe wyobrażenie. Zanim wyszedłem, powiedziała mi, że już czuje się lepiej.

– Ale nie czuła się lepiej.

– Istotnie, nie czuła się. Teraz to rozumiem, ale proszę mi wierzyć: nikt nie mógł nic zrobić, żeby ją z tego stanu wydostać. Nieszczęsna kobieta już po raz trzeci w ciągu miesiąca próbowała ze sobą skończyć.

– Próbowwała się zabić?

– Tak, ale nie z przyczyny Günthera czy z przyczyny Evi. Chciała ze sobą skończyć, bo siebie nienawidziła, a kiedy człowiek dochodzi do tego, że nienawidzi siebie aż tak bardzo, że nie chce żyć...

W połowie marca usiadłem z Annelise i powiedziałem:

– Chciałbym wrócić do Nowego Jorku. Tutaj oddaliśmy się od siebie. Nie chcę cię stracić. Za żadne skarby świata.

Objęliśmy się i czułem, że coś ze mnie na dobre się ulatnia.

Tej nocy Annelise zostawiła drzwi do sypialni uchylone.

Kochaliśmy się. Trochę nieporadnie, jakbyśmy się bali, że możemy się nawzajem skrzywdzić. Potem leżeliśmy i wsłuchiwalismy się w swoje coraz cichsze oddechy.

Usnąłem, łudząc się, że wszystkie przykrości mam za sobą.

# *Heart-Shaped Box*

## 1

Werner był na piętrze swego domu w Welshboden, leżał na podłodze na plecach. Pusty wzrok, jedna ręka na piersiach, druga nienaturalnie wygięta za plecami. Nie ruszał się.

## 2

Zastałem drzwi otwarte, wszedłem i wołałem go głośno po imieniu, ale się nie odzywał. Nie zaniepokoiło mnie to. Pomyślałem, że tak jak postanowił, robi właśnie porządek na strychu. Więc wszedłem na górę.

Annelise prosiła, żebym do niego zajrzał i zorientował się, co się z nim dzieje. Od dwóch dni tylko telefonował, ale nie pokazał się u nas. Mówił, że zabrał się do porządkowania strychu i że bardzo boli go głowa. To nic poważnego, powtarzał, ale nie czuł się na siłach ruszać z domu. Może zaczyna się grypa, nie chciałby nas pozarażać.

Zgrzewka sześciu piw, którą przywiozłem ze sobą, wypadła mi z rąk. Szukałem po kieszeniach komórki, chciałem wezwać pomoc, karetkę pogotowia albo lekarza.

– Wernerze...

Położyłem mu rękę na szyi.

Serce biło. Oczy ożyły, popatrzył na mnie.

– Niedobrze – wymamrotał.

Kręgosłup.

– Źle, Wernerze – powiedziałem, znajdując wreszcie komórkę. – Musisz iść do szpitala.

Pokręcił głową. Mówienie przychodziło mu z trudem.

– Nie trzeba karetki – wymamrotał. – Ty mnie zawieziesz.

– Spadłeś?

– To nic, poradzę sobie. Tylko musisz mi pomóc.

– Jak długo tu leżysz?

– Od kilku minut. Nie przejmuj się.

Próbował sam wstać. Jęknął.

Pomogłem mu.

Jakbym dźwigał wielki ciężar.

Zeszliśmy schodami na parter. Włożyłem na niego kurtkę, a potem musiałem go położyć na tylnym siedzeniu w aucie. Nie był w stanie usiąść. Miał czerwoną twarz, nabrzmiąle żyły. Bałem się, że to zawał.

– Dam znać Annelise.

Podniósł rękę.

– Później.

Nie tyle ruszyłem, ile wystartowałem jak samolot w kierunku Bolzano. Ostatnio zrobiło się cieplej, z szosy zniknęła warstwa lodu, jechało się gładko jak po stole.

Na pogotowiu pomogli mi pielęgniarze. Werner nie chciał usiąść na wózku inwalidzkim, ale kiedy weszliśmy do środka, zakreśliło mu się mocno w głowie, więc położyli go na noszach. I zanieśli na badanie.

Czekałem na niego w poczekalni, gdzie ludzie przychodzili i wychodzili niemal tak rytmicznie jak skurcze i rozkurcze serca. Nie odstępowała mnie myśl, że mam obowiązek zawiadomić Annelise. Kilka razy już sięgałem po komórkę. Ale co miałbym jej do powiedzenia? Że Werner upadł, bo mimo bolącego kręgosłupa chciał koniecznie uporządkować swój nieszczęsny strych? A co o jego obecnym stanie? Jak miałbym ten stan określić? Nie miałem pojęcia. Postanowiłem, że zadzwonię do niej dopiero wtedy, kiedy będzie więcej wiadomo.

Miałem nadzieję, że przekażę jej jakieś pocieszające wiadomości.

### 3

– Tato?

Właśnie zacząłem czytać Clarze jej ulubioną bajkę (o Tomciu Paluchu), kiedy córeczka nagle spoważniała i przerwała mi. Zamknąłem książkę i położyłem na szafce.

– Dlaczego mama płakała?

– Mama nie płakała. Była tylko trochę smutna.

– Ale miała zaczerwienione oczy.

– Martwi się o dziadka.

Clara zmarszczyła czoło.

– Co się stało dziadkowi? Dlaczego był w szpitalu?

– Dziadek upadł. Bolą go trochę plecy i nic więcej.

– I mamie dlatego smutno?

– Dlatego.



– Ale ty jej wytłumaczyłeś, że dziadka tylko trochę bolą plecy?

Uśmiechnąłem się mimo woli. Clara umiała mi ukazywać świat taki, jakim sama go widziała. Świat czysty, prosty. W którym wszystko znakomicie się udaje.

– Oczywiście. Dziadek też jej o tym mówił.

– Ale ciągle jej smutno, dlaczego tak?

– Bo dziadek jest stary. A starzy ludzie są troszkę słabi. Jak dzieci.

– Przykro być starym, tato?

Trudno na takie pytanie odpowiedzieć. Zwłaszcza kiedy zadaje je dziecko, które wprawdzie jest bardzo dojrzałe jak na swój wiek, ale jednak ma tylko pięć lat.

– To zależy od tego, kogo masz na starość przy sobie. Jeżeli ktoś jest sam, to mu przykro, ale jeżeli ma dzieci i takie wspaniałe wnuczki jak ty, to nie jest najgorzej.

– A ty boisz się, że będziesz stary?

I to pytanie mnie zdumiało. Odpowiedziałem szczerze:

– Boję się.

– Ale ja wtedy będę z tobą, tato.

– No to boję się trochę mniej.

– Ja też się bałam, wiesz?

– Kiedy, malutka?

– W śniegu – odpowiedziała, a w jej oczach dostrzegłem lęk, jakby przeżywała na nowo tamte chwile. – Śnieg zakrył mi głowę. Było bardzo ciemno. Nie wiedziałam, co jest na górze, a co na dole. I głowa bardzo mnie bolała.

Nic na to nie powiedziałem.

Serce mi podeszło do gardła.

Głaskałem ją długo po włosach i zdawało mi się, że usnęła. Ale kiedy już miałem wyjść na palcach z jej sypialni, zatrzymała mnie.

– Tato – rzuciła, otwierając oczy. – A ty się bałeś?

Z wysiłkiem zachowałem łagodny ton głosu.

– Strach to coś normalnego, malutka. Wszyscy się boją.

– No tak. Ale kiedy miałeś wypadek. Bałeś się wtedy?

– Bałem się. Bardzo...

– Bałeś się, że umrzesz?

– Bałem się, że stracę was – odpowiedziałem, całując ją w czoło. – Bałem się, że już nigdy was nie zobaczę.

– I też się zezłościłeś?

- Na kogo? – spytałem zaskoczony tym pytaniem.
- Bo ja się zezłościłam.
- Na mnie?
- Na ciebie także. Ale najbardziej na dziadka.

- Na dziadka Wenera? Dlaczego?

Ręka Clary odruchowo sięgnęła do włosów. Owinęła sobie jedno pasemko wokół palca i zaczęła je delikatnie kręcić.

– Jak myślisz, tato, powinnam go przeprosić? On jest teraz chory, to chyba powinnam.

- Nie wiem, co ci powiedzieć, bo nie wiem, o co wam poszło.

– Chciałam pobawić się lalką z takiego pudła w kształcie serca. Lalka jest śliczna.

- Pudło w kształcie serca?

Clara dwa razy kiwnęła głową. Potwierdzała.

- W tym pudle była lalka. Tam, na strychu.

- I dziadek się na ciebie złościł?

Jakby tego nie usłyszała.

– Pudło było wielkie, taaakie. – Pokazała, jak wielkie, rozkładając ręce. – Pełno w nim starych rzeczy. Fotografie, wszystkie brzydkie. Ale lalka śliczna. Brzydkie fotografie.

- Co jest na tych fotografiach?

– To są fotosy z filmu. Film dobry na Halloween – odpowiedziała z poważną miną, a ja patrzyłem na nią zbity z tropu. – Fotografie z filmu o zombi. Wszystkie zombi leżały na ziemi. Może to były połamane zombi, jak myślisz, tato?

– Na pewno – powiedziałem, jednocześnie próbując przełożyć w myślach to, co mówiła Clara, na coś zrozumiałego. – Tak, połamane zombi.

Połamane zombi.

Lalka.

Pudło w kształcie serca.

Zombi.

*Połamane.*

– Dziadek powiedział, że oni mogą mi zrobić krzywdę, a ja mu powiedziałam, że nie powinien trzymać lalki w pudle. On nie jest dzieckiem, a ja jestem. I jeszcze dlatego się zezłościłam, że wszyscy mają mnie za małe dziecko. Ja już nie jestem taka mała.

- I kiedy dziadek zajął się czymś innym, ty wzięłaś sanki.

W oczach Clary pokazały się łzy.

– Wiedziałam, że ty zabroniłeś mi zjeżdżać do lasu, ale chciałam pokazać, że...

– Że jesteś już duża.

– Myślisz, że muszę przeprosić dziadka? Za to, że się zezłościłam?

– Myślę – powiedziałem ochrypłym głosem – że to już nie jest takie ważne.

– Uśmiechnąłem się. – Jestem pewien, że dziadek dawno ci wybaczył.

4

Dlaczego Werner nic mi nie mówił? Dlaczego nie powiedział, że skrzyczał Clare niedługo przed tym, jak wpadła na drzewo? Może w tym zamieszaniu po wypadku nie pamiętał o tym. A może czuł się winny i nie chciał się tym z nikim dzielić. Dobrze umie zachowywać tajemnice nasz Werner, pomyślałem sobie.

Jednak...

Pudło w kształcie serca?

Lalka?

Ale najbardziej mnie intrygowały, i do późnej nocy nie mogłem przez nie zasnąć, te zdjęcia połamanych zombi. Kto inny mógłby to być, jak nie zabici? Jacy zabici? Dobrze wiedziałem jacy.

I było jeszcze coś gorszego. Już nie tylko domysły.

Pewność.

Werner coś przede mną ukrywał.

5

Wieczorem znowu otworzyłem plik.

Uzupełniłem notatki.

Dopiero potem poszedłem spać.

Polowanie rozpoczęło się na nowo.

6

Czekałem na sprzyjającą okazję. Cierpliwie. Nadarzyła się kilka dni później.

Werner miał pojechać do Bolzano na badanie kręgosłupa. Kiedy nam o tym oznajmił, siedzieliśmy razem przy stole. Annelise zaofiarowała się, że z nim pojedzie. Ja zaofiarowałem się, że z nim pojedę. Werner i jej, i mnie podziękował. Powiedział, że nie ma trudności z prowadzeniem auta. A my powiedzieliśmy, że nie jesteśmy jego decyzją zachwyceni. Że jesteśmy temu przeciwni.

Ale tylko Annelise mówiła to szczerze.

Ja wyliczyłem czas co do sekundy. Z szufladki w kuchni wziąłem zapasowe klucze do domu w Welshboden, które Werner przechowywał u nas. Zaczekałem, żeby Clara jak zwykle położyła się zdrzemnąć po obiedzie, i powiedziałem Annelise, że muszę gdzieś wyskoczyć.

O trzeciej wszedłem ukradkiem do domu Wenera.

O trzeciej sześć znalazłem się zdyszany na piętrze.

O trzeciej siedem wspinałem się wąskimi schodkami do wejścia na strych. Parę sekund później wdychałem gęste powietrze pomieszczenia, które długo było zamknięte.

O trzeciej dziesięć zapaliłem małą lampkę zawieszoną na belce. Zacząłem szukać. Chociaż wiedziałem, że w pobliżu nie ma nikogo i że mógłbym nawet rzucić się na strychu do tańca, a i tak nikt by nie usłyszał, poruszałem się jak najciszej.

Dwadzieścia minut później znalazłem pudło w kształcie serca. Podniosłem je do światła.

Na nim, na warstwie kurzu, zobaczyłem świeże odciski palców.

Otworzyłem pudło.

# Osy na strychu

## 1

Kiedy byłem dzieckiem, przeważnie chodziłem z głową w chmurach, zamiast mocno stąpać po ziemi. Ojciec zawsze mi to wyrzucał. Sam był wzorcowym przykładem człowieka mocno stąpającego po ziemi. Miał osiemnaście lat, kiedy wymknął się pisanemu mu losowi.

Od dwu stuleci wszyscy w rodzinie Salingerów rodzili się i umierali w tej samej osadzie w stanie Missisipi liczącej dwa tysiące mieszkańców. Dziadek był chłopem, pradziadek także uprawiał ziemię i tak się cofając, natrafiamy w końcu na tego niezapamiętanego przodka, który miał dość Europy i wsiadł na statek do Nowego Świata.

Jak tamten Salinger sprzed dwu wieków, tak też mój ojciec marzył o lepszym losie. Marzył o lśniącym tysiącem świateł Nowym Jorku. Ale nie przewróciło mu się w głowie. Nie roił sobie, że zostanie brokerem na Wall Street albo aktorem na Broadwayu. Po prostu usłyszał, że w Big Apple ludzie nie mają czasu na przyrządzanie sobie obiadów i kolacji, i przyszło mu do głowy, że najlepszym sposobem, by ziemia Missisipi odkleiła się na dobre od jego chłopskich butów, będzie otwarcie ruchomego kiosku z hamburgerami i wyzbycie się śpiewnego akcentu z Południa.

Minęło trochę czasu i spłynęło trochę potu, w końcu jednak objazdowy kiosk zmienił się w niewielki bar na Brooklynie, w którym wydawało się mało, a jadło dużo. Nie zmienił się tylko ten akcent przywieziony z Południa, przyklejony teraz do butów ortopedycznych, które lekarz zalecił mu nosić w pracy.

W 1972 roku ojciec poznał młodą dziewczynę, która wyemigrowała z Niemiec, moją matkę. Spodobali się sobie, pobrali się i wynajęli mieszkanie w nowojorskiej dzielnicy Red Hook, w którym w 1975 roku urodziłem się ja, pierworodny i jedyny syn Salingerów.

Sąsiedzi czasami ze mnie kpili. Powtarzali mi, że mój ojciec to *redneck*, prostak z Południa, ale się tym nie przejmowałem. W naszym kraju piękne jest to, że tak czy inaczej wszyscy jesteśmy dziećmi lub wnukami emigrantów. Bar stał się dla mnie małym przyjaznym światem, który wymuszał na ojcu i matce pracę po czternaście godzin na dobę, a ja dzięki temu miałem szmat czasu, żeby zatracać się w fantazjowaniu. Przede

wszystkim w czytaniu książek i włóczeniu się po okolicy.

Red Hook w tamtym czasie było dzielnicą podejrzaną, strumieniami płynęła w niej heroina i cały czas szerzyła się brutalna przemoc, tak że w nocy nawet patrole policji bały się zapuszczać w okolice portu. Szczupły chłopaczek łatwo mógł wpaść w oko narkomanom czy innym wykolejeńcom.

Moja *Mutti* (ona także nigdy nie wyzbyła się swojego niemieckiego akcentu, czym wciąż się zamartwiała) prosiła mnie, żebym nie wałęsał się po zakazanych zakątkach naszej dzielnicy. Mogę przecież siedzieć w domu przed telewizorem jak wszyscy porządni chłopcy w moim wieku. Ale zaraz całowała mnie w głowę i pędziła do pracy.

Cóż innego mogła zrobić?

Lecz ja zachowywałem się ostrożnie, nie byłem nierozsądny. Interesowałem mnie świat, ale naprawdę nie byłem głupi. W żadnym razie. Czytałem mnóstwo książek. Nie mogło mi się przydarzyć nic złego. Wierzyłem, że gdzieś tam w niebie żyje sobie bóstwo, które chroni miłośników książek od podłości ziemskiego świata. Matka była protestantką z ciągotami do marksizmu, jak lubiła podkreślać, a ojciec baptystą z jedną jedyną ciągotą: żeby-tylko-nie-plątał-mi-się-pod-nogami-jakiś-klecha. Sąsiedzi byli luteranami, hinduistami, muzułmanami, buddystami, zdarzali się także katolicy.

Moje poglądy na niebo były niejasne i demokratyczne. A ponieważ czułem na sobie oko boga miłośników książek, bez przerwy szczerze zapewniałem *Mutti*, że nie może mi się nic stać. I kiedy widziałem przez okno, że *Mutti* wychodzi z bramy naszej kamienicy z czerwonej cegły, w której mnie zostawiała, wymykałem się i zaczynałem ulubioną włóczęgę. „Ten chłopiec niszczy więcej butów niż cała drużyna maratończyków”, burczał ojciec, kiedy matka oznajmiała mu, że czas mi kupić nowe, pokazując, jak marnie wygląda para ostatnio kupionych all starów. Fanatycznie przepadałem za all starami.

Bardzo lubiłem te moje wycieczki. Pociągały mnie zwłaszcza stare kąty Red Hook: port, magazyny zbożowe, Sigourney Street, Halleck Street i Columbia z patrzącymi spode łba Portorykańczykami, ten świątek kończący się w oceanie jak zakręcony ogon skorpiona. Albo, co nie powinno dziwić, jak statek kapitana Haka z *Piotrusia Pana*. Plątanie się po takich zakątkach syciło wyobraźnię. Każdy zaułek był zagadką, każdy budynek przygodą. Wszystko to jaśniało migotliwie w mojej głowie jak na filmie.

Niczego się nie bałem, bo miałem zapewnioną opiekę boga miłośników książek, co uznawałem za pewne. A to było niepewne.

Miałem dziesięć lat, najlepszy wiek, by cieszyć się wolnością i zarazem nie

zdawać sobie sprawy, jakie to trudne. Łagodne powiewy znad oceanu oczyściły tamtego dnia powietrze ze smogu, a ja właśnie kręciłem się w pobliżu Prospect Park i cieszyłem, że słońce już mocniej grzeje. Usiadłem na ławce z burrito w jednej ręce i zimną colą w drugiej. Byłem królem, dopóki nie usłyszałem jakiegoś osobliwego dźwięku. Brzęczenia. Niskiego i głębokiego.

Popatrzyłem w górę.

Nie zobaczyłem żadnego bóstwa, które rozkoszowałoby się czytaniem jakiejś powieści w gałęziach klonu nade mną. Nie zobaczyłem nawet wiosennego błękitu, zobaczyłem rój. Brzydki, opasły, z naroślami jak ziemniak. I setki os, które brzęczały i mi się przypatrywały. Kiedy jedna odłączyła się od tej nieforemnej masy przypominającej owoc z papier mâché (takie skojarzenie od razu przyszło mi do głowy, kiedy zobaczyłem ten brzęczący kłęb) i usiadła mi na rękę, żeby ssać resztki tłuszczu z burrito, bardzo się przeraziłem. Bo ta ruchliwa rzecz ujawniła mi, że rzeczywistość bierze górę. Jest prawdziwa i zła. Miała mi to swoje zło szybko wyrzucić.

Okropne zło.

Co począć?

Byłem głupi, bo zamiast jej pozwolić, byssała tłuszcz z mojej ręki, i trzymać nerwy na wodzy, czekając, aż skończy posiłek, a potem po prostu uciec, natychmiast rzuciłem się na trawę i zacząłem trzepać ręką. Użądliły mnie trzy. Dwie w rękę, jedna w szyję. Szyja wkrótce tak mi spuchła, że *Mutti* chciała mnie zawieźć na pogotowie. Nie doszło do tego, jednak od tamtego dnia straciłem wiarę w boga miłośników książek. Zacząłem się natomiast bać każdego owada, który się do mnie zbliżał. A pamięć o nienawistnym spojrzeniu wszystkich tamtych os wracała do mnie zawsze, gdy tylko uprzytamniałem sobie, że właśnie popełniam głupią nieostrożność.

Taką jak tamtego marcowego dnia.

Dlatego kiedy otwierałem pudło w kształcie serca, przypomniały mi się osy.

## 2

Odchyliłem się do tyłu i krzyknąłem.

Tutaj nie było os. Była tylko warstwa kurzu i pożółkłe fotografie. Fotografie połamanych zombi. Tymi zombi byli Markus, Evi i Kurt.

Połamane zombi z Bletterbach.

Czysta zgroza.

Te fotografie zostały z pewnością zrobione przez policję podczas oględzin miejsca zbrodni. Przypuszczalnie Werner je sobie przywłaszczył i nawet Maks pewnie tego nie spostrzegł... A może Maks wiedział więcej? To pytanie przemknęło mi przez głowę i zaraz gdzieś się zapodziało, jakby powtarzało rytm adrenaliny pulsującej w moich żyłach.

Okaleczenia na pierwszym planie. Mięśnie przekrojone jak w rzeźni. Odcięte kończyny leżące w błocie. Te zdjęcia były jak rozpalone żelazo wdzierające się gdzieś w głąb moich wnętrzności. Mimo to nie przestawałem na nie patrzeć.

Ich *twarze*.

Twarze, które dotknęły mnie do żywego.

Twarz Markusa poraniona kolczastymi krzewami jeżyn, w które upadł, z długimi głębokimi bruzdami jak od pazurów dzikiego zwierzęcia. Wyraz przerażenia człowieka, który jest świadomy bliskiej śmierci.

Twarz Kurta skurczona w grymasie będącym kwintesencją rozpacz.

Evi.

Ciało bez głowy rzucone na grube, poskręcane korzenie kasztanowca. I ciemne błoto wokół tego kadłuba jak jakaś demoniczna aureola.

– Żegnaj, Evi.

Tak mimowolnie powiedziałem.

– Żal mi ciebie, źle, że cię to spotkało – westchnąłem. – Dotąd ci tego nie powiedziałem, ale żal mi naprawdę.

W pudle w kształcie serca były jeszcze dwa przedmioty.

Lalka. Zszyta ze szmatek, wypchana watą. To o tej lalce mówiła Clara. Takie lalki robi się w domu, wystarczy tylko trochę skrawków materiału i wiele cierpliwości. Nie miała twarzy, może kiedyś ktoś narysował ją pisakiem, ale już całkiem zniknęła. Jasne włosy zaplecione w dwa warkoczyki. Pogłaskałem je. Lalka przypominała mi Clarę.

Zwróciłem uwagę na pewien szczegół. Lalka była wybrudzona. Miała długą suknię tancerki, a na niej biały tyrolski fartuszek. To na tym fartuszkę były plamy. Rozmazane i odrażające. W ciemnym, brunatnym kolorze. Instynktownie rozpoznałem, co to jest. Wypuściłem lalkę.

Upadła i nie rozległ się żaden dźwięk.

Przeszedł mnie dreszcz, poczułem mdłości. Otarłem palce o dzinsy, by wyzbyć się wrażenia, że dotykałem czegoś skażonego. Oddychałem ustami, byłem zdyszany jak zwierzę. Drugiego przedmiotu nie odważyłem się nawet dotknąć.

Siekiera.



Trzonek był złamany, dwie części ktoś związał zetłałym już sznurkiem. Ostrze lśniło w świetle gołej żarówki wiszącej nad moją głową. Zdjąłem koszulę i posłużyłem się nią jak rękawiczką, żeby wyjąć siekierę z pudła. Potem tę koszulę spałę, pomyślałem. Nie mógłbym jej znowu włożyć na siebie, już się jej brzydziłem. Brzydziłem się też myślą, żeby ustalić, skąd wzięły się te plamy na lalce bez twarzy.

Na dnie pudła pod tymi dwoma przedmiotami leżała koperta, kiedyś żółta, teraz w kolorze rybiego brzucha.

Nabrałem głęboko powietrza i ją wyostałem. Potem tylko obracałem ją w palcach niezdolny do wykonania takiej najzwyczajszej czynności jak otwarcie jej, żeby zobaczyć, co jest w środku. Koperta była lekka. Minęła cała wieczność, zanim odważyłem się do niej zajrzeć.

Dwie fotografie, prostokątny kartonik i kartka papieru złożona na czworo. I chyba właśnie wtedy straciłem poczucie czasu.

### 3

Pewnego dnia, gdzieś w początkach naszego związku, ale kiedy już byłem nieprzytomnie zakochany, zawiozłem Annelise do dzielnicy, w której się wychowałem. Zdecydowałem się na to po długim wahaniu i ostatecznie zrobiłem to tylko dlatego, że Annelise wciąż nalegała.

To już nie było Red Hook lat osiemdziesiątych z narkomanami w bramach kamienic i dilerami opartymi o latarnie, z papierosem w ustach, mimo to jednak trochę się wstydzilem tych obłupanych murów i zaśmieconych chodników.

Pokazałem Annelise port, dziewiętnastowieczne magazyny i te nieliczne zachowane bary, do których matka zabraniała mi wchodzić. Postawiłem jej gorącą jak ukrop kawę u Meksykanina, gdzie kupiłem co najmniej połowę moich drugich śniadań w dzieciństwie i mnóstwo kanapek w późniejszym wieku.

Annelise nasza dzielnica ogromnie się podobała. Mniej więcej tak bardzo, jak ona spodobała się mojej *Mutti*, kiedy wieczorem przyprowadziłem ją do nas na kolację.

*Mutti* bardzo się tą wizytą przejęła. Kiedy otworzyła nam drzwi, zauważyłem, że wybrała najlepszą spódnice. A nawet nałożyła makijaż.

Ojciec już nie żył, zmarł nagle, na zawał serca w czasie przygotowywania tych swoich fantastycznych hamburgerów z cebulą, i mama musiała radzić sobie sama z barem i artystycznymi ambicjami kapryśnego syna.

Kiedy zwierzyłem się jej, że mam dziewczynę, z radości nie mogła sobie znaleźć miejsca. Oczywiście chciała o niej wiedzieć wszystko. Oczywiście miałem ją przyprowadzić do domu na kolację. Przedstawić jej. Naprawdę jest taka ładna? Taka wrażliwa? Taka utalentowana? I oczywiście myślała o tej kolacji przez wiele tygodni. Aż wreszcie do niej doszło.

Annelise była uszczęśliwiona, że może rozmawiać z *Mutti* w swoim języku. Cieszyłem się, słysząc, jak matka wybucha przy tym śmiechem, co już od dawna się nie zdarzało.

Poddała Annelise życzliwemu przesłuchaniu.

Urzekają mnie opowieści mojej kochanej Annelise. Krampusy z nahajkami, zaśnieżone szczyty Dolomitów. Przedszkole w Cles, w drewnianym budynku, szkoła z oknami wychodzącymi na morze winnic, lato w Siebenhoch i wyprawy w góry z Wernerem. Decyzja, by wrócić na stałe tam, gdzie rodzice ją wychowywali i gdzie Werner był nie tylko jej ojcem, ale także Wernerem Mairem, wybitną osobą, człowiekiem, który założył Ratownictwo Alpejskie w Dolomitach. Boże Narodzenie w śniegu tak wysokim, że przez cały dzień nie można było wydostać się z domu. Przyjaciółki, z którymi jeździła na zakupy do Bolzano. I wreszcie decyzja, by pojechać na studia do Stanów.

*Mutti* najbardziej fascynowały opisy krajobrazów. Annelise musiała do nich wracać wiele razy, *Mutti* prosiła ją o nowe szczegóły, tak że nawet zaczęło mnie trochę niepokoić to jej naleganie. Może mama była już w wieku, kiedy emigranci marzą o tym, by wrócić do swego kraju i w nim osiąść, chociaż dobrze wiedzą, że tego, do czego chcieliby wrócić, już od dawna nie ma.

Annelise opowiadała o swoich rodzicach, o tym, jak ją rozpieszczali i o nią dbali, bo była jedynaczką niemłodego już małżeństwa, które straciło nadzieję, że będzie mieć dzieci, więc może stąd ta niezwykła troska.

Opowiedziała, jak pewnego dnia ojciec pokłócił się z nauczycielką, że niesprawiedliwie ukarała Annelise. Jego zdaniem córka na żadną karę nie zasłużyła (tymczasem zasłużyła, i to jak, powiedziała moja narzeczona, bo jeżeli coś przykrego wali się komuś na głowę, to jednak nie spada to z nieba, prawda?). Przypomniała też sobie przepisy kulinarne, których nauczyła ją matka.

– Na pewno było ci bardzo miło dorastać w tamtym miasteczku, Annelise?

– Miałam najszcześniejsze dzieciństwo na świecie, pani Salinger.

Czy można temu zaprzeczyć?

Śniegi, łąki. Czyste powietrze. Dwoje kochających rodziców.

Siebenhoch.

Szkoda, że wszystko to było nieprawdziwe.

4

Nie zorientowałem się, kiedy przyjechał, straciłem poczucie czasu i na pewno nie tylko to. Nie słyszałem, jak parkuje samochód w alejce wjazdowej, ani jego kroków na schodach. Nagle poczułem, że jego ręka zaciska się na moim ramieniu.

Krzyknąłem.

– To ty.

Próbowałem wybełkotać coś zrozumiałego. Ale mi się nie udało.

Werner czekał.

Ukląkł, jęknął z bólu i podniósł lalkę. Zdmuchnął z niej kurz i ją pogłaskał. Potem włożył ją z powrotem do pudła w kształcie serca.

Obserwowałem roztrzęsiony jego zachowanie.

Wyjął mi z ręki obie fotografie. Zrobił to delikatnie, nie patrząc mi w oczy, przetarł je brzegiem swetra, który miał na sobie, i włożył do koperty. Dołączył do nich obie poźółkłe kartki, większą i małą. Włożył do pudła w kształcie serca siekierę i jej złamany trzonek. Zamknął pudło, wziął je do rąk i wstał.

– Zgaś światło, kiedy będziesz schodził.

– Gdzie... gdzie idziesz? – spytałem, a po ciele wciąż przebiegały mi dreszcze.

– Do kuchni. Musimy porozmawiać, a tutaj nie jest dobre miejsce.

Zniknął, zostałem sam.

Zszedłem na dół, trzymając się poręczy schodów. Bałem się, że zawiodą mnie nogi.

Zastałem Wenera na jego ulubionym krześle. Zdążył już rozpalić w kominku. Dał mi znak, żebym usiadł. Na stole postawił popielniczkę, dwa kieliszki i butelkę grappy. Tak wyglądała nasza normalność. Gdyby nie to pudło na jego kolanach, może zdawałoby mi się, że wcześniej doznałem halucynacji.

Siekiera. Lalka.

Fotografie...

Moje domysły.

– I to tyle? – spytałem.

Werner był chyba nie mniej zdumiony moją reakcją niż ja jego.

– Siadaj i napij się.

Tak zrobiłem.

– Myślę, że chcesz mi zadać wiele pytań, prawda?

Tym razem byłem zdumiony tonem jego głosu. Werner nie był ani podniecony, ani wystraszony. Był tym normalnym Wernerem, który opowiada mi jakąś dawną historię. Nie wiem, czego oczekiwałem, ale na pewno nie takiej niezmaconej naturalności, nie dwu kieliszków grappy i płonącego kominka.

Werner przypatrywał mi się z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Podsunął mi kieliszek.

– Musisz mi odpowiedzieć na wszystkie pytania, bo inaczej, Bóg mi świadkiem, po wyjściu z twojego domu pójde prosto na policję.

Cofnął rękę, kieliszek został na stole. Pogłaskał pudło.

– To nie takie proste.

– Muszę wiedzieć wszystko.

Werner odchylił się na oparcie krzesła.

– Musisz wiedzieć, że ją kochałem. Oboje ją kochaliśmy.

– Okłamywałeś mnie. To ty jesteś tym przeklętym zabójcą.

Werner odrywał sobie skórę przy paznokciu, pojawiła się kropla krwi. Zaczął ssać palec.

– Kochaliśmy ją, jakby była naszą prawdziwą córką – powiedział po trwającym całe wieki milczeniu.

Wszystko było w kopercie. Fotografia obejmujących się Kurta i Evi. Kurt i Evi pozdrawiający kogoś ręką. Na obu zdjęciach Evi trzymała noworodka.

Dziewczynkę.

Jasnowłosa.

Imię tego noworodka było umieszczone na złożonej na czworo kartce. Annelise Schaltzmann. Świadectwo urodzenia wystawione przez Republikę Austriacką. Córka Evi Tognon, urodzona trzeciego stycznia 1985 roku. Świadectwo urodzenia ujawniające tę niesłychaną rewelację.

– Evi i Kurt mieli córkę.

– Tak.

– Wzięłaś ją do siebie.

– Tak.

– Annelise.

– Tak.

Przeciągnąłem ręką po twarzy. A potem skądś z daleka usłyszałem własny głos zadający to najstraszliwsze z możliwych pytanie:

– I dlatego ich zabiłeś?

# Prawda o masakrze w Bletterbach

## 1

– Była taka malutka. Nawet nie płakała. Myśleliśmy, że nie żyje. Była pobrudzona krwią. Gdybyś ją widział w samym środku tamtej rzezi, gdybyś widział jej oczy. Błękitne, niewinne.

– Kto jeszcze był z tobą? – spytałem.

– Hannes, Maks i Günther.

Poczułem, że krew uderza mi do głowy.

– Przestań mnie okłamywać.

– Nic nie zrozumiałeś, Jeremiaszu. Annelise... On ją trzymał w rękach.

– Kto on?

– Morderca – odpowiedział Werner.

Patrzył przed siebie z furią. Z pudła w kształcie serca wyjął żółtą kopertę.

Rozłożył na stole fotografie. Obok nich świadectwo urodzenia. Także mały kartonik. Było to prawo jazdy wydane przez władze austriackie. Na nazwisko Oscar Grünwald.

Wziął je do ręki, pokazał mi zdjęcie Grünwalda.

– To on ich zabił.

– Dlaczego to zrobił?

– Przestałem o tym myśleć. Już od kilku lat.

Położył prawo jazdy z powrotem na stole. Przez chwilę milczał.

– Okłamujesz mnie – powiedziałem.

Kiedy Werner znowu się odezwał, na twarzy miał jakiś bolesny grymas.

– To była pierwsza rzecz, jaką zobaczyliśmy tam, na tej przeklętej polanie. Grünwald cały zachlapany krwią. Z siekierą w prawej ręce i tym maleństwem pod pachą.

Wyobraziłem sobie tę scenę.

Szum ulewnego deszczu. Śliskie błoto pod nogami. Spadające kawałki skał. Korony drzew chylące się gwałtownie ku ziemi. Głuche dudnienie tej niesamowitej nawałnicy. Okaleczone zwłoki na ziemi.

*Wszystko to razem.*

Brakowało mi oddechu.

– Kiedy nas dostrzegł, zaczął krzyczeć: „Potwory! Potwory!”. Maks i Günther stanęli jak wryci. Hannes zobaczył zwłoki Kurta i także zaczął

krzyczeć. Słyszałeś kiedyś, jak wrzeszczy ktoś, kto właśnie zwariował? Ja to słyszałem tam, w Bletterbach. Tam zresztą zwariowaliśmy wszyscy. Hannes rzucił się na Grünwalda, ja pobiegłem za nim. A Grünwald ze strasznym wrzaskiem ruszył na niego. Przyciskał do piersi dziecko, a wysoko nad głową trzymał siekiere. Tę siekiere, którą tu widzisz.

Wskazał na ostrze, którego nie miałem odwagi dotknąć, i powiedział:

– Ujrzałem w myślach, jaką trajektorię przyjmie siekiera. Wyobraźnia podsunęła mi ten obraz bardzo precyzyjnie. Czas jakby stanął w miejscu. Nic nie czułem. Ktoś wyciszył do zera wszystkie odgłosy. A mimo to nigdy w życiu nie odczułem tak wyraźnie rzeczywistości.

Ręce Wenera przecinały powietrze w kuchni w Welshboden. Paliło się w kominku, a ja czułem chłód w kościach.

Chłód Bletterbach.

Chłód nawałnicy.

Zapodział się gdzieś spartański dom Wenera ze strychem kryjącym tajemnice i butelką grappy na stole. To było jak dekoracje, jak jakiś komiks. Słowa Wenera wdarły się w głąb czasu.

Był zapach błota przemieszany z zapachem krwi. Wyczuwałem napięcie w naelektryzowanym powietrzu.

Wyładowania, grzmoty.

Krzyk Hannesa.

Ale to już nie był krzyk Hannesa. Hannes zmarł w chwili, gdy roztrzaskał kulą głowę swojej żony, oszalały ze zgrozy doznanej w Bletterbach. To, co teraz wyczuwały moje zmysły, było już *skamieliną* krzyku Hannesa. Werner przechowywał tę skamielinę w swojej pamięci ponad trzydzieści lat.

– Siekiera była zalana krwią. Wielkie ciemne skrzepy. Kto wie, jak długo on tam stał, pewnie bez ruchu, z dziewczynką przyciśniętą do piersi, trzymając tę zakrwawioną siekiere, którą zabił całą trójkę. Może trwało to kilka godzin. Tego nie wiem i nie chcę wiedzieć. Wtedy widziałem tylko ten urojony lot siekiery w powietrzu i realny szalony bieg Hannesa. Grünwald mógł dodać do masakry czwarte morderstwo. Więc rzuciłem się na Hannesa. Chwyciłem go za nogę. Runął na ziemię. Rozminął się o włos z wyobrażoną przeze mnie trajektorią siekiery. Zobaczyłem twarz Grünwalda, Jeremiaszu. Jaki miała wyraz...

Werner otarł dłonie o spodnie. Powtarzał tę czynność w nieskończoność.

I znowu rzeczywistość gdzieś mi się zapodziała.

Poczułem zapach błota zmieszany z zapachem strachu.

– Grünwald ruszył w naszą stronę. Wszystko jak w zwolnionym filmie.

Potrząsnął siekierą jak trofeum wojennym, do piersi wciąż przyciskał dziewczynkę. Przyciskał ją tak mocno, że mógł ją udusić. Hannes, padając, uderzył o coś głową, miał zranione czoło. Widok jego krwi spowodował, że znów zacząłem słyszeć realne głosy. – Werner potrząsnął głową. – Nie wiem, jak to wszystko się we mnie kłębiło.

Kropla potu spłynęła mu po skroni, po policzku, dotarła do zagłębienia w brodzie.

I zniknęła.

Wydało mi się, że była czerwona.

– Pomyślałem, że krew Hannesa połączyłaby się z krwią syna. To mnie przeraziło. A Grünwald właśnie rzucił się na mnie. Zdawało mi się, że jest wysoki na dziesięć metrów. Gigantyczny. Jak jakiś leśny potwór z legend. Miał wysadzone z orbit oczy, krew na twarzy, krew na ubraniu.

Werner podniósł butelkę grappy i napił się wprost z niej. Solidny łyk, potem drugi.

– Widziałem w życiu wielu rannych i zabitych. Widziałem ucięte kończyny. Widziałem, jak ojciec znosił z górskiej wyprawy nogę syna, widziałem synów, którzy na kolanach błagali mnie, żebym uratował ich ojca, który roztrzaskał sobie głowę o skały. Widziałem, co robi siła ciężenia z ciałem po czterystu metrach spadania. Sam byłem bliski śmierci wiele razy. Odczułem, w jaki sposób śmierć się do ciebie przybliżyła. Jak nagły powiew, który cię zdmuchnie. Ale tamtego dnia w Bletterbach śmierć przybrała postać giganta z siekierą w rękę, który wpatrywał się we mnie z obłędem w oczach. – Werner przyglądał mi się przez chwilę. – To był krampus. Bez nahajki i rogów, ale to był krampus. Diabeł. I... słyszałem, co ten diabeł mamrotał.

– Co takiego?

– Jakąś magiczną formułę. Nie mam pewności. A może przekleństwo. Nie wiem. Nie rozumiałem tego. Piorun zważył drzewo w pobliżu, jakieś dziesięć metrów od nas. Dudniło mi jeszcze w uszach, miałem obolałe bębienki. A on powtarzał jakieś bezsensowne zdanie. Może to był zresztą tylko bełkot wariata. Zastanawiałem się nad tym latami.

Werner przeciągnął ręką po siwych włosach.

Poczułem ssanie w żołądku. Znałem to magiczne „zdanie”. Nie było bezsensowne. To łacińska nazwa.

Ręką zdrętwiałą z zimna, które ciągnęło z innych miejsc i z innej ery, sięgnąłem do kieszeni i wyjąłem komórkę. Znalazłem zdjęcie, które przysłał mi Mike. Podsunąłem ekran Wernerowi.

– Co to jest?

– *Jaekelopterus rhenaniae*. To właśnie mamrotał Grünwald.

Werner powtórzył to sobie kilka razy, jak mantrę, jak modlitwę. Ze wzrokiem oddalonym od Welshboden o całe lata świetlne.

– Tak! – zawołał zniecierpliwiony. – Właśnie to powtarzał. *Jaekelopterus rhenaniae*, skąd to wiesz?

– Grünwald był przekonany, że takie stwory istnieją jeszcze tam, w Bletterbach. *Jaekelopterus rhenaniae*, przodek skorpionów, wymarł w permie – erze, z której pochodzą najgłębsze warstwy wąwozu. To miał być ten „potwór”, o którym krzyczał Grünwald. Potwór... – Potrząsnąłem głową z niedowierzaniem. – Evi złamała jego karierę, publikując uzasadnienia przeczące jego teorii. Grünwalda uznano przez to w świecie akademickim za błazna. Stał się pariasem.

Przypomniały mi się słowa Maksa.

– Był osamotniony. Nie miał nikogo obok siebie. Co najwyżej – pokazałem stwora na ekranie komórki – swoje obsesje. Chciał koniecznie dopaść takiego potwora, ale kiedy między nim a jego uniwersyteckimi kolegami stanęła Evi, sam stał się potworem.

Obejrzałem fotografię Grünwalda na prawie jazdy. Wysokie czoło, początki łysiny. Krótkie włosy, ciemne oczy, przymrużone, jakby był krótkowidzem, który wstydzi się nosić okulary. Wziąłem do ręki zdjęcia z miejsca zabójstwa. Rozłożyłem je na stole, jedno obok drugiego, jakby były mozaiką grozy. Przeciągnąłem po nich palcami. Opuszki mnie paliły.

– Ucięte nogi. I ramiona. Odcięta głowa. Tak polował *Jaekelopterus*. Miał szczytce rozwierające się na czterdzieści sześć centymetrów, ostre jak brzytwa.

Usiadłem z powrotem.

– To był szaleniec, Jeremiaszu. Szaleniec.

Trudno mi było w to uwierzyć. Zdawało mi się, że to obłąd, a zarazem wszystko się tu zgadzało. Nagle cała historia Grünwalda stała się ścisłym ciągiem kolejnych punktów na jednej linii, która zaczyna się w punkcie a, przechodzi przez punkt b, aby na koniec zabarwić się krwią w Bletterbach. Dowody na to miałem przed sobą.

I jakby mało było tych dowodów, jakąś swoją częścią znalazłem się w Bletterbach tamtego kwietniowego dnia 1985 roku. Przenikał mnie chłód.

Mogłem go zobaczyć.

Mogłem słyszeć, jak wyrzuca z siebie to przekleństwo sprzed milionów lat. *Jaekelopterus rhenaniae*.

– Co było potem?



– Grünwald przenikliwie krzyknął. Ale Günther był od niego zręczniejszy. Piorun wybudził go z szoku. Rzucił się z furią na Grünwalda. Chwycił go za biodra i przewrócił na ziemię. Dziecko potoczyło się po błocie i gdyby nie przytomność umysłu Maksa, spadłoby z urwiska. Zaczęło płakać. Jakby miauczał kotek, nie dziecko. Günther ciągle zmagał się z Grünwaldem. Podniosłem się i pobiegłem mu z pomocą. Biłem Grünwalda na oślep. Wreszcie wydarłem siekierę z rąk tego szubrawca. Uniosłem ją i krzychałem ze wszystkich sił, do zerwania strun głosowych. To nie była moja reakcja, jakby odezwało się we mnie jakieś zwierzę. Potem zdałem sobie sprawę, że trzonek siekiery jest śliski od krwi. Znowu krzychałem, teraz ze zgrozy.

Wskazał na dwie części trzonka związane sznurkiem.

– Złamałem to, bijąc siekierą o skałę. Uderzałem mocno, poraniłem sobie palce. Kiedy się uspokoiłem, Günther wciąż jeszcze tłukł pięściami Grünwalda. Rozbił mu twarz doszczętnie, zmieniła się w bezkształtną krwawą maskę. Zabije go, pomyślałem. I wiesz, co ci powiem, Jeremiaszu?

To pytanie zawisło w próżni, nie odezwałem się.

– Ja także chciałem, żeby ta bestia zginęła.

*Bestia* – powiedział.

– Jednak nie chciałem – podjął Werner po trwającym wieczność milczeniu – żeby Günther stał się mordercą. Był impulsywny, ale miał złote serce. Gdybym mu pozwolił zabić Grünwalda, już zawsze dręczyłyby go wyrzuty sumienia. Krzyknąłem na niego. Przestał się znęcać nad Grünwaldem. Ręce miał całe we krwi, a tamten leżał pod nim i cicho jęczał. Z ust wydostawały mu się krwawe bańki powietrza. Nie czułem litości. Ale kazałem Güntherowi zostawić go w spokoju, a Günther, pewnie z nawyku, posłuchał mnie. – Werner westchnął. – Maks tymczasem umył dziecku buzię. Już nie płakało, ale trzęsło się z zimna, więc zaczęliśmy je ogrzewać, jak się dało. Hannes klęczał przy zwłokach syna i okropnie szlochał, nie mógł się uspokoić.

Werner znowu westchnął. Głęboko i długo, trwało to niemal w nieskończoność.

– Wiedziałem, że jeżeli będę dalej tkwić biernie w środku tej rzezi i nie podejmę żadnej decyzji, to z pewnością zwariuję. Tak jak Hannes. Należało coś postanowić. Dlatego zaproponowałem, co należy zrobić.

– Zaproponowałeś coś? Co tu można było zaproponować?

– Sprawiedliwość ma trzy odmiany, Jeremiaszu. Jest sprawiedliwość boża. Ale Bóg tamtego dnia patrzył w inną stronę. Nie przyfrunął anioł, żeby nam podpowiedzieć, jak mamy postąpić. Mieliśmy tylko w rękach dziecko, które mogło umrzeć z zimna, szlochającego Hannesa, tego szaleńca z obłąkanym

wzrokiem i krew, wszędzie krew.

Umilkł na chwilę.

– Jest też sprawiedliwość ludzka. Mogliśmy związać Grünwalda i zawlec go do miasta. Oddać policji. Ale ja już miałem do czynienia z ludzką sprawiedliwością i zawsze źle na tym wychodziłem. Pamiętasz, co ci opowiadałem o początkach Ratownictwa Alpejskiego w Dolomitach?

– O tej wyprawie ratunkowej, w której zginęli twoi przyjaciele?

– Miałem sprawę sądową. Uznali, że to ja ponoszę winę za wypadek. Skoro ja jeden ocalałem, twierdzili, to na pewno tamci zginęli przez jakieś moje zaniedbanie. Pomyśl tylko. Co ten sędzia mógł o tym wszystkim wiedzieć? Czy mógł wiedzieć, co czuje ktoś, kto musi przeciąć linę asekuracyjną łączącą go z przyjacielem, który złamał sobie kręgosłup? Nie, nie mógł o tym wiedzieć nic. Dla sędziego liczyło się tylko to, że ja żyję, a inni zginęli. Więc trzeba mnie skazać.

– Biada żywym – powiedziałem.

– Uniewinnili mnie dzięki jakiejś sztuczce prawniczej. To samo prawo, na podstawie którego mnie oskarżali, zezwalało wypuścić mnie na wolność, bo w jakimś paragrafie znalazł się przecinek wstawiony tam nie wiadomo przez kogo i nie wiadomo dlaczego. – Werner energicznie potrząsnął głową. – Nic nam po ludzkiej sprawiedliwości.

– A ta trzecia sprawiedliwość? Co to takiego?

– To sprawiedliwość naszych przodków.

Skrzyżował ręce na piersi i czekał, jak na to stwierdzenie zareaguję. Nie zareagowałem. Siedziałem bez ruchu, czekałem, co powie.

– Nasi przodkowie znali góry. Nasi przodkowie modlili się do skał i złorzeczyli lodom. W ich czasach nie istniało prawo, z którym dzisiaj musimy się liczyć. Rodzili się jako niewolnicy i umierali jako niewolnicy. Dręczyły ich głód i pragnienie. Ich dzieci umierały jak zwierzęta. Chowali je w skalistej ziemi i płodzili nowe z nadzieją, że te się uchowają.

Popatrzył w sufit i gdzieś powyżej sufitu.

Powyżej nieba.

Powyżej przestworu.

– Nasi przodkowie obrali właściwy sposób zadośćuczynienia za krew żyjących.

Uprzytomniłem sobie, że oddycham płytko. Słowa Wenera wbijały mi się w pierś jak gwoździe. Jak gwoździe do trumny, długie i grube. Nabrałem powietrza, jak najgłębiej.

Werner tymczasem wstał i rozłożył na stole mapę.

– Byliśmy tutaj. Związaliśmy go i na zmianę na własnych plecach znosiliśmy na dół. Nikt nic nie mówił, bo to nie było konieczne. Tylko przekazywaliśmy go sobie. Günther, Maks i ja. Na Hannesa nie mogliśmy liczyć, szlochał i wołał syna. Błagał, by syn mu wybaczył, że go nie zrozumiał, że nigdy mu nie powiedział, jak bardzo jest z niego dumny. Ale zmarli nie wysłuchują naszych błagań. Staraliśmy się go jakoś pocieszać. Daremnie. Nie słuchał nas, bo może – westchnął – my także, kiedy wlekliśmy tego przekłętą nikkzemnika do jaskiń, byliśmy jak zmarli.

Zmroziło mnie.

– Do jaskiń.

Werner stuknął palcem w mapę, wskazał dokładne miejsce.

– Nasi przodkowie zawsze wrzucali tutaj morderców, gwałcicieli, wichrzycieli. Kto przelał czyjąś krew, kto wyrządził szkodę osadzie, kończył tutaj. Nieważne, czy był bogaczem, czy biedakiem, szlachcicem czy prostakiem. Jaskinie są wielkie i ciemne. Przygarniają wszystkich.

Czyżbym dostrzegł na jego twarzy drwiący grymas?

Miałem nadzieję, że nie.

– Wiedzmy – powiedziałem cicho, przypominając sobie, co mówiła mi Verena. – Wiedzmy także wrzucano do jaskiń.

– Wrzucano.

– Chociaż były niewinne.

– To się działo w innych czasach, Jeremiaszu. My wiedzieliśmy, że Grünwald nie jest niewinny. I wrzuciliśmy go.

– A nie... nie baliście się, że się wydostanie?

Wernerowi wymknął się ton kpiący i opryskliwy.

– Nikt nigdy nie wydostał się z jaskiń Bletterbach. To piekło. Pamiętasz, co się stało w kopalni? Zawaliła się ściana i wszyscy górnicy utonęli. Tam, pod Bletterbach, są wielkie jeziora. Podobno są nawet siarczane rozlewiska. Tam jest cały osobny świat.

– I tam go zanieśliście.

– Tam było jego miejsce. Obaj z Maksym zeszliśmy niżej, a Günther został przy wejściu i od czasu do czasu krzyczał do nas, żebyśmy nie stracili orientacji. Kiedy te krzyki stały się cichutkie jak westchnienia, natrafiliśmy wreszcie na studnię. Wyglądała jak złowroga ogromna żrenica.

– Grünwald jeszcze żył?

– Oddychał. Jęczał. Żył, jakżeby inaczej. Günther go nie zabił. Zabrałem mu jeszcze prawo jazdy, jedyny dokument, jaki miał przy sobie. A potem go wrzuciliśmy.

– To prawo jazdy było ci potrzebne?

– Tak, z dwu powodów. Gdyby kiedyś wypłynęły z jaskiń jego zwłoki, gdyby je wyniosły podziemne prądy, to nikt nie powinien się dowiedzieć, kto to był. Nie zasłużył nawet na tabliczkę z nazwiskiem na grobie. Ale chciałem też zachować sobie coś, co przypominałoby mi moją wściekłość z tamtego dnia. Chciałem, żeby nigdy we mnie nie wygasła. Kiedy czułem, że słabnie, wchodziłem na strych i patrzyłem temu szubrawcowi prosto w oczy. Wraciał gniew, a wraz z nim tamto poczucie, którego doświadczyłem, wrzucając Grünwalda do jaskiń. Poczucie, że dopełniła się sprawiedliwość.

– Ta sprawiedliwość przodków.

– Kiedy wyszliśmy z jaskiń, Hannes patrzył już całkiem nieprzytomnie, a Günther drżał jak liść. – Werner skrzyżował ramiona i podniósł wzrok do sufitu. – Po paru latach... na krótko przed jego wypadkiem, spotkałem go kompletnie pijanego.

– Tutaj, w Siebenhoch?

Werner pokręcił głową.

– Nie. W Cles, gdzie wtedy mieszkałem. Próbował sobie jakoś ulżyć. Wciąż się obwiniał i bił pięciem kluczy. Do krwi. Jakby zwariował. To on wychodził z jaskiń ostatni, a tam, w Cles, twierdził, że gdy odeszliśmy już dość daleko, słyszał za sobą jakiś głos. Jakieś głosy. Głosy kobiet, które wołały o pomoc. Wołały jak chór, tak się wyraził, jak jakiś chór.

– Chryste...

– Tamtej nocy wszyscy oszaleliśmy.

– A co się działo z dzieckiem?

Chociaż widziałem świadectwo urodzenia i fotografie, nie byłem jeszcze w stanie wypowiedzieć imienia tego dziecka.

– Znaleźliśmy miejsce, gdzie można się było trochę schronić. Marne, ale musiało wystarczyć. Rozpaliliśmy ognisko. Kołysaliśmy dziewczynkę na zmianę. Była głodna. A my mieliśmy dla niej tylko wodę i cukier. Potrzebny byłby lekarz, ale w dalszym ciągu prześladowała nas nawałnica. – Zabębnił palcami po stole. – To było jakieś fatum: ulewa, błyskawice, grzmoty. Trwało to bez końca. I bez końca wciąż potem o tym myślałem.

– O czym?

– O dziewczynce. Urodziła się w Austrii, bo tam mieszkali Kurt i Evi. A w Siebenhoch nikt nic o niej nie wiedział.

– Bo była dzieckiem nieślubnym.

– Jasne, właśnie dlatego. Kurt bał się, jak na dziecko zareaguje ojciec. Markus wiedział o dziecku, ale on nie żył, nie wymknął się temu szaleńcowi,

którego właśnie wrzuciliśmy do jaskiń. Komu można powierzyć tę dziewczynkę? Były tylko dwie legalne możliwości. Albo rodzinie Kurta, albo matce Evi.

– Pijaczce.

– Otóż to.

– Nie było żadnej innej rodziny?

– Żył ojciec Evi, ale gdzie mieliśmy go szukać? Dobre sobie. Czy oddałbyś dziecko na wychowanie takiemu typowi, który rzucił żonę, a wcześniej zrobił z niej wiecznie pijaną wywłokę? A sam był ordynarnym awanturnikiem?

Potrząsnąłem głową.

– I wtedy postanowiłeś, że sam ją weźmiesz na wychowanie.

– Nie. Wtedy postanowiłem, że pomogę Hannesowi, by powierzono dziecko im. Przyszło mi do głowy, że pomoże w tym brat Günthera, Manfred.

– Dlaczego on?

– Manfred dobrze sobie radził z urzędami. W dodatku był zaprzyjaźniony z jakimiś politykami. To się mogło przydać. Rzecz nie była niepodważalnie pewna, ale... tak właśnie tamtej nocy postanowiłem. Wyszliśmy z wąwozu. Siebenhoch było odcięte od świata. Oddaliśmy dziewczynkę Hannesowi i Helene, chociaż oboje byli wstrząśnięci śmiercią Kurta. Nie mogłem jednak wiedzieć, co zrobi Hannes parę godzin później... – Westchnął. – Potem przez kilka dni trzymałem dziecko u siebie. Günther i Maks byli kawalerami, tylko ja miałem żonę, rozumiesz?

– Wzięłeś dziewczynkę do domu.

– Herta... Szkoda, że nie mogłeś zobaczyć, jak zareagowała. Była zgnębiona i wystraszona, zła na mnie, bo mogłem nie wyjść cało z tej wyprawy, ale kiedy zobaczyła dziecko, jakby zmieniła się w kogoś innego. Wzięła je na ręce, przewinęła je, nakarmiła, a kiedy Annelise usnęła, dopiero wtedy kazała mi o wszystkim opowiedzieć.

– Także o jaskiniach?

– Powiedziała, że należało tak postąpić.

Gdzieś z dala od domu zakrakała wrona.

Płomienie w kominku zmieniły się w żarzące głownie.

– Hannes zabił Helene w nocy, zastali go otępiącego z dubeltówką w rękach. Powiedział mi o tym Maks. Wpadł do nas jak tajfun, prawie wyrwał drzwi z zawiasów. Wkrótce sprzątnięto usypiska z szosy, aresztowano Hannesa, a my mieliśmy powierzyć dziewczynkę opiece społecznej.

– I dopiero wtedy postanowiłeś wziąć ją do siebie?

– Postanowiliśmy o tym razem. Maks, Günther, Herta i ja.

– Prawo na to pozwalało?

– Ta dziewczynka nie zasługiwała na sierociniec. Żadne dziecko na coś takiego nie zasługuje. – Werner ożywił się, był poirytowany. – My mieliśmy dać jej miłość, której Evi i Kurt już jej dać nie mogli. Bo ktoś – już niemal krzyczał – tę ich miłość jej odebrał. Ktoś, kto ich zmasakrował! Zmasakrował!

Chwycił trzonek siekiery i rzucił go na posadzkę.

– Mogli to uznać za porwanie dziecka.

– Myśl sobie o tym, co chcesz, Jeremiaszu. Ale postaraj się wejść w nasze położenie i zrozumieć, co wtedy czuliśmy.

– Jak to się potoczyło?

– Musieliśmy na miejscu zbrodni zatrzeć ślady istnienia dziecka. Wróciliśmy do Bletterbach. Przeczesałiśmy tamtą polanę, szukając wszystkiego, co mogłoby dać policji jakieś wskazówki o istnieniu dziewczynki. Była lalka, butelka ze smoczką. Pozbieraliśmy wszystko. Zabraliśmy także te kawałki siekiery. Baliśmy się, że policja doszuka się odcisków palców i pokrzyżuje nasze plany.

Przypomniał mi się ten plik relacji ze śledztwa policyjnego, który pokazał mi Maks.

– Niepotrzebna fatyga – powiedziałem.

– To wiemy teraz, ale wtedy? Wróciliśmy do miasta, kiedy koparki drogowców triumfalnie do niego wjeżdżały. W samą porę.

– Annelise...

– Czekałem na zakończenie wstępnego dochodzenia, nie ruszając się z domu. Na zakupy jeździłem do Trydentu, przestraszony, że ktoś może mnie zobaczyć z torbą pełną jedzenia dla niemowląt i pieluszek. Wszędzie widziałem policjantów gotowych mnie aresztować. Bałem się własnego cienia, dosłownie. Kiedy zamknięto dochodzenie, od razu wyjechałem z Hertą i dzieckiem. Zapakowałem je w nocy do auta i uciekliśmy.

– Do Cles?

– Nie, nie do Cles, tylko tutejsi tak do dziś myślą. Nie. To byłoby nieostrożne. Pomógł nam wtedy Manfred. Manfred także o wszystkim wie. Miał wtedy małe mieszkanie w Merano. Na tyle daleko od Siebenhoch, że nikt nie mógł nas rozpoznać. I tak ukrywaliśmy się prawie rok. Manfred i Maks postarali się o sfałszowane dokumenty. Nigdy mi nie powiedzieli, jak to załatwili, i nigdy ich o to nie pytałem. Ale jakoś sobie z tym poradzili. I dopiero wtedy przenieśliśmy się do Cles.

Werner zapalił papierosa. Był blady, czoło miał wciąż zmarszczone, nie mijało napięcie.

Tamta historia dobiegła końca.

– Maks i Günther rozpowiadali, że Herta jest w ciąży, ale są kłopoty, potrzebuje leczenia. A ja musiałem się wycofać z Ratownictwa Alpejskiego, rzekomo po to, żeby nie narażać dziecka na osierocenie. Czas biegł, ludzie już o nas nie myśleli. Kiedy potem przyjeżdżaliśmy do Siebenhoch na wakacje, wszyscy mówili do Annelise po imieniu, jakby znali ją od lat. – Werner wzruszył ramionami. – Taką siłę mają pogłoski. Ale ty jeszcze o jednym musisz usłyszeć.

– O śmierci Günthera.

Werner skrzyżował ramiona na piersi, oczy mu błyszczały.

– Tak, chodzi mi o Günthera. Kiedy go widziałem po raz ostatni, w 1989 roku, już utracił kontrolę nad sobą. Znalazł ekspertyzę Evi i wbił sobie do głowy, że Grünwalda posłał do wąwozu jego brat. Chciał zabić Manfreda, jasno mi o tym mówił. Odwodziłem go od tego, jak mogłem. Przekonywałem go, że to tylko jego szalone urojenie. Ale parę dni później...

– Zdarzył mu się wypadek.

– Nie wytrzymał, jego umysł nie radził sobie z tym. Zabił się. Günther był ostatnią ofiarą Bletterbach.

Werner skończył. Nalał grappy do kieliszków, podsunął mi.

Tym razem wypilem.

– I co teraz? – spytałem.

– Teraz kolej na ciebie, Jeremiaszu. Musisz wybrać. Której sprawiedliwości ufasz?

Nie umiałem mu na to pytanie odpowiedzieć, nie wiedziałem której. Spytałem tylko:

– Dlaczego nigdy nie powiedziałeś o tym Annelise?

– Z początku myślałem, żeby jej wszystko opowiedzieć. Ale przekonywałem siebie, że trzeba z tym poczekać, aż skończy osiemnaście lat i będzie na tyle dorosła, żeby wszystko zrozumieć. Po to przechowywałem pudło w kształcie serca. Wiedziałem, że same słowa bez dowodów tylko jej zamącą w głowie. Może wręcz podejrzewałaby, że jej ojciec na starość zwariował. Później uznałem, że osiemnaście lat to za mało. Była jeszcze dzieckiem, chociaż zapisała się na kurs prawa jazdy i marzyła o Ameryce. Rozmawialiśmy o tym z Hertą i wspólnie zdecydowaliśmy, że dopiero kiedy sama zostanie matką, będzie potrafiła zrozumieć i zaakceptować to, co zrobiliśmy dla niej w osiemdziesiątym piątym...

– I urodziła Clare...

– Ale wtedy była za oceanem, a Herta umierała. Mogliśmy jej o tym wtedy

mówić?

– Nie.

– A teraz, Jeremiaszu? Czy to byłoby mądre, gdybym teraz opowiedział jej o wszystkim?

Na to pytanie można było odpowiedzieć na tysiące sposobów. Werner rzucił mi je bez namysłu, a było tak, jakby mi łądował na plecy ciężar miliona ton.

– Wedle ludzkiego prawa – powiedziałem – Annelise powinna wiedzieć, że jej ojciec zginął w tamtym wąwozie, a człowiek, który wziął na siebie jego rolę – mówiłem z pochyloną głową – ma na sumieniu morderstwo i porwanie dziecka. Wedle prawa bożego... – uniosłem głowę – nie znam się na tym prawie. Ale przypuszczam, że według prawa bożego wszystko to nie ma najmniejszego znaczenia, a jeżeli ma, to umożliwienie Annelise dorastania w kochającej rodzinie, a nie w jakimś sierocińcu czy nie wiadomo gdzie, było decyzją jak najbardziej sprawiedliwą.

Werner przytaknął.

Zmusiłem się do uśmiechu.

– Słowem, jeden głos przeciw, jeden za.

– A według prawa przodków?

Rozłożyłem ręce.

– Posłuchaj, Wernerze. Jestem synem imigrantów, nie mam pojęcia, kim byli moi przodkowie, i prawdę mówiąc, nigdy to mnie nie ciekawiło. Mam tylko jednego przodka: ojca. Biedaka, który zamęczał się całe życie pracą, robiąc hamburgery po pięćdziesiąt centów sztuka, żeby opłacić mi szkołę i dentystę. – Głos na chwilę mi się załamał, ale ciągnąłem dalej: – Mogę zatem mówić tylko za siebie. A w dodatku nie wiem, czy to, co mi opowiedziałeś, nie jest przypadkiem zmyślane, czy to wszystko prawda. Wiem tylko, że przekazując mi to, otworzyłeś przede mną serce, i wiem, że sam w tę szaloną historię wierzysz. Wariaci są czasami bardzo przekonujący.

Werner patrzył na mnie przez chwilę. Zaciągnął się papierosem, zakaszłał, wrzucił go do kominka.

– Cokolwiek zechcesz zrobić, zrób to jak najszybciej. – Werner pochylił się do mnie, jastrzębie oczy przeszły mnie na wylot. – Bo ja umieram, Jeremiaszu.

– Jak to...

– Bóle kręgosłupa. Tu nie chodzi o kręgosłup. To rak. Tego nie da się operować.

Zamilkłem całkowicie.



- Annelise... – wyrzuciłem z siebie w końcu.
- Nie może się o tym dowiedzieć od ciebie.
- Ale...
- Co zamierzasz zrobić, Jeremiaszu?

## 2

Kiedy wyszedłem z domu w Welshboden, marcowe powietrze pachniało jeszcze śniegiem, ale gdzieś pod tym zapachem kryły się oznaki rozkładu. Wyczuwałem dokoła jakby zmęczenie przyrody. Takie samo, jakie czułem w sobie.

Usiadłem za kierownicą i wydało mi się, że mam ramiona tak ciężkie, jakbym całe popołudnia nosił pnie. W głowie nie milkły tamte krzyki w Bletterbach.

Podczas opowieści Wenera zaciskałem szczęki tak mocno, że teraz odczuwałem ból. Miałem wrażenie, jakbym ugryzł jakiś zakazany owoc. Ukryty gdzieś tam wąż kpił sobie ze mnie.

No to już wiesz, powiedziałem sobie.

Nie, dalej nic nie wiesz.

Opadłem za kierownicę całkiem wykończony.

Byłem rozdarty. Z jednej strony czułem, że należałoby natychmiast powiedzieć o wszystkim Annelise. O tym wszystkim, co przed chwilą usłyszałem od Wenera. Z drugiej przekonywałem siebie, że nie mam do tego prawa. To musi zrobić Werner. Złościłem się na niego, że postawił mnie w tak trudnej sytuacji. Ciężar był nie do zniesienia i on sam powinien go dźwigać, nie ja. Uderzałem w kierownicę z całej siły, jaka mi jeszcze pozostała. To niesłuszne. Ale co było słuszne w całej tej historii?

Śmierć Evi? Śmierć Kurta i Markusa?

A Grünwald?

Czy nie miał prawa do zwykłego procesu? Sprawiedliwość ludzka, jak wyrażał się wgardliwie Werner, doprowadza do pomyłek, raczej obwinia słabych, ale to dzięki niej różnimy się od zwierząt.

Naprawdę tak myślałem? Naprawdę na miejscu Wenera zachowałbym się inaczej? Czy gdyby Annelise oddali do sierocińca albo zostawili pijanej matce, byłyby teraz tą samą Annelise, którą kochałem? Miałyby te same marzenia, które nas połączyły? Czy raczej byłyby skazana na życie pełne upokorzeń?

Co różniło kobietę, którą kochałem, od, powiedzmy, Brigitte?

Niewiele albo nic.  
Nabrałem głębiej tchu.  
To się jeszcze nie skończyło.  
Wrzuciłem bieg i nacisnąłem pedał gazu.

### 3

Tym razem nie byłem ani uprzejmy, ani wyrozumiały. Odepchnąłem Verenę tak mocno, że mogła upaść. Patrzyłem tylko na Maksa, który stał w przedpokoju. Po raz pierwszy widziałem go w cywilnym ubraniu.

– Musimy się rozmówić – powiedziałem, skandując głośno słowa. – Pozwól ze mną.

– Wy nie macie sobie nic do powiedzenia – krzyknęła oburzona Verena – a ty masz wyjść z naszego domu!

Wydrapałaby mi oczy, gdyby Maks nie zareagował i jej nie powstrzymał. Potem, wciąż ją obejmując, rzucił:

– Zaczekaj na mnie na dworze, Salinger.

Zamknąłem drzwi.

Słyszałem krzyki Vereny i spokojny głos Maksa. Uciszał ją. Potem drzwi się otworzyły. Szpara światła, która zaraz zniknęła. A przy mnie znalazł się Maks z rękami w kieszeniach, ze zgaszonym papierosem w ustach. Czekał na to, co mam mu do powiedzenia.

– Ona o tym wie?

Długo mi się przyglądał.

– O czym?

– O Annelise.

Maks zbladł albo tylko tak mi się w ciemnościach wydało. Nie mógłbym za to ręczyć. Na pewno drgnął. Wziął mnie za łokieć, odciągnął daleko od drzwi.

– Chodźmy dalej.

– Werner powiedział mi o wszystkim.

– O wszystkim?

– O Grünwaldzie. O jaskiniach. O dziecku Evi i Kurta. I o Güntherze.

Maks zatrzymał się przy latarni.

– Co jeszcze chcesz wiedzieć?

– Co zrobiliście z Manfredem, żeby zatrzeć ślady po dziecku?

Maks się uśmiechnął.

– Komputery w tamtych czasach były jak szafy i na nic się nie przydawały. Poza tym kto je miał? My nie. Biurokracja przepada za papierem. To wielka

machina, ślepa i głupia. A trzeba też pamiętać o żelaznej kurtynie.

– Austria była krajem zaprzyjaźnionym.

– Istotnie. Ale gdyby Annelise urodziła się we wschodnich Niemczech albo w Polsce, oszczędziłoby mi to rozwiązywania wielu łamigłówek. A Austria nie była krajem sprzymierzonym, tylko neutralnym. Tyle że to już polityka, a tobie nie o politykę chodzi, prawda?

– Mnie chodzi o wszystko.

– Dlaczego?

Przysunąłem się i popatrzyłem mu z bliska w oczy.

– Bo chcę wiedzieć, czy mnie nie zbywacie wymysłami. Chcę zrozumieć, czy muszę rujnować życie kobiety, którą kocham, czy nie.

Maks się rozejrzał.

– Po co to przedstawienie?

Cofnąłem się i zapaliłem papierosa. Płomień zapalniczki na chwilę mnie oślepił.

– Mów dalej.

– Pomyśl, w jakim świecie żyliśmy wtedy. Zimna wojna. Pełno szpiegów. Tu, u nas, terroryści. Dochodziły słuchy, że mają swoje bazy za granicą, i potem to się potwierdziło. Co więcej, wielu z nich do dziś mieszka w Austrii. Żeby pojechać do Innsbrucka, trzeba było przejść przez kontrolę celną. Paszporty nie obowiązywały, już istniały jakieś porozumienia międzynarodowe, ale wszędzie było pełno policji. – Maks zrobił ręką ruch naśladujący podnoszenie i opuszczanie szlabanu granicznego. – Po naszej stronie policja włoska, po tamtej austriacka. Przejazd przez Brenner pochłaniał mnóstwo czasu. Jedna jedyna rzecz była identyczna w obu krajach: biurokracja. Kiedy postanowiliśmy, że dziewczynkę będzie wychowywał Werner z Hertą, zrozumiałem, że i ja, i Manfred musimy zaryzykować i odegrać ważne figury. Günther nigdy nie był orłem, a Werner był zanadto wystraszony i zanadto tu znany, żeby się na coś takiego odważyć.

– Na coś nielegalnego?

– Na coś delikatnego. To było jak operacja na otwartym sercu. A widziałeś, jakie ręce ma Werner? – Uśmiechnął się.

Ja czekałem nieporuszony. Zapamiętywałem każde jego słowo. Czekałem na pierwsze niejasności, na pierwsze sprzeczności...

– Mów dalej...

– Musieliśmy zdobyć świadectwo zgonu jakiejś dziewczynki w wieku Annelise. Świadectwo zgonu dziecka *włoskiego* dla dziecka *austriackiego*. Ja się tym zająłem. To nie było trudne, bo pamiętałem, że w górach pod

Marmoladą zmarła jakaś mała dziewczynka. Zmieniłem dane tamtej na dane Annelise. Wybrudziłem kartkę, że niby faks źle działał. Przekazałem świadectwo ambasadzie austriackiej i odczekałem, żeby to sobie zarejestrowali i odesłali z powrotem do nas. Musiałem zyskać na czasie. Ten czas był mi potrzebny, żeby powyjaśniać zastrzeżenia tego idioty, karabiniera Alfieriego.

– Nigdy nie dążyłeś do tego, żeby karabinierzy wykryli winnego, prawda? Chciałeś ich tylko zmylić.

– Dobrze mówisz. To wygląda jak żartobliwa anegdotka, ale anegdotki tylko rozśmieszają, nigdy nie zabijają. Ja winnego już uśmierciłem, a potem tylko chroniłem niewinnych. Wenera, Günthera, Hertę i Annelise.

Archiwum w domu Krünów nabrało dla mnie innego znaczenia w świetle tych wynurzeń.

– I dlatego usunąłeś urzędowe teczki najprędzej, jak mogłeś.

– Najpierw chciałem je spalić. Potem się rozmyśliłem. Uznałem, że lepiej je przechowywać. Na wszelki wypadek, gdyby...

– Gdyby ktoś zaczął za tym węszyć?

– Ktoś taki jak ty. Właśnie.

Nie odezwałem się, odetchnąłem głęboko. Po chwili Maks ciągnął dalej.

– Pojechałem do Austrii; wybrałem się tam w mundurze. W mundurze karabiniera. Kupiłem sobie ten mundur, a w drodze powrotnej, zaraz po przekroczeniu granicy, wyrzuciłem go na śmietnik. W Austrii zażądałem świadectwa zgonu Annelise Schaltzmann. Powiedziałem, że jest mi potrzebne do urzędowego śledztwa. Kłamałem oczywiście, ale nikt się nie zorientował. Wydali mi to świadectwo, a było to już autentyczne świadectwo zgonu. Annelise Schaltzmann zmarła na niewydolność nerek w szpitalu w Belluno.

– Tak kot gryzie własny ogon.

– Tak działa biurokracja. I na koniec zaczęła się partia najbardziej niebezpieczna.

– Annelise musiała zmartwychwstać. Musiała się stać Annelise Mair.

– Tak, i to był jedyny moment, kiedy mogli nas przyłapać. Manfred miał znajomości, umiał się poruszać. I dlatego, ale też dlatego, że był bratem Günthera, zwróciliśmy się w tej sprawie do niego. I dziewiątego września 1985 roku urzędnik stanu cywilnego w Merano, który już wybierał się na emeryturę, zgarnął grubszą sumkę i wpisał Annelise na listę dzieci nowo narodzonych. Nikt nic nie zauważył. Gdyby nie było to tragiczne, można by się z tego śmiać. Wystawiliśmy do wiatru cały aparat urzędniczy w dwu krajach. I uszło nam to na sucho.

- Aż do dziś.
- Maks zmrużył oczy.
- Co chcesz zrobić, Salinger?
- Ja też sam siebie o to pytam, Maks.

## 4

Dopiero Clara powiedziała mi, co mam zrobić. Zrozpaczonym głosem, jednej nocy w moim śnie.

## 5

Światła w całym domu były zgaszone. Oświetlała moje kroki jakaś widmowa aura, jakieś fosforyzujące jaśnienie. Posuwałem się na oślep, chciałem się zorientować, gdzie jestem.

Ściany – wyczuwałem, że gdzieś wokół mnie są ściany – znajdowały się tak daleko, że mógłbym iść przez resztę życia, a i tak nie dałbym rady ich dotknąć. A przecież wiedziałem, że jestem w naszym mieszkaniu w Siebenhoch.

Zgodnie z logiką snu nie było w tym nic dziwnego.

Paraliżował mnie strach. Nie wiedziałem dlaczego, wiedziałem tylko, że jeśli się zatrzymam, wszystko stracę. Nigdzie nie uciekałem. Nie był to jeden z tych snów, w których cienie bez twarzy czają się i chcą cię schwytać. Nie, ja w tym śnie *szukałem*.

Ale nie miałem pojęcia czego.

Zrozumiałem to dopiero w chwili, kiedy usłyszałem głos Clary, która skądś mnie wołała zrozpaczona. Chciałem jej odpowiedzieć, ale nie mogłem. Miałem sklejone usta. Wtedy zacząłem biec, żeby dotrzeć tam, skąd dochodził głos, gdzie stawał się coraz mocniejszy. Dotarłem do okrągłego pomieszczenia ze ścianami ze skały. Z białej skały, po której ściekała krew. Na środku pomieszczenia była studnia.

Pochyliłem się.

Clara była gdzieś na dnie.

I kiedy moja córka wciąż wołała mnie po imieniu, rzuciłem się do tej ogromnej źrenicy ciemności.

# Świat nie z tego świata

## 1

Nazajutrz, w piękny słoneczny dzień, o dziesiątej rano przyjechałem do Welshboden z decyzją stawienia czoła ostatniemu rozdziałowi historii masakry w Bletterbach.

Chciałem wypytać zmarłych, żeby dać odpowiedź żywym.

Otworzył mi Werner. Wyglądał na człowieka, który nie zmrużył oka przez całą noc. Jego oddech świadczył o tym, że nie żałował sobie grappy. Nie chciałem wchodzić. Szkoda mi było czasu.

Wystarczył mu rzut oka na mnie: zobaczył, jak jestem ubrany, i zrozumiał, co zamierzam zrobić.

– Zwariowałeś – rzucił.

Nie spodziewałem się innego komentarza.

Wyciągnąłem rękę.

– Daj mi mapę.

– Zginiesz tam.

– Daj mi mapę.

Widząc, jak bardzo jestem zdeterminowany, uległ bez słowa. Podał mi mapę, a potem zobaczyłem go jeszcze we wstecznym lusterku. Stał na progu domu. Stary człowiek znękany brzemieniem zbyt wielu tajemnic.

## 2

Centrum Turystyczne było zamknięte, parking pusty. Wyjąłem z bagażnika plecak i sprawdziłem sprzęt. Nie miałem go w rękach od tamtego piętnastego września. W myślach nie wracałem już do tej daty, stała się jak każda inna. Działąłem powoli, precyzyjnie, wiedziałem, że w mojej sytuacji muszę właśnie tak postępować. Miałem wszystko, czego potrzebowałem. Rozłożyłem mapę i sprawdziłem, czy dobrze zapamiętałem jej szczegóły. Przelazłem przez ogrodzenie (na szczęście u góry nie było drutu kolczastego) i ruszyłem w stronę jaskiń.

Kiedy brałem udział w zdjęciach do *Mountain Angels*, nauczyłem się podstawowych zasad alpinizmu, ale była to wiedza raczej teoretyczna, bo wspinałem się nieczęsto, dorywczo i zawsze z którymś z przewodników, a to

wystarczyło mi tylko, żeby pojąć, czym jest lęk wysokości. Jednak wspinaczka wydawała mi się pasjonująca, a ponadto dowiedziałem się już wtedy, że niebezpiecznie jest wspinać się samotnie.

Teraz, w Bletterbach, zabawa we wspinaczkę stała się czymś poważniejszym. I groźniejszym. Pamiętałem z naszej wycieczki z Clarą, o czym na całej wytyczonej dla turystów trasie zawiadamiały tabliczki z przestrożą: w wąwozie nie ma zasięgu. Wobec tego na komórkę nie było co liczyć. Tym samym na żadną pomoc. A jeśli Werner mówił prawdę, nie mogłem też ufać kompasowi.

Czy to mnie zatrzymało?

Ani na sekundę.

Nie poszedłem trasą ekipy ratunkowej Wenera, Hannesa, Günthera i Maksa. Zabrałoby mi to za wiele czasu i sił. W roku 1985 były tu tylko niemal archeologiczne szlaki dla drwali i zwierząt, teraz mogłem już korzystać z dobrze utrzymanych ścieżek, o tej porze roku zasypanych śniegiem. Korzystałem z nich, dopóki to było możliwe. Dopiero potem wkroczyłem na ścieżki przeszłości.

Zanim zszedłem z turystycznego szlaku i ruszyłem w *głębiny*, pozwoliłem sobie na chwilę wypoczynku. Napilem się wody i zjadłem czekoladę. Bolały mnie mięśnie, ale w nogach czułem dość siły, żeby sprostać tej mojej podróży w czasie.

Posiliłem się i napiłem na zapas, a potem ruszyłem dalej. Zacząłem uważnie schodzić coraz niżej, przedzierając się przez gęstwinę niskich jodłowych gałęzi.

Stok był coraz bardziej stromy i kilkakrotnie omal się nie poślizgnąłem, co na tych ostrych skałach mogło się źle skończyć. Ale gdybym z góry tym się przejmował i wyobrażał sobie, na jakie przeszkody mogę tu natrafić, to pewnie nie ruszyłbym się z domu.

Skała na dnie wąwozu była oblodzona. Pod lodem szumiał strumień.

Nie czekałem ani chwili. Od razu zacząłem się wspinać na przeciwległy stok.

Szelest drzew, głos jakiegoś zwierzęcia zaniepokojonego moją obecnością, szum osuwającego się pod własnym ciężarem śniegu stopionego w słońcu. Mroźne powietrze. Wiele potu.

I nic więcej.

Poruszając się zgodnie z informacjami Wenera, dostałem się na tę ścieżkę, którą ratownicy wlekli kolejno Grünwalda, i już z niej nie schodziłem. Łatwo powiedzieć „nie schodziłem”. Śnieg był wysoki, musiałem cały czas wyciągać

z niego nogi.

Żałowałem, że nie wziąłem rakiet.

I wreszcie zadyszany dotarłem na miejsce.

Dokoła rosły świerki, modrzewie, nieliczne pinie. Wszystko było przysypane śniegiem. Jaskiń ani śladu. Być może w zapale, chcąc jak najprędzej tu dojść, jakoś się pogubiłem. Zdjąłem plecak i sprawdziłem na mapie, gdzie jestem.

Mapa nie kłamała. Byłem, gdzie miałem być. Do jaskini wchodziło się tutaj.

Czyżbym się wysilał nadaremnie? Czyżby Werner mnie okłamał? Odpowiedź na te pytania była bardzo prosta i szybko na nią wpadłem. Głupi chłopaczek z miasta. Początkujący jako alpinista, jeszcze mniej niż początkujący jako speleolog, a już całkiem do niczego jako zwiadowca. Nie umiałem czytać terenu.

Jaskinie w Bletterbach nie wyglądały jak skrzyżowanie widoków z książek Tolkiena z filmem dokumentalnym National Geographic. Nie były efektownymi szerokimi otworami w skale, do których łatwo wkroczyć. Tutaj były to tylko wejścia w niewielkie szczeliny, od października do początku odwilży zasypane śniegiem. Dlatego nie zobaczyłem tego wskazanego na mapie punktu x. Był po prostu zasłonięty.

Ale go odnalazłem.

Otwór o średnicy nie większej niż osiemdziesiąt centymetrów, z którego bił drażniący zaduch. Zaświeciłem latarkę na kasku.

Nabrałem głęboko powietrza. Wcisnąłem się w to przejście.

### 3

Posuwałem się na czworakach, wdychając wilgotne powietrze, cieplejsze niż to na zewnątrz, ale pachnące nieprzyjemnie, jakby grobem. Jaskinia schodziła zakosami w dół, przedzierając się przez kruche skały Bletterbach. Próbowałem wyobrazić sobie, jak Werner i Maks wlekli tędy Grünwalda. Musieli działać w niesłychanym zapamiętaniu.

I ja mu uległem, schodząc coraz niżej.

Po kilku zakrętach pojawił się stopień w skale. Za nim podziemny korytarz wzniosł się i otworzył na ogromną kamienną salę. Stałem i podziwiałem jej wielkość. Byłem wręcz zahipnotyzowany fascynującym widokiem stalaktytów i stalagmitów, przemieszanych ze sobą i tworzących dziwaczne formy.

Ruszyłem dalej, trzymając się prawej ściany. W wielu skalnych szczelinach



rosły jakieś kępki, jedwabiste w dotyku. Może pleśń, może mech. Wydało mi się czymś niesłychanym, że tak głęboko, gdzie słońce nie docierało od trzystu milionów lat, kwitnie życie. Niesamowite i niepokojące.

Popatrzyłem na zegarek i z zaskoczeniem stwierdziłem, że straciłem poczucie czasu. Wiedziałem, że to w jaskiniach zjawisko naturalne, dla zawodowych speleologów oczywiste, ale przez samo to, że tak szybko dało o sobie znać, osłupiałem ze zdumienia.

Szedłem dalej i wreszcie na nią natrafiłem. Na źrenicę ciemności.

Pochyliłem się, żeby popatrzeć w głąb. Nie była taka, jak sobie wyobrażałem. Wydała mi się raczej stromą i śliską pochylnią, ale nie miałem wątpliwości. To tutaj Maks i Werner wrzucili Grünwalda. Był to otwór z grubsza okrągły, przez który istotnie wyzierało jakby oko ciemności.

Jeżeli istnieją różne stopnie czerni, to ta studnia ukazywała mi stopień ostateczny. Naprawdę mnie to przeraziło. Ale nie spowodowało, żebym się wyrzekł swojego planu. Chciałem zobaczyć, chciałem wiedzieć. I dopiero dzięki temu zrozumieć, jak mam postąpić. Opowiedzieć o wszystkim Annelise czy pogodzić się z tym, że cała ta historia pójdzie w niepamięć.

Wbiłem kilka haków wspinaczkowych i umocowałem linę, którą miałem ze sobą. Przeciągnąłem ją przez uchwyt, który umieściłem na skraju studni, i zacząłem schodzić.

Od razu zrozumiałem, dlaczego Werner z Maksem wybrali to miejsce, by wykonać wyrok śmierci. Bez specjalistycznego sprzętu nikt nie mógł się stamtąd wydostać.

Skała była śliska i niemal całkowicie pozbawiona występow.

Zduśliłem w sobie klaustrofobię, ale zacząłem się spieszyć.

Kiedy po wielu metrach schodzenia poczułem, że znowu mam pod nogami poziomą skałę, odpiąłem się od liny i zacząłem rozglądać, by się zorientować, gdzie jestem. Latarka na kasku niewiele w tym pomagała.

Ciemność na dole była prawie namacalna.

Odważyłem się zrobić krok, trzymając się ręką wilgotnej skały. Potem zrobiłem drugi krok, potem trzeci, potem następne i oddaliłem się od miejsca, gdzie zszedłem.

Czasami coś siadało mi na rękę, strząsałem to z obrzydzeniem. Były to jakieś podziemne pająki, białe, widmowe, miały nadzwyczaj długie nogi i korpus wielkości jednoeurowej monety. Były odrażające.

I właśnie kiedy strzepywałem z ręki jednego z tych pająków, poczułem, że coś dotyka moich stóp. Zatrzymałem się, żeby zobaczyć w świetle latarki, co to jest. Z zaskoczeniem stwierdziłem, że to woda. Zanurzyłem w niej palce,

żeby sprawdzić, jaką ma temperaturę. Oczywiście była zimna, ale nie tak, jak się spodziewałem. Zdumienie nie trwało długo, bo wyrwał mnie z niego jakiś nagły hałas. Krzyknąłem, a echo pomnożyło ten krzyk niezliczonymi odgłosami.

Coś wielkiego wpadło do wody. Zamarłem.

Wszystko jest okej, powiedziałem sobie. Góry nieprzerwanie się poruszają, dlaczego to samo nie miałyby się dzieć w ich wnętrzu? Także w jaskiniach osypywanie się skał jest z pewnością czymś normalnym. Wszystko jest okej, naprawdę. Wszystko jest okej.

Przede wszystkim: bez paniki.

Speleologia, jak alpinizm, to nie tylko kwestia sprawności mięśni. Widziałem w czasie kręcenia zdjęć do *Mountain Angels*, że ludzie, którzy spędzali całe dni na ćwiczebnych ścianach wspinaczkowych, wszechstronnie wyszkoleni technicznie i fizycznie, tak sprawni, jak ja nigdy nie mógłbym być, odpadali od ściany o niewielkim stopniu trudności. Dlaczego? Nie umieli tego wytłumaczyć. Stali przed kamerą z mętym wzrokiem, bełkocąc coś o urazach i skurczach.

Bzdura.

Prawda jest taka, że technika i sprawność fizyczna są ważne, ale stanowią tylko pięćdziesiąt procent tego, co niezbędne. O reszcie decydują nerwy: lęk, że nie podołasz. Nagle palce wyczuwają, że skała jest krucha, jakiś owad brzęczy ci nad głową i już po wszystkim: ściana, którą zdobywasz, staje się sumą wszystkich twoich lęków.

I umysł się poddaje.

Dobrze o tym wiedziałem. Mnie również przydarzyło się to w tamtej nieszczęsnej rozpadlinie.

A zatem: bez paniki.

Miałem ze sobą latarkę halogenową, znacznie silniejszą niż ta mała na kasku. Światło pomaga w odpędzaniu lęków. Tak przynajmniej myślałem.

Ostrożnie wyjąłem latarkę z plecaka i zaświeciłem. Mogłem rozeznąć się w rozmiarach podziemnego pomieszczenia, w którym się znalazłem. Jezioro było ogromne. Skierowałem snop światła w górę, żeby stwierdzić, jak wysokie jest sklepienie jaskini.

I wtedy ją zobaczyłem.

Bestię.

Była biała.

Była dzika. Była nieruchoma. Ale natychmiast zrozumiałem, że to tylko lód.

Skierowałem snop latarki na powierzchnię wody, zakreślając połyskliwe smugi. Na jej zmarszczeniach światło jakby się uśmiechało. Nie był to uśmiech przyjazny, zapewniam was.

Przesunąłem światło po tych drobnych falach jak najdalej, żeby zobaczyć, skąd biorą początek. To centrum tkwiło niedaleko, może dziesięć metrów ode mnie. Malutka biała góra lodowa unosiła się na wodzie, zanurzając się i wyłaniając, przywabiając mnie do siebie.

Chodź tu, szeptała, chodź do mnie.

Starłem się zachować spokój i szukałem wyjaśnienia tego zjawiska. Po chwili je odkryłem.

Wielkie bryły lodu nad moją głową, które wyglądały jak marmurowe skały, spadały od czasu do czasu do wody. Tylko taka sztuczka wchodziła tu w grę, nic więcej. Nawet ciepło mojego ciała mogło teraz wywołać taką reakcję. Zjawisko czysto fizyczne i tyle.

Sęk jednak w tym, że mąciło mi to w głowie. Zachęcało, bym traktował jaskinię jak żywe stworzenie.

Ze mną w swoim wnętrzu.

W bieli.

W ustach miałem przykry smak. Mój umysł od wielu lat wprawiał się w układaniu opowieści, wobec tego i tutaj przystąpił od razu do swojej brudnej roboty. Wychodząc od punktu a, trzeba dojść do... do krzyku Grünwalda, który oprzytomniał samotny w tej ciemności.

Próbował rozpaczliwie wspiąć się po ścianie tej żrenicy.

Połamane paznokcie, krew, modlitwy i krzyk.

Próbował odkryć inną drogę prowadzącą do wyjścia. Krążył wzdłuż jeziora. Dotarł gdzieś tutaj.

A potem? Poszedł dalej? Próbował przepłynąć jezioro? Ja nie umiałbym tego zrobić, ale Grünwald miał może więcej doświadczenia, może próbował dotrzeć do tej jakiejś urojonej...

Niszy.

Właściwe słowo tutaj.

Pięć liter.

Nisza ekologiczna. Zachowana dzięki warunkom otoczenia. Świat, w którym czas nic nie znaczył. Dokładnie tak, jak w jego teoriach.

Odetchnąłem głęboko. Wyprostowałem plecy i starałem się je rozruszać.

Były sztywne, zdrętwiałe, jak ze stali. Prostowałem i zaciskałem ręce, żeby pobudzić krążenie. Marzłem. A musiałem mieć mięśnie ciepłe i rozluźnione. Inaczej zostanę tu na zawsze. Jak Grünwald... Jak... wielu innych. Ile osób tu wrzucono? Sprawiedliwość przodków, nazwał to Werner. Lincz, nazywam to ja.

Barbarzyństwo.

Sześć liter: „śmierć”.

Gdybym nie zapuścił się w te makabryczne refleksje i wrócił po własnych śladach do wyjścia, pewnie uniknąłbym tego, co zdarzyło się chwilę później. Przez czysty przypadek zobaczyłem w jednym zagłębieniu skalnym skulone zwłoki.

Niemodne ubranie okrywało w fałdach resztki ciała. Kolana pod brodą. Prawa noga złamana w dwu miejscach.

Kości lśniły w świetle latarki.

– Witam cię, Oscarze – powiedziałem.

Jeziro odpowiedziało mi szmerem.

Miałem przed sobą wszystko, co pozostało po Grünwaldzie.

Plecak na piersiach, ramiona obejmujące kolana, głowa odchyłona w bok, opadła szczeka. Ukarane dziecko. Pokonany mężczyzna.

Skazany na wieczną ciemność we wnętrzu Bletterbach.

Pomyślałem, ile wycierpiał tutaj, w jaskini, ze złamaną nogą, wlokąc się na oślepie w poszukiwaniu ratunku. Pomyślałem o ciemnościach, które go dopadły, o jego halucynacjach, o jego szaleństwie. Obłąkany człowiek wpakowany do najokrutniejszej celi.

Morderca, to prawda. Ale nikt nie zasługuje na karę aż tak okrutną. Poczuję litość.

I zgrozę na myśl o tym, co zrobił mu Werner z przyjaciółmi.

Nie wiem, jak długo stałem nad szczątkami Oscara Grünwalda, wiem tylko, że kiedy długa na dwadzieścia centymetrów stonoga wypełzła z jednego z oczodołów, które mnie zahipnotyzowały, szarpnąłem się z odrazą do tyłu, zaskoczony tym, co zobaczyłem. I straciłem równowagę.

Wpadłem do jeziora, a latarka wyślizgnęła mi się z ręki. Jezero przykryło mnie z głuchym szmerem. Próbowałem złapać powietrze, ale tylko zachłysnąłem się wodą. Stałem się ślepy i głuchy.

Przemieszało się to, co nade mną, z tym, co pode mną.

Poruszałem ramionami i nogami, te ruchy były chaotyczne, gwałtowne, paniczne, więc tylko zanurzałem się coraz głębiej z płucami i żołądkiem pełnymi tej płynnej trucizny o smaku żółci.

Wszystko było czarne, wszystko było mroczne.

Działąłem instynktownie i instynkt ocalił mi życie. Wyzbyłem się plecaka ze sprzętem, zajęła się nim siła ciężenia. Wyczułem, że idzie na dno. Siebie wobec tego pchnąłem w przeciwnym kierunku. Żeby wypłynąć, musiałem wzniesić się parę metrów. Na przekór jezioru, które by mną zawładnęło.

Kiedy znalazłem się na powierzchni, dyszałem i długo wypluwałem wodę, ale zamiast poruszać rękami i nogami, leżałem bez ruchu.

Po kolei, mówiłem sobie. Na razie oddychaj. Rozejrzyj się wokół siebie. Wycuj, gdzie jest brzeg. I dopłyn do niego najszybciej, jak potrafisz.

Latarka na kasku raz działała, raz nie. Chyba nią o coś uderzyłem, kiedy wpadałem do wody. Wysyłała krótkie przerywane błyski (światło, ciemność, światło, ciemność), które rozjaśniały czarną i nieruchomą wodę migotaniem i przeszkadzały oczom przywyknąć do ciemności. Jednak w trakcie jednej z tych cennych sekund, gdy świeciła, wydało mi się, że widzę brzeg, więc zacząłem płynąć w jego stronę. Powoli i systematycznie odgarniałem wodę ramionami.

Jednak.

To nie był brzeg. To było coś zimnego i śliskiego. Góra lodowa, pomyślałem. Tylko góra lodowa. Ale ta góra się poruszała. Coś pod wodą otarło się o moje kolano.

Światło, ciemność, światło, ciemność.

Ta rzecz, której dotknąłem, była wielka i biała, a kiedy kolejny błysk ją oświetlił, zaczęła się *zanurzać*. W ciemności usłyszałem szmer wody, która zasklepiąta się nad nią. Jakby to była ogromna biała ryba.

A może...

Mój krzyk powtórzył chór odbijającego się od skały echa, tysiące pogłosów, które zdawały się szydzić z mojego lęku. Głos tych ukaranych kobiet z Siebenhoch. Drwiący śmiech wieźm tutaj pogrzebanych. Chyba coś takiego musiał usłyszeć Günther. Słyszał to także Oscar Grünwald, zanim zmarł skulony w tej straszliwej szczelinie skalnej, jakby... Jakby zobaczył coś okropnego poruszającego się w wodzie. Coś wielkiego i zimnego. Po raz drugi poczułem, że coś dotyka mojej nogi, tym razem mocniej. Szarpnąłem się i przez ten ruch znowu zanurzyłem się razem z głową. W tym momencie zaświeciła się pod wodą latarka. Rozbłysło światło.

Zobaczyłem coś białego. Ogromnego.

*Jaekelopterus rhenaniae*.

Kopnąłem to.

Wydostałem się na powierzchnię, na powietrze. Oddychałem z trudem.

Płynąłem. Jak najdalej od tego czegoś. Nie wracając myślą do tej białej, oślizgłej rzeczy o łacińskiej nazwie, która chwyciła mnie za but. Ani do jej szczypiec rozwierających się na czterdzieści sześć centymetrów. Ani do jej rozmiarów. Do tego dwuipółmetrowego skorpiona wodnego. Ani do jego oczu okrągłych, czarnych, nieziemskich, z których biło coś nie do zniesienia.

Drapieżnik liczący sobie miliony lat.

Nie. Lepiej właśnie wniknąć w to myślą.

Jakoś to sobie ułożyć.

Jak polował *Jaekelopterus rhenaniae*? Napadał nagle i ranił śmiertelnie jak rekin? Czy raczej jak krokodyl? Uchwyciłby mnie za nogę, a potem poczułbym, jak szczypcy łamią mi kości i przecinają ścięgna? Czy wciągnąłby mnie w głąb, żebym najpierw utonął?

Sprawa wyglądała jeszcze gorzej: skorpion gdzieś się zapodział.

Dlaczego dotąd mnie nie zaatakował?

Nie myśl o tym, do cholery!

Nie było żadnego potwora. Niemożliwe, żeby był. Wcale nie miałem pewności, że go widziałem. Białego potwora w wodzie czarnej jak atrament. Tylko zdawało mi się, że go zobaczyłem. Jedyna szansa na to, żeby nie oszaleć, mieściła się w tych prostych dwunastu literach: „zdawało mi się”.

Woda miała smak żółci, mdliło od niej. I było mi zimno. Płynąłem, starając się utrzymać ten sam kierunek. Przecież to tylko podziemne jezioro, a nie ocean. Prędzej czy później dopłynę do czegoś, czego będę mógł się uchwycić. Płynąłem i w końcu ręka uderzyła o twardą skałę. Wydostałem się wycieńczony na brzeg.

Nie miałem pojęcia, gdzie się znajduję, wiedziałem tylko tyle, że muszę się ruszać. Byłem mokry, mogłem umrzeć z wyziębienia. Muszę koniecznie iść przed siebie, ale w którą stronę?

Każda była tak samo dobra.

Więc szedłem.

Ciemność wdarła mi się pod skórę, zagarniała mnie.

Mój głośny oddech stał się oddechem Bletterbach.

Czas wygasał, w końcu przepadł na dobre.

Wkrótce kompletnie wyczerpany osunąłem się na ziemię. Może wyjście z jaskini było o kilka kroków ode mnie, ale bez światła nie miałem szans go dostrzec. Daremnie starałbym się go szukać. Utknąłem w labiryncie.

Zastoniłem twarz dłońmi.

Pomyślałem o Clarze. O Annelise.

– Wybaczcie mi – powiedziałem.

Wiedźmy szydziły ze mnie. Z mojej głupoty.

Pewnie usnąłem, nie pamiętam.

Zbudziło mnie straszliwe dudnienie. Usłyszałem jakiś ryk i zerwałem się na równe nogi. Drżałem.

To nie były halucynacje słuchowe. To był odgłos czegoś, co przemieszczało się niepowstrzymanie po powierzchni wody, bijąc czymś, co musiało być ogonem.

Długi ogon pokryty łuską. Oczy jak czarne studnie. Szczypce jak ostrza. Nadciągał.

*Jaekelopterus rhenaniae*.

Tak oto kończy się żałosna historia Jeremiasza Salingera, pomyślałem.

Pożarł go potwór stary jak świat.

Wybuchnąłem śmiechem, nie mogłem się powstrzymać.

Oto najgłupsza śmierć, o jakiej kiedykolwiek słyszałem.

– Podejdz bliżej, łajdaku! – wrzasnąłem.

Hałas się przybliżał. Gwałtownie.

Szedł za mną. Potwór wcześniej śledził wszystkie moje ruchy. Czekał, bym całkiem opadł z sił. Żebym pogrążył się w rozpacz. Cierpliwy, bezlitosny. I wreszcie mnie dopada.

Był przebiegły, jak każdy nikczemnik.

– Dalej, kanalio!

Oparłem się o skałę, próbując wymacać ręką jakiś kamień, żeby się nim bronić. Nie zamierzałem się łatwo poddawać. Kiedy *Jaekelopterus* mnie zaatakuję, pokażę mu, że to już nie są jego czasy. On już wymarł. Nie istniał. Już było po nim.

Palcami natknąłem się na coś cenniejszego niż kamień do obrony. Dotknąłem wykutego w skale znaku.

Kilka prostych kresek w gładkiej ścianie skalnej. Trzy trójkąty ustawione wierzchołkami do góry. Znak pozostawiony przez człowieka, na pewno. Geometryczny. Nic w naturze nie mogło wykuć symbolu z taką precyzją. To los podsuwał mi broń, ofiarowywał mi, co miał najlepszego.

Nadzieję.

Dotykałem tego znaku gorączkowo.

Ryk *Jaekeloptera* wciąż rozbrzmiewał w pobliżu. Pięć metrów ode mnie. Może mniej. Kilka centymetrów od głębokich wrębów znaku zahaczyłem ręką o jakiś metalowy trzpień.

Hałas zmienił się w grzmot.

O metr ode mnie.

Poczułem krople brudnej wody na twarzy.

Krzyknąłem i uskoczyłem w bok, uchwyciwszy się z całych sił sterczącego żelaza. Naderwałem coś w plecach. Ból natychmiast sięgnął szyi. Zataczałem się, chwiałem, straciłem równowagę, czepiłem się trzpienia jak najmocniej. Uderzyłem kaskiem o skałę i latarka nagle zaczęła świecić.

I co zobaczyłem?

Olbrzymi blok lodu płynący po powierzchni wody. Oberwał się i płynął. Nic więcej.

## 5

Ten żelazny trzpień z pewnością wbili górnicy, oni też wykuli te trzy trójkąty. Ci ostatni górnicy pracujący w kopalni miedzi, która zawaliła się w latach trzydziestych. W taki sposób oznaczali drogę ucieczki albo kierunek przejścia, żeby nie zgubić się w tych skalnych wnętrzościach, które sami tworzyli. Zazwyczaj takie znaki miały formę małego krzyża. Albo inicjałów, albo innych symboli związanych z tożsamością tych, którzy je wykuwali, lub z miejscowością, z której pochodzili. Forma znaku była mało ważna. Każdy z takich symboli w skale reprezentował *nadzieję*.

W dalszym ciągu dotykałem skały jaskini i w końcu natrafiłem na wejście do jakiegoś korytarza, a nad wejściem był wykuty ten sam symbol. Szalałem z radości. Wszedłem w ten otwór bez wahania.

Musiałem pełznąć na kolanach, a i tak ocierałem się głową o skałę. Latarka znowu zapalała się i gasła. Nic mnie to nie obchodziło. Nadzieja dodała mi energii. Poza tym wyczuwałem, że wreszcie pełznę w górę.

Nic nie mogło mnie zatrzymać. I nic mnie nie zatrzymało.

W pewnej chwili poczułem czysty, orzeźwiający powiew.

Kiedy zobaczyłem światło dzienne przez niewielki otwór u góry, zacząłem płakać. Podpełzłem do tego otworu, ale od razu się osunąłem. Upadłem, poraniłem sobie rękę. Spróbowałem raz jeszcze i raz jeszcze. Połamałem paznokcie, przeklinałem, dyszałem. W końcu chwytając się węzłowatych korzeni kasztanowca, dźwignąłem się do źródła światła.

Kiedy wydostałem się na powierzchnię, krzyknąłem tak głośno, że cały wąwóz rozbrzmiał echem mojego krzyku.

Tarzałem się w śniegu, rozkoszując się zimnem, które tutaj wydawało się tak czyste, że mąciło w głowie. Powietrze, którym oddychałem, było słodkie jak miód. Słońce mnie oślepiło. Było blade, jakby już zachodziło. Dziwiło mnie, że je widzę. Kiedy spojrzałem na zegarek, zorientowałem się, że to



moje błąkanie się we wnętrzu góry trwało tyle co nic. I zaczął mnie przenikać chłód.

Rzeczywistość wzięła górę.

Nie miałem sprzętu, byłem mokry, bliski zapaści. Musiałem się ruszać. Wspiąłem się z trudem na kasztan, którego korzenie mnie uratowały. Uchwyciłem się grubego rozgałęzienia i usiadłem na nim okrakiem. Popatrzyłem na wąwóz z góry i od razu zobaczyłem szlak turystyczny Bletterbach z pięknymi białymi i czerwonymi tabliczkami, które przestrzegały przed zagrożeniami. Zwyczajne przedmioty wykonane przez miejscowego stolarza.

Wydały mi się arcydziełem godnym muzeum.

## 6

Wjechałem na podjazd przed domem, dziwiąc się, że takie banalne zdarzenie wydaje mi się czymś cudownym. Z okien biło miłe, ciepłe światło. Wyłączyłem silnik.

W oczach pojawiły mi się łzy, a w tej samej chwili Clara odsunęła firankę i pomachała do mnie. Za nią zobaczyłem twarz Annelise.

Była przepiękna.

Wysiadłem z auta.

Otworzył mi Werner. Popatrzył na moją twarz z zadrapaniami i sińcami. Potem na spuchnięte i poranione ręce. Otworzył szeroko oczy. Chciał coś powiedzieć. Dałem mu znak, żeby nic nie mówił.

Wyciągnąłem do niego rękę, odwzajemnił ten gest.

Słowa nie były tu potrzebne.

Ominąłem go i podszedłem do Annelise. Stała jak skamieniała. Miała twarz zmarłej.

– Kocham cię.

Tylko to powiedziałem.

## 7

W nocy zaczekałem, aż Annelise zaśnie, wstałem z łóżka, poszedłem do gabinetu i zamknąłem za sobą drzwi. Włączyłem komputer i uzupełniłem plik.

A potem wyrzuciłem go do kosza.

Skończyło się.

# Ojcowie

## 1

Ostatnie dni marca spędziłem w łóżku, wysoka gorączka zmieniła mnie w cień człowieka. Nie pomagały mocne środki zbijające temperaturę; choroba tylko po części dała się wytłumaczyć fizycznie. Zejście do wnętrza Bletterbach odebrało mi wszystkie siły i moje ciało potrzebowało czasu, by wyzerować licznik i na nowo ruszyć z miejsca.

Spałem mało, jeśli zasypiałem, to na bardzo krótko. W snach wracałem do jaskini. Widziałem znowu źrenicę ciemności, szczątki Grünwalda, a potwór wyłaniający się z wody nie był bryłą lodu: miał paszczę, szczypce i łacińską nazwę. Budziłem się zagubiony i przerażony, ale potem zaraz wracało poczucie bezpieczeństwa.

Leżałem w domu.

A dom to była Clara, która zaglądała do sypialni ze zmartwioną miną i przynosiła orzeźwiające napoje albo sok wyciśnięty z owoców. Choć gorączka odebrała mi smak, wypijałem wszystko do ostatniej kropli, by nie robić córce przykrości.

– Smakuje ci, tato?

– Bardzo, skarbie – odpowiadałem, chociaż zbierało mi się na mdłości.

– Chcesz, żebym ci zmierzyła gorączkę?

– Chcę, żebyś mnie pocałowała.

I całowała mnie nieskończoną ilość razy.

Od czasu do czasu, gdy Annelise jechała na zakupy, Clara wchodziła do mnie na palcach i siadała na brzegu łóżka. Opowiadała mi bajki i głaskała po głowie, jakby to ona była dorosłym, a ja dzieckiem wymagającym troskliwej opieki. A wiele razy po prostu siedziała bez ruchu i mi się przypatrywała.

Czy można wymyślić czulszą scenkę?

Annelise nigdy mnie o nic nie pytała. Była opiekuńcza, uważna i zmartwiona. Wiedziałem, że pytania zostały odłożone na później, wyczytałem to z jej oczu. Najpierw miałem wyzdrowieć.

I wyzdrowiałem.

## 2

Spadła mi gorączka. Jeszcze miałem zawroty głowy i ogólnie czułem się tak, jakby przejechał po mnie walec drogowy. Ale oczy już mi nie łzawiły, gdy czytałem gazetę, a ból głowy odzywał się tylko trochę, w okolicy karku. Wrócił mi apetyt. Annelise podsuwała mi wiele różnych przysmaków, na wszystkie miałem ochotę. Z radością zaznałem wreszcie czegoś, co nie było bólem.

Po kilku dniach kręcenia się w szlafroku po domu odważyłem się wyjść na zewnątrz. Ciągnęło mnie na świeże powietrze. A jeszcze bardziej do marlboro.

Włożyłem dzinsy, sweter i ciężkie buty, a na to puchową kurtkę i przekroczyłem próg domu ze zdecydowaniem godnym Harrisona Forda wyruszającego na poszukiwanie Świętego Graala. Niepewnym krokiem doszedłem do furtki. Dotknąłem jej i zawróciłem. Byłem z siebie zadowolony i pozwoliłem sobie na papierosa, którego wypaliłem, siedząc na schodkach przed domem.

Słońce było już wysoko, świeciło mocno, jak nie świeciło od wielu miesięcy, a wiatr przynosił zapachy lasu. Wiosna nadciągała na dobre. Na polach leżały jeszcze płaty śniegu, zwłaszcza na poboczach szosy, gdzie spychacze uformowały z niego brudne zaspę, przyroda jednak wyraźnie ożywała.

A ja wraz z nią.

Nagle spostrzegłem, że za mną stoi Annelise.

– Chyba muszę ci wszystko wyjaśnić – powiedziałem.

Zgarnęła z wdziękiem spódnice, usiadła obok mnie i oparła mi głowę na ramieniu.

Rozległ się niepewny śpiew kosa, zatrzepotały jakieś skrzydła. Jastrząb krążył wysoko po niebie pełnym białych, niespiesznych obłoków.

– Powiedz mi tylko jedno, Salinger – poprosiła Annelise. – To już koniec?

Odwróciłem do niej głowę.

Popatrzyłem jej w oczy.

– To już koniec.

Rozpląkała się. Objęła mnie. Patrzyłem na obłoki.

Mogłem ich dotknąć ręką.

### 3

Dwa dni później byłem u tego samego lekarza, który postawił mnie na nogi po wypadku piętnastego września. Kiedy mu się przyznałem, że nie

zażywałem leków psychotropowych, które mi przepisał, wpadł we wściekłość.

Przeczekalem w milczeniu ten atak; z pewnością wyglądałem wtedy jak zbity pies. Kiedy wreszcie się uspokoił, wyjaśniłem, że chcę zacząć leczenie na nowo, choć prawdę mówiąc, nigdy go nie rozpocząłem. I po to do niego przyjechałem.

Muszę się pozbierać, powiedziałem mu, myślałem, że potrafię pomóc sobie sam, ale mi się nie udało. Nie zamierzałem łykać psychotropów, żeby zmienić się w biednego szczęśliwego głupka (na te słowa zrobił się czerwony), ale już czas najwyższy przepędzić koszmary i ataki paniki.

W pewnym sensie targowaliśmy się, co wyglądało komicznie, bo przecież ten człowiek w białym kitlu nie starał się wcisnąć mi używanego samochodu ani abonamentu telewizji kablowej, tylko chciał mi naprawić życie.

Przepisał mi lekkie środki przeciwbólowe i nowe środki nasenne, żebym wreszcie miał spokój w nocy. Kiedy się rozstawaliśmy, jego twarz wyrażała wielki znak zapytania.

Rozumiałem wątpliwości lekarza, jednak nie mogłem mu wytłumaczyć prawdziwego powodu mojej determinacji. Tamto już się skończyło. Historia Bletterbach, historia masakry w Bletterbach była już tylko plikiem w koszu mojego laptopa. Była dokumentem już zamkniętym.

Poradziłem sobie z nią.

Opowiedziałem w niej o losach Evi, Markusa i Kurta. A także o losach Wenera, Hannesa, Günthera, Maksa, Vereny, Brigitte, Manfreda, Luisa, Elmara. Sporządziłem biografię Siebenhoch.

Nikt nigdy nie miał jej przeczytać i nigdy nie miałem nakręcić filmu o tych przeklętych wypadkach, ale jakie to miało znaczenie? Dowiedziałem sobie samemu, że jeszcze potrafię robić to, co najbardziej lubię: opowiadać historie.

Teraz należało przewrócić stronę.

#### 4

– A z tobą zostanie Frau Gertraud – powiedział Werner. – Lubisz Frau Gertraud, prawda, Claro?

Clara popatrzyła najpierw na mnie, potem na Annelise i niepewnie wyraziła zgodę.

– Ona przeczytała wszystkie książki na świecie.

Werner rozłożył ręce.

– Widzicie? Kłopoty pokonane. Przyjedziecie do mnie na kolację?

Annelise zdumiało to zaproszenie, ale nie dała tego po sobie poznać

i odpowiedziała najzwyczajszym: „Czemu nie?”.

– Kochana dziewczyna – rzucił Werner i przytulił ją do siebie.

Po chwili wsiadł do swego jeepa i odjechał.

– Co to może znaczyć? – spytała Annelise, kiedy weszliśmy z powrotem do ciepłego wnętrza.

– Skąd mogę wiedzieć.

– Spędziliście wiele czasu we dwóch.

– To prawda.

– Chyba o czymś rozmawialiście.

Objąłem ją ramieniem.

– Ile razy muszę ci powtarzać, skarbie? Mężczyźni nie rozmawiają. Mężczyźni coś mamroczą i piją piwo. Przepraszam: grappę.

Nie rozśmieszyło jej to.

– Werner bardzo lubi bawić się z Clarą. Wydaje mi się dziwne, że...

Wszedłem jej w słowo.

– Zamiast zadawać sobie tyle pytań, czemu nie nastawiasz się na to, że czeka cię przyjemny wieczór? – powiedziałem.

Werner o niczym mi nie mówił, ale wyczuwałem, co chodzi mu po głowie i co obmyślił sobie na ten wieczór. Nie ukrywam, że byłem zaniepokojony. Ale udawałem, że myślę o czymś innym.

Byłem wesoły, gadatliwy. Pomogłem Clarze wybrać strój na jej dzisiejsze spotkanie z Frau Gertraud, bibliotekarką z Siebenhoch, która podjęła się roli opiekunki. Zanim gdzieś około siódmej przyjechała kobieta w lodenowym płaszczu, Clara co najmniej trzysta razy zmieniła koncepcję stroju (dżinsy i sweterek wydawały się jej zanadto domowe, zieloną sukienkę wkładała tylko na kolację w restauracji, więc może trzeba się zdecydować na czerwoną...), a ja, chociaż zachowałem pozory bez troski, byłem napięty jak struna w skrzypcach.

Czekała nas, Annelise i mnie, nie jakaś zwyczajna kolacja u Wenera, tylko pożegnanie, które doda dobre kilka zmarszczek na twarzy kobiety, którą kochałem.

Zacisnąłem zęby.

## 5

Werner otworzył drzwi, uścisnęliśmy sobie ręce. Szukał mnie wzrokiem, a ja go wzrokiem unikałem.

Gadaliśmy o Nowym Jorku, o Siebenhoch. Rozmowa zeszała na Clarę, która

od września miała pójść do szkoły. I na Frau Gertraud.

Wszystko przebiegało najzwyczajniej w świecie.

Werner schudł, co było wyraźnie widać, ale kiedy poszedł do kuchni, by przynieść z lodówki deser, udawałem, że dziwią mnie takie nieuzasadnione uwagi mojej żony.

„Werner? – zapytałem. – Myślę, że czuje się całkiem dobrze”.

Że jest tylko trochę połamany jak te połamane zombi na fotografiach z pudła w kształcie serca.

Tak tylko pomyślałem, nie powiedziałem tego. Ale pomyśleć, pomyślałem.

Kiedy skończyliśmy deser, Werner podał Annelise małą paczuszkę. Prezent.

– To dla ciebie. Ode mnie i od Herty.

Zamrugła, była zaskoczona.

– Co to?

– Rozpakuj.

Popatrzyła na mnie, próbując się zorientować, czy wiem, co jest w paczusce... Nie wiedziałem. Ten gest Wernera i mnie zaskoczył.

Annelise rozwiązała wstążeczkę, rozłożyła bibułę. W pudełku był zegarek kieszonkowy. Okrągły, z białą tarczą. W srebrnej kopercie gdzieniegdzie zarysowanej. Godziny były oznaczone rzymskimi cyframi, wskazówki miały kształt gotyckich strzał.

Annelise patrzyła na zegarek zdezorientowana.

– Co ja mam z tym zrobić, tato?

– Będzie twój – odpowiedział jej z powagą Werner.

– Dziękuję, ale przecież...

Wreszcie Annelise dostrzegła poważny wyraz twarzy ojca.

Zaczyna się, pomyślałem.

Odrobinę mi ulżyło. Moja rola w tym przedstawieniu była już skończona.

Mogłem zejść ze sceny, skryć się za kulisami i przygotować się do pozbierania kawałków serca mojej żony, które zaraz pęknie.

– Ten zegarek jest w naszej rodzinie od ponad stu lat. Popatrz na kopertę.

Annelise przeczytała na głos wygrawerowaną datę:

– Dwunasty lutego 1848.

Werner kiwnął głową.

– To był prezent ślubny. Od tamtego dnia zegarek przechodził z ojca na dziecko. Dlatego teraz daję go tobie.

– Jest przepiękny, tato, ale...

– Trzeba o niego dbać, ma delikatny mechanizm. Co wieczór musisz go nakręcać, jak robili to Mairowie aż do dziś. Inaczej może się popsuć.

– Tato...

Annelise zbladła.

Werner uśmiechnął się do niej czule, z nieskończonym cierpieniem.

– Umieram, kochane dziecko.

Annelise położyła zegarek na stole, jakby się go nagle przestraszyła.

– Mój czas się skończył. Dlatego przekazuję ci ten zegarek. Wiesz, dlaczego trzeba go co wieczór nakręcać? Bo dzięki temu docenia się upływ minut. Dokładnie te słowa usłyszałem od ojca, kiedy mi go dawał. Nie mam pojęcia, gdzie wyczytał to zdanie. A może sam je wymyślił, któż to może wiedzieć? Zawsze byliśmy trochę dziwaczni, my, Mairowie. Trochę zwariowani i trochę naiwni. A ojciec na pewno chciał mi powiedzieć, że do czasu trzeba się odnosić z szacunkiem.

– Tato – wyszeptwała Annelise ze łzami w oczach. – Ty nie umierasz naprawdę. Ty jesteś Werner Mair, nie możesz umrzeć. Wszyscy w Siebenhoch tak myślą, ty... ty...

Werner skinął głową.

– Pamiętasz, że po upadku na strychu pojechałem do lekarza? A on zrobił dokładnie to, co lekarze zawsze robią w takich okolicznościach, to znaczy odesłał mnie do kolegi, ten do następnego i tak dalej. Tyle że twarz każdego następnego robiła się coraz bardziej smutna, jak pysk muła. W końcu ten ostatni nie mógł się już wykręcić i musiał stawić czoło sytuacji, więc ujawnił diagnozę. Mam raka kości. Nie da się tego operować. Nie da się wyleczyć.

Jakby jakiś niewidzialny wampir wyssał do ostatniej kropli krew z Annelise.

– Nie możesz mnie zostawić samej – wyszeptwała.

– Nie zostawiam cię samej, moje dziecko. Masz męża, masz córeczkę. Masz swoje życie. – Wziął ze stołu zegarek, włożył do jej dłoni, a potem ją zacisnął. – Masz jeszcze tyle do zrobienia – ciągnął. – Tyle wspinaczek przed tobą. Tyle bitew do wygrania albo do przegrania, żeby zdobyć trochę więcej mądrości. Jestem pewien, że los ma dla ciebie w zapasie wiele słonecznych dni, żeby ich ciepło ogrzewało cię wtedy, kiedy czas liczymy już w minutach, a nie w latach. A na koniec weźmiesz ten zegarek, zapakujesz go, na pewno ładniej niż ja, i podarujesz Clarze.

– Ale ja... – zaczęła Annelise, potrząsając głową – ja nie wiedziałabym, co jej powiedzieć... Ja... – Mówiła tak, jakby chciała przekonać chorobę, żeby zostawiła Wernerowi więcej czasu.

– Kiedy przyjdzie ten dzień, będziesz wiedziała – odpowiedział jej Werner.

Annelise rzuciła mu się na szyję, jak to robiła Clara ze mną, kiedy była

wystraszona. Tyle tylko że ta zapłakana dziewczyna obejmująca ojca nie była już dzieckiem, była dorosła, była kobietą, którą kochałem i którą miałem chronić od zła.

A tej powinności nie mogłem sprostać.

Diabeł zawsze śmieje się ostatni, mówił krampusmeister.

Wstałem, czując się jak nurek na dnie morza.

Ojciec i córka mieli sobie jeszcze wiele do powiedzenia, wiele sekretów do wyznania, wiele łez do wylania wspólnie. Prosiłem Boga, kiedy już zostawiłem ich samych, żebym kiedyś wobec Clary umiał zachować taką pogodę ducha, z jaką Werner wyjaśniał Annelise najważniejszą tajemnicę.

## 6

Cały następny tydzień Annelise krążyła po domu z zaczerwienionymi oczyma i zagubionym spojrzeniem. Jakbym mieszkał ze zjawą. Trudno było na nią patrzeć.

Zwłaszcza Clarze, która nie rozumiała, co się dzieje z matką.

– Mama jest chora?

– Pewnie się trochę podziębiła.

– Wyciśniemy jej sok z pomarańczy?

– Chyba nie będzie go chciała.

– A co by chciała?

– Trochę побыć sama.

– Dlaczego?

– Dlatego że dorośli czasami chcą być sami. Żeby coś sobie przemyśleć.

Potem, chcąc przerwać lawinę pytań, próbowałem Clarę czymś rozerwać. Przypomniałem sobie jakieś gry, zadawałem zagadki, zachęcałem do wymyślania najdłuższych słów świata, żeby tylko nie ciążył jej panujący w domu nastrój. Rozumiałem, co czuje Annelise, ale nie chciałem, żeby zamykała się w swoim cierpieniu i odpychała od siebie całą resztę świata.

Nie czas na to.

Pewnego wieczora, kiedy położyłem Clarę do łóżka, wziąłem Annelise za rękę.

– Nie możesz się tak poddawać, kochanie.

– Nie poddaję się – odpowiedziała rozgoryczona, jakbym jej przerwał bieg myśli.

– Nie, ty już opłakujesz swojego ojca – powiedziałem łagodnie.

– Pewnie, że opłakuję, Salinger – wybuchła. – On ma raka!



– Ale jeszcze żyje. Pamiętasz, co powiedział? Leki mu pomagają, prawie nie czuje bólu. Powinnaś wziąć to pod uwagę.

Annelise popatrzyła na mnie, jakbym przeklinał na głos w kościele.

– Po co?

– Żeby być przy nim – odpowiedziałem. – Bo najważniejsze, co możemy zrobić dla naszych ojców, to dopomóc im, by mogli nam zostawić po sobie jak najlepsze wspomnienia.

# W brzuchu Bestii

## 1

Dwudziestego kwietnia ktoś zadzwonił do drzwi w środku nocy. Natrętne dźwięki wyrwały mnie ze snu. Serce mi się tłukło, jakby miało wyskoczyć z piersi.

Zamroczony środkami nasennymi próbowałem pojąć, co się dzieje. Może wybuchł pożar i płonie całe Siebenhoch albo zaczęła się wojna, albo zdarzyła się jakaś apokaliptyczna katastrofa? Zbiegłem po schodach i otworzyłem, nawet nie pytając, kto tak się do nas dobija.

Postać, która wyłoniła się z ciemności, objęła mnie z niedźwiedzią siłą.

– Salinger! Zawsze gubię się w tej zmianie czasu, wiesz? – zawołał Mike. – A gdzie mój cukiereczek?

– Mike, Clara jeszcze...

Nie, już nie spała.

Sfrunęła po schodach, przeskakując po dwa stopnie naraz, i wylądowała w objęciach Mike'a, który uniósł ją do góry, a ona radośnie wołała:

– Wujek Mike! Wujek Mike!

Wykrzykników tego radosnego powitania nie dałoby się zliczyć.

Mike podrzucał Clare tak wysoko, że mogła uderzyć głową o sufit. Aby na to nie patrzeć i nie narażać się na zawał serca, chwyciłem dwie walizki, które mój przyjaciel zostawił na progu, i zamknąłem drzwi, odgradzając się od dotkliwego jeszcze nocnego zimna.

– Można wiedzieć, po jaką cholere przyjechałeś? – spytałem.

– Twój tata nie lubi wujka Mike'a – odpowiedział współnik nie mnie, tylko Clarze.

– Tata lubi wujka Mike'a – złagodziła jego sąd dziewczynka. – Tylko mówi, że wujek jest trochę... sześć liter.

– Co to takiego „sześć liter”? – Mike popatrzył na mnie.

– W twoim przypadku to „wariat”.

Mike chwycił Clare i znowu zaczął ją podrzucać.

– Wariat! Wariat! Wujek Mike to wariat!

Z każdym lotem Clary w stronę sufitu traciłem rok życia.

W końcu zostawił ją w spokoju i zaczął udawać, że okropnie go rozboleły plecy.

- I nie znajdzie się nawet piwo dla wujka Mike’a, mój cukiereczku?
- Teraz jest noc, wujku – odpowiedziała Clara nadzwyczaj rozsądnie.
- W innej części świata jest dopiero piąta po południu.

Dla Clary to zdanie było logicznie nienaganne, więc pobiegła do kuchni.

Widziałem już kobiety dojrzałe i przebiegłe, które podporządkowywały się absurdalnej logice Mike’a, więc dlaczego miałbym oczekiwać, że pięcioletnia dziewczynka wyłamie się z tej prawidłowości?

- Od kiedy na śniadanie pijesz piwo?

To już mówiła Annelise. Przyszła w szlafroku, włosy miała w nieładzie, a na twarzy serdeczny uśmiech. Mike ją objął i obsypał komplementami.

Podziękował Clarze za puszkę forsta i zwałił się, jeszcze w kurtce, na mój fotel na środku salonu.

- Co z tobą, współniku? – spytałem.

– To co z każdym, kto ma za sobą osiem godzin międzykontynentalnego lotu, cztery godziny jazdy pociągiem i nie najkrótszy kurs taksówką, za który coś niecoś zapłacił – odpowiedział, sącząc piwo. – A ponieważ zapomniałem wziąć od taksówkarza rachunek, to ile może kosztować taki nie najkrótszy kurs w dolarach? Tyle będziesz mi płacił, Salinger, zadłużyłeś się.

- Claro? – powiedziałem.

- Tak, tato?

- Przynieś mi, skarbie, naszą kasę pancerną.

Clara stała niepewna, nie wiedząc, co ma robić, i dopiero Annelise wyjaśniła jej, że nie mówiłem serio.

– Tata sobie żartuje, Claro – dorzucił Mike, wciąż sącząc forsta. – Tacie się wydaje, że jest śmieszny.

– Mogłeś zadzwonić – powiedziała Annelise. – Przygotowałam coś dobrego. Chcesz kanapkę?

- Wolałbym drugie piwo.

- Mowy nie ma.

- Popsułaś sobie notowania, *baby*.

- Mike?

- Słucham, współniku.

– Jest trzecia w nocy. Spałem z moją prawowitą małżonką pod ciepłą kołdrą, a ty zwałiłeś mi się na głowę i naruszyłeś moją prywatność, nie uprzedziwszy mnie nawet słowem.

- Ale mogłeś mnie już w progu zastrzelić.

- Z ochotą to zrobię. Córeczko?

- Tak, tato?

– Przynieś mi karabin.

Tym razem Clara połapała się, że żartuję, i wybuchnęła śmiechem.

Tata i wujek Mike wypadali w jej oczach, kiedy się trochę postarali, lepiej niż postacie z kreskówki.

– Chcesz, żebym ci wyjaśnił, dlaczego bez uprzedzenia naruszyłem twoją prywatność?

– Byłoby to uprzejme z twojej strony, zwłaszcza że w dodatku przywłaszczyłeś sobie mój fotel.

– Wypoczywałem sobie spokojnie w domu po wieczorze w pewnym lokaliku w Co-op City, a jest to miejsce niesłychane, mają zespół, który na żywo wykonuje covery The Stooges, i tancerki erotyczne nie do przecenienia. Pozwoliłem tam sobie na kilka piw, dużo gadałem z ludźmi i poznałem taką jedną blondynkę. Nie wyglądała źle, możecie mi wierzyć. Oboje zapragnęliśmy pojechać do mnie i...

– Dalsze szczegóły możesz sobie darować.

Mike popatrzył na Clare, która stała zasłuchana w jego monolog, jakby ją zahipnotyzował. Odchrząknął i ciągnął dalej:

– Jedziemy do mnie i już w domu opowiadam jej bajkę o lisie i winogronach. Cukiereczku kochany, znasz bajkę o lisie i winogronach?

– To ta bajka, co lis ma ochotę na winogrona, ale one wiszą za wysoko i wtedy on mówi, że na pewno są niedojrzałe, tak, wujku?

– Właśnie tak. Tyle że dzisiaj w mojej bajce lis jest stary, gnuśny i żonaty i dlatego kiedy jego przyjaciel Mike zaczyna opowieść o ostatniej kiści winogron, jaką przywiózł sobie do domu, to stary lis, gnuśny i żonaty...

– No i tu bajkę przerwij – ostrzegłem go.

Mike wyjął więc z kieszeni kurtki dwie koperty i jedną rzucił mnie, drugą Annelise.

– Czym nas straszysz?

– Zaproszeniami na premierę arcydzieła Mike'a McMellana i dychawicznego niestety Jeremiasza Salingera.

W kopercie był folder reklamowy premiery. Na okładce logo producenta. Wszystko na nim było zbyt kolorowe, zbyt jaskrawe. A przecież miało wyobrażać góry w śniegu.

I była data. Konkretna data: dwudziesty ósmy kwietnia.

Siedem dni później Mike opowiadał Clarze swoją osobistą wersję bajki

o Kopciuszku. Z tego, co zrozumiałem, kiedy wstąpiłem do jej sypialni, żeby ją pocałować na dobranoc, w bajce występowali: majątny adwokat z Manhattanu, dziennikarka z „Vogue’a” i wielki bulterier. Do Mike’a nie docierało to, że bajki mają ułatwiać dzieciom zasypianie, ale przyjemnie mi było słyszeć, jak Clara pęka ze śmiechu.

Annelise, przepasana fartuszką, kończyła zmywanie naczyń. Sięgający policzka kosmyk włosów ciągle jej przeszkadzał. Wyglądała prześlicznie.

Zapaliłem papierosa.

– Przyjedzie pełno głupców – uzaliłem się.

– Wiem.

– Głupców, którzy wypisują głupoty.

– To tautologia.

Odchrząknąłem.

– Będziemy uciekać w środku nocy. Będą chcieli postawić nam szubienicę.

– Nie przesadzaj.

– Nie przesadzam. Tak będzie.

– Przesadzasz na pewno.

– Gdybym chciał przesadzać, tobym powiedział: podpalą nam dom, wbiją mnie na pal, na szpic dzwonnicy, a kiedy już zemrę, zrobią sobie z mojego tyłka barbecue.

– Nic złego się nie stanie. Będziesz tylko musiał ścisnąć i ścisnąć ręce i odpowiadać na pytania, na które już setki razy odpowiadałeś.

– To Mike jest reżyserem – jęknąłem. – On nawet lubi ścisnąć ręce. Ale pamiętasz, jak wyszło ostatnim razem, kiedy też musiałem odpowiadać na pytania?

Annelise skrzywiła się, przypomniawszy sobie to nasze wystąpienie, na którym dorobiłem się pozwu sądowego (przez sąd odrzuconego) i trwającej trzy dni migreny.

– To ty jesteś gwiazdą.

– Po cholere mi być gwiazdą. Wolę być dezenterem.

– Salinger...

Podniosłem ręce, poddawałem się.

– Okej, okej...

– Żadnych „okej, okej”, rozumiesz? Nie po to wydałam pięćset euro na sukienkę, żebyś mi popsuł zabawę swoim lamentowaniem, rozumiesz?

Co powiedziawszy, wróciła do zmywania tłustej patelni. Kolację zrobił Mike, a kiedy Mike brał się do kucharzenia, cholesterol nie posiadał się z radości.

Chwilę milczałem, słuchając śmiechu Clary i odgłosu zmywanych sztućców oraz zadając sobie po raz setny pytanie, dlaczego ani ja, ani Annelise nie korzystamy z tej nowoczesnej maszyny zwanej zmywarką. Pewnie z jakiegoś snobizmu. Pewnie z takiego samego jak ten, który skłoni zgromadzonych na premierze dokumentu gości do kopania mnie w dupę przez najbliższe dwa lata. Już czułem te kopniaki.

– Przestań i tyle – zawołała z nagłą Annelise.

Zerwałem się z miejsca.

– Co mam przestać?

– Przeżuwać to w sobie. Z daleka widzę, że przeżuwasz.

– Nie przeżuwam.

Annelise zostawiła patelnię, otarła ręce o fartuszek i usiadła naprzeciwko mnie.

– Musisz, Salinger. Musisz się tam stawić.

– Dlaczego?

– Z trzech powodów.

– Aha, aż z trzech? – próbowałem kpić.

Ale Annelise była poważna.

– Po pierwsze – powiedziała – jesteś to winien Mike’owi. Pracował jak wół, do skutku. Bronił cię zapamiętałem, a dobrze wiesz, że to nie szło jak po maśle.

– No tak.

– Po drugie, jesteś to winien sobie. Musisz postawić pod tym słowo „koniec”. Dopiero wtedy poczujesz się lepiej.

Próbowałem się uśmiechnąć. Nie wyszło. Miałem sucho w ustach.

Zgasiłem papierosa. Może rzeczywiście czas najwyższy skończyć z całym tym gównianym zamętem.

– Po trzecie: jesteś to winien im.

– Im?

– Tak, *im*.

### 3

Nasz producent wytoczył ciężką artylerię. Plakaty na wszystkich ulicach, banery i cała masa rozmaitych sztuczek, które K.K. przygotował na tę okazję. W internecie umieścił coś, co nazwał „bombardowaniem wirusem”, zgodnie z dyktatem marketingowej wojny partyzanckiej. Mnie to wszystko wydało się jak oberwanie chmury bredni, ale kimże byłem, żeby to osądzać?

Senne miasteczko Bolzano patrzyło ze zdumieniem na te przygotowania do

premiery *W brzuchu Bestii* i na ten najazd różnorodnej fauny krytyków (ci w T-shirtach pod marynarkami byli krytykami telewizyjnymi, ci z podkrążonymi oczami – krytykami filmowymi), dziennikarzy (ci, co się przechwalali, prezentowali dzienniki lokalne, ci, co polowali na sushi – krajowe, a ci, co parskali śmiechem – prasę spod znaku flagi w gwiazdki i pasy), starletek („Mike?” – „Słucham cię, współniku” – „Co to za okaz ta Linda Lee?” – „Zagrała w kilku *postępowych* filmach” – „Z tymi głowicami nuklearnymi w miejscu biustu?” – „Miej litość, współniku, my się z Lindą przyjaźnimy”) i bardziej lub mniej kuriozalnych osobników, którzy błakali się pod portykami i pod zabytkami z nawiedzonym i trochę spłoszonym spojrzeniem. Ludność miejscowa nie miała nic przeciwko temu tłumkowi, co stwierdziłem, kiedy już jechaliśmy autem wypożyczonym wraz z kierowcą do kina, w którym miało się odbyć całe to wydarzenie. Jednak pod koniec jazdy zauważyłem czerwony napis wielką czcionką, który jakiś skrzątny woźny magistratu próbował zmyć. Napis krzyczał: „Salinger morderca”.

– To także chwyt K.K.? – spytałem Mike’a.

– Zapewne, współniku, zapewne. Kto to powiedział: „ważne tylko, by powtarzali nazwisko”?

– Chyba towarzysz Beria. A może Walt Disney.

Mike ubrał się na ten wieczór wyjątkowo powściągliwie. Garnitur i krawat. Wyglądał jak nie on. Udawał rozluźnionego. Ale dobrze go znałem. Ciągłe wyłamywał sobie z chrzęstem kostki palców. A robił to tylko wtedy, kiedy miał ochotę krzyczeć.

Rozumiałem go, i to jak. Od rana nic nie jadłem, wypaliłem dwie paczki papierosów (żeby nam się powiodło), całe przedpołudnie coś mamrotałem, a całe popołudnie stroiłem się przed lustrem. Ostatecznie i ja wybrałem garnitur i krawat, dzięki czemu odmłodniałem we własnych oczach o trzydzieści lat, bo wyglądałem jak uczeń przystępujący do pierwszej komunii. Annelise zniosła to wszystko ze stoickim spokojem. W nowej sukience wyglądała wystrzałowo. Ale byłem tak podniecony, że niemal tego nie zauważyłem.

Clara natomiast była najzwyczajniej ożywiona. Błogosławione lata dzieciństwa.

Przypatrywała się wszystkiemu oczami wielkimi jak latarnie i ciągle zasypywała mnie pytaniami, podczas gdy auto z przyciemnionymi szybami (jeszcze jeden cyrk, jaki Kawał Kutasa wykoncypował w swoim wykoślawionym umyśle) przedzierało się przez tłum w centrum Bolzano. Połowa z tych ludzi nie ma pojęcia, kim jesteśmy, powtarzałem sobie,

a druga połowa ma nas za szakali. Jednak w gruncie rzeczy chyba tylko nieliczni zwrócili na nas uwagę. Tyle że moja paranoja osiągnęła już poziom alarmowy.

– Co to znaczy „K.K.”, tato?

Popatrzyliśmy z Mikiem na siebie.

– „Kochany Kolega”, skarbie – odpowiedziałem.

– Jeżeli to jest wasz kochany kolega, to dlaczego i ty, i wujek Mike ciągle go wyśmiewacie?

– Skarbie – wtrąciła się Annelise – pamiętasz, co sobie obiecałyśmy?

– Zachowuj się grzecznie. Tata tam jedzie, żeby pracować – wyrecytowała Clara.

– Znakomicie.

– Ale to nie jest prawdziwa praca.

Przy tych słowach nie umieliśmy z Mikiem powstrzymać śmiechu. Clara trafiła w sedno. To nie jest prawdziwa praca.

Dziennikarze czekali na nas na chodniku pod dwoma gigantografiami, bardzo *cool* i bardzo *minimal*, przedstawiającymi szczyty gór. Czerwona smuga, która je przecinała, była artystycznym ujęciem helikoptera EC135. Tak mnie zapewniał Kawał Kutasa. Był to wykwit geniuszu jakiegoś kalifornijskiego dizajnera, który brał kilka tysięcy dolarów za doradzanie. Ja widziałem w tym tylko czerwoną kreskę, i to źle narysowaną, ale jeżeli osobnik umie za coś takiego wyłudzić forszę, to czapki z głów. Trzeba docenić talent, jeżeli umie dać o sobie znać.

Samochód się zatrzymał.

Kierowca chrząknął.

– Trzeba wysiąść – powiedział Mike.

– Rozniosą nas na strzępy.

– Tak już jest. Zawsze.

– A nie można by zawrócić, współniku?

Mike popatrzył na mnie, dodał mi odwagi spojrzeniem i otworzył drzwi auta. Annelise uścisnęła mi mocno rękę. Odwzajemniłem się jej tym samym i powiedziałem do Clary:

– Daj mi coś, co przynosi szczęście, malutka.

Clara pocałowała mnie w czoło.

Jeżeli zechcecie wam się obejrzyć zdjęcia z tamtego wieczoru, zauważycie, że mam między brwiami coś w rodzaju serduszka. To ślad szminki mojej córki (tak, Annelise pomalowała jej usta *szminką*).

Czekał na nas jakiś chudy typ, którego nie znałem. Błysnęło trochę fleszy.



Mike wysunął dwa palce w geście rozpropagowanym przez Churchilla. Ja ograniczyłem się do tego, że nie uciekłem z prędkością światła. Muszę też powiedzieć, że z Annelise obok prezentowałem się nieźle. Dużo się witałem i dużo się wdzięczyłem.

W holu tłoczyła się publiczność. Wtopiliśmy się w wielojęzyczny tłum odprowadzani wzrokiem przez wszystkich. Poklepywanie po ramieniu, perfumy po tysiąc dolarów flakonik, ich różne zapachy tak ze sobą przemieszane, że aż mdliło.

Kawał Kutasa zamówił tu, na miejscu, dekorację świetlną w kształcie girlandy lampionów mających imitować łańcuch szczytów Rosengarten (choć Rosengarten nie miał nic wspólnego z naszym filmem). Światła dotkliwie biły mi w oczy przez cały czas, jaki Mike i ja z Annelise i Clarą obok spędziliśmy w holu, udając, że znamy każdego, kto się z nami witał.

– Salinger.

Mister Smith ruszył dupę z Nowego Jorku i jednak tu przyleciał. Byłem tym poruszony, a powinno mi to nawet pochlebiać.

Miał na sobie nienaganny smoking, a z kieszonki marynarki sterczało cygaro zamiast chusteczki. Potrząsanie moją ręką przedłużał, dopóki nie przestały błyskać flesze. Utył od czasu, kiedy widziałem go po raz ostatni.

Przez chwilę obawiałem się, że mu to powiedziałem.

– Co ty na to, chłopcze?

– Niezwykła sprawa.

Uśmiechnął się zadowolony.

– Przedstawiłem ci Maddie?

Maddie była pomarszczoną osobką w cukierkoworóżowym kostiumie. W lewej ręce trzymała martini, a prawą wyciągała jak do ucałowania.

– Maddie?

– Maddie Grady, „New Yorker”.

Coś ścisnęło mi żołądek. A kiedy Mister Smith się ulotnił, bo poszedł roztaczać swoje wdzięki przy bufecie, zobaczyłem, że Mike (dziewczyna, którą prowadził pod rękę, pewnie była Lindą Lee, sądząc z obfitości wylewającej się z jej dekoltu) zasłania sobie ręką usta, żeby nie było widać, że parska śmiechem, i żeby się nie wydało, że jest tym rozbawionym jaskiniowcem, jakim przecież był.

– Nie mogłem się doczekać chwili, kiedy poznam panią osobiście – powiedziałem.

Annelise zrozumiała mój sarkazm i ukradkiem mnie szczypnęła. Maddie Grady była autorką artykułu, który zdruzgotał i sponiewierał pierwszą serię

*Road Crew* z impetem eskadry atakujących stukasów.

Wiele nieprzespanych nocy kosztował mnie ten artykuł.

– Proszę mi wierzyć, panie Salinger, że ja także na to czekałam.

– Pozwoli pani, że jej przedstawię Mike’a, on...

– Znam McMellana. – Pomarszczona osóbką wykonała taki gest, jakby odpędzała muchy w stronę Mike’a i jego towarzyszek z wybujałym biustem. – Powiem panu, że nie przyleciałam tutaj dla znakomitego specku i waszego filmu. Przyleciałam dla pana, panie Salinger – oświadczyła, przyklejając się do mojego ramienia i wymuszając na mnie, żebym ją podtrzymał. – Mogę mówić do pana Jeremiaszu?

– Mów do mnie Plissken – wyszeptałem cicho, przypominając sobie *Ucieczkę z Nowego Jorku*.

– Słucham?

– Powiedziałem: proszę bardzo, pani Grady.

– Panno. Ale wystarczy Maddie, Jeremiaszu. Mówmy sobie na ty.

Wychyliła kieliszek do dna i ruchem prestidigitatora ściągnęła drugi z tacy przechodzącego kelnera (ubranego w strój ratownika z Ratownictwa Alpejskiego w Dolomitach, za który to pomysł najchętniej bym K.K. udusił). Potem przeszła Annelise lodowatym wzrokiem.

– Skarbie? Będzie ci smutno, jeśli porwę ci narzeczonego?

– Pobraliśmy się – rzuciła Annelise, nie tracąc pewności siebie. – Proszę bardzo. To jest bądź co bądź jego wieczór.

– Jeszcze nic nie piłeś, Jeremiaszu?

– Przed chwilą przyjechałem. I wolałbym się wykręcić od alkoholu. W tym napięciu... wiesz, jak to jest...

– Ach, to głupstwa, mój drogi – zaszcebiotała, podając mi martini. – Jak powiada mój trzeci mąż, nie ma czegoś takiego, od czego kieliszek *marsjanina* nie umiałby cię uwolnić.

Tak właśnie wyraziła się o napoju: marsjanin.

Dopiero teraz się przeraziłem.

Z maestrią *grand dame* Maddie zaprowadziła mnie do ustronnego kąta, gdzie mieliśmy udawać, że nikt nas nie widzi, chociaż oboje dobrze wiedzieliśmy (ja z konsternacją, ona zadowolona jak krwiożerczy rekin), że większość publiczności już komentuje nasze prywatne *rendez-vous*.

– Jesteś bardzo nerwowy, Jeremiaszu?

– Nie zanadto. No a marsjanin to zawsze marsjanin – powiedziałem, trącąc się z nią swoim kieliszkiem.

– Dam głowę, że odniesiecie sukces. Ten narwany McMellan nie chciał mi

pokazać nawet jednego ujęcia.

– Przypuszczam, że Mister Smith mu zakazał.

– Mister Smith? Tom jest moim trzecim mężem, gotów byłby tu wszystkich zaszcześcić, gdybym go o to poprosiła.

Była pijana, a zarazem niesłuchanie przytomna.

– Jak się z tym wszystkim czujesz? – spytała.

Trochę zwlekałem z odpowiedzią.

– To będzie w wywiadzie czy zostanie między nami?

– Zależy od tego, jak mi odpowiesz, *chéri*.

– Jestem trochę oszołomiony, ale szczęśliwy. Tak powinno było się stać, żeby ludzie, a szczególnie ludzie stąd, dowiedzieli się, jak naprawdę potoczyły się wtedy wypadki. – Przełknąłem ślinę. – Wiele niedorzecznych plotek wypisywano o piętnastym września – dodałem, starając się, by wypadło to bezstronnie, zawodowo. – Czas, żeby wyszła na jaw prawda.

– Zapamiętam to. *A off the record?*

– Jestem przerażony, Maddie.

– Po tym, co zwojowaliście z serialem *Road Crew*? Jedno z dwojga cudownych dzieci, którym zazdrości całe Wschodnie Wybrzeże, jest przerażone? Premierą?

– Ludzie za wiele zmyślali na temat tej sprawy. Trochę moich ran jeszcze się nie zagoiło. – Wolałem nie dostrzegać, jakiego rodzaju światło zapala się w oczach Maddie. – Na szczęście mam żonę. Pomogła mi nadzwyczajnie, ale tamto, co się wydarzyło... – załamał mi się głos. – Sama zaraz zobaczysz.

Maddie wychyliła kieliszek do dna, ani na chwilę nie odrywając ode mnie wzroku.

– Zobaczę, oczywiście.

– A teraz, jeśli...

Przerwała mi. Nie palcami, tylko szponami wczepiła mi się w ramię.

– Widzę, że twoja urocza żoneczka zaraz się nabawi skurczu szyi, bo tak bardzo się stara pokazać, że nie interesuje jej nasze małe *tête-à-tête*, ale chcę ci wykraść jeszcze sekundkę. Nie widzę tu nikogo z Ratownictwa Alpejskiego w Dolomitach. Domyślasz się dlaczego?

Pięścią w splot słoneczny.

Wiedźma wiedziała, jak uderzyć, i to niezawodnie. Nie przypadkiem jej pióra bało się jak ognia całe Wschodnie Wybrzeże, a pewnie także i Zachodnie, by użyć jej słów.

Uratowała mnie konnica. Przygalopował malutki szwadron kawalerii wzrostu metr trzydzieści. Clara, nie przejmując się moją rozmówczynią,

pociągnęła mnie za nogawkę. Miała zakłopotaną minę, ale chciała zwrócić na siebie uwagę.

– Wujek Mike mówi, że musimy iść. Już się zaczyna.

# Wer reitet so spät durch Nacht und Wind?

## 1

Nie pamiętam, co mi się śniło, chyba coś okropnego, bo kiedy się obudziłem, poduszka była mokra. Musiałem płakać. Dokuczał mi tak silny ból głowy, że zbierało mi się na wymioty. Zamknąłem oczy i chwilę odczekałem, żeby świat się pozbierał, a ja wraz z nim.

Po projekcji filmu piłem, piłem za dużo. Niewiele, a raczej nic nie pamiętam z *after show*.

Końcowe napisy, smutne i przedłużające się, z dedykacją: „Pamięci bohaterskich pracowników Ratownictwa Alpejskiego w Dolomitach”, i oklaski, z początku dość niepewne, a potem entuzjastyczne.

Mike rozglądał się dokoła, podniesiony na duchu, a ja myślałem, że ten frenetyczny zalew hałasu to nic innego jak szyderczy śmiech Bestii. Annelise pocałowała mnie w policzek, a potem czym prędzej pochyliła się i zaczęła pocieszać Clare, która zgubiła opaskę na włosy.

Nie wiem, czy przyczynił się do tego aplauz, czy widok mojej córki szlochającej w objęciach matki, ale wypłem za dużo, a kiedy Maddie Grady włożyła mi do ręki kolejny kieliszek z marsjańskim drinkiem, wlałem go w siebie jednym haustem.

Potem było już tylko gorzej.

Z jazdy do Siebenhoch zostały mi w pamięci jakieś skrawki. Postój przed hotelem, w którym Mike z Lindą Lee mieli świętować dalej. Szosa zatopiona w ciemnościach, sylwetka kierowcy obok mnie, Clara śpiąca na kolanach Annelise odpowiadającej wyrozumiale na pytania pijanego męża, których treści nie zapamiętałem, wiem tylko, że do znudzenia ciągle ją o coś pytałem.

Schody.

Łóżko.

## 2

Powoli bolesne pulsowanie w skroniach zaczęło ustawać. Spostrzegłem, że leżę w łóżku sam.

W sypialni było zimno.

Wstałem, zwlekając się z pościeli jak stuletni starzec. Sprawdziłem okno.

Było zamknięte. Ale na korytarzu paliło się światło. Może Annelise zeszła do kuchni, żeby coś przegryźć, a może chrapałem tak głośno, że wołała wstać i przespać się w gabinecie na składanym łóżku. Poczułem wyrzuty sumienia.

Cicho, na palcach, poszedłem do łazienki, umyłem twarz, zażyłem jakiś środek przeciwbólowy. Napiłem się wody. Poprawiłem przed lustrem włosy, żeby jako tako wyglądać.

W gabinecie się świeciło. Drzwi były przymknięte. Zapukałem.

– Annelise?

Nie odpowiedziała.

Annelise nie było. Komputer na biurku był włączony, dioda pulsowała. Kliknąłem myszką. Kiedy ekran się obudził, musiałem przytrzymać się biurka, żeby nie upaść. Za wiele godzin spędziłem przed tym dokumentem, żeby go w jednej chwili nie rozpoznać. Były tu wszystkie notatki, które sporządziłem od tego dnia, kiedy doszło do mnie kilka zdawkowych słów w Centrum Turystycznym, aż po wrażenia z wnętrza Bletterbach, nie pomijając zjaw w Siebenhoch, śmierci Brigitte i kolejnych opowieści Wenera i Maksa. Plik o masakrze w Bletterbach. Ten, który wyrzuciłem do kosza na pulpicie, ale którego z głupoty nie skasowałem.

Annelise go przeczytała.

I już o wszystkim wie.

Poznała prawdę o Kurcie, Evi i Markusie. O człowieku, którego nazywała ojcem, i kobiecie, którą nazywała matką. O śmierci Oscara Grünwalda. O sprawiedliwości przodków.

O moich niedotrzymywanych przyrzeczeniach.

– Annelise? – zawołałem. Zabrzmiało jak błaganie.

Nie było odpowiedzi.

Dom był pogrążony w ciszy. Zszedłem boso na dół. Miałem jakby przytkane uszy, wszystkie odgłosy docierały do mnie przytłumione. Zobaczyłem, że drzwi wejściowe są otwarte na oścież. Wiał silny wiatr. W przedsionku stała woda. Padało. Chmury tworzyły na niebie ciężki ołowiany nawis. Poczułem ucisk w żołądku.

– Annelise? – jęknąłem.

Nie wiem, jak długo sterczałem w drzwiach jak sparalizowany. Otrzeźwił mnie zaspany głos Clary.

– Tato?

– Wracaj do łóżka, malutka.

– Co się stało, tato?

Wyrzuciłem z płuc całe powietrze, głęboko wciągnąłem nową porcję

i odwróciłem się do córki. Musiałem wydać się jej spokojny. Musiałem być silny. Uśmiechnąłem się do niej, a ona uśmiechnęła się do mnie.

– Wszystko w porządku, osiem liter.

– Dobrze się czujesz, tato?

– Trochę się przejadłem. Zrobię sobie herbatę i pójdę do łóżka. Ty jeszcze śpij.

Bawiła się kosmykiem włosów.

– Clara – powiedziałem – idź do łóżka, proszę cię.

– Drzwi są otwarte, tato. Deszcz tu zacina.

– Do łóżka!

Pewnie powiedziałem to ostrym tonem, bo Clara otworzyła szerzej oczy.

– A gdzie mama?

– Do łóżka, malutka.

Clara pociągnęła mocno pasmo włosów i jakoś się uspokoiła.

Poszła. Zostałem sam.

– Annelise?

Odpowiedziało mi echo dudniące jak grzmot. Podeszedłem do drzwi. Pod stopami poczułem zimną wodę, poślizgnąłem się i o mało nie upadłem. Wyrząłem na zewnątrz.

Samochodu nie było.

Pamięć ociąga się z odtwarzaniem tych kilku minut, kiedy czułem tylko niepokój i wyrzuty sumienia. Wiem jedynie, że w końcu ubrałem się, a potem z komórką w ręku słuchałem głosu Maksa.

– Spokojnie, Salinger, nie histeryzuj i powiedz mi po kolei, co się stało.

– Annelise – powiedziałem. – Bletterbach.

Nie wiem, ile Maks mógł z tego zrozumieć, ale musiał się przestraszyć, bo odpowiedział:

– Zaraz tam będę.

Wyłączyłem komórkę. Jeszcze się w nią wpatrywałem, zanim ją położyłem na szafce.

– Skarbie – powiedziałem, wchodząc do sypialni Clary.

Leżała skulona jak embrion pod kołdrą. Wydała mi się znacznie mniejsza niż inne pięcioletnie dzieci. Trzymała palec w ustach.

– A mama? – spytała z nadzieją w głosie.

Usiadłem przy niej na łóżku, chociaż wszystko we mnie krzyczało i nakazywało czym prędzej biec i szukać Annelise.

– Pojedziemy i ją przywieziemy.

– Gdzie teraz jest?

– U dziadka.

– Po co?

Na to nie umiałem odpowiedzieć.

– Musimy się ubrać. Zaraz przyjedzie Maks i musimy być gotowi.

Może Clara chciała mnie jeszcze o coś spytać, ale nie spytała. Milczała też, kiedy ją ubierałem.

Potem reflektory jeepa straży leśnej rozświetliły ciemność pod domem, a my z Clarą staliśmy już gotowi do drogi, okutani w grube nieprzemakalne kurtki.

Maks wysiadł, nie wyłączając silnika. Tylne światła barwiły na czerwono kłęby spalin, które wydostawały się z rury wydechowej i przybierały demoniczne kształty. Poprowadziłem Clarę do samochodu i poprosiłem, żeby wsiadła.

– Annelise wie o wszystkim – powiedziałem Maksowi.

– Jak to się stało?

– Przeczytała moje notatki.

Maks zgrzytnął zębami.

– Jesteś idiotą.

– Musimy jechać.

– Do Wenera?

Przytaknąłem.

### 3

Annelise nie było w Welshboden. Dom Wenera był pogrążony w ciemności.

Jeepa mojego teścia także nie było, a nasze auto stało z otwartymi drzwiami. Nikt nie mógł nam nic wyjaśnić.

Poczułem łzy w oczach. Otarłem je grzbietem dłoni. Nie chciałem, żeby Clara to zobaczyła. Już i tak była dość wystraszona.

– Chyba się domyślasz, gdzie pojechali – powiedziałem do Maksa, patrząc gdzieś przed siebie.

Nie odpowiedział. Zawrócił i ruszył w stronę Bletterbach.

Odważyłem się spojrzeć na Clarę i wyjaśniłem:

– Jedziemy na wycieczkę, osiem liter.

– Tato, przecież pada. – Clara pochyliła głowę i dodała cicho: – Chcę wrócić do domu.

Wyciągnąłem rękę do tyłu, pogłaskałem ją po policzku.

– Zaraz wrócimy.



– Chcę do mamy.  
– Zaraz, malutka. Zaraz.  
Czułem, że głos mi się łamie.  
– Lubisz muzykę, Clara? – spytał ją Maks.  
– Lubię.  
– Włączył radio. Rozległy się pogodne dźwięki. Śpiewał Louis Armstrong.  
– Tę piosenkę najbardziej lubię – powiedział Maks i zaśpiewał: – *When the Saints Go Marching In...*  
Ślad uśmiechu ukazał się na buzi Clary.  
– Trochę fałszuję?  
– Trochę.  
– To dlatego, że to dla mnie za niska tonacja – odpowiedział Maks. Ale śpiewał dalej, darł się na całe gardło.  
Clara nawet odrobinę się śmiała, zatykając sobie uszy.  
Popatrzyłem na Maksa z wdzięcznością i oparłem głowę o zagłówek. Środek przeciwbólowy już działał. Z mocnego bólu zostały tylko resztki.  
Na zewnątrz jeepa deszcz i ciemność. W środku Louis Armstrong.  
To było jakieś szaleństwo. Po prostu szaleństwo.  
Kiedy znaleźliśmy się pod ogrodzeniem Centrum Turystycznego, zobaczyliśmy, że jeep Wenera stoi zaparkowany ukośnie, a brama jest na oścież otwarta.  
Maks wyłączył silnik. Muzyka się urwała.  
– Mamy dwie możliwości – powiedziałem.  
– A nawet trzy – dodał Maks. – Trzecia to nie ruszać się stąd i czekać.  
Ciągnąłem, jakby tego nie powiedział:  
– Do jaskiń albo... tam.  
Tam, gdzie wszystko się wydarzyło. Na polanę, gdzie zginęli Kurt, Evi i Markus. Gdzie Annelise urodziła się na nowo.  
– Możemy zostać tutaj – powtórzył Maks. – Z Clary.  
Potrząsnąłem głową. Nie. To by była strata czasu. Otworzyłem tylne drzwi.  
– Pójdiesz z nami?

Byliśmy przemoknięci po stu metrach. Padało tak, jakby ulewa chciała zatopić cały świat i nas razem z nim. Dotychczas deszcz był dla mnie czymś całkiem innym. Niedogodnością, z którą dzięki parasolowi lub wycieraczkom samochodowym łatwo było sobie poradzić. Tamtej nocy zobaczyłem, czym

deszcz jest naprawdę. Lodowatą wodą, która lśni w ciemności i nie przynosi nowego życia, przynosi śmierć. Podmywał korzenie drzew, zatapiał zwierzęta w norach. Wsiąkał w ubrania, odbierał ciepło. A ciepło to życie.

Dokoła nas huczał wąwóz Bletterbach. Nie rozbrzmiewał tu pojedynczy głos, tylko chór czy też orkiestra, w której jeden instrument nagle dołączał do innych, tworząc kakofonię chwilami wręcz nie do zniesienia. Szum deszczu zmieniał tonację zależnie od powierzchni, o jaką uderzał. Głucho dudnił o liście kasztanowców, dźwięcznie o igły świerków. Chrapliwie tłukł o skały.

Wiele odgłosów, a tylko jedna przestroga: Bletterbach mówił, żeby nie rzucać mu wyzwania.

Ale mnie nic nie mogło powstrzymać.

Gdzieś tam, w głębi wąwozu, była Annelise (dobrze wiedziałem gdzie). Zraniona. Jeżeli nie na ciele, to na pewno na duszy. Doszło do tego z mojej winy.

Clara trzymała mnie za rękę, szła z pochyloną głową. Stawiała szybkie kroki, błoto oblepiało jej przemoknięte spodnie. Chciałem ją nieść, ale się nie zgodziła. Nie nalegałem, żeby nie tracić czasu, ale obiecałem sobie, że przy pierwszych oznakach jej zmęczenia namówię ją, by pozwoliła sobie pomóc.

Czasami słyszałem, że coś cichutko nuci. Zawsze w ten sposób dodawała sobie odwagi. Zazdrościłem jej tego. Ja miałem przed sobą tylko prowadzącego nas Maksa i ciemność przecinaną błyskawicami.

Próbowałem przypomnieć sobie dokładnie twarz Annelise. Piegi na nosie, szczególny sposób wyginania szyi, kiedy chciała mnie pocałować. Nie szło mi to. Wracał wyraźnie tylko ten bolesny moment, kiedy stawiała mi swoje ultimatum. Albo ona, albo historia masakry. Wybrałem zmarłych, a zmarli zemścili się, odbierając mi ją.

Ta myśl nie była mądra. Zmarli to tylko zmarli. Pamiętałem napis na ścianie toalety w Red Hook: „Życie jest do dupy, ale śmierć jeszcze bardziej”.

Evi, Kurt i Markus nie byli odpowiedzialni za to, co się teraz działo.

To ja byłem za to odpowiedzialny.

To ja zapomniałem (a może się nie odważyłem?) zniszczyć plik z notatkami. To moja wina, że Annelise znalazła ten plik.

Ale co skłoniło Annelise do otworzenia mojego laptopa w środku nocy i przeszukania go? Zwykle to ja węszyłem po kryjomu – na przykład za prezentami pod choinkę, zanim je dostałem – a nie Annelise. Powody, które ją skłoniły do naruszenia mojej *privacy* (i to z taką determinacją, że przeszukała nawet kosz w komputerze), musiały być poważne.

Takie jak...

Nagle się zatrzymałem.

Clara omal przez to nie upadła.

– Salinger? – odezwał się Maks.

Szedł przed nami niecałe dwa metry, ale jego sylwetka wtapiała się w ciemność.

– Wszystko okej. Tylko...

Tylko że kiedy się upijam, kiedy upijam się na umór, nie po trzech czy czterech kieliszkach i nawet nie po sześciu czy siedmiu, ale kiedy już Marsjanie zaciągają mnie na swój kosmiczny statek i przewożą mnie na rollercoasterze, to wtedy mówię.

Mówię przez sen.

– Tato?

Clara patrzyła pod nogi.

– Wybrudziłam buty.

– Oczyścimy je.

– Mama się będzie gniewać.

– Mama będzie szczęśliwa, że nas widzi.

Szliśmy tak przez trzy kwadranse, zanim Clara potknęła się i upadła. Szybko ją podniosłem i otarłem jej buzię chusteczką, którą podał mi Maks. Nie zraniła się, nie dostrzegłem krwi i nie płakała. Dzielna dziewczynka.

– Teraz będziemy szli w górę – zapowiedział Maks, wskazując na gęste dęby, znad których wystawało kilka świerków. – Jeszcze kawał drogi przed nami, Salinger. Chyba co najmniej dwie godziny marszu. Może i więcej, i to w ulewie. A Clara to jeszcze dziecko – dodał, patrząc na mnie wymownie.

– Prowadź, Maks.

Maks westchnął i ruszył ścieżką w górę.

– My też musimy tak iść? – spytała Clara.

– To na pewno będzie zabawne.

– Tam jest mama?

– Na pewno. Ale żebyśmy tam doszli, musisz mi pomóc, malutka.

– Co mam zrobić?

– Wezmę cię na barana, a ty musisz się mnie mocno trzymać. Potrafisz?

## 5

Dwie godziny później musiałem się zatrzymać. Byłem wykończony. Posadziłem Clarę na pniu zwalonej sosny, pod ogromnymi paprociami.

Clarze zamykały się oczy, a mokre włosy wymykające się spod kaptura

przyklepiły się do policzków. Serce mi się krajało na ten widok.

Była szósta rano, ale o świetle słonecznym nie było mowy. Deszcz bez przerwy zacinał. Tak już przywykłem do grzmotów, że właściwie ich nie słyszałem.

Maks podsunął mi termos. Podałem go Clarze, a potem sam się napiłem. Herbata była słodka, wzmacniająca.

Piekły mnie mięśnie na plecach i nogach.

Maks popatrzył na zegarek.

– Dwie minuty odpoczynku i w drogę. Jest za zimno.

Położyłem się na ziemi mimo błota.

– Jeszcze ci nie podziękowałem, Maks.

– Za co?

Wskazałem na siebie i Clarę, potem na cały Bletterbach.

– Za to.

– To tylko akcja poszukiwawcza. Najgłupsza w całym moim życiu.

– Nazywaj to, jak chcesz, a ja i tak jestem ci coś winien.

– Postaraj się nie dostać zawału i pilnuj, żeby dziecku było ciepło, wtedy uznam, że spłaciłeś dług.

Przycisnąłem Clarę do piersi. Zdążyła zasnąć.

– Ile jeszcze? – spytałem Maksa.

– Niewiele. Gdyby było jasno, już byśmy to miejsce widzieli.

– To powinniśmy ich już słyszeć.

– W tym hałasie? – Szef Krün potrząsnął głową. – Nawet gdyby mówili przez megafon, nie słyszelibyśmy. Ruszaj się. Szkoda czasu.

Podciągnąłem Clarę, która trochę mi się osunęła, ale nie otwierała oczu, i bardzo mnie zaboląły plecy. Przegięło mnie do tyłu.

– Poniosę ją – powiedział zaniepokojony Maks. – Zgadzasz się, Claro?

– Tak, dobrze – wymamrotała dziewczynka.

– Podoba ci się mój kapelusz?

– Jest śmieszny.

Włożył jej kapelusz na kaptur. Chociaż wciąż się błyskało i grzmiało, a od skał odrywały się kamienie, roześmiałem się.

– Do twarzy ci w nim, osiem liter. Może kiedy dorośniesz, będziesz wolała wstąpić do straży leśnej niż zostać lekarką.

– Nie wiem, czybym taką pracę polubiła.

– Dlaczego? – spytał Maks, ruszając dalej.

– Bo tam, gdzie pracuje lekarka, nie pada.

Poznałem tę polanę, chociaż nigdy tutaj nie byłem. Oczywiście dzięki policyjnym fotografiom, ale też dzięki opowieściom Wenera.

Kasztanowiec był potężniejszy, niż go sobie wyobrażałem. Kilka jodeł musiało się przewrócić i osunąć razem z urwiskiem, bo jego skraj w porównaniu z fotografiami z osiemdziesiątego piątego roku wyraźnie się przybliżył.

Annelise i Werner siedzieli pod tym samym występem skalnym, pod którym rozbili namiot Kurt, Evi i Markus. Werner był odwrócony plecami do skały i głaskał Annelise po głowie, a ona wtulała się w niego. Podniósł rękę, żeby nas pozdrowić, i łagodnie potrząsnął ramieniem córki.

Clara wyrwała się z rąk Maksa i pobiegła do Annelise, która obsypała ją pocałunkami.

– Znowu jesteśmy tutaj – powiedział Werner, wstając. Miał zaczerwienione oczy. Przywitał się z Maksem.

– Czy kiedykolwiek stąd odeszliśmy, Wernerze? – odpowiedział szef Krün.

– Nic mi nie powiedziałaś – szepnęła Annelise, obejmując mnie.

– Nie chciałem...

Bez pośpiechu oderwała się ode mnie.

– Czego nie chciałeś?

– Żebyś cierpiała.

Annelise otarła łzy.

– Tata opowiedział mi wszystko.

– Co ci opowiedział dziadek, mamó?

Annelise pogłaskała Clarę po głowie.

– Jaka ty jesteś mokra, skarbie.

– Co ci opowiedział dziadek?

– Piękną bajkę – wyjaśniła Annelise. – Historię myśliwego, który ocalił księżniczkę, bo wyrwał ją z rąk potwora. – Popatrzyła na Maksa. – Historię *czterech* myśliwych – poprawiła się. – Wenera, Günthera, Hannesa i Maksa.

– A potwór?

– Potwór powrócił tam, skąd przyszedł.

Popatrzyła mi w oczy.

– Wiem o tym z pewnego źródła.

– A ja... – zacząłem.

Annelise pocałowała mnie w policzek.

– A ty byłeś lekkomyślny.

Miałem wrażenie, że góry są naelektryzowane.

Wyczuwałem tutaj to, co Werner starał się mi wytłumaczyć całe wieki temu. Czułem, że Bletterbach jest wrogi. Wrogi i wiekowy. Liczący miliony lat cmentarz, gdzie monstrualne istoty wydawały ostatnie tchnienie.

Przyszła mi na myśl krew Kurta, Evi i Markusa.

Kto wie, czy jakaś jej cząstka nie pozostała tutaj, w tej części wąwozu, którą miejscowi nazywali głębiną. Oczywiście nie materialnie. Wiatr, śnieg i deszcz usunęły stąd przez tyle lat nawet najmniejszy ślad DNA rodziców Annelise. Ale może coś niklejszego, jakaś drobina tego, co nazywamy duszą, jeszcze tu było i kiedy żona mnie pocałowała, pomyślałem, że dzięki temu, pomimo wrogości Bletterbach, grzmotów i zimna, dusze Kurta i Evi w tym momencie zaznały spokoju. Dzięki Annelise.

I dzięki wnuczce, której nie dane im było poznać.

– Ile liter ma słowo „koniec”, malutka?

Dziewczynka odpowiedziała natychmiast:

– Sześć.

– Wiesz co, Clara? Musisz mnie objąć. Chcesz?

Clara podbiegła do mnie, a ja, jak to robiłem nieskończoną ilość razy i jak nieskończoną ilość razy chciałbym robić w przyszłości, podniosłem ją i przycisnąłem do siebie. Pod zapachem błota i potu wyczułem zapach jej ciała i zamknąłem oczy.

Ten zapach był szkatułką, w której przechowywałem wszystkie najszczęśliwsze chwile mego życia. Zimną pizzę o piątej rano podczas zdjęć do *Road Crew*, *Fight Club*. *Mein liebes Fräulein...* Ciepłe tony *Nebraski* w tle. „Tak” Annelise w *Hell’s Kitchen*. Dziewięć miesięcy ciąży. Moje odbicie w lustrze, kiedy mamrotałem to dziwne słowo „tata”. Szeroko otwarte oczy Mike’a, który nagle zamilkł, kiedy mu oznajmiłem, że wkrótce zostanę ojcem i że on będzie...

## 7

Nagle coś mi w mózgu zaskoczyło, zrobiło *klik*.

## 8

Zmroziło mnie. Postawiłem Clarę na ziemi.

Już nie było Bletterbach. Nie było nawet deszczu. Było tylko to kliknięcie.

I wspomnienie szeroko otwartych oczu Mike’a.

– Trzeci stycznia 1985 – powiedziałem łamiącym się głosem. – Trzeci

stycznia, Wernerze. – I ta nienawiść. Nienawiść.

– Trzeci stycznia – powtórzył zdumiony Werner. – Tak, data prawdziwych narodzin Annelise, ale...

Nie wysłuchałem go do końca.

Kliknięcie dołączyło do innego kliknięcia i do jeszcze innego. Lawina, która z impetem waliła się od a, by dotrzeć do z w jednym oślepiającym rozbłysku grozy.

Rocznice urodzin i trójkąty skierowane wierzchołkami ku górze. I dusza człowieka, którą nieubłagany upływ czasu uczynił obojętną jak skała. Jak skała, którą tak bardzo, jak tu w Bletterbach, przesyciła nienawiść, że wydobyła z głębi na światło dzienne to, co niewysłowione, a co jest pogrzebane w sercu każdej ludzkiej istoty.

Wydobyła istotę zła.

– Co wyście zrobili...? – szepnąłem.

Werner patrzył na mnie. Patrzył tymi jastrzębimi oczami, które nie widziały. Które przez trzydzieści lat nie zobaczyły. Tak bardzo były zaślepione miłością do Annelise, że nie dostrzegły tego, co oczywiste. Tak jak oczy Günthera zniewolonego przez demony i oczy jego brata Manfreda przesłonięte poczuciem winy i dążeniem do sukcesu. Ślepe jak oczy Hannesa przymglone uprzedzeniami, a potem unicestwione przez stratę i cierpienie.

Nikt z nich nie widział.

A wyjaśnienie było zawsze tutaj, jaśniało w pełnym świetle. Przez cały czas.

Smagnięcie.

Adrenalina.

Podniosłem głowę, coś krzyknąłem. Uchwyciłem wielką gałąź kasztana i odłamałem ją, raniąc sobie ręce. Trzymałem ją mocno jak maczugę.

– Annelise! – zawołałem. – Zabieraj Clarę. Uciekaj.

– Salinger... – jęknęła Annelise. – Uspokój się, nie szalej.

– Wracajcie do domu. Natychmiast.

Usłyszałem, że Clara zaczyna płakać.

Zgrzytnąłem zębami.

– Jeremiaszu – powiedział Werner – rzuć tę gałąź.

– Przesuń się, Wernerze... nie chcę cię zranić. Ale jeśli zbliżysz się o krok, coś ci zrobię.

– Boże święty, chłopcze... – wykrztusił Werner, nic nie rozumiejąc. – Co ci się stało?

– Masz ze sobą linę?

- Tak, w plecaku.
- To ją wyciągnij. Jest potrzebna.

Werner chwilę patrzył na mnie zdumiony.

- Do czego jest potrzebna?

– Musisz go związać.

- Kogo mam związać?

– Maksa. Potwora z Bletterbach. Mordercę Evi, Kurta i Markusa.

Wymieniałem ich imiona i czułem, jak po każdym wzrasta moja furia.

A kliknięcia dołączały jedno do drugiego.

- To jakieś szaleństwo, Jeremiaszu – zaczął perswadować Werner. – Mordercą był Grünwald. Zwariował. Dobrze o tym wiesz. On...

– Grünwald chciał ich obronić.

- Przed kim?

– Przed *Jaekelopterusem rhenaniae* – wyrzuciłem z siebie.

- To wszystko jest jakimś...

– Grünwald – odpowiedziałem, nie odrywając oczu od Maksa, który wciąż stał nieruchomo – naprawdę wierzył, że w Bletterbach jeszcze żyją potwory. Wiedział, że Evi i Kurt mają się tu wybrać na wycieczkę, a kiedy usłyszał, że w tym rejonie zanosi się na kataklizm, wyobraził sobie, że podziemne jeziora mogą zalać wąwóz i że mogą tu wypłynąć *Jaekeloptery*. Wysłał telegram i sam czym prędzej tu przyjechał. Był wariatem, ale w jego szaleństwie nie brakowało logiki. Prawda, szefie Krün?

- Nie wiem, o czym mówisz – rzucił spokojnie Maks.

Rozjuszył mnie jego spokój.

- Trzeci stycznia, Maks! – krzyknąłem. – Na cztery miesiące przed masakrą. Cztery miesiące!

Czy to możliwe, że ani Annelise, ani Werner jeszcze nic nie rozumie?

A wszystko było tak niesłychanie oczywiste.

– Wiesz, co natychmiast przyszło mi do głowy, kiedy Annelise powiedziała, że jest w ciąży? Że muszę się zaraz podzielić tą nowiną z Mikiem. Dlatego że się przyjaźnimy, a człowiek zawsze dzieli się z przyjaciółmi dobrymi wiadomościami. Kontakt z Evi i Kurtem utrzymywaliście jedynie ty i Markus. Dlatego jedynie wy w Siebenhoch wiedzieliście, że urodziła się Annelise. Evi i Kurt byli twoimi przyjaciółmi. Wiedziałeś o dziecku. Ale nie powiedzieliście o tym Hannesowi ani Wernerowi, kiedy ruszaliście na wyprawę ratowniczą. Dlaczego? Przecież już nie miało sensu utrzymywać tego w tajemnicy.

Werner zbladł.

- Co ty mówisz, Jeremiaszu? – wybełkotał.



Nie rozumiał.

A raczej nie chciał rozumieć.

Bo konsekwencje mojego wnioskania były potworne.

– Wiesz, Maks, za co mi płacą? Żebym układał opowieści, które zaczynają się od a i kończą na szczęśliwym z. Tutaj tym a był dźwięk telefonu trzydzieści lat temu. Po jednej stronie linii telefonicznej byłeś ty, a po drugiej... Pewnie Kurt. Co ci powiedział? Co ci mówiła Evi? Może zresztą zaczyna tę opowieść Markus, bo jest w siódmym niebie. Puka do ciebie, żeby cię zawiadomić, że Evi jest w ciąży, tylko że nikt nie może o tym wiedzieć. Nieważne zresztą, jak to się zaczęło. I nie sędzę, żebyś już wtedy postanowił ich zabić. Nic takiego.

Teraz wszystko było już takie oczywiste.

– Kiedy urodziła się Annelise, wsiedliście do pociągu i pojechaliście do Innsbrucka. W styczniu? W lutym? Ważne jest tylko to, że kiedy zobaczyłeś dziecko, kiedy wzięłeś je na ręce, jasno zrozumiałeś, że Evi już nigdy nie będzie twoja. Nigdy w życiu. Bo przecież ją kochałeś, prawda? Ale ona wolała Kurta i miała z nim dziecko. Już nie mogłeś dłużej się okłamywać, łudzić, że może ich związek nie jest trwały, że się rozejdą. I to właśnie wtedy postanowiłeś ich zabić.

Od a do b.

Od b do c.

A potem...

– Ale nie zaraz. I nie tam. Tam od razu by cię zamknęli. Wsadziliby cię w mgnieniu oka. A nie chciałeś siedzieć. Więc w dalszym ciągu robiłeś dobrą minę do złej gry. Chciałeś to załatwić tutaj. I to z bardzo konkretnego powodu, prawda?

Maks pokręcił głową.

Grzmot wstrząsnął całym Bletterbach.

– Trójkąty – powiedziałem. – Trójkąty z wierzchołkami w górę. Ten znak uratował mi w jaskiniach życie. Trzy trójkąty z ostrymi wierzchołkami. W sumie: korona, taki jest ten znak. *Krone* po niemiecku, *Krün* w dialekcie. To twój dziadek wykuł te korony na ścianach kopalni, nie zaprzeczysz. To on miał tam doglądać bezpieczeństwa. Kopalnia i jaskinie tworzą labirynt, do którego nikt nie waży się wchodzić. Ty jesteś jedynym człowiekiem w Siebenhoch, który zna ten labirynt jak własną kieszeń. Już babka prowadziła cię tam ze sobą? Bo szaleństwo nie bierze się znikąd. Gromadzi się. Warstwa po warstwie. Potrzebuje czasu. Wielu lat. To ona w ciebie to wpoila, prawda? To od niej uczyłeś się urazów. Ileż nienawiści trzeba było

mieć w sobie, Maks.

Szef Krün nie reagował.

Miał na twarzy wyraz absolutnego zdumienia.

Godny Oscara.

A może rzeczywiście był zaskoczony.

Po trzydziestu latach ktoś odkrył prawdę.

– Szaleństwo się nawarstwia, a potem wdziera się nienawiść i wyzwała żądzę krwi. To proces długi i zimny. Czekaleś. Oni byli twoimi przyjaciółmi, dobrze ich znałeś. Widziałeś, że prędzej czy później Kurt i Evi wrócą w to miejsce, gdzie zaczęła się ich miłość. A ty znalazłeś tam doskonałe alibi: dużą odległość od Siebenhoch. Tutaj nikt nie mógłby cię aresztować. Trzeba było tylko cierpliwie poczekać, spokojnie, z zapamiętaniem. Nic cię nie nagliło. Bletterbach istnieje już miliony lat, a ty umiesz czekać. Ale wystarczyło poczekać tylko cztery miesiące. Ta nagła nawałnica zapewniała ci jeszcze mocniejsze alibi, niż mogłeś się spodziewać, prawda? Ale... – wykrzyknąłem – co się w tobie działo, kiedy niespodziewanie pojawił się Grünwald? Kiedy popsuł ci już wykonany plan?

Podszedłem do niego o krok.

Trzeba było kończyć. Zaatakować go.

– Ile czasu potrzebowałeś, Maks, żeby dojść tutaj? – spytałem. – Ile czasu potrzeba, żeby dotrzeć tutaj nie tak jak wszyscy, tylko przez jaskinie?

Odezwał się Werner; jego głos przebił się przez moją wściekłość, nieco drżący.

– To niemożliwie. To by znaczyło, że...

Wreszcie coś do niego dotarło.

Ta zgroza.

– To by znaczyło – podjąłem – że w tej historii jest troje niewinnych: Kurt, Evi, Markus. I jeden bohater: Oscar Grünwald. Oscar Grünwald ocalił dziecko, niweczając zamiary Maksa. A wy zabiliście Oscara Grünwalda.

Jak na Ortles, pomyślałem. Niewinni i bohaterowie giną, winni się ratują.

– Nie – wykrztusił Werner.

To było jego ostatnie słowo. Potem otworzył szeroko oczy. Chwycił się rękami za brzuch.

Nic się nie zmieniło w wyrazie twarzy Maksa, kiedy przekręcał nóż w ranie.

Annelise krzyknęła, mocno przyciskając do siebie Clare i odwracając głowę.

– Wiesz, ile czasu potrzeba, Salinger? Półtorej godziny – odpowiedział mi

głucho Maks. – Na dojście i powrót. Półtorej godziny. Ale trzeba płynąć. Już *Omi* mnie tego uczyła, kiedy byłem w wieku twojej córki. Pływanie w jaskiniach, w ciemności, miało odświeżać krew Krünów. Babka wciąż mi to powtarzała. Kiedy w dwudziestym trzecim zawała się kopalnia, woda zalała wszystko. Górnicy potonęli. Dziadek pomylił się w wyliczeniach. Pomylił się, bo był zmęczony, bo płacili mu jałmużnę, jak żebrakowi w Siebenhoch, chociaż doglądał bezpieczeństwa wszystkich i nie był prostym górnikiem. Zginął razem z innymi, chociaż był wart tysiąc razy więcej.

Splunął pod nogi.

Przyjrzał mi się.

– Tylko pomyśl, Salinger – powiedział. – Półtorej godziny. I tylko trzydzieści minut, żeby ich tutaj, pod tym nawisem, odnaleźć. Trzydzieści minut. Zginąć musiała cała trójka. Dziecko także.

Wyrwał nóż z brzucha Wenera, a ten upadł na kolana. Jednym płynnym ruchem Maks przyłożył ostrze do jego gardła.

– Odrzuć gałąź – nakazał mi.

Odrzuciłem.

– Trzy kroki do tyłu.

Posłuchałem.

Maks przybrał minę dobrego wujaszka.

– Od kiedy wtykasz nos w tę historię?

– Od kilku miesięcy.

– Kilka miesięcy! – warknął Maks. – Nawet taki pijaczyna jak Günther zaczął coś podejrzewać. Kto mu pomógł znaleźć ekspertyzę, jak myślisz? – Odepchnął od siebie głowę Wenera. – A ty? – zwrócił się do niego. – Trzydzieści lat miałeś się ciągle za bohatera. Trzydzieści lat, a ty nic nie rozumiałeś.

Werner pochylił głowę, ostatecznie przegrany.

Maks błysnął ostrzem noża.

– Z wami pójdzie mi trudniej, ale będzie jeszcze zabawniej. Siekiera jest zbyt... prymitywna.

– Nie wystarczyłby ci wtedy rewolwer? Nie miałeś dubeltówki? – spytałem.

– Za mało by cierpieli. A ja nacierpiałem się aż nadto. Musieli mi za to zapłacić. Poczucie to samo gówna. To gówna, jakim Siebenhoch przyprawiało mi wszystko, od kiedy się urodziłem. Byłem wnukiem człowieka, który doprowadził do katastrofy kopalni. Uważali, że nawet małe dziecko powinno odpowiadać za tę katastrofę. Ach, jak ich kręciło, że mogą się za to na nas mścić. Drwić z nas, wyśmiewać naszą biedę. Tak samo śmiała się Evi, kiedy

jej powiedziałem, że ją kocham. Myślała, że żartuję. Żartuję, rozumiesz? Wołała Kurta. Tego skurwysyna Kurta. Ratownika. Bohatera. To nic, na koniec musieli przełknąć wszyscy to samo.

Annelise zaczęła szlochać, co skierowało na nią uwagę szefa Krüna.

Nie chciałem, żeby na nią patrzył. Ale zwlekałem. Musiałem zdobyć ten jego nóż. Zyskiwałem na czasie, dając mu ciągnąć te wynurzenia.

– Ale nagle zjawił się Grünwald – powiedziałem, jakbym prowadził wywiad z bohaterem mojej opowieści.

– Markus próbował mi uciec. Do końca był tchórzem. Poślizgnął się i rozwalił sobie głowę. Dorwałem go, chciałem go wykończyć, ale już nie żył. Zmarnowałem przez niego trochę czasu. Uciałem głowę Evi, wziąłem do ręki, zaniósłem do Kurta, podsunąłem mu przed oczy. Już konał, ale jeszcze był przytomny. Chciałem, żeby ją zobaczył. Potem ją wyrzuciłem. Kiedy wdarł się na polanę Grünwald, wrzeszcząc jak szalenciec, wpadłem w panikę i uciekłem.

– Wyrwał mu się jęk zawodu. – Zdało mi się, że to jest moja *Omi*, że wróciła tu, by mnie przeprowadzić przez jaskinie. Jakby chciała mi powiedzieć, że teraz, kiedy już pomściłem dziadka, mam tam zostać na zawsze razem z nim.

W jego spojrzeniu otwierała się otchłań.

– Kiedy się otrząsałem, zobaczyłem, że Grünwald znalazł dziecko. I siekiere. Wtedy coś mi przyszło do głowy. Wspaniały pomysł, Salinger. Na tej nędznej trójce wziąłem już odwet. Ale co z innymi? Z tymi, co kpili ze mnie, kiedy przychodziłem do szkoły w dziurawych butach? Z tymi, co śmiali się z *Omi*, z Frau Krün, bo po katastrofie w kopalni została z niczym? A była żoną kopalnianego saltnera! Co z tymi wszystkimi prostakami, którzy czuli się lepsi od nas, od nas Krünów, chociaż to my przez dwa wieki chroniliśmy górników z Siebenhoch? Pojąłem, że mam w rękach sposób, żeby ich ośmieszyć, skierować przeciw nim tę ich żalną sprawiedliwość przodków.

Maks dyszał jak zwierzę.

Był zwierzęciem.

– Wróciłem do miasta. Na przyjęcie do Vereny. Przyszedł po mnie Hannes, potem Günther i we trzech pojechaliśmy po Wenera. Dobrnęliśmy tutaj, a ja naturalnie zachowywałem się tak, jakbym o niczym nie wiedział. Panowałem nad wszystkim. *Prawie* nad wszystkim – poprawił się.

Potem poszukał wzrokiem Clary.

– Ile liter ma słowo „koniec”, dziewczynko?

Clara skryta za Annelise odpowiedziała drżącym głosem:

– Sześć.

– Sześć – powtórzył za nią Maks.

Wbił nóż w gardło Wenera, który upadł na ziemię, tryskając strumyczkiem ciemnej krwi. Oczy mu znieruchomiały. Ciało drgnęło. Raz, dwa, trzy razy.

Koniec.

Maks nawet nie rzucił na niego okiem. Oczyścił nóż o kurtkę. Patrzyłem jak zahipnotyzowany na brunatne smugi na przemoczonej tkaninie.

Szykował się na nas.

I w tym momencie to usłyszałem.

## 9

Odrzuciłem gałąź i podbiegłem do Annelise i Clary w momencie, kiedy waliła się na nas lawina błota. Bletterbach zmienił się w apokalipsę z wody, ziemi i leśnych odpadów. Chwyciłem córkę za łokcie i uniosłem jak najwyżej w samą porę, bo pień drzewa gruby jak udo właśnie przecinał powietrze w miejscu, gdzie chwilę wcześniej była jej głowa. Krzyknęła, a zarazem zaszłochała. Upadliśmy. Dyszałem. Zdołałem uchwycić się jodły. Skała, pod której nawisem Kurt rozbił namiot, stała się kaskadą spływającego błota. Zwłoki Wenera porwał szybki nurt.

– Annelise! – krzyknąłem.

Nie zareagowała. Musiał ją uderzyć jakiś płynący pień. Nie widziałem krwi, ale oczy miała zamglone.

Trzymała się korzeni, patrzyła martwo przed siebie.

A Maks?

Gdzie był Maks?

Przez chwilę miałem nadzieję, że i jego porwała lawina błota, ale się zawiodłem. Jakimś cudem zdołał się uchwycić pnia kasztana i już stanął na nogi. W rękę wciąż ścisnął nóż, twarz miał wściekłą. Odepchnął się od pnia i ruszył w naszą stronę. Woda opływała jego nogi, tworząc niewielkie wiry. Sprawiał wrażenie bezlitosnego.

– Mamo!

Krzyk Clary miał w sobie tyle siły, że przywrócił Annelise przytomność. Jej oczy ożyły, popatrzyła na nas.

Maks stał nad nią i dyszał. Chwycił ją za włosy, odgiął jej głowę do tyłu, odsłoniła się szyja.

– Kurewska córka. Koniec z nią, Salinger – powiedział.

Rzuciłem się na niego. Krzyczałem, jakby krzyczała Bestia.

Zalśniło uniesione ostrze noża gotowe zadać cios, kiedy piorun przeszył i naelektryzował powietrze. Grzmot był tak potężny, że zadrżały od niego

skalne stoki Bletterbach.

Ułamek sekundy. Błysk wahania.

Tyle wystarczyło.

Uderzyłem Maksa pięścią tak mocno, że padł na plecy. Splunął, zakaszłał, uniósł rękę. Znowu go uderzyłem. Kostki palców zaboląły mnie tak, jakby brały na siebie całe cierpienie przeżyte do tej chwili. Uniosłem Maksa, chwyciwszy go za gardło. I uderzyłem jeszcze raz. I jeszcze raz.

Po czwartym uderzeniu straciłem czucie w ręce.

Nie przerywałem bicia.

Chciałem tylko jednego: zabić.

Z nagła zalało mnie ciepło i oślepił ból. Nóż przeciął głęboko moje kolano. Maks ćwiartował mi ciało, szarpał je, rozrywał. Moje ciało. Moje ścięgna.

Noga nie wytrzymała. Poślizgnąłem się i upadłem. Uniósł mnie nurt wody, ból był coraz mocniejszy. Zderzyłem się z Annelise i objąłem ją. Poczułem ciepło jej ciała. Czułem nawet jej oddech na szyi. Opadło mnie ogromne zmęczenie. Zobojętniałem. Wydawało mi się, że oto spotyka mnie piękna śmierć. Mogłem być do końca złączony z kobietą, którą kochałem. Zamknąłem oczy. Z poczuciem ostatecznego spokoju. Już nie było cierpienia, nie było lęku.

Nie było Bletterbach. Była tylko śmierć, tylko czekanie na nią.

*Fade to Black*, jak powiedziałyby Mike.

Uratowała mnie Clara.

– Tato!

Łamiący się głos dziecka wyrwał mnie z zapaści. Nie mogłem umrzeć. Clara mnie potrzebowała.

Dźwignąłem głowę z błota. Otworzyłem oczy. Wróciły ból, strach, niepewność.

I determinacja.

Wciąż jeszcze objęty z Annelise próbowałem wyszarpnąć ją z połamanych gałęzi i dotrzeć do naszej córki. Zderzyłem się z odłamem skały. Uchwyciłem się go. Annelise przylgnęła do mnie.

– Salinger! – ryczał Maks. – Salinger!

Stał wyprostowany, sterczał pośrodku walącego się z impetem zalewu błota.

Jak demon.

Rozłożył ręce i wykrzykiwał moje nazwisko. Może chciał dodać do niego jakieś przekleństwo albo groźbę, ale nie zdążył.

Coś przecięło mu nogę na wysokości uda, wyrzucając w górę łuk krwi.

Maks przestał krzyczeć.

Wyprostował się. Głowa opadła mu do tyłu, usta się otworzyły. Zobaczyłem, jak jego ciało z rozłożonymi ramionami unosi się trzydzieści centymetrów nad wodą z tą straszliwie okaleczoną, krwawiącą i drgającą nogą.

A potem...

Coś wyrwało się z jego piersi. Coś, co wydało mi się olbrzymimi szczypcami. Coś, co przecięło jego kości i przebiło się przez niego. Potwór z Bletterbach.

Gdzieś przy nim był *Jaekelopterus*. Wygłodzony.

Miał już Maksa. Chciał mieć jeszcze mnie. I Annelise.

Chciał mieć Clare.

Tylko jedno mogłem zrobić.

Przyciągnąłem do siebie Clare. Przyciągnąłem Annelise.

Wdech. Wydech.

Zamknąłem oczy, nie opierałem się. Poniósł nas nurt.

# Trzy litery na skraju tęczy

## 1

Pamiętam ból. Zalew błota i chłód w kościach. Świat walił się w przepaść bez dna. Krzyki Clary jeszcze dzisiaj dudnią mi w głowie, a także jej nagłe milczenie, jeszcze bardziej przerażające. Spływaliliśmy tym wartkim nurtem powodzi, a potem to się skończyło, chociaż nie wiem ani jak, ani kiedy. Wiem tylko, że siedzieliśmy, nie odzywając się do siebie, na jakimś skalnym uskoku czekaliśmy, kiedy potwór nas dostrzeże i unicestwi.

Nie doszło do tego.

Kołysałem Clare. Kołysałem Annelise.

Przestawało padać. Krople deszczu robiły się coraz drobniejsze, przeszły w mżawkę, przez którą przebijały się pierwsze promienie słońca, tworząc tęczowe lśnienia. Z góry nie waliły się już kamienie.

Błoto płynęło coraz wolniej.

A później, tysiąc lat później, odezwały się świerszcze. Zaśpiewał ptak. W krzakach zjawiła się kuropatwa, popatrzyła na nas i odfrunęła, trzepocąc skrzydłami.

Chmury pojaśniały. Słońce stawało się coraz mocniejsze. Wydawało mi się ogromne i przepiękne.

Zacząłem płakać. Nie dlatego, że cierpiałem. Nie dlatego, że widziałem zagubienie w oczach Annelise. Nawet nie dlatego, że Clara jęczała przez sen.

Płakałem dlatego, że go zobaczyłem.

Zobaczyłem *Jaekeloptera rhenaniae*.

Potwora ze szczypcami i oczami jak czarne studnie. Stwora, którego Bóg postanowił usunąć ze świata, a którego Bletterbach przygarnął do siebie jak kochająca matka. Zobaczyłem go. Zobaczyłem, do czego jest zdolny.

Jednak.

Wyniki sekcji zwłok Maksa mówią co innego. Nie było szczypiec, nie było potwora. Nie było *Jaekeloptera rhenaniae*. Była tylko ostra gałąź jodły, którą impet nurtu zmienił w rodzaj harpuna. Inaczej mówiąc, wygląda na to, że to Bletterbach zamknął cały krąg.

Ale w tamtych straszliwych chwilach, kiedy Bletterbach już się uciszył, złorzeczyłem i płakałem. Z zaćmionym umysłem. A kiedy doszło do głosu szaleństwo, pojawiły się widma. Zeszły z helikoptera w kolorze jaskrawej



czerwieni. Moses z poważną jak zawsze twarzą, Ismael przypominający osiołka Lucignola, Manny wnoszący poczucie bezpieczeństwa i Christoph w nastroju człowieka, który nie umie niczego traktować na serio.

Był z nimi także Werner.

Kiedy w mojej wizji delikatnie wyjmowali mi z objęć Clare i zarzucali okrycie na plecy Annelise, kontrolując jej źrenice, próbowałem im, ratownikom, wytłumaczyć, że nie chciałem ich śmierci, że gdybym mógł cofnąć się w czasie, to na pewno nie zszedłbym do przepaści i lawina by ich nie zabiła.

Nie musieli używać słów, żeby mi odpowiedzieć.

Byli przy mnie.

To była ich Zasada Zero.

## 2

Trzy razy byłem bliski śmierci, kiedy mnie operowali. Ostrze noża przecięło jakiś nerw, a poważne zakażenie dokonało reszty. Prawa noga nigdy już nie będzie w pełni sprawna.

Kiedy Mike zobaczył mnie po Bletterbach, rozplakał się i długo nie mógł się uspokoić. Ale mój wspólnik odniósł się do tego zbyt melodramatycznie, w gruncie rzeczy zawsze był sentymentalny. A ja z pomocą laski radzę sobie całkiem nieźle. Musicie mi wierzyć. Powinniście to zobaczyć – tancerz i tyle.

Film *W brzuchu Bestii* dostał nagrodę, z której Mike jest bardzo dumny. Twierdzi, że ta nagroda otworzy nam wiele drzwi, a przecież doskonale wie, że już nigdy nie będzie następnego filmu autorstwa McMellan–Salinger. Myślę jednak, że powtarzanie tego zdania dobrze na niego wpływa, więc mu tych złudzeń nie zabieram. Jak śpiewał Bob Dylan, *The Times They Are a-Changin'* i nie zawsze są to zmiany na lepsze.

Przede wszystkim na początku miałem prawdziwy problem z głową. Poważny problem. Tak poważny, że przestraszył doktora Girardiego, psychiatrę, do którego zwróciłem się o pomoc, bo sam w żadnym razie nie umiałbym się pozbierać. Pomaga mi także Manfred, wymyślając dla mnie różne zajęcia. Ma zamiar otworzyć centrum, które stawiałoby na nogi zagubionych alkoholików. Chce, żebym mu w tym pomagał. Komuś takiemu jak on nie można odmówić. Dałoby się tu zacytować Bogarta: „Myślę, że to początek pięknej przyjaźni”.

Annelise także musiała o siebie zadbać.

Miała dość poważnie uszkodzone ramię. Jeszcze dziś, kiedy zbiera się na

deszcz, zażywa środki przeciwbólowe. Trzy razy w tygodniu jeździ na rehabilitację do fizjoterapeuty. Musi rozgrywać swoje bitwy tak jak ja. Koszmary, złe wspomnienia, lęki. Często ma nieobecne spojrzenie, wiem, że myśli wtedy o Wernerze, którego zwłoki są jeszcze gdzieś w labiryncie jaskiń pod wąwozem. Jednak z dnia na dzień uśmiecha się coraz częściej. Ja także.

Nasze lekarstwo ma pięć liter: „Clara”. To dzięki niej w gorsze dni znajdujemy siły, żeby dźwigać się z łóżka. To dla niej nasz śmiech z wolna staje się coraz bardziej szczery. To dla niej niezdarnie jak dwoje nastolatków kochamy się wieczorami.

Clara...

Lubię słuchać jej opowieści, lubię się z nią bawić. Biegać po łąkach Siebenhoch z laską w ręce, z którą wyglądam jak strach na wróble. Ale najbardziej lubię patrzeć na nią, kiedy śpi. Clara czasami uśmiecha się przez sen i kiedy to widzę, ożywa mi w sercu nadzieja. Jej uśmiech odpędza lęki i przybliża mnie o krok do wyzdrowienia. *Potrzebuję* jej uśmiechu. Ponieważ właśnie tak kończą się bajki, te, które zaczynają się od a i zawsze kończą na z, co nazywamy happy endem.

### 3

Napisałem tę opowieść dla niej. Gdyż pewnego dnia Annelise i ja będziemy musieli opowiedzieć jej prawdę o masakrze w Bletterbach. O tym, jak miłość do niej ocaliła życie ostatnim bohaterom tej opowieści. Annelise i Salingerowi.

### 4

– Trzy litery, tato?

– Uśmiech na samym skraju tęczy, malutka.

Zet.

## Podziękowania

Jeżeli Górna Adyga – Alto Adige/Südtirol – ukazana na tych stronach różni się, co z pewnością wielu czytelników zauważyło, od tej realnej, to stało się tak z prostej przyczyny: *Istota zła* jest opowieścią fikcyjną, a fikcja z samej swej definicji dąży raczej do prawdopodobieństwa niż do prawdy. Mam nadzieję, że nikogo to nie uraziło. W każdym razie Clara chyba na pewno zgodziłaby się ze mną, że opowiadanie historii jest w pewnym sensie wyznaniem miłości.

Z tej racji pragnę podziękować wielu osobom (z pewnością nie wymienię tu wszystkich), które swoją serdecznością i wyrazami otuchy pomogły mi ukończyć tę powieść.

Dziękuję mojej matce i mojemu ojcu, że zawsze trzymali mnie za rękę. Dziękuję Luisie i Agostinowi, że pozwolili mi wziąć najcenniejszą rzecz, jaką mieli. Dziękuję Claudii, Michiemu i Asji za Alexa i całą resztę. Eleonorze, Corradowi i Gabriele, że mnie zaadoptowali. A Gianninie dziękuję za dzwony.

Dziękuję Mauriziowi, że nigdy nie ustępuje, i Valentinie, że zawozi go na ryby. Dziękuję Michele, jedynemu, prawdziwemu i niepowtarzalnemu. Dziękuję Emanueli, Simone'owi i Biance. Caterinie, Mauriziowi i Sofii. Ilarii i Luce. Chiarze i Damianowi. Nie muszę dodawać dlaczego, bo to wiedzą. Wyrazy szczególnej wdzięczności kieruję do Loredany, Andrei i pierwszych czytelników rękopisu. Wiecie, kim dla mnie jesteście i ile wam zawdzięczam.

Dziękuję Piergiorgiowi Nicolazziniemu, który był dla mnie nie tylko agentem wydawniczym, i mam nadzieję, że o tym wie. Dziękuję Luce Briasco, że nauczył mnie trzymać pióro w ręku (choć z uporem twierdzi coś przeciwnego). Dziękuję Francescowi Colombo, że zamienił redakcję w przyjemną wycieczkę z przyjaciółmi. Dziękuję Severinowi Cesari, Paolowi Repettiemu, Raffaelli Baiocchi i całej rodzinie wydawniczej Stile Libero za uprzejmość, z jaką przygarnęli w wielkim mieście zagubionego w nim chłopaka z gór, i za profesjonalizm, z jakim zadbali o tę grubą książkę, którą przywiózł w plecaku.

Dziękuję doktorowi Christianowi Salaroliemu za górskiego bluesa. Raffaelowi i Gabrielowi Kostnerom za to, że są przykładem codziennego bohaterstwa. Dziękuję odważnym ratownikom z Aiut Alpin Dolomites za natchnienie, ropę naftową i strudel. Tyle dobrego, ile na temat alpejskiego

ratownictwa znajdziecie w tej powieści, zawdzięczam im (ale ich pomyłki i fikcyjne loty trzeba przypisywać wyłącznie wyobraźni autora). Dziękuję profesorowi Fulvio Ferrariemu, zawsze wiernemu dewizie: „Kto uczy jeden dzień, ten uczy zawsze”. I tej drugiej: *Vergelsgot'n olt'n Alois for dr Mappe unds Wörterbuach. Zum wohl, Herr Luis!* Dziękuję oczywiście Bletterbach i jego tabliczce: „Z powodu niebezpieczeństw wejście na własne ryzyko”.

I wreszcie: złoty medal dla Alessandry za to, że pierwsza wołała: „To mądre! To mądre!”.

---

<sup>1</sup> Fragment piosenki *Hellhound on My Trail*.

<sup>2</sup> Robert Frost, *Przystając pod lasem w śnieżny wieczór*, tłum. Stanisław Barańczak.

<sup>3</sup> John Fante, *Pył*, tłum. Grzegorz Grątkowski, Wydawnictwo TENTEN, Warszawa 1991, s. 15.

Przekład: Stanisław Kasprzysiak  
Redakcja: Maria Wirchanowska  
Korekta: Piotr Królak, Katarzyna Skwark

Projekt okładki: Tomasz Majewski  
Zdjęcia wykorzystane na okładce: © Tanuki Photography/E+/Getty Images; © Mariusz Kluzniak/Moment/Getty Images; © Jakob Helbig/Cultura/Getty Images

Skład i łamanie: Dariusz Ziach

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.  
00-391 Warszawa, al. 3 Maja 12  
tel./faks (22) 646 05 10, 828 98 08  
[biuro@gwfoksal.pl](mailto:biuro@gwfoksal.pl)  
[www.gwfoksal.pl](http://www.gwfoksal.pl)

ISBN 978-83-280-3757-1

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](http://GrupaWydawniczaFoksalSp.zo.o)  
i Michał Latusek / [Virtualo Sp. z o.o.](http://VirtualoSp.zo.o)

**virtualo**